



Alicja  
Urbanik-Kopeć

# Matrymonium

O małżeństwie  
nieromantycznym

**Panowie zamożni**, na poważnych stanowiskach, lat 40–45, złożą oferty wdówce młodej, ładnej, posiadającej 30.000 gotówki. Cel matrymonjalny.

**Panna** trzydziestosześcioletnia, (wygląda młodszej), niebrzydka, sierota, bez mieszkania, środków do życia,

**Szukam żony.** Chcę ożenić się zaraz, bez żadnych konkurencji, nie zrazi mnie nawet najbiedniejsza sierota. Warunki wymagane: Panna, lat 24–29, ładna niekoniecznie, ale sympatyczna, bardzo zgrabna, koniecznie ładne nóżki, wzrostu nie więcej średniego, która by chciała sobie wspólną pracą byt zabezpieczyć.





Alicja Urbanik-Kopec

# Matrymonium

O małżeństwie nieromantycznym

wydawnictwo  zarne

Wołowiec 2022

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Aleksandra Nałęcz-Jawecka, to/studio  
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś  
Grafiki na okładce: Biblioteka Narodowa, Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa, Detroit Publishing Company photograph collection (Library of Congress)

Copyright © by Alicja Urbanik-Kopeć, 2022

Opieka redakcyjna Jakub Bożek  
Redakcja Ewa Pawłowska  
Korekta Sandra Popławska / d2d.pl, Justyna Rochacewicz / d2d.pl  
Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-598-4

# Spis treści

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

Wstęp. Czy nie szkoda tak pięknych pamiątek?

## CZĘŚĆ I Znajomości

1. Romeo i hultaj, czyli pośrednictwo

## CZĘŚĆ II Pieniądze

1. Posag. Nic nie rozumie, wszystkiego się lęka
2. Oszczędności. Życie to nie pudełko pralinek

## CZĘŚĆ III Pozycja

1. Kompetencje. Nieporadnik pani domu
2. Awans i megalians

## CZĘŚĆ IV Porażka

1. Bieda. Muchy, komary i samotne kobiety
  2. Wolność. Śmierć starej panny
- Zakończenie. Jak łączysz karierę z macierzyństwem?

*Bibliografia*

*Przypisy końcowe*

*Przypisy*

*Kolofon*

Wstęp

## Czy nie szkoda tak pięknych pamiątek?

Można śmiało twierdzić, że jeżeli zależność materialna jest zawsze niewolą, to zależność ekonomiczna kobiety jest źródłem takich krzywd i niedoli, jakich ludzkość znieśćby stanowczo nie powinna<sup>1[1]</sup>.

Maria Turzyna, „Nowe Słowo”, 1903

Sielankowe poglądy na małżeństwo już skończyły się i wkroczyła ekonomia<sup>2</sup>.

Ogłaszał w 1888 roku Bolesław Prus na łamach „Kuriera Codziennego”. Następnie zaś roztaczał przed czytelnikami wizję nowego społeczeństwa popartą szczegółowymi wyliczeniami. Przemiany społeczne i gospodarcze spowodowały zmianę stosunków międzyludzkich. Kawalerowie nie chcieli się żenić, ponieważ małżeństwo oznaczało dla nich nowe zobowiązania finansowe. Lekarz, inżynier czy artysta zarabiał około tysiąca rubli rocznie, co starczało mu na codzienne wydatki, mieszkanie i jedzenie, czasem też na wizytę w teatrze czy nowe książki. Posiadanie żony wymagało dołożenia do budżetu domowego drugiego tysiąca rubli rocznie, a w perspektywie kilku lat – kolejnych pieniędzy, kiedy w małżeństwie pojawiłyby się dzieci. Nikt nie chciał się na to decydować zbyt szybko. Mężczyzna stawał więc przed wyborem: mógł znaleźć bogatą z domu żonę, która wniosłaby do małżeństwa posag, biedować z powodu niskich zarobków albo znaleźć taką partnerkę, która swoimi własnymi zarobkami powiększałaby domowy budżet.

Samodzielna i zarabiająca dziewczyna nie chciała już po prostu wychodzić za mąż. Szczególnie że „panna, przestając być gąską, staje się wymagająca i ostrożna”, a mężatki ostrzegają, że „błogosławiony stan małżeński nie jest takim znowu rajem, jak przedstawia się w powieściach”.

Ponieważ kobiety nie garną się już do małżeństwa, zagrożona jest rodzina, ta podstawowa komórka społeczna. „Takie oto wstępują na świat generacje!” – podsumowywał Prus, nie znajdując dla zaniepokojonych tym stanem rzeczy czytelników żadnej konkretnej rady.

Prus pisał, że obraz małżeństwa pojawiający się na kartach powieści odbiega od rzeczywistości. Zwracał jednak na to uwagę w czasach, gdy również powieści – nie tylko felietony prasowe – skupiały się właśnie na trudnościach, a nie na samym opisie małżeńskiej sielanki. Fabuła *Lalki*, *Ziemi obiecanej*, *Nad Niemnem* czy *Trędowatej* pokazuje, jak wielkim przedsięwzięciem finansowym, społecznym i towarzyskim była transakcja małżeńska. Nie należało to do specyfiki powieści polskiej ani nawet powieści z przełomu wieków. Znane dzieła wcześniejsze, które ukształtowały również współczesne rozumienie miłości, równie wiele co o porwach serca opowiadały o zasobności kieszeni. Znamy co do grosza roczny dochód pana Darcy’ego z *Rozważnej i romantycznej* Jane Austen, wiemy też, za czyje pieniądze pan Rochester remontował Thornfield Hall w *Dziwnych losach Jane Eyre* Charlotte Brontë. Jednak odwracamy wzrok od tej wiedzy, by nie psuć sobie sielankowego nastroju.

Opowieść o małżeństwie w XIX wieku jest tak naprawdę narracją o pieniądzu. Ludzie pobierali się oczywiście z wielu powodów. Większość z nich doskonale rozpoznajemy i dziś – potrzeba bezpieczeństwa, towarzystwa, posiadania dzieci, zadośćuczynienia tradycji czy postępowania zgodnie z wyznawaną religią. Wreszcie – chodziło także o miłość, przyjaźń, podziw, pociąg erotyczny, lęk przed samotnością. Motywacji było tyle, ile osób stających na ślubnym kobiercu, a o instytucji małżeństwa opowiadać można przez soczewkę każdego z tych powodów. Obowiązujący system prawny i uwarunkowania społeczne powodowały jednak, że dominującym kontekstem rozważanym przed ślubem, tak samo determinującym zachowania jednostek czujących i myślących krańcowo odmiennie o swojej pozycji w świecie, były ekonomiczne konsekwencje małżeństwa.

W wazenie finansowych za i przeciw zaangażowani byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Kobiety jednak miały więcej do stracenia w tej matrymonialnej grze. To mężczyźni posiadali pieniądze, za pieniędzmi zaś

szła władza, nie tylko w makroskali politycznej i gospodarczej, lecz także w skali mikro, uwidaczniającej się w pozycji mężczyzn w rodzinie, relacjach erotycznych i związkach małżeńskich. Ekonomia stanowiła podłoże wszystkich związków formalnych. O ile jednak mężczyźni mogli dość swobodnie realizować swoje potrzeby seksualne i emocjonalne poza małżeństwem, nie zważając na kontekst finansowy, o tyle kobiety, w zależności od klasy społecznej, musiały o nich zapomnieć lub zaspokajać je z wielką ostrożnością. Dla wielu małżeństwo stanowiło być albo nie być, zarówno w sensie społecznym, jak i emocjonalnym. Dominacja ekonomiczna mężczyzn nie kończyła się po ślubie – wtedy się dopiero rozwijała.

Opowieść o kobietach, małżeństwie i pieniądzu w XIX wieku to historia o systemie prawno-społecznym, który do całkowitej zależności finansowej kobiet od mężczyzn dołożył romantyczne wzorce emocjonalne, mające spacyfikować dążenia emancypacyjne. Kobieta bowiem, która była zmuszona znaleźć męża, żeby nie doznać upokorzenia albo nie ulec deklasacji, chętnie poddawała się argumentacji o poświęceniu dla rodziny, o naturalnej potrzebie heteroseksualnego spełnienia w związku i zaspokojenia uczuć macierzyńskich. Małżeństwo, od strony prawnej i społecznej, oznaczało wówczas całkowite oddanie własnej samodzielności w ręce męża. Łatwiej podejmować decyzje o porzuceniu własnych ambicji czy wręcz podmiotowości, jeśli robi się to w otoczeniu waloryzującym tradycyjne kobiece cechy – poświęcenie, oddanie, opiekuńczość.

W jednej z pierwszych scen *Lalki* Izabela Łęcka siedzi przy herbacie z ciotką, hrabiną Karolową. Hrabina namawia siostrzenicę, żeby zdecydowała się na ślub szybko. Przecież sytuacja finansowa ojca Izabeli nie jest najlepsza. Na stole są dwie propozycje. Pierwsza to ślub z marszałkiem, potrzebującym nie tyle żony, co raczej niańki, która ocierałaby mu podbródek. Druga to baron, farbujący się starszy pan z plamami wątrobowymi na rękach. Obie z tych możliwości mają być, zdaniem ciotki, lepsze niż licytacja majątku, w tym rodowych sreber i serwisu. Izabela, zrozpaczona, pyta hrabinę, czy ma „wahać się między sprzedaniem siebie i serwisu”<sup>3</sup>. Ciotka, kobieta inteligentna i światowa, zainteresowana szczęściem panny Izabeli, miesza herbatę i odpowiada nie



wprost, a jednak zupełnie jasno. Otóż piękna, złotowłosa ukochana córka warszawskiego towarzystwa powinna zastanowić się, „czy nie szkoda tak pięknych pamiątek”.

W ekranizacji *Lalki* Wojciecha Jerzego Hasa scena jest jeszcze bardziej wymowna: hrabina Karolowa wspomina, że ojciec Izabeli sprzedaje kamienicę w niekorzystnym czasie, że wszystko przepadnie, nawet posag Izabeli. A następnie proponuje bratanicy pożyczkę w wysokości 3 tysięcy rubli „na drobne wydatki”<sup>4</sup>, żeby łatwiej było jej przełknąć zaręczyny z jednym ze starszych panów. Piękne oczy Beaty Tyszkiewicz napełniają się łzami.

Posag Izabeli Łęckiej ważniejszy był niż sama kobieta, a nawet ważniejszy niż rodowe srebra i porcelana. Wynosił okazałą sumę 30 tysięcy rubli, wartość połowy kamienicy przy Kruczej 24, w śródmieściu Warszawy. O posagu Izabeli wiedział doskonale również sam Wokulski, wyliczając pobieżnie, ile straci na ewentualnym małżeństwie: „Dom rs. 60 000, posag panny Izabeli rs. 30 000, razem rs. 90 000. Bagatela... prawie trzecia część mego majątku... W każdym razie za dom wróci mi się ze 60 000 albo i więcej... No!... trzeba skłonić Łęckiego, ażeby te 30 000 mnie powierzył; będę mu płacił 5000 rubli rocznie jako dywidendę”. I tak dalej. Wokulski wyliczał w końcu, że po załatwieniu tych wszystkich spraw będzie miał do dyspozycji około 35 tysięcy rubli rocznie, co oznacza, że „żona [...] nudzić by się nie powinna”, wydając te pieniądze.

Takie buchalterskie (Izabela powiedziałaaby, że kupieckie) podejście do małżeństwa nie oznaczało wcale, że Wokulski prezentował szczególnie materialistyczną postawę w romantycznym świecie uczuć, wprost przeciwnie. Mimo niezwykłej urody kandydatki i jej dobrego pochodzenia zainteresowanie mężczyzną Izabelą zależało bezpośrednio od jej sytuacji finansowej, a raczej sytuacji jej ojca. Wizyty Izabeli u zamożnej ciotki (gdzie dyskutowały o rublach, licytacji kamienicy i srebrnym serwisie) „dały początek pogłosce, że pan Tomasz jeszcze posiada majątek i że zerwał z towarzystwem w części przez dziwactwo, w części dla poznania rzeczywistych przyjaciół i wybrania córce męża, który by ją kochał dla niej samej, nie dla posagu”. Następne ruchy pana Tomasza wzbudziły kolejne zawirowania w towarzystwie. Gdy rozeszła się pogłoska, że kamienica

Łęckich zostanie zlicytowana, część kandydatów do ręki Izabeli się wycofała, nie chcąc się żenić z córką bankruta, choćby hrabianką. Posag Izabeli, jeśli dalej istniał, miał jednak wielką siłę przyciągania: „Kandydaci do małżeństwa i ich rodziny znaleźli się w dręczącej niepewności. Ażeby więc nic nie ryzykować i nic nie stracić, składali hołdy pannie Izabeli, nie angażując się zbyt mocno i po cichu rzucali w jej domu swoje karty, prosząc Boga, ażeby ich czasem nie zaproszono przed wyklarowaniem się sytuacji”.

Słowo „pieniądz” pada w *Lalce* Bolesława Prusa dwieście dwadzieścia dziewięć razy. Miłość tylko sto cztery<sup>5</sup>.

Nie bez powodu.

Część I

Znajomości

## Romeo i hultaj, czyli pośrednictwo

W lipcu 1879 roku nad brzegiem Dunaju nieopodal Bratysławy znaleziono ludzkie szczątki. Naga kobieta ze śladami ran zadanych siekierą była zagadką dla austriackiej policji. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, jej ubranie leżało poskładane w kostkę na brzegu.

W maju 1883 roku z topieliska w pobliżu austriackiego Weißkirchen wyłowiono ciało następnej kobiety. Ta została pozbawiona przytomności narkotykiem, a później wepchnięta do wody z przywiązaniem do szyi kamieniem. Podobnie zabito kolejną kobietę, wyłowioną z Dunaju w okolicach Wiednia niedługo później – miała poderżnięte gardło i ciało obciążone kamieniem.

W sierpniu 1883 roku w wąwozie w okolicach austriackiego szczytu Reaisalpe znaleziono jeszcze jedno ciało młodej kobiety. Przyczyną śmierci był strzał z rewolweru w głowę.

Ciała w końcu zidentyfikowano. Pierwsza ofiara nazywała się Róża Ferenczy i była kucharką. Druga to pokojówka Józefa Timal, trzecia – jej ciotka, Katarzyna Timal. Ostatnia kobieta to służąca Teresa Keterli. Wszystkie zginęły z ręki Hugona Schenka, urodzonego w okolicach Cieszyna galicyjskiego oszusta i mitomana.

Schenk przyjmował wiele tożsamości. Podawał się za polskiego hrabiego Wielopolskiego, za właściciela dóbr ziemskich w Cincinnati w USA i za budowniczego Kanału Sueskiego, mimo że nigdy nie opuścił Europy. Przed szeregiem narzeczonych i ich ojców grał rolę przemysłowca, przedsiębiorcy kwiatowego, członka tajemniczej grupy nihilistów i łoża masońskiej. Kilka razy sfingował własne samobójstwo, aresztowanie i zamach na życie dokonany rzekomo przez tajne stowarzyszenie

skrytobójców. Miał za sobą wyroki za wyłudzenie pieniędzy, uwiedzenie, fałszowanie obywatelstwa, dokumentów tożsamości i weksli. Środki na życie i liczne podróże po całych Austro-Węgrzech pozyskiwał przede wszystkim od oszukiwanych kobiet. Dla Schenka swoją panią okradła na przykład pokojówka Józefa Ederówna, przynosząc mu ponad 300 złotych reńskich, których potrzebował podobno na rozkręcenie fabryki. W zamian za to obiecywał jej ślub. Po zabiciu Róży Schenk wypłacił z jej książeczki oszczędnościowej 384 złote. Po śmierci Józefy Timal z podobnej książeczki wypłacił 264 złote, zabrał jej też złoty zegarek. Ciotka Timalowa przyniosła Schenkowi 1200 złotych i cenną biżuterię. Teresa Keterli – 1200 złotych w gotówce i 1400 złotych za sprzedane akcje „Merkura”. Na procesie Schenka (powieszono go w 1884) przeciwko oszustowi zeznawały dwie niedoszące narzeczone. Zarówno Józefa Eder, jak i Emilia Hechsman pojawiły się przed sądem w zaawansowanej ciąży.

Służące, pokojówki i kucharki, często już niemłode i niezbyt atrakcyjne, te, które zabił dla zysku, i te, które jedynie okradł, Hugo Schenk poznawał w ten sam sposób.

Przez ogłoszenia matrymonialne w lokalnej prasie<sup>1</sup>.

Gdy Schenk łowił swoje ofiary, pomysł dawania anonsów w prasie codziennej znano już od pół wieku. W Królestwie Polskim prekursorem drukowania ogłoszeń matrymonialnych był „Kurier Warszawski”, w którym pierwszy anons został zamieszczony już w 1834 roku. Praktyka nie zyskała popularności jako zbyt nowoczesna, ale ogłoszenia ukazywały się co jakiś czas, by w końcu w 1888 roku zyskać własną rubrykę *Doniesienia osobiste*. Wśród ogłoszeń o sprzedaży lokalu na sklep, poszukiwaniu bony, służącej i mamki, apeli o zwrot znalezionej kapelusza czy chęci wynajmu pokoju „dla przyzwoitej kobiety”<sup>2</sup> albo dla studentów pojawiały się anonse zamieszczane przez ludzi szukających stałego związku.

Z czasem ogłoszenia matrymonialne zaczęły się ukazywać także w innych gazetach codziennych, takich jak „Kurier Codzienny”, a po 1918 roku – „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Na rynku pojawiły się także czasopisma specjalistyczne, poświęcone w całości publikowaniu ogłoszeń matrymonialnych i artykułów na temat różnych aspektów małżeństwa.

W 1909 roku w Warszawie zaczął wychodzić „Globus”, w 1909 „Flirt Salonowy”, a w 1913 kontynuacja „Flirtu” pod nową redakcją – „Tygodnik Małżeński”.

Pomysł, by męża lub żony szukać za pomocą prasy, wielu wydawał się gorszący. Klasyczne sposoby szukania małżonka zakładały serię spotkań, najpierw w miejscach publicznych, a następnie w domu panny, pod okiem rodziców i znajomych rodziny. Konstanty Krumłowski tak doradzał młodzieńcom w 1903 roku: „bywasz w kilku domach, gdzie są panny, uczęszczasz do teatru, na koncerty i widowiska, do ogrodów, na zabawy publiczne i prywatne – więc okazji do zawarcia znajomości nie brak”<sup>3</sup>. Po takim przelotnym i przypadkowym zapoznaniu panny mężczyzna powinien zdeklarować się przed rodzicami, że chce spotykać się z ich córką, a następnie poprosić o możliwość bywania w domu i zabierania córki na spacer, do muzeów, teatru i tak dalej. Jeśli wszystko szło dobrze, mógł jej się oficjalnie oświadczyć i zostać przyjęty. Gdy młodzieniec zauważył pannę na przykład na ulicy czy w sklepie, mógł spróbować dowiedzieć się od znajomych, kto to jest, a następnie wystarać się o zaproszenie na jakąś wspólną okazję towarzyską. Baronowa Staffe doradzała w poradniku z 1898 roku, że najlepiej by było, „gdyby przyjazne młodym osoby zaprosiły ich na obiadek dany wyłącznie w tym celu, na którym oczywiście muszą być i rodzice panienki”<sup>4</sup>. Panna miała pozostać nieświadoma celu spotkania. W całym tym procesie sama zainteresowana mogła wyrazić zdanie tylko w kilku momentach, zawsze subtelnie – na przykład w trakcie wizyty potencjalnego narzeczonego w jej domu wyjść ze swojego pokoju tylko na chwilę, a potem powiedzieć, że ma już jakieś wcześniejsze zobowiązania towarzyskie.

Taki protokół zawierania znajomości celowo pomyślany był w ten sposób, by młodzi ludzie mieli mały wpływ na własną przyszłość. Nadmierne zainteresowanie płcią przeciwną, szczególnie w przypadku kobiet, poczytywano za przejaw złego charakteru. W 1891 Wanda Reichsteinowa radziła młodym pannom (czytelniczkom ze średniozamożnego mieszczaństwa), by nie myślały w ogóle o zamążpójściu i nie starały się poznawać mężczyzn, ponieważ prawdziwa nagroda czeka te dziewczęta, które „w domu rodzicielskim starają się sumiennie wypełniać

swoje obowiązki i losy swoje zdały w ręce Opatrzności, czekając cierpliwie jej wyroków”<sup>5</sup>. Reichsteinowa doradzała też utrzymywanie zdrowego dystansu wobec kawalerów nawet w miejscach publicznych – na spacerach, w sklepach, teatrze czy w uzdrowiskach. „Najlepiej zawsze z mężczyznami jakiegobądź stanu i wieku trzymać się z daleka; tego zapewne żadna kobieta jeszcze nigdy nie żałowała. Z małymi wyjątkami podstępny to i egoizmem przesiąkły rodzaj, którym nie warto, kochane czytelniczki, zbytecznie się zajmować ani mu zbytecznie wiele czasu poświęcać – doradzała z przekonaniem. – Również do domów, gdzie są dorośli synowie, radzę wam jak najmniej uczęszczać, ażeby sobie nie wyobrazili, iż im poświęcacie wasze wizyty”.

Podobnie sztywne zasady próbowano stosować wobec kobiet z klasy robotniczej. Panie miały za zadanie pilnować służących, by te nie wychodziły na potańcówki i spotkania towarzyskie, ponieważ mogą tam zostać uwiedzione. Śledzenie (w imię przyzwoitości) życia towarzyskiego i uczuciowego służących, ekspedientek, szwaczek i praczek było tak powszechne wśród pracodawców, że Maria Ilnicka apelowała do pań, by dawały swoim pracownikom wychodne i pozwalały na wyjścia na tańce, do kawiarni i do operetki w celu zapoznania potencjalnego męża. „Ta, której nie dano – nie powiem już odpoczynku – ale możliwości zabawy swobodnej, której ją utrudniono, albo dni świąteczne zrobiono gorszą od najcięższej pracy nudą samotną między czterema ścianami, [...] cały żal zmarnowanych chwil młodości przerobi w sobie na gorzką zazdrość dla klas wyższych, na niechęć do pani swojej” – przestrzegała Ilnicka czytelniczki „Bluszczu”, popularnej gazety dla kobiet. Tak jak w przypadku kobiet z klas posiadających i tu pośrednictwo osób trzecich miało być gwarantem dochowania norm przyzwoitości podczas rozwoju nowej relacji. Elżbieta Bederska, autorka poradnika dla służących z 1909 roku, napominała czytelniczki, że z potencjalnym mężem spotykać się mają nie na osobności, w bramie czy na schodach, ale w kuchni w domu pracodawców: „Jeżeli zachowanie wasze będzie skromne, a zamiar pobrania się stanowczy, pani na pewno słusznej twej prośbie nie odmówi” – uspokajała. Przedstawienie kandydata na męża pracodawcom miało też zapobiegać oszustwom, skandalom i wykorzystaniu finansowemu, którego

obsesyjnie bały się panie. A czasem, jak widać na przykładzie ofiar Hugona Schenka, mogło chodzić także o coś gorszego – morderstwo.

Zapoznanie potencjalnego małżonka poprzez ogłoszenia matrymonialne stało więc w sprzeczności z dotychczasową tradycją szukania partnera czy partnerki w każdej klasie społecznej. Protestował Kościół katolicki, dopatrując się w takich bezpośrednich anonsach rozwiązłości. Protestowali konserwatyści, niechętni oddawaniu decyzji o zamążpójściu w ręce samych zainteresowanych, szczególnie młodych kobiet. Przeciwno ogłoszeniom wypowiadał się Bolesław Prus – w felietonie dla, warto zauważyć, tej samej gazety, która jako jedna z pierwszych zaczęła publikować ogłoszenia, czyli „Kuriera Codziennego” (szczęśliwie w numerze, w którym ukazała się kronika – 20 grudnia 1889 roku – nie ma akurat żadnego tego typu anonsu). Nie miał właściwie nic przeciwko ogłoszeniom jako takim; to, że „co dzień czytamy o blondynkach i brunetkach, posażnych i nieposażnych, manifestujących *petitem* skłonność do małżeństwa”<sup>6</sup>, wydawało mu się jedynie znakiem czasów, a z postępem należy się pogodzić. „Nie razi mnie nowość tej formy w naszych dziennikach, bo telefon był większą nowością, a jednak został przyjęty” – zapewniał czytelników. Prus sceptycznie podchodził jednak do skuteczności takich ogłoszeń i martwił się o bezpieczeństwo poszukujących miłości:

Ale czy ty wiesz, kawalerze i panno: kogo możecie spotkać poza ogłoszeniem? Ty, paniczku – możesz znaleźć kokotę, która wyszafowawszy na prawo i lewo swoje uczucia, czy też „naturalne skłonności”, szuka teraz głupca, któreby uczciwym nazwiskiem pokrył cudze triumfy. Tobie zaś panienko grożą nierównie smutniejsze rzeczy...

Bo w najlepszym razie znajdziesz człowieka, który szukał cię nie w imię twej własnej wartości, lecz w imię higieny, i będzie cię traktował tak jak surową szynkę. W razie nieco gorszym, możesz trafić na zwykłego szantażystę, który, wydobywszy list od ciebie, zechce go sprzedać za grubą sumę. W najgorszym zaś wypadku, zamiast Romea, o jakim marzyłaś, możesz spotkać hultaja, który za pomocą różnych sztuk doprowadzi cię do publicznego domu, albo – łotra, który ograbi cię, jeżeli nie zabije, jak to robił w Wiedniu Schenk ze swymi „narzeczonymi” z ogłoszeń...

Prusa niepokoiło więc widmo oszustwa, szantażu albo nawet morderstwa – wszystkie niebezpieczeństwa, jakie miały czyhać na młodych



ludzi, szczególnie kobiety, które postanowiły wziąć sprawy małżeńskie w swoje ręce. Mimo deklarowanej postępowości pisarz protestował w istocie przeciwko rozmontowywaniu tradycyjnego systemu szukania męża. Nie można oprzeć się wrażeniu, że niepokój ten wynikał głównie z faktu, że Prus (a za nim jego czytelnicy) postrzegał osoby korzystające z ogłoszeń matrymonialnych jako desperatów, którzy z braku systemu rodzinno-towarzyskiego zdani byli na własne siły. Ten brak rodziny wydawał się szczególnie groźny. Samotna kobieta nie mogła polegać na starszych, którzy przedstawiliby jej sprawdzonego kandydata, a także czuwali nad całym przebiegiem zaręczyn, łącznie z negocjacją posagu i warunków małżeństwa – czym, tradycyjnie, panny się same nie zajmowały. Desperacja połączona z samotnością miała też przyciągać oszustów, którzy, tak jak Hugo Schenk, wybierali spośród ogłoszeń kobiety gorąco pragnące miłości i relacji, gotowe na wszelkie poświęcenia dla pozornie idealnego narzeczonego. Łącznie z seksem przedmałżeńskim, kradzieżą i ucieczką z domu.

Przede wszystkim jednak Prusa bolało co innego. Felieton kończył kilkoma pytaniami:

Czego ty się, kawalerze albo młoda panno, spodziewasz od ogłoszeń? Czy zaczarowanej księżniczki albo bajecznego królewicza? [...] I to wszystko ma ci dać ogłoszenie, kilka wierszy drobnego druku? Wszakże pierwszym warunkiem miłości jest zobaczyć i usłyszeć owego kogoś, nie zaś czytać jego reklamy.

Ogłoszenia matrymonialne miały odzierać proces szukania małżonka z romantyzmu. A raczej z cienkiej warstwy pozorów romantyzmu z uporem podtrzymywanych przez miejską burżuazję.

## *Brudne cele i nie bardzo etyczne zamierzenia*

Wiem, ta droga – zdyskredytowana, i wyrobiło się o niej pojęcie, że uwłacza godności przyzwoitej kobiety, że to właściwie handel sobą na zimno. [...] Ale trudno, czasami nie ma na to innej rady. Trzeba brać, zwłaszcza na początku, trochę rzecz na wesoło<sup>7</sup>.

Tak doradzał w 1938 roku Bronisław Gumplowicz. Tekst w obronie ogłoszeń matrymonialnych znalazł się w jego publikacji *Czy pani chce wyjść za mąż? Sto poufnych porad dla pańien na wydaniu* napisanej w formie pytań i odpowiedzi. Autor wypowiadał się z przekonaniem na cały szereg tematów. Czytelniczki mogły się dowiedzieć, czy wypada popisywać się przed narzeczonym wiedzą i wykształceniem (absolutnie nie), chodzić z nim nad jezioro uczyć się pływać (to zależy) i jakie nosy preferują mężczyźni (nie czerwone, lekko przypudrowane). Poradnik zaczynał się od pytań fundamentalnych. Pierwsze z listy obiecanych w tytule stu brzmiało: „Czy każda kobieta powinna wyjść za mąż?” (tak, oczywiście!), drugie zaś: „Czy ogłaszanie się w piśmie matrymonialnym może dać rezultaty?” (tak, zdecydowanie!).

Nie tylko Gumplowicz pozytywnie wypowiadał się na temat anonsów matrymonialnych. Po przełomie XIX i XX wieku okres międzywojenny to drugi skok intensywnego rozwoju czasopism zamieszczających ogłoszenia chętnych do małżeństwa mężczyzn i kobiet. Powstawały pisma o zasięgu ogólnokrajowym (jak istniejąca od 1925 roku „Fortuna Versal” albo „Fortunat”), a także małe, lokalne czasopisma (w rodzaju bydgoskiej „Tajemnicy Powodzenia” czy „Głosu Serca” ze Stanisławowa albo „Przyszłości Zapewnionej” z Nowogrodka). Wychodzące od 1926 roku „Wiadomości Matrymonialne” kupić można było, jak zapewniała reklama, nawet w kioskach „W Ameryce Detroit Mich Michigan 5529” albo „We Francji Ms Jacynew Petrellewicz 40, medela Charboniere Paris 18e”<sup>8</sup>. Czasopisma powstawały wszędzie, a czytelnicy rzucali się na każdy nowy tytuł, szukając miłości choćby w tak skandalicznym medium. Wydawcy czasopism, zarówno tych wychodzących przed I wojną światową, jak i po niej, zdawali sobie sprawę z kontrowersji, jakie wywoływał propagowany przez nie sposób zawierania znajomości. Wiele pierwszych numerów zawierało wstępniaki nadal odnoszące się do zarzutów przedstawionych w felietonie Bolesława Prusa jeszcze z 1889 roku.

„Żyjemy pod jarzmem niemądrych a zastarzałych przesądów”<sup>9</sup> – pisał stanowczo w 1913 „Tygodnik Małżeński”. Nowe czasy wymagają nowoczesnego podejścia do związków. Nowoczesność, jak zapewniano, nie miała oczywiście oznaczać braku moralności. „Flirt Salonowy” piórem

redaktora Edwarda Rychłowskiego zapewniał, że w szukaniu związków przez ogłoszenia matrymonialne nie ma nic zdrożnego: „Nie odpowiadam za wszystkich, którzy je [ogłoszenia] podają, zaznaczę tylko, że uczciwy i poważnie myślący człowiek zachowa wszędzie swą godność, a blagier i skoczek życiowy znajdzie teren, pole do swych, często udanych nawet, popisów”<sup>10</sup>. Stanisław Kamiński w „Tygodniku Małżeńskim” pisał kilka lat później już nieco ostrzej, tłumacząc przy okazji zmianę tytułu czasopisma: „Taką właśnie rozumną i moralną drogą [znalezienia miłości] są poważne ogłoszenia małżeńskie. W tym duchu zamierzamy prowadzić nasz tygodnik i dlatego nawet zmieniliśmy jego tytuł: zamiast »Flirtu Salonowego« wydawać będziemy »Ogłoszenia Małżeńskie«. Nie mamy zamiaru czynić przysługi niedoważonym półgłówkom płci obojej, chcącym za naszymi plecami uprawiać flirt miłości, ani ułatwiać sposobów potajemnego uczynienia radości swym brudnym celom, unikającym światła dziennego. Bynajmniej!”<sup>11</sup>.

„Brudne cele” to właśnie to, czego bali się krytycy ogłoszeń. Dlatego szybko ustalono: oferty małżeńskie tak, oferty choćby sugerujące relacje cielesne, lecz niematrymonialne – absolutnie nie. Wiele gazet, zarówno tych z przełomu wieków, jak i tych z międzywojnia, aktywnie zwalczało wszelkie przejawy „niemoralności” w ogłoszeniach. „Tygodnik Małżeński” zapowiadał cenzurę. Anonse niemoralne zamierzał „odrzuć ze wzgardą”, „ogłoszenia dowcipnisiów zaś, chcących się zabawić” – zamieszczać w dziale humorystycznym. „Fortuna Versal” w każdym numerze publikowała formułkę, mającą zniechęcić rozbuchanych erotycznie korespondentów:

ZWRACAMY UWAGĘ P. T. ogłaszającym się w naszym piśmie, że nie umieścimy żadnych ogłoszeń nieodpowiedniej treści, zastrzegając sobie zmianę przez cenzurę, za którą Redakcja nie odpowiada. Jak również pieniędzy nie zwraca<sup>12</sup>.

Jeszcze ostrzej upominało warszawskie „Marzenie” w 1931 roku, być może dlatego, że czuło się zobowiązane swoim podtytułem: „wytworne, ilustrowane czasopismo społeczne, literackie i matrymonialne: dwutygodnik salonowy”. W pierwszym numerze opublikowano artykuł,

w którym tłumaczono proces przyjmowania ogłoszeń i przedsięwzięte środki zapobiegawcze:

„Marzenie: Rêverie” postawiło sobie za cel utrzymanie wysokiego poziomu intelektualnego. [...] Nie chcielibyśmy, aby ktoś mógł bodaj pomyśleć, że pod naszym płaszczykiem będzie mógł załatwiać jakieś swoje nie bardzo etyczne zamierzenia. Pismo nasze nie jest i nigdy nie będzie jakąś szmatą stręczycielską, a redakcja nasza biurem stręczenia. Dlatego zwracamy się do wszystkich z gorącą prośbą o zachowanie odpowiedniego poziomu w redagowaniu ogłoszeń<sup>13</sup>.

Redakcja odbierała anonse i korespondencję między zainteresowanymi w dwóch kopertach. Wewnętrzna miała być otwarta, zewnętrzna zaklejona. W redakcji ktoś otwierał kopertę zewnętrzną, wyciągał list z otwartej wewnętrznej, czytał go (by sprawdzić, czy nie ma niemoralnych treści), kopertę zewnętrzną wyrzucał i list wysyłał do adresata w zaklejonej w redakcji kopercie wewnętrznej. „Jest to może pewną niedogodnością dla P. T. zainteresowanych – przyznawało „Marzenie” – ale trzeba się z tym pogodzić, bo to jest złem koniecznym. Musimy dbać o poziom pisma. [...] Ogłoszeń treści niemoralnej, wzbudzającej niemoralne domysły, jakoteż ofert z podobnymi propozycjami stanowczo zamieszczać ani doręczać nie będziemy”.

Jakich treści bali się „zgorzkniali krótkowidze” i „pseudo-moralisci”<sup>14</sup> (nazywani tak przez redaktora „Tygodnika Małżeńskiego”)? Wydaje się, że chodziło o teksty, jakie publikowała na przykład „Fortuna”. Czasopismo wychodziło w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Lwowie i Łodzi, a także miało swoje filie w Kanadzie i USA. U nich działy z ogłoszeniami były dwa: jeden matrymonialny, drugi towarzyski. W dziale towarzyskim przeczytać można było:

Zakocham się w duchowej akrobatce, fizycznie olbrzymce. Biuro ogłoszeń Kraków, Sienna 12, pod „Circe”.

Poszukuję miłej, niezawodowej nauczycielki języka francuskiego. Pod „As” do Adm. „Fortuny”, Kraków, Rynek II.

Rozkwitła kobiecość do interesującego eksperymentu psychologicznego upragniona. „Eksperyment”, Biuro Ogłoszeń Kraków, Sienna 12<sup>15</sup>.

Młodziutka (20), zgrabniutka i milutka niewiasta, poszukuje młodego i zamożnego bohatera, któryby potrafił ją zainteresować swoją osobą tak, by zapomniała o nudach i wielu innych nieprzyjemnościach. Oferty Adm. „Fortuny”, Warszawa 8–2, pod „Znudzona niewiasta”<sup>16</sup>.

Co ciekawe, redaktorzy „Fortuny” doszli w 1923 roku do wniosku, że bardzo mało kobiet ogłasza się na ich łamach, a „poza tym jeden za drugim, jak kadry żołnierskie, ustawione ogłoszenia mężczyzn, którzy śmiało i otwarcie, gromkim głosem proponują, a nawet żądają takich a takich warunków”<sup>17</sup>. Redakcja uznała, że problem wynika z profilu pisma: „Fortuna” jest czasopismem matrymonialnym (i tak ma napisane na okładce), a kobiety wstydzą się w kiosku przyznać przed sprzedawcą i innymi klientami, że kupują czasopismo, by znaleźć sobie męża. Wydawca postanowił więc wydawać dodatek „Versal – świat towarzyski”. „Niewiasta, nie chcąc płonąć ze wstydu przy kupnie »Fortuny«, poprosi o »Versal« – zakładano. – Będą w nim ogłoszenia treści wzorowej w celu zawarcia znajomości towarzyskiej. Że z dalszej korespondencji wyłonić się może kwestia małżeństwa, to już niewiastę żenować nie będzie, bo o tem wiedzieć będzie tylko ten, któremu tę sprawę powierzyła, a nikt ze szpalt nie przeczyta o wezwaniu jej głosu krwi i serca”.

Plan być może i dobry, ale wykonanie okazało się trudne. Ogłoszenia w dziale towarzyskim „Fortuny” i w samym dodatku „Versal” nie wspominały bezpośrednio o małżeństwie (co miało być żenujące dla kobiet), ale za to korespondenci poczuli się uwolnieni z surowych przykazań moralnych narzucanych przez redaktorów i dawali ogłoszenia w rodzaju tych o duchowej akrobatce, fizycznie olbrzymce. To z kolei nie podobało się redakcji (i zapewne tropiącym deprawację komentatorom). Około 1925 roku „Fortuna” połączyła się więc na stałe z „Versalem” i powstała „Fortuna Versal”, z drukowanym tłustym drukiem ostrzeżeniem o publikacji „ogłoszeń nieodpowiedniej treści”.

Przekonanie, że kobiety (ale i mężczyźni) wstydzą się publikować ogłoszenia w czasopismach matrymonialnych, bo oznacza to przyznanie się do porażki na rynku małżeńskim, znalazło swoje odzwierciedlenie w polityce wielu takich gazet. Do kwestii dyskrecji i bezpieczeństwa – drugiego najczęściej podnoszonego w kontekście ogłoszeń

matrymonialnych problemu, którego symbolem miała być mordercza kariera Hugona Schenka – odnosił się też Gumplowicz w swoim poradniku. Choć entuzjastycznie podchodził do ogłoszeń matrymonialnych, dawał też rady kobietom:

Trzeba, żeby pani była bardzo ostrożną. Wielu mężczyzn lubi bawić się w ten sposób. Albo prowadzą korespondencję, żeby się potem w gronie przyjaciół z niej wyśmiewać i wszystkim pokazywać przysłane fotografie – wówczas ktoś z pani znajomych może ją poznać, co byłoby całkiem zbyteczne – albo pisują dlatego, żeby wyszukać sobie naiwną i ładną dziewczynę i pobawić się z nią bez ślubu, wyzyskując jej dobre chęci. Więc zalecamy największą ostrożność<sup>18</sup>.

Wobec takich zagrożeń proponował konsultować ogłoszenia z zaufaną osobą i nie wysyłać fotografii, dopóki nie pozna się lepiej potencjalnego kandydata na męża.

Większość czasopism pobierała opłatę od słowa, zwykle wysokości 15 groszy. „Marzenie” chciało 5 złotych za ogłoszenie do dwudziestu pięciu wyrazów i 15 groszy za każde kolejne słowo, „Głos Serca” 10 złotych za ogłoszenie do pięćdziesięciu słów. „Przyszłość Zapewniona” pobierała 7,5 złotego za ogłoszenie do pięćdziesięciu słów. Wydawane jeszcze pod zaborem rosyjskim „Tygodnik Małżeński” i „Flirt Salonowy” po 40 kopiejek za ogłoszenie i dodatkowo po 20 kopiejek za każdy wiersz. Ceny również stanowiły zaporę dla ewentualnych niepoważnych ogłoszeniodawców lub „niedoważonych półgłówków chcących uprawiać flirt miłości”. W okresie międzywojennym przeciętna pensja robotnika wynosiła 102 złote miesięcznie, robotnicy zaś – tylko 53 złote. Mężczyźni pracujący umysłowo (czyli na ogół na posadach biurowych) zarabiali średnio 280 złotych, kobiety – 170. Koszt jednego ogłoszenia w „Głosie Serca” stanowił więc około 10 procent miesięcznej pensji robotnika oraz 5 procent pensji stenotypistki albo sekretarki. W latach trzydziestych za 5 złotych można było kupić 3 kilogramy mięsa wołowego, 5 kilogramów cukru albo 200 kilogramów węgla opałowego<sup>19</sup>. Można było też zjeść obiad w luksusowej restauracji Victoria przy ulicy Jasnej w Warszawie (zupa rakowa 80 groszy, bryzol z polędwicy 3 złote, kieliszek brandy 1 złoty)<sup>20</sup>. Dawanie ogłoszenia, nawet krótkiego, do piętnastu słów, było

więc kosztem, na który decydowali się ci, którym naprawdę zależało na znalezieniu partnera lub partnerki.

## *Budowa Venus i brak znajomości*

„Czy w dzisiejszych czasach szalonego tempa życia, w czasach radja, samolotów, telewizji i rekordów, w czasach coraz intensywniejszej amerykanizacji życia zostaje człowiekowi czas na spokojne życie towarzyskie?”<sup>21</sup> – zapytywała „Swatka” w 1931. Redaktorzy tłumaczyli, że życie współczesne, ze względu na zmianę warunków społecznych, nie daje już możliwości tradycyjnego zawierania związków. Gazety matrymonialne były więc według nich jedyną szansą dla ludzi na ułożenie sobie życia rodzinnego. Upadek tradycyjnych wartości wieszczono już zresztą w czasopismach matrymonialnych w końcu wieku XIX. Wraz z urbanizacją, wchodzeniem kobiet na rynek pracy i dostępem do coraz większej liczby zawodów, masową migracją do miast i idącym za tym rozpadem bliskich więzi rodzinno-towarzyskich pojawiła się świadomość, że również w relacjach towarzyskich musi zapanować choć szczątkowa emancypacja. Konstatacja ta przybrała na sile po I wojnie światowej, wobec radykalnych zmian kulturowych, jakie ta ze sobą przyniosła.

Bronisław Gumpłowicz, autor poradnika w stu pytaniach, z tej właśnie perspektywy bronił ogłoszeń matrymonialnych. Czasy się zmieniły, nie warto więc w imię źle pojmowanego konserwatyzmu pozbawiać się możliwości znalezienia partnera lub partnerki – pisał. Co ma zrobić kobieta, której nie podobają się okoliczni kawalerowie, która mieszka na prowincji i czuje się samotna? „Czepiać się ludzi niesympatycznych [...] albo godzić się na pierwszego lepszego, który pod żadnym względem jej nie pasuje, byle nie zostać starą panną?”<sup>22</sup>. Powinna wysłać ogłoszenie matrymonialne, a następnie wdać się w korespondencję listowną z chętnym mężczyzną. „Może nie być nadzwyczajny – ostrzegał Gumpłowicz zachowawczo – bo, gdyby nim był, toby go z pewnością już któraś porwała, ale znośny, miłszy od tych, których pani zna”. I wtedy zostanie uratowana

od widma staropanieństwa. O poszerzaniu puli kandydatów dla prowincjonalnych panien pisali też redaktorzy „Flirtu Salonowego” i „Tygodnika Małżeńskiego”. „Ten i ów ojciec, mający córkę na wydaniu, niemoże prowadzić domu otwartego, wodzić ją na bale, na zabawy i na rozmaite zebrania publiczne i prywatne. [...] A cóż dopiero mówić o samotnikach? Czyż biedna pracownica, bezżenny robotnik, rzemieślnik, urzędnik, zawodowiec, a nawet osoba zamożna”<sup>23</sup> nie powinni szukać szczęścia poza najbliższym otoczeniem? – pytał Kamiński w „Tygodniku Małżeńskim”. „Sierota bez rodziny, córka niezamożnych rodziców, bogata wdowa lub panna – nie może przecież rzucić się na szyję pierwszemu lepszemu mężczyźnie na ulicy i krzyknąć mu do ucha »Ożeń się ze mną« – wtórował mu we „Flircie Salonowym” Rychłowski. – I dla braku stosunków starzeją się panny lub kawalerowie, marnieje ich życie bezcelowo, na próżno”<sup>24</sup>.

Troska o panny i kawalerów z prowincji miała być przyczyną powstawania efemerycznych czasopism lokalnych, takich jak „Głos Serca” ze Stanisławowa czy „Przyszłość Zapewniona” z Nowogrodka. Obie redakcje podkreślały, że doskonale rozumieją, jak trudno jest znaleźć partnera ludziom „pozostawionym w środowiskach wyzbytych z wszelkiego życia towarzyskiego”<sup>25</sup>. „Głos Serca” uspokajał, że „stosunki mamy wyrobione wśród wszystkich sfer i ziemiaństwa, kupiectwa, wśród sfer wojskowych, robotniczych i włościaństwa”<sup>26</sup> i dlatego na pewno każdemu chętnemu znajdą parę. Pisma te przetrwały tylko kilka miesięcy, a ich prenumeratorom pozostało przerzucić się na ogłoszenia chociażby w „Fortunie Versal”.

Ogłaszający czuli presję, by zaprezentować się z jak najlepszej strony, a jednocześnie wytłumaczyć, dlaczego mimo oszałamiających zalet szukają znajomości w prasie. Określenia pojawiające się w bardzo wielu ogłoszeniach to „brak stosunków” i „brak znajomości”. Tak swoje ogłoszenia rozpoczynali zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Trzydziestoczterolatek na stanowisku urzędniczym pragnął „na tej drodze z powodu braku znajomości zapoznać się z panną dobrego wychowania dobrze sytuowaną celem ożenki”<sup>27</sup>. Przystojny blondyn, lat dwadzieścia



siedem, pisał, że „z braku znajomości poszukuje tą drogą pannę lub wdowę do lat dwudziestu pięciu”<sup>28</sup>. Kawaler, handlowiec w pierwszorzędnej firmie, lat trzydzieści osiem, pobierający tysiąc rubli rocznie, szukał „z powodu braku czasu i znajomości tą drogą dożgonnej towarzyszkę”<sup>29</sup>. Niektórzy swój brak znajomości poczytywali sobie za zaletę. Mężczyzna, lat trzydzieści pięć, „zdrów, pracowity, uczciwy, moralnego prowadzenia się, z braku znajomości wskutek ciągłej pracy”<sup>30</sup> szukał żony o nieskalanej przeszłości. Podobnie pisał urzędnik państwowy na posadzie dającej półtora tysiąca rubli rocznie: „nie mając stosunków, a nie mogąc tracić drogiego dla mnie czasu na zawiązywanie takowych, drogą anonsu pragnę poznać się z młodą, inteligentną i ładną osobką”<sup>31</sup>. W przypadku tych mężczyzn brak przyjaciół i zaproszeń na spotkania towarzyskie miał wynikać z tego, że nie lubią tracić czasu na głupoty. Ogłoszenia matrymonialne miały być więc efektywnym, szybkim sposobem na znalezienie partnerki. Jeden mężczyzna pisał wprost: „nie mając czasu i sposobności na zawieranie nieskutecznych towarzyskich znajomości, udaję się do pośrednictwa »Flirtu Salonowego« w celu poznania młodej, inteligentnej i sympatycznej panią”<sup>32</sup>. Inny z kolei: „bez zbytecznych ceremonii ożeni się kawaler, blondyn, wysoki”<sup>33</sup>.

Bardzo rzadko przyznawano wprost, że ogłoszenie w gazecie jest ostatnią deską ratunku przed ugrzęźnięciem na prowincji w sytuacji, przed którą przestrzegali redaktorzy pism matrymonialnych. Pewna zrozpaczona dziewczyna pisała w 1913 roku:

Panowie kandydaci. Jestem młodą panną, prowincjonalistką, mam lat 19, a niemając absolutnie żadnych stosunków w sferze ziemiańskiej, przeto zwracam się do was za pomocą pisma o składanie swych ofert, marzeniem mojem Warszawa, nienawidzę prowincji, wykształcenie mam 4 klasowe, jestem muzykalną. Posagu mam 14 000 rubli. Piszcie do mnie<sup>34</sup>.

Wydaje się, że to właśnie do takich czytelniczek jak ona zwracał się w Gumpłowicz, pisząc w swoim poradniku, że „wymiana celowej, anonimowej korespondencji bądź co bądź urozmaica szarzyznę panińskiego dnia”<sup>35</sup>. Panna prowincjonalistka chciała wyjechać koniecznie do miasta i próbowała użyć do tego ogłoszeń matrymonialnych.

Jednak mężczyźni z prowincji lub jeszcze bardziej odległych okolic również szukali żon, tyle tylko, że chcieli sprowadzić je do siebie. W 1910 roku ogłaszał się na przykład „Inżynier”:

Brak znajomości z polkami [sic!] zmusza mnie do poszukiwań za pomocą anonsu w tygodniku „Flirt Salonowy” żony, młodej panny do lat 25, może być bez posagu; ja jestem blondynek, jak mnie się zdaje, przystojny, stanowisko zajmuję zarządzającego fab. w *głębokiej Rosji*, pensja 6 tysięcy rubli. Za osiem lat powrócę do Królestwa Polskiego. Panie odważne niech łaskawie prześlą swe oferty z fotografiami<sup>36</sup>.

Można się domyślać, że Inżynier nie tylko miał problem ze znalezieniem żony na miejscu, ale także z przekonaniem poznanej kobiety, by zamieszkała z nim gdzieś na dalekich stepach rosyjskich. Z kolei w innej gazecie ogłaszał się dentysta szukający żony „lat średnich”. Sam prowadził praktykę na prowincji i tam planował pozostać: „warszawianki kocham, lecz wolałbym z prowincji”<sup>37</sup> – uprzedzał potencjalne kandydatki.

Upatrywanie w mieście ratunku przed samotnością było oczywiście wynikiem stereotypu, że w dużym skupisku ludzi łatwiej o nawiązanie znajomości. Rzeczywiście, jeśli chodzi o potencjalne okazje (wspomniane już wcześniej tańce, kawiarnie, przechadzki po publicznych parkach i ogrodach), miasto oferowało więcej możliwości zapoznania kogoś niż głęboka prowincja. Nie znaczy to jednak, że w mieście również nie mieszkali ludzie samotni. Na izolację i złe samopoczucie skarżyły się szczególnie kobiety aktywne zawodowo – zapracowane nauczycielki, korepetytorki, krawcowe, modystki, służące. W ich przypadku brak znajomości wynikał zarówno z braku czasu, jak i ze zwiększonej kontroli moralności – opinia społeczna szczególnie skrupulatnie przyglądała się samotnym kobietom w mieście. W otwierającej scenie komedii *Szwaczka warszawska* główna bohaterka Marta siedzi przy maszynie, patrzy przez okno i lamentuje:

Mój Boże! dzień taki piękny, tyle ludzi snuje się po ulicach, tylu pięknych chłopców depta chodnik, śledząc, gdzie zgrabny kapeluszyk, zgrabniejsza figurka albo zgrabniejsza jeszcze twarzyczka, a ty, Marto, podjęłaś się nigdy z prostej drogi nie zbacać, przeto grzybem siedz w koszu, duś się w murach, obszywaj, ubieraj, strój innych, abyś miała żyć z czego. Oj! ciężko to, ciężko na tym świecie biednemu!... i gdyby jeszcze nie roześmiać się czasem, nie podskoczyć, nie zaśpiewać, prawda, to

nie grzech, i nie umizgnąć się do jakiego ładnego chłopca, toby przyszło chyba spleśnieć, zapomnieć w gębie języka, zanudzić się na śmierć. A ludziom i to solą w oku<sup>38</sup>.

Ponieważ *Szwaczka warszawska* to „krotochwila ze śpiewami”, Marta po tym monologu wykonywała jeszcze krótką piosenkę o samotności:

Hardo w górę wznoszą czoła  
Nasze piękne panie,  
Że cnotliwe – bo dokoła  
Sto ócz patrzy na nie.  
Strzedz sieroty niema komu.  
Bo biedna, bo biedna,  
Bo na świecie, jak i w domu,  
Jedna, tylko jedna.

Marta oczywiście pod koniec sztuki znajduje dobrego męża, jednak to prawda, że wiele pracujących kobiet, zarówno nauczycielek, jak i robotnic, miało problemy z zapoznaniem mężczyzny z powodu braku czasu i siły. W 1874 roku Stanisław Rzętkowski publikował w „Tygodniku Ilustrowanym” tekst o młodej szwaczce, która, jak Marta, z utęsknieniem spoglądała za okno: „Oto spracowane dziewczę, które przez całą noc nie zmrużyło oka, aby zarobić na dzisiejszy kawałek suchego chleba, z tęsknotą i zazdrością spogląda przez okno pokoiku swego na świat boży, drżący gwarnym ruchem i... szczęściem, chociażby pozornym”<sup>39</sup>. Sama jednak nie może wyjść na ulicę, ponieważ musi dalej pracować.

Nie wszystkie proletariuszki przedstawiały tak smutny obraz. Wiele pracownic krawieckich, modystek i kwiaciarek, które pracowały w magazynach i sklepach, cieszyło się na co dzień towarzystwem koleżanek i prowadziło, w miarę możliwości, zadowolające życie towarzyskie. Nawet jednak to życie towarzyskie wiązało się z niebezpieczeństwami prawdziwymi czy też wyimaginowanymi przez podejrzliwą klasę wyższą. Or-Ot (Artur Oppman) pisał o „pannach z magazynu”, które po południu, po zakończeniu pracy, wychodziły w grupie na ulicę:

Wybiegły. Przede wszystkim spojrzały naprzeciwko, na drugą stronę ulicy. Tam, niby to spacerując, niby stojąc przygodnie, niby patrząc obojętnie na przechodzących, czuwa – raczej czyha na posterunku tłumek już znajomych lub pragnących się dopiero zapoznać panów. Są między nimi młodzi i – oczywiście – tych jest więcej, ale są i podstarzali, pofarbowani i wykrygowani amatorowie erotycznych przygód. Jaki gwar, jaki śmiech, jaki szczebiot! Jakie komplementy szczerze czy kłamane, zwietrzałe i pachnące młodością jak kwiaty wiosenne! Rumieńce, błyski oczu, uściski pokłutych rączek, westchnienia.

I rozpierzchły się jak stado pliszek. Niektóre w towarzystwie, niektóre same, ale i za tymi w oddali podąża zawsze ktoś, kto prędzej czy później zbliży się... i sieć zarzuci.

Jedne ocali prawdziwa miłość, inne – chłodniejsze a sprytne – utorują sobie drogę w życiu, a jeszcze inne... Nie mówmy o tym. [...]

Gdy nikt ci nie jest pocziwą wróżką,  
Samotne dziecko gminu,  
Niechże cię strzeże twoje serduszko,  
Panienko z magazynu!<sup>40</sup>

Według opinii publicznej dziewczyny z klasy robotniczej, które swobodnie poszukiwały znajomości (i związków), musiały prędzej czy później ponieść za to straszną karę. Dlatego te, które podlegały bezpośredniej kontroli pracodawczyń, jak służące i inne pomocnice domowe, były rzadko wypuszczane z domu. Samotność towarzyszyła im przez większość czasu. Marcysia, bohaterka podobno autentycznego dziennika służącej domowej publikowanego w odcinkach w 1905 roku w „Ogniwie”, z wdzięcznością wspominała o swojej pani, która pozwalała jej narzeczonemu Staškowi odwiedzać ją w kuchni: „drzwi do kuchni cały czas muszą być otwarte. Mamy *Zorzę*, trochę czytamy też Sienkiewicza; trochę rozmawiamy, gramy w czerwone i czarne i nie tak nudno... Sama bym w tej kuchni nie wytrzymała”. Wiele innych pracowników nie miało jednak tak wyrozumiałych (czy też może racjonalnie myślących) pań.

Samotność, brak przyjaciół czy mieszkanie w odizolowanym miejscu, czyli czynniki, o których najczęściej pisali obrońcy ogłoszeń matrymonialnych, nie stanowiły jedyne go powodu, dla którego ludzie zamieszczali anonse. Poza grupą samotnych i grupą bezpośrednio szukających posażnej panny bądź zamożnego kawalera wiele ogłoszeń pochodziło od ludzi, którzy najwyraźniej w codziennym życiu mieli

problemy ze znalezieniem kandydatów z powodu niezwykle wyśrubowanych wymagań.

Ogłaszano najróżniejsze warunki. Jeden mężczyzna, mieszkający w Chicago, pragnął zapoznać kobietę „z mniejszym lub większym posagiem, który nie jest wymagany od osoby dobrze zaawansowanej w grze fortepianowej, jedno albo drugie przy dobroci serca większą odegra rolę”<sup>41</sup>. Inny z kolei, „manipulant tartaczny”, szukał żony, zaznaczając: „pierwszeństwo mają blondynki, które wystarają się o posadę leśniczego”<sup>42</sup> (w domyśle – dla przyszłego męża). Nauczyciel rysunków w gimnazjum chciałby poznać z kolei „pannę majątną lub fachową w celu matrymonialnym, najchętniej [taką], która posiada dobrze zaprowadzony interes dentystyczny, fotograficzny albo też krawiecki”<sup>43</sup>. Kapitan emerytowany zaznaczał, że szuka żony „niemałego wzrostu, zgrabnej, wysmukłej, budowa Venus”<sup>44</sup> i że przyjmuje tylko zgłoszenia z fotografią całej sylwetki, koniecznie bez kapelusza na głowie (zapewne po to, by mało atrakcyjna kandydatka nie zdołała zatuszować tego faktu szerokim rondem i woalką). Trzy panny ziemianki poszukiwały razem trzech mężów, koniecznie „trzech oficerów, lotnicy i ułani pierwszeństwo”<sup>45</sup>.

Część autorów anonsów najwyraźniej starała się brać potencjalnych partnerów na litość. „Realista” szukał panny samodzielnej, której los dokuczył i która zajmie się gospodarstwem u samotnego mężczyzny. „Pożądane: sierota, biedna, wzrost średni, zgrabna, brzydka, miła, zrównowazona, uczciwa, niedzisiejszych zasad”<sup>46</sup> – precyzował. Gdzie indziej „kawaler, lat 32, o protezie nogi, poszukuje towarzyszki o podobnych [warunkach]”<sup>47</sup>, najwyraźniej uznając, że kobiety z kompletem kończyn nie będą go chciały. Jedna panna ogłaszała się tak:

Panna, biedna, brzydka, zmęczona walką życia, niesympatyczna, wymagająca, pragnie w celu matrymonialnym zawiązać znajomość z człowiekiem dobrym, inteligentnym, miłym, na stanowisku<sup>48</sup>.

Nie był to jedyny taki anons. Mężczyzna pod pseudonimem „Nie taki diabeł straszny, jak go malują” ogłaszał: „Brzydki, źle wychowany, z wyższem wykształceniem pan poszukuje przystojnej, inteligentnej,

bogatej panny lub wdowy”<sup>49</sup>. Być może chcieli w ten sposób wyróżnić się na tle innych ogłoszeń, gdzie zwykle zapewniano o zaletach charakteru i pociągającej powierzchowności kandydata do wstąpienia w związek małżeński. Możliwe też, że chodziło im o uniknięcie rozczarowania potencjalnego odbiorcy ogłoszenia.

Niektórzy ludzie szukali związku w prasie z powodu swojej nietypowej sytuacji. W 1885 roku w „Kurierze Codziennym” pojawiło się następujące ogłoszenie:

Mężczyzna, lat 41, kawaler, murzyn, zajmujący posesję odźwiernego biletera, dającą mu przyzwoite utrzymanie, nie mając sposobności zawiązania stosunków w innej drodze, za pośrednictwem niniejszego ogłoszenia poszukuje żony, panny lub wdowy, w wieku lat 30–40, osoby zdrowej, gospodarnej i przyzwoitego prowadzenia się. Bliższa wiadomość w Zarządzie Ogrodu Zoologicznego, ulica Bagatela nr 3<sup>50</sup>.

Ogłoszenie matrymonialne zamieszczone przez czarnego mężczyznę wywołało niemałe poruszenie i rasistowskie komentarze. Warszawskie satyryczne czasopismo „Fortuna” poświęciło mu aż dwie wiadomości. W pierwszym doniesieniu pisano: „Murzyn z ogrodu zoologicznego za pośrednictwem pewnego Kuryera poszukuje małżonki. Nie wątpimy, że znajdzie on odpowiednią partię, chociażby z tego względu, iż nasze panie niejednokrotnie ujawniły już swoje sympatie dla... białych murzynów. Barwa skóry chyba nie odgrywa tu żadnej roli”<sup>51</sup>. Bileter z zoo nie znalazł najwyraźniej partnerki od razu i ponowił ogłoszenie, ponieważ kilka numerów później redakcja „Fortuny” donosiła po raz kolejny, pod tytułem *Z kwestii murzyńsko-zoologicznych*: „Słyszeliśmy, iż murzyn z ogrodu zoologicznego dotychczas jeszcze nie znalazł dożgonnej towarzyszkę życia. Niejednej wprawdzie uśmiecha się myśl posiadania potomstwa koloru kawy ze śmietanką, od zrobienia jednak stanowczego kroku wstrzymuje je ta okoliczność, że trudno teraz w Warszawie o dobrą śmietankę, a co zatem idzie, trudno o porównanie, czy małeńkie bobo będzie rzeczywiście koloru kawy ze śmietanką”<sup>52</sup>.

Ton prześmiewczych ogłoszeń w piśmie satyrycznym wskazuje dobitnie, że mężczyzna musiał zapewne mierzyć się z rasizmem i liczył się z potencjalnym skandalem, jaki jego związek wywołałby w Warszawie.

Jego marzenie o żonie nie było jednak niemożliwe do spełnienia. W 1898 roku „Przyjaciel Sług” donosił, że „W Warszawie odbył się ślub niezwykle. Panna służąca Józefa M. pojęła za męża Jakóba Untarak murzyna, lokaja hrabiego Potockiego. Ciekawość, czy pani murzynowa będzie miała dziatki białe czy czarne”<sup>53</sup>. Nie wiadomo, czy Untarak szukał żony przez ogłoszenia, nie wiadomo też, czy bileter z warszawskiego zoo znalazł w końcu partnerkę. Na pewno jednak możliwość anonsu w prasie zwiększała pulę dostępnych kandydatek, a uwaga prasy, choćby tak nieprzyjemna i rasistowska, jeszcze podbijała zainteresowanie.

## *Zwykłe środki reklamy handlowej*

Bronisław Gumplowicz tak reklamował skuteczność ogłoszeń matrymonialnych:

Małżeństwo to też swego rodzaju transakcja życiowa. Czemu nie używać w tym celu zwykłych środków reklamy handlowej, ogłoszeń prasowych. Wszak wszystko jedno, jaką drogą przyjdzie ten, kto ma panią zaślubić, byle by przyszedł<sup>54</sup>.

Wylizywanie wad, podkreślanie zalet, bezwzględna szczerność, wyczuwalna desperacja czy niewzruszone operowanie kwotami posagów, dochodów i wartości nieruchomości – to wszystko strategie, którymi w tym nowoczesnym przekazie posługiwali się zamieszczający anonse. Nowatorskie metody miały być odpowiedzią na postęp i zmianę stosunków społecznych. Jak przekonywały „Wiadomości Matrymonialne” w 1926 roku: „Żyjemy w okresie przejściowym. Na każdym kroku spotykamy materializm, wynik egoizmu. Młodzieńcze sny i marzenia o złotym królewiczu i diamentowej królownie należą do przeszłości”<sup>55</sup>. Według autora tego tekstu przed powstaniem gazet matrymonialnych wiele związków kończyło się rozwodami czy separacją, a wszystko rozbijało się o pieniądze, bo „przed ślubem nie wypadało zawierać umowy w drażliwej kwestii materialnej, aby nie narażać się posądzeniu o brak miłości”. Dyskretne obliczenia finansowe często okazywały się przestrzelone.

Mężczyzna pragnął za pomocą posagu żony wyrobić sobie pozycję zawodową czy założyć interes, kobieta zaś liczyła na ślub z bogaczem i to, że nie będzie musiała do końca życia martwić się o pieniądze. Gdy jednak pieniędzy nie było, „miejsce miłości zajęło rozgoryczenie, którego epilogiem był rozwód”. Nadzieją na trwałość związków są więc ogłoszenia, w których obie strony mogą jasno wyłożyć, czego oczekują i w jakich kwotach ma zamknąć się transakcja małżeńska. „Wobec tego sprawa małżeństwa weszła na drogę właściwą, niedopuszczającą do wspólnego się oszukiwania i budowy pałaców na piasku” – podsumowywała z zadowoleniem redakcja „Wiadomości Matrymonialnych”. „Tygodnik Małżeński” już w 1913 ogłaszał podobne treści, i to wierszem:

Świat kroczy naprzód, a w miejscu nie staje  
I ciężko pracuje, zaś żyje z pośpiechem.  
Dziś flirt bezcelowy jest głupstwem i grzechem.  
Minał czas sielanki i czułości,  
Człek żąda rozsądnej i czystej miłości.  
Coraz też są rzadsze małżeńskie konkury  
Przewlokłe, kosztowne – potępić je z góry.  
[...]  
Czasy są zbyt ciężkie, a żyć jest w nich trudno.  
Nie można się bawić w komedię obłudną.  
Nie mogą flirtować dzisiaj ludzie pracy,  
Czulą się na zimno bogaci próżniacy,  
Za wiele dziś ludzie mają do czynienia.  
Zatem są na czasie o tem ogłoszenia,  
Że związki małżeńskie zawrzeć są gotowi  
Na danych warunkach owe albo owi<sup>56</sup>.

Cienka powłoczka nowoczesności, którą bardzo chciały utrzymać czasopisma matrymonialne, nie wytrzymała jednak bliższej inspekcji. Teksty zamieszczane w tych gazetach świadczyły raczej o tym, że są to konserwatywne, tradycjonalistyczne wydawnictwa, których celem jest zysk i umożliwianie transakcji małżeńskich, a nie jakakolwiek zmiana systemu społecznego. „Flirt Salonowy” i „Tygodnik Małżeński” publikowały artykuły o tym, że staropanieństwo to przekleństwo społeczne, a sufrażystki



przyczyniają się do nieszczęścia kobiet i niszczą tradycyjne wartości rodzinne. Gazety te zamieszczały na swoich łamach również dowcipy, dość zaskakujące jak na pisma o, można by pomyśleć, bardzo pozytywnym stosunku do małżeństwa. Na rysunku widać na przykład parę w stroju ślubnym rozmawiającą z matką panny młodej, grubą, srogo zmarszczoną kobietą. Podpis głosił: „MATKA: Otóż oddaję ci, kochany zięciu, ten skarb, który dla mnie zawsze był najdroższym. ZIĘĆ (czule): Droga mateczko, i dla mnie będzie ukochana żoneczka najdroższym skarbem... (do siebie w myśli) ...o ile jak najprędzej dostanę mamonę!”<sup>57</sup>. W innym numerze z kolei pod zdjęciem kobiety stojącej w lesie i mężczyzny oglądającego podeszwę jej buta widniał podpis: „Pantofelek ten dobrze/ obejrzyj mój panie/ bo pod tym pantofelkiem/ będzie twe mieszkanie”<sup>58</sup>. Dowcipy brzmią dokładnie tak jak te publikowane w niskich lotów pismach satyrycznych dla mężczyzn, w rodzaju „Fortuny”, „Bociana” czy „Czarnego Kota”.

Poza takimi treściami gazety publikowały trochę wiadomości sensacyjnych – „Flirt Salonowy” relacjonował proces sądowy hrabiny Tarnawskiej, która uknuła z kochankiem zabójstwo męża, i ukazywał nieślubne dziecko sióstr syjamskich Róży i Józefy Błażkówny, „Globus” publikował reportaż wcieleniowy ze szpitala psychiatrycznego, wspomnienia spirytysty oraz reportaż z prowadzenia lombardu, a „Wiadomości Matrymonialne” donosiły w dziale miejskim o skandalach przed sądem cywilnym w Moskwie, gdzie ludzie występowali o rozwód. Przekaz tej prasy był jeden – sprawczość kobiety jest być może pożądana, ale pod warunkiem, że pozwoli jej na wypełnienie tradycyjnej roli kulturowej, czyli znalezienie męża. Wszelkie odstępstwa od tej normy, jak na przykład uczestnictwo w ruchu emancypacyjnym, staropanieństwo czy rozwód, zasługują na wyszydzenie. Jednak sentymentalne poglądy na kwestie związków małżeńskich i staroświeckie metody ich inicjowania, które prezentowano w pismach matrymonialnych, nie były prawdziwe. Ludzie od zawsze negocjowali swoje oczekiwania finansowe i życiowe, mimo że nie istniały pisma matrymonialne. Negocjacje odbywały się przez znajomych lub członków rodziny.

Poszukiwanie żony lub męża odbywało się zgodnie z paradygmatem, że kobieta, która nie znalazła partnera, poniosła największą życiową porażkę. Mężczyźni nie odczuwali tej presji. Ślub, oprócz zabezpieczenia materialnego, był też dla kobiety wskaźnikiem prestiżu i dawał nadzieję na awans społeczny. Ogłoszenia miałyby więc zwiększyć szanse kobiet na uniknięcie porażki życiowej. W praktyce jednak to mężczyźni zamieszczali więcej ogłoszeń niż kobiety. Według badań Agnieszki Janiak-Jasińskiej na przykład w czasopiśmie „Flirt Salonowy” 58 procent z ponad tysiąca pięciuset zebranych ogłoszeń wysłali panowie<sup>59</sup>. W „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” w 1918 roku ukazało się niecałe dwieście ogłoszeń, z czego 70 procent nadesłali mężczyźni<sup>60</sup>. Tę przewagę tłumaczyć można na różne sposoby. Na pewno dużą rolę odgrywał tu wstyd – tak jak pisano w „Fortunie” w 1923, kobiety nie chciały się ogłaszać i kupować gazet matrymonialnych, bo oznaczałoby to przyznanie się przed światem do porażki życiowej. Mężczyźni ogłaszali się chętnie, ponieważ według nich ogłoszenie było raczej formą reklamy osobistej i ustawiało ich w pozycji dobra luksusowego, o które należy zabiegać. Wyraźnie widać to w kompozycji ogłoszeń: mężczyźni na ogół pisali, czego oczekują (posagu konkretnej wysokości, własnego interesu, podawali wymagania dotyczące wzrostu, koloru włosów, wieku, wyznania), kobiety zaś raczej pisały o tym, co same mają (ile zgromadziły pieniędzy, jakie mają wykształcenie, ile zarabiają). Dobrym przykładem męskiego podejścia do tej kwestii może być tu ogłoszenie kandydata, który posługiwał się pseudonimem „Małe niedomagania fizyczne”:

Słońce czerwcowe nie robi tyle przyjemności młodym panienkom, ile ja chcę mej przyszłej żonie zgotować. Żenię się zaraz z szybkością kuli armatniej, o ile się do tego sposobność nadarzy. Każda paniątka w wieku lat 16 do 22 i młode wdówki do lat 25 niewykluczone, które pragną mieć dobrego męża na odpowiednim stanowisku, zechcą z prędkością fali elektrycznej składać swe oferty do adm. „Wiad. Matrym.”<sup>61</sup>.

Pewny siebie, przekonany o własnej wartości mężczyzna nie pisał właściwie nic o sobie, poza drobną wiadomością o „małych niedomaganiach fizycznych” ukrytą w pseudonimie. Był jednak

przekonany, że jest w stanie zaoferować dowolnej kandydatce wszelkie możliwe korzyści.

Przeciwnicy ogłoszeń matrymonialnych zarzucali im merkantylne traktowanie związku małżeńskiego, odarcie relacji międzyludzkich z romantyzmu oraz interesowność. Zwolennicy z kolei podkreślali, że ogłoszenia są w istocie projektem emancypacyjnym, pozwalającym na dobieranie się w pary ludziom, którzy w tradycyjnych strukturach rodzinno-towarzyskich mieli na to niewielkie szanse. Analiza ogłoszeń i debaty publicznej na ten temat wskazuje jednak, że tak naprawdę ogłoszenia nie były aż tak rewolucyjne, jak widziały to obie strony sporu. Transakcja na rynku matrymonialnym przebiegała z grubsza w ten sam sposób, co przed upowszechnieniem się anonsów – ocena wartości, potencjalnych strat i zysków, zawarcie znajomości, negocjacje, ślub.

Ogłoszenia matrymonialne utrzymywały ten sam paradoksalny system wartości: to kobiety miały dążyć do małżeństwa, a jednak to mężczyźni więcej zyskiwali na zawarciu związku. To kobietom miało zależeć, by nie zostać starą panną i uniknąć stygmatyzacji, ale to mężczyźni częściej ogłaszali się w prasie, gdy szukali żony. To dla kobiet ślub miał być oparciem finansowym, ale to mężczyźni częściej pisali, ile pieniędzy chcą dostać wraz z posagiem przyszłej żony. Czasopisma matrymonialne i anonse wskazywały jedynie te paradoksy czarno na białym. Feeria chwytów marketingowych, mnogość strategii reklamowych i festiwal neuroz zaprezentowanych w różnorodnych anonsach potwierdzają niewygodną prawdę, że na znalezieniu partnera wszystkim zależało tak samo, a jeśli jednej płci bardziej, to byli to mężczyźni.

## *Faktorzy małżeństwa i dobre obyczaje*

Można by pomyśleć, że usługa prowadzenia biura matrymonialnego i gazety matrymonialnej to w gruncie rzeczy ten sam biznes, tylko jedno jest reklamą drugiego. Nic bardziej mylnego. Większość czasopism matrymonialnych kategorycznie odzegnowała się od posądzania

o prowadzenie biura pośrednictwa małżeństw. Jako koronny argument podawano rzecz kluczową: nie pobierali pieniędzy za znajdowanie partnerów, a jedynie za zamieszczenie ogłoszenia w gazecie.

Właśnie o tej różnicy pisała „Fortuna Versal”, dając w 1927 roku ogłoszenie w ramce:

Ostrzeżenie!

Zwracamy uwagę naszym P. T. Czytelnikom, że nie mamy nic wspólnego z innymi biurami kojarzenia małżeństw w Warszawie i Zamościu, które pozwalają sobie pobierać pewne zaliczki tytułem późniejszego pośredniczenia, a nic w tym względzie nie czynią, jak to wykazują zażalenia napływające stale do naszej Redakcji, gdyż my pośredniczymy dla insertujących się w naszym piśmie zupełnie bezpłatnie<sup>62</sup>.

„Marzenie: Rêverie” zapewniało, że „pismo nasze nie jest i nigdy nie będzie jakąś szmatą stręczycielską, a redakcja nasza biurem stręczenia”<sup>63</sup>, a „Marzenie” (inne czasopismo matrymonialne, z dopiskiem „wytworne”), że „wszystko będziemy czynili, kierując się zasadą: tylko uczciwość popłaca. Czytelnicy naszego pisma prócz należytości za numer i ogłoszenia nie opłacają żadnych wpisów albo opłat mniej lub więcej urojonych”<sup>64</sup>. „Tygodnik Małżeński” zapewniał, że to nie ogłoszenia matrymonialne, ale „pośrednictwo stręczących rajfurów i rajfurek, których nigdy nie brakowało i nie zabraknie, jest zawiązkiem raka rozpusty. Byłoby rzeczywiście źle [...], gdyby ogłoszenia małżeńskie pochodziły wyłącznie od tajemnych kantorów stręczenia małżeństw lub od faktorów małżeństwa, czerpiących z tych źródeł sposób swego zarobkowania. Ale redakcje uczciwych czasopism nie zajmują się tym procederem”<sup>65</sup>. A w tym, jak rozumiemy, na pewno też redakcja „Tygodnika Małżeńskiego”.

To rozróżnienie, że czasopisma matrymonialne pobierały opłaty za publikowanie ogłoszeń, a nie za dobieranie par, nie było tak nieznaczące, jak może się wydawać. Biura matrymonialne (czy też, jak je wówczas nazywano, kantory stręczenia małżeństw) nie cieszyły się popularnością na ziemiach polskich. Niechęć mogła brać się z dwóch negatywnych dla ówczesnego społeczeństwa skojarzeń – z pracą seksualną i właścicielami domów publicznych (stąd na przykład nawiązanie do „stręczących rajfurów i rajfurek”) oraz z żydowskim sposobem zawierania ślubów przez swatów.

Antysemickie skojarzenia potęgował również fakt, że właścicielkami domów publicznych były najczęściej żydówki, nie chrześcijanki. Do tej drugiej kwestii czynił aluzje Gumpłowicz w swoim poradniku z lat trzydziestych. Mimo że pozytywnie wypowiadał się o gazetach matrymonialnych, to już biura pośrednictwa i swaty budziły jego zdecydowany sprzeciw. „W pewnych środowiskach to przyjęte i stosowane oficjalnie – pisał. – Rodziny z góry same przez swatów upatrują sobie mężów dla swych córek, obustronnie idzie agitacja. [...] Na wsi ma to pewien urok. W tych specjalnych środowiskach – to raczej obrzydliwość i pod względem biologicznym nie bardzo zdrowe”<sup>66</sup>. Zupełnie wprost o żydowskim pochodzeniu swatek pisała zaś „Swatka”, czasopismo matrymonialne: „swaty zachowały częściowo swój dawny charakter w naszych zwyczajach ludowych i w środowisku żydowskim. Siła i plenność tego ostatniego leży, kto wie, czy nie właśnie w tem mądrym, nie zdanem na przypadek pośrednictwie swatów?”<sup>67</sup>.

W okresie zaborów wszelkie instytucje społeczne (a więc tak samo domy publiczne, biura matrymonialne, czasopisma z ogłoszeniami i wszelkie inne stowarzyszenia i interesy) musiały uzyskać rządową koncesję na działanie. Z powodów wymienionych powyżej rejestracja biura była trudna, ponieważ na przykład w Królestwie Polskim władze carskie nie zgadzały się na uznanie takiej działalności. Przekonała się o tym w 1886 roku Otylia Mesner, właścicielka biura matrymonialnego z Berlina, która wystąpiła o koncesję na prowadzenie podobnego interesu w Warszawie. „O ile nam jednak wiadomo, starania pani Mesner spełzną na niczem, gdyż władza wyższa przeciwną jest w ogóle zakładaniu podobnych kantorów w całym państwie – donosił „Kurier Warszawski” – zresztą i bez formalnego kantoru pełno znajduje się swatów, a przede wszystkim swatek, ciągnących ze swojego zajęcia znaczne zyski”<sup>68</sup>.

Później nie było wcale łatwiej. W 1930 roku dwudziestopięcioletni Józef Bernat zgłaszał się do władz miasta Poznania o zalegalizowanie biura matrymonialnego. Biuro miało nazywać się „Przyszłość” i mieścić się w mieszkaniu pani Krueger przy ulicy Dąbrówki 13. Przedstawiciel Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego odpisał, że owszem, przyjął zgłoszenie Bernata, jednak ten musi pamiętać,

że „wykonywanie tego proceduru może być Panu każdego czasu zakazane w razie ujawnienia jakichkolwiek przekroczeń”<sup>69</sup>.

O wnioskach o zakładanie biur matrymonialnych pisał jeszcze w 1887 w felietonie Bolesław Prus, ironicznie wskazując, że biuro matrymonialne jest właściwie tańsze niż prowadzenie córek na bale i do teatru, a przynosi podobne skutki, a więc i jego działalność powinna być dozwolona<sup>70</sup>. Prawo zaborców, a po I wojnie światowej prawo polskie nie było jednak co do tego jednoznacznie przekonane. Według Seweryna Rosmarina, międzywojennego prawnika specjalizującego się w prawie cywilnym, pobieranie opłat za ułatwianie zawierania związków małżeńskich było zjawiskiem wątpliwym moralnie i do tego o nieuregulowanym, choć raczej negatywnie postrzeganym statusie prawnym. Widać to było szczególnie w sytuacji, gdy jedna z nieusatysfakcjonowanych stron takiego kontraktu pośrednictwa próbowała w sądzie dochodzić swoich praw, na przykład zwrotu opłaty w przypadku „reklamacji” małżeństwa. Prawo rosyjskie, a za nim po wojnie prawo polskie w ogóle nie poruszało tego tematu (podobnie zresztą jak prawo francuskie). „Praktyka nie jest jednolita; literatura skłócona”<sup>71</sup> – podsumowywał nieco sfrustrowany Rosmarin. Kluczowy w prawodawstwie był tu problem angażowania osób trzecich w proces podejmowania decyzji o małżeństwie. Prawo miało zakazywać „wpływu obcego człowieka, zainteresowanego materialnie, na przyszłych małżonków”, ponieważ uznawano, że taka osoba, kierując się własnym zyskiem finansowym, może pośrednio lub bezpośrednio naruszać dobrowolność zawierania związku małżeńskiego (na przykład poprzez koloryzowanie zalet jednego z kandydatów). Ingerencja w ten dobrowolny proces uznawana zaś była za działanie przeciwne dobrym obyczajom i interesowi społecznemu. Z tego powodu sądy nie chciały honorować umów finansowych swatek i biur matrymonialnych.

Problem polegał na tym, że różne systemy prawne i praktyka orzecznicza, na którą narzekał Rosmarin, odmiennie interpretowały ten „wpływ obcego człowieka”. Pośrednictwo płatnego swata w dość oczywisty sposób podpadało pod tę definicję. Ale biuro matrymonialne albo pismo z ogłoszeniami? Jeśli ogłoszenie służyło tylko do tego, żeby

poznać ze sobą ludzi, to można było płacić za jego zamieszczenie, a redakcja mogła domagać się ściągnięcia długu od niepłacącego czytelnika. A jeśli biuro matrymonialne tylko pokazywało oferty osobie, która osobiście pofatygowała się do ich siedziby? A co, jeśli redakcja czasopisma matrymonialnego prowadziła wstępną selekcję odpowiedzi na ogłoszenia? Albo publikowała tylko te poprawnie, kulturalnie napisane? A jeśli osoba pracująca w biurze matrymonialnym zachwalała konkretnych kandydatów? Czy ich działanie było niezgodne z „dobrymi obyczajami”, a kontrakty nieważne? Sądy orzekały w tych sprawach rozmaicie.

Jeszcze w 1874 roku sąd w Warszawie rozpatrywał sprawę młodzieńca, który „obiecał stręczycielowi, że w razie dojścia do skutku małżeństwa z ukochaną dziewczyną, wpłaci dwieście rubli faktornego”<sup>72</sup>. Ślub doszedł do skutku, lecz młody małżonek postanowił nie zapłacić odpowiedniej kwoty „stręczycielowi”, który z kolei podał go do sądu. Mężczyzna próbował argumentować swoją odmowę, wskazując, że umowa, którą zawarł, jest niemoralna, a więc niezobowiązująca. Sąd jednak uznał, że mężczyzna musi się z niej wywiązać, „bo zobowiązanie tego rodzaju jest zobowiązaniem, a za trud podjęty przez kogoś zapłacić trzeba, gdy się obiecuje – nie zasłaniając się dopiero »niemoralnością układu«, gdy trzeba było zapłacić”.

Seweryn Rosmarin wspominał zaś, że w sądach niepodległej Polski do lat trzydziestych pojawiły się tylko dwa pozwy związane z opłatami za pośrednictwo małżeńskie, w 1934 i 1937 roku. Jeden dotyczył pary katolickiej, drugi żydowskiej. W obu przypadkach małżonkowie odmówili zapłaty pośrednikowi małżeńskiemu, a ten podał ich za to do sądu. W obu przypadkach pozwy zostały oddalone.

## *Mateczka makrela i stosunki koni*

Swatka! Jakież kraj, jakie społeczeństwo, jaki wiek nie znał tego tak poufale i dyskretnie brzmiącego słowa?

Zawsze wywoływało ono miły uśmiech na usta rodziców mających dorastające dzieci. [...]

Swatka to był zawsze duch pokoju, miłości i zgody.

Przypomnijmy sobie tylko rolę swatów w dawnej szlacheckiej Polsce. Do dworu modrzewiowego zajeżdżała ona dyskretnie i cicho, przywoziła wieści od pana sąsiada, a częstokroć wciskała w drżącą rączkę panienci liścik pełen strzelistych afektów i miodowych słówek urodziwego kawalera.

Swatka nigdy nie zawodziła. Ona była lepszym psychologiem niż ślepa miłość sama w sobie<sup>73</sup>.

Taki opis znajdujemy w czasopiśmie matrymonialnym „Swatka” w 1930 roku. Niezwykle sentymentalna wizja dobrej wróżki małżeńskiej związana była zapewne z całościową koncepcją reklamową czasopisma, według której gazeta miała być papierową wersją budzącej zaufanie matrony doradzającej młodym ludziom, jak wkroczyć na drogę wiodącą do szczęścia. Stąd odwołanie do rzekomej szacownej przeszłości zawodu swatowskiego.

Pod koniec wieku XIX i na początku XX swatka w popularnej wyobraźni, w literaturze i sztuce wypadła raczej słabo. Była jedną z odmian potwornej kobiecości, określaną raczej jako „baba” niż „kobieta”. Była postrzegana jako osoba stara, wścibska, ciekawska, gadatliwa i o niskim statusie społecznym<sup>74</sup>. Joanna Hobot-Marcinek zauważa, że przemiany społeczne i ekonomiczne przełomu wieków spowodowały zatarcie ram tradycyjnych form życia rodzinnego, w tym szacunku automatycznie okazywanemu starości. W wieku nauki i pieniądza stara kobieta przestała być „duchem pokoju, miłości i zgody”, jak to sentymentalnie wspominała „Swatka”, za to „stała się jednym z zepchniętych przez biedę na społeczny margines »odmieńców« doby urbanizacji i industrializacji”<sup>75</sup>. Ta postać samotnej, niemłodej kobiety miała wiele odmian – szalonej żebraczki, pijaczki, śmiesznej ciotki na utrzymaniu rodziny. Swatka zaliczała się do podgrupy starych kobiet zaludniających przemysłowe miasta, których źródłem utrzymania był wątpliwej jakości handel. Handlować mogły przedmiotami i pieniędzmi, jak straganiarki, lichwiarki i właścicielki sklepów z tandetą, lub też ludźmi i ich emocjami, jak rajfurki, swatki i właścicielki domów publicznych. Te ostatnie w kulturze francuskiej znane były pod nazwą *mère maquerele*, czyli mateczka makrela – podobno dlatego, że makrela to ryba, która potrafi przetrwać na mulistym dnie, przybierając kolor otoczenia, co



miałoby być odzwierciedleniem cynicznego oportunistycznego swatek i stręczycielek. W języku polskim określenie „makrela” czasem stosowane było jako pogardliwe określenie na rajfurkę.

Przebiegła swatka i handlarzka przysług była wyraźnie reprezentowana w dziewiętnastowiecznej europejskiej powieści realistycznej. W polskiej wyobraźni literackiej utrwalił ją Bolesław Prus, być może z powodu swojego wyraźnego zainteresowania biurami matrymonialnymi, pod postacią pani Meliton, pomagającej Wokulskiemu zdobyć serce (a przynajmniej rękę) Izabeli.

Pani Meliton stanowi wprost komiczne zaprzeczenie ideału opisanego w „Swatce”. To nie żadna dobra dusza wciskająca w drżącą dłoń panienki miłosny liścik, ale kobieta, która sama o swojej pracy mówi, że „hrabia... bierze pieniądze za ułatwianie stosunków koniom, ja za ułatwianie znajomości ludziom”<sup>76</sup>. Pani Meliton nie doradzała nikomu z dobroci serca, lecz zarabiała pieniądze na wszelkim pośrednictwie:

nie myślała o zamążpójściu, ale swatała młode pary; nikomu nie oddawała swego serca, ale we własnym mieszkaniu ułatwiała schadzki zakochanym. Że zaś każdy i za wszystko musiał jej płacić, więc miała trochę pieniędzy i z nich żyła.

Jedno tylko zgadza się z sentymentalnym opisem czasopisma matrymonialnego – pani Meliton rzeczywiście była dobrą znawczynią psychologii ludzkiej. A przynajmniej za taką się uważała, twierdząc, że ludzie kierują się w życiu prostymi instynktami, a wszystko ma swoją cenę. Cynizm swatki wynikał z nieprzyjemnych przeżyć w młodości – kilka razy w życiu przekonała się, że prawdomówność, prostolinijność i dobre serce nie popłacają. Jako młoda nauczycielka została uwiedziona przez przystojnego hrabiego, a następnie wyszła za mąż za francuskiego guwernera alkoholika, który mimo usilnych starań pani Meliton pił coraz więcej i stosował wobec niej przemoc. Podobnie jak większość tego typu literackich postaci, pani Meliton kierowała się w życiu specyficznym kodeksem etycznym. Według niej kluczem do sukcesu matrymonialnego (a może i serca każdej kobiety i każdego mężczyzny) była ciągła manipulacja, choć stosowana poniekąd w dobrej wierze. Powtarzała, że kobiet nie zdobywa się ofiarami, lecz siłą, że kobiety chcą być traktowane

bezwzględnie, ale też chcą, by mężczyźni spełniali ich kaprysy. Tak omotane, z jednej strony groźbą, z drugiej przekupstwem, miały poddać się woli mężczyzny. Stąd też uznanie pani Meliton dla działania Wokulskiego, gdy ten kupił rodowe srebra i serwis Izabeli. Ten sam, o którym panna Łęcka mówiła, że „ma wybierać między sprzedażą siebie a serwisu”. Pani Meliton podsumowuje ten ruch tak: „Bardzo rozsądnie przystępujesz pan do rzeczy – mówiła. – Wprawdzie ze sreber i serwisu niewielka będzie pociecha, ale skup weksli Łęckiego jest arcydziełem... Znać kupca!”.

Trzeba przyznać, że jak na deklarowany cynizm i amoralność, początkowo metody swatania prezentowane przez panią Meliton były w zasadzie niegroźne. Według umowy „Wokulski płacił hojnie, a pani Meliton udzielała mu wszelkich informacji o rodzinie Łęckich i związanych z nimi osobach wyższego świata”. Mówiła, kiedy Izabela będzie na spacerze w Łazienkach Królewskich, kiedy pójdzie na kwestę, z kim się przyjaźni, a kogo nie lubi. W miarę upływu czasu i wzrastającej desperacji Wokulskiego pani Meliton zaczęła jednak pomagać mężczyźnie w finansowym osaczeniu Izabeli. Pośredniczyła przy sprzedaży sreber i serwisu, poddała Wokulskiemu pomysł, by kupić klacz Krzeszowskiego, aby dopiec nielubianym kuzynom Izabeli, przede wszystkim jednak poinformowała Wokulskiego o licytacji kamienicy Łęckich. Jak ujęła to w liście:

Panie! Ważna wiadomość: za kilka dni Łęckim sprzedają kamienicę, a jedynym kupcem będzie baronowa Krzeszowska, ich kuzynka i nieprzyjaciółka. Wiem z pewnością, że zapłaci za dom tylko sześćdziesiąt tysięcy rubli; a w takim razie resztką posagu panny Izabeli, w kwocie trzydziestu tysięcy rubli, przepadnie. Chwila jest bardzo pomyślna, gdyż panna Izabela, postawiona między biedą a wyjściem za marszałka, chętnie zgodzi się na każdą inną kombinację.

Swatanie nie miało w tym przypadku żadnych cech doradztwa sercowego – swatka pomagała bogatemu mężczyźnie postawić kobietę w trudnej sytuacji finansowej pod ścianą. A on entuzjastycznie się zgadzał i z werwą realizował plany. Co więcej, mimo trudnego charakteru i podobno odpychającego wyglądu (a przynajmniej tak mówił o niej Rzecki) pani Meliton nie była osobą, z którą znajomości można by się wstydzić. Otwarcie i spokojnie mówiły o kontaktach z nią zarówno hrabina

Karolowa, jak i sama Izabela, która prosiła swatkę o pośrednictwo w sprzedaży serwisu.

Manipulacja, oportunizm, cynizm i bezduszny pragmatyzm to cechy charakteru nie tylko tej jednej literackiej swatki. Podobne kobiety zaludniały też masową wyobraźnię jako bohaterki licznych komedii teatralnych, wystawianych zarówno w połowie XIX wieku, jak i jeszcze w międzywojniu. Zdania podobne jak te pani Meliton wygłaszała pani Matalska (nazwisko, oczywiście, znaczące) pragnąca wydać siostrzenicę za mąż w komedii *Ciocia swatka* z 1861 roku. Przechwalała się, że w rok skojarzyła ponad dwadzieścia małżeństw, z czego wydała za mąż najtrudniejsze klientki, cztery stare panny. Matalska mówiła, że wie, jak „podbić, ujarzmić, zagrozić rywalami, przymusić do oświadczenia”<sup>77</sup>. Wszystko to miało zaś odbywać się poprzez kłamstwa i wzbudzanie zazdrości w potencjalnych kandydatach.

Matalska pouczała, że pierwsze, co należy zrobić, chcąc wydać córkę za mąż, to wytworzyć wrażenie, że stara się o nią wielu mężczyzn. Dowolnego mężczyznę, który powie córce komplement, należy zakwalifikować jako adoratora i „trzymać go na odwodzie jak filunia na łańcuszku”, nie dając się oświadczyć (gdyby przypadkiem chciał). „A tymczasem manipulować, starać się o drugich – trafi się lepszy, to odpędzić bez ceremonii odwodowego panicza od panny jak kota od mleka”. Na uwagi siostry i siostrzenicy, panny Józi, że to niemoralne tak okłamywać mężczyzn, odpowiada: „Pocziwa kobieta – lituje się nad mężczyznami! – właśnie oni się nad tobą zlitują, jak osiędziesz z panną na koszu! [...] Mężczyzna, jak się zakocha, to głowę traci, można z nim robić, co się podoba, mało który się wyślizgnie z takiej pułapki, tysiące jest takich pocziwych filonów, co się na odwodzie trzymać pozwalają”. Podobnie prowadziła bohaterka wystawianej w 1922 roku sztuki *Swatka*, „Barbara Pęcherz, pośredniczka w zawieraniu małżeństw, baba ponad lat czterdzieści, obfitych kształtów, bardzo krzykliwa”<sup>78</sup>. Pęcherzowa swata zarówno młodą pannę Julię, jak i jej trzydziestoletnią ciotkę, Pelagię, wyjątkowo wybredną. Oto, jak przedstawia jej kandydata:

PEŁCZERZOWA: Powiada: Pani Pełcherzowa dobrodziejka! Nozi będę pani całował, jak mnie pani pozna z tą... Juroną.

JULCJA: Zapewne z Junoną. [...]

PEŁAGIA: Czy on ma poważne zamiary?

PEŁCZERZOWA: Musi, moja pani. Swatam go już w siódmym miejscu. Za same pośrednictwo jest mi winien tyle, że cały jego majątek razem ze wszystkimi ubraniami i bielizną tyle nie wart. Powiedział, że tym razem cokolwiek by było, jest w takim położeniu, że decyduje się na wszystko.

Rzeczywiście, mężczyzna, czyli Otto, okazuje się wyjątkowo wybredny (albo nieczuły na manipulacje Pełcherzowej). W scenie kłótni, gdy swatka wypomina mu, że jest jej winien 70 tysięcy złotych, po 10 tysięcy za osobiste pośrednictwo przy każdej z kandydatek, Otto próbuje wybronić się przed jej zarzutami, przypominając wady każdej panny. Jedna, w letniku w Brzuchowicach, była bardzo atrakcyjna i młoda, ale „dowiedziałem się, że wszyscy letnicy kosztowali już tego miodu przede mną”. Pełcherzowa na to: „Ouwa! Brzuchowiccy letnicy? Wielka mi miejscowość kuracyjna, ilu tam mogło być tych letników!”. Kolejna, trzydziestoletnia panna Napadzińska, była niezwykle piękna i miała wielu adoratorów, ale Otto odkrył przed ślubem, że jego wybranka ma sztuczną nogę. Pełcherzowa: „Kto to widział przed ślubem pannie pod spódnicę zaglądać, to jest świństwo! [...] No i co z tego, pan wie, ile taka proteza kosztuje? Setki tysięcy. A jakby tak, nie daj Boże, umarła, toby jej pan przecież z protezą do grobu nie pochował. Sprzedałby ją pan jakiemuś inwalidzie, co się dorobił w budce z gazetami, i już by było na otarcie łez”. Podobnie podchodziła do kolejnych kandydatek – niemądrej panienki, poczmistrzyni, co udawała młodą, a była wdową z trójką dorosłych dzieci, i tak dalej. Pełcherzowa, w komediowym dialogu, prezentowała na wymownym przykładzie zastrzeżenia, jakie wobec umów o pośrednictwo małżeńskie mieli polscy, niemieccy i austriaccy prawnicy. Ponieważ Otto winien jej był już dużo pieniędzy, manipulowała i koloryzowała prawdę po to, by za wszelką cenę odzyskać straconą inwestycję. Wpływała więc na jego wybór małżonki dla korzyści finansowej. Nie naginała zresztą tylko wolnej woli Ottona. Na końcu sztuki, zachęcona dodatkową wypłatą ze strony panny Julki, szantażowała Pelagię, że musi zgodzić się na ślub siostrzenicy,

ponieważ w innym przypadku wyjawia jej kłamstwa świeżemu narzeczonemu.

Działania pani Meliton, pani Matalskiej i pani Pęcherzowej nie kończą się sukcesem. Różia, siostrzenica Matalskiej, wychodzi za mąż niejako wbrew jej knowaniom i za kogo innego, podobnie Julka i Pelagia, klientki Pęcherzowej. Matalską dodatkowo porzuca jej własny narzeczony, gdy dostrzega jej nieszczerłość i manipulacje. Trudno też mówić o powodzeniu planów pani Meliton. W komedii *Córka swatką* z 1882 roku główną bohaterką jest swatka nieprofesjonalna – młoda Jadwiga, która chce wydać za mąż własną matkę, wdowę. Widzowie mogą obserwować jej usilne starania o znalezienie odpowiedniego kandydata dla matki, w wyniku których dochodzi do kolejnych komicznych komplikacji, wreszcie jednak wszystko kończy się ślubem z niespodziewanym kandydatem. W ostatniej scenie sztuki Jadwiga obraca się do publiczności i mówi: „Jaka ja byłam głupia, że o tem nie pomyślałam, co przecie leżało na dłoni!”<sup>79</sup>.

Morał ze wszystkich tych komedii płynie jeden – serce ludzkie jest nieobliczalne. Cynizm i pragmatyzm zaś, szczególnie ze strony swatki, zupełnie się nie opłacają.

## *Baran na sprzedaż i asortyment dziewic*

Czy jednak rozważania na temat wolnej woli, przymusu społecznego i korzyści finansowych płynących z małżeństwa nie są zbyt idealistyczne? Wobec warunków społeczno-ekonomicznych końca XIX i pierwszych dekad XX wieku rozpaczliwe protesty, że swatki, biura pośrednictwa i ogłoszenia matrymonialne uchybiają godności małżeństwa, wydają się nietrafione. W sytuacji przymusu ekonomicznego kobiet i ich zależności finansowej presję dużo większą niż opłacona swatka mogła przecież wywierać rodzina zainteresowanej panny. Mężczyźni, szczególnie ci z klasy posiadającej, również nie pozostawali zupełnie wolni od nacisków. Do normy kulturowej należał wymóg, by to mężczyzna utrzymywał ze swojej pensji całą rodzinę, i oczekiwanie, by do ślubu szedł wtedy, gdy

posiada już odpowiedni dochód i posadę. Ślub pod presją rodziny, wymagającej związku z kimś z rodziny partnerów biznesowych, albo ślub wymagający akceptacji babki czy ciotki, na której spadku wisi całe bezpieczeństwo finansowe mężczyzny, nie należały do rzadkości. Oczywiście, niewola mężczyzn była tu warunkowa i znacznie mniej dotkliwa niż ta kobiet. Wiele kobiet znajdowało się w sytuacji Izabeli, pani Stawskiej czy młodziutkiej Ewelinki, stręzionej staremu baronowi, oraz licznych bohaterek innych powieści i sztuk realistycznych. W przypadku mężczyzn była to raczej historia Zbyszka z *Moralności pani Dulskiej* Zapolskiej czy Frania z *Pamiętnika Wacławy Orzeszkowej*. Pierwszy nie żeni się ze służącą, bo bez akceptacji i pomocy rodziny nie ma szans na utrzymanie wygodnego życia. Drugi zmuszony jest do ciągłego usługiwania bogatym ciotkom, z którymi mieszka, ponieważ ma nadzieję na spadek, a nie chce mu się podjąć pracy zarobkowej.

Pośrednicy mieli wyeliminować takie problemy. A jednak ich obecność była niezwykle kontrowersyjna, w przeciwieństwie do nacisków ze strony rodziny, często wyszydzanych czy traktowanych jako niedogodność, ale jednak akceptowanych. Różnicę w postrzeganiu obu zjawisk opisywał Bronisław Gumpłowicz:

Bo jak ciocia Femcia, pani ciocia, po naradzie ze swoją przyjaciółką, ciocią Pipcią, która ma swojego beniaminka, siostrzeńca Bibusia, stręczy tego Bibusia przez ciocię Femcię, to niech pani w zasadzie nie oponuje, obejrzy Bibusia, da się przez niego obejrzeć. Nuż... „Mogą z tego być małe”, jak mówi francuskie przysłowie<sup>80</sup>.

Co innego pomoc profesjonalna. „Swatka zawodowa to coś wstrętnego, to sklep, gdzie pani i ten pan – jesteście towarem, którym się wszelkimi sposobami spekuluje. Pokazują mężczyznę jak barana na sprzedaż...” – przekonywał czytelniczki.

Aspekt komercyjny zdawał się nie do przeskoczenia. Podobnie wypowiadał się pół wieku wcześniej Bolesław Prus, w kolejnym felietonie na temat pośrednictwa matrymonialnego, tym razem w „Nowinach” z 1882 roku:

Będzie to wystawa osobników obojej płci zdolnych i chętnych do praktykowania sakramentu małżeństwa. [...] Od tej pory będziemy mogli czytywać następujące

ogłoszenia: Kantor XX posiada znaczny asortyment rozwódek, wdów i dziewic, z różnymi posagami i – gwarancją. [...] A skutek będzie ten, że jak dziś mamy ręczniki domowej roboty i ręczniki fabryczne, meble na urząd i meble z Pocijowa, odzież na obstalunek i odzież od pp. Kocha lub Sameta – tak kiedyś będziemy mieli małżeństwa na urząd i małżeństwa tandetne<sup>81</sup>.

Porównanie do towarów – i idące za tym negatywne skojarzenie z handlem, tandetą, przeceną, nieuczciwą reklamą i sprzedażą – pojawia się w wielu tekstach krytykujących ideę biur i czasopism matrymonialnych. Z biur matrymonialnych śmiał się nawet „Bocian”, pismo satyryczno-pornograficzne, które w 1897 roku publikowało takie dowcipy:

*Reklama fin de siècle*

Do czego dojść może z czasem reklama, wskazuje nam najlepiej mała próbka tejże, znaleziona w jednym z codziennych pism peszteńskich:

Biuro pośrednictwa małżeństw z trzechletnią gwarancją.

Reparacje gratis! (?)<sup>82</sup>

Albo *Wyciąg z książki głównej biura pośrednictwa małżeństw z 1910 roku:*

Anna Magaj – lat trzydzieści,  
Zęby nowe powstawiane,  
Jasno-blond. Lecz, gdy kto żąda,  
Jest brunetką wnet na zmianę.

Fela Mańkut, bardzo chuda,  
Cieńka w pasie, z nikłym biustem,  
W danym razie – na żądanie  
Może być w wydaniu tłustem.

Hilda Huktaj – dobra partya,  
Bo bankiera już rok skubie,  
Jest na utrzymaniu bowiem –  
(Może być tam i po ślubie). [...]

Marcyanna Kokodyniak  
Ma olbrzymią klientelę,

Może mieć dla męża wolne  
Pół godziny co niedzielę.

Dora Puchacz – wniesie w wianie  
Dość bielizny i pościeli,  
Bardzo wierna: ma świadectwa  
Od dwunastu wielbicieli<sup>83</sup>.

Wyjaśnienie, dlaczego tak powszechna krytyka pojawiała się w ówczesnych warunkach ekonomiczno-społecznych, oferuje Seweryn Rosmarin. Na marginesie rozważań prawnych o sposobach pisania pozwów o wypłacenie świadczeń należnych pośrednikom małżeństw zastanawia się nad tym, co w postrzeganiu społecznym oznaczają „dobre obyczaje” w kontekście małżeństwa. Dochodzi do wniosku, że wszelkie działania, które miałyby obnażyć powiązania między małżeństwem a pieniędzmi, są postrzegane negatywnie. Małżeństwo w klasach posiadających (choćby nawet w niezamożnym mieszczaństwie) było „afetą sentymentalną i afetą społeczną”<sup>84</sup> – zawierało w sobie stronę finansową i „rodzaj ozdoby lirycznej” w postaci zapewnień o uczuciu. Rynek małżeński w sposób bezsprzeczny kierował się względami ekonomicznymi – rozważano posagi, spadki i roczne przychody – a jednak obłudnie starano się udawać, że tak nie jest. „Małżeństwo mieszczańskie jest targiem, który jednak nie chce uchodzić za targ. Zazwyczaj wcale by go nie dobito, gdyby ten targ przyznawał się sam do siebie. Tak samo nie można by traktować pewnych spraw, gdyby nie powoływano się na interes narodowy, chociaż w rzeczywistości chodzi o całkiem inne rzeczy” – cytował Rosmarin Emmanuela Berla, redaktora francuskiej lewicowej gazety „Marianne”.

Ideolodzy patriotyzmu oraz zwolennicy romantycznej wizji małżeństwa rzeczywiście posługują się podobnymi narzędziami, szczególnie jeśli chodzi o możliwość załatwiania z ich pomocą innych celów. Na poziomie dyskursu nikt nie chciał przyznać, że małżeństwo jest zawarte dla pieniędzy. Po pierwsze, burzyłoby to ustalony porządek społeczny, wedle którego ślub to instytucja religijna o funkcji stabilizującej dla danej zbiorowości, podtrzymująca jej tradycje, kulturę i wartości. Po drugie –



w dobie rozwijającego się na początku XX wieku indywidualizmu akceptacja związków zawieranych poprzez pośredników była niejako sprzeczna z obrazem jednostki jako silnej, samowystarczalnej i godnej uznania, na tyle atrakcyjnej, by sama znalazła sobie partnera. Iluzja uczucia, ten „rodzaj ozdoby lirycznej”, potrzebna była do ochrony wyobrażeń na swój własny temat. Stąd próba dyskredytowania biur i gazet matrymonialnych przy użyciu inwektyw związanych z handlem. Tradycyjnie zaaranżowane małżeństwo musiało podtrzymywać wrażenie, że jest instytucją bezinteresowną, mimo że w sposób oczywisty tak nie było. Narzędzia, które obnażały ten fakt, takie jak pośrednictwo, atakowano więc szczególnie ostro i za pomocą oskarżeń, które bolały najbardziej.

Część II

Pieniądze

## Posag. Nic nie rozumie, wszystkiego się lęka

21 maja 1891 roku przy pulpicie w sali ratuszowej w pałacu Jabłonowskich w Warszawie stanął czterdziestoletni mężczyzna. Miał potargane ciemne włosy z przedziałką na boku i modną wówczas, krótką kozią bródkę. Wyjął przygotowane kartki, rozejrzał się po publiczności (prawie same kobiety) i powiedział:

Mam niewinną intencję. Pragnąłbym, aby z dzisiejszej pogadanki wyniknął pewien, choćby najskromniejszy dorobek dydaktyczny<sup>1</sup>.

Mężczyzna był adwokatem, nazywał się Jan Maurycy Kamiński, a jego kilkugodzinny odczyt dotyczył praw majątkowych kobiet po ślubie. Tego samego roku w czerwcu tekst Kamińskiego został opublikowany w „Bluszczu”, popularnym czasopiśmie dla kobiet, które również, jak można się domyślać, miało na celu edukację czytelniczek. Odczyt opatrzono tytułem *Panna, mężatka i wdowa wobec prawa*. „Złośliwy przyjaciel zrobił mi uwagę, że ten sam tytuł byłby dobry zarówno do krwawego dramatu, jak i operetki – zauważał adwokat. – Przypuszczam. Ale to tylko dowodzi, że kobieta [...] przenika na wskroś życie jednostki i społeczeństwa, w skład którego wchodzi, a co za tem idzie, że w tem społeczeństwie mieć musi i ma swoje prawa”. Niestety, według Kamińskiego kobiety nie interesowały się w wystarczającym stopniu swoim statusem prawnym, z czego wynikały następnie problemy w ich życiu codziennym, szczególnie w sferze finansowej, a konkretnie – w sprawie rozporządzania majątkiem niezależnie od woli mężczyzn w ich rodzinie.

Zgodne z Kodeksem cywilnym Królestwa Polskiego, obowiązującym od 1826 roku i znowelizowanym w 1836, kobieta samodzielna, to jest panna, wdowa i rozwódka, mogła zarządzać swoim życiem w sposób taki sam jak mężczyzna. Niesławne stwierdzenie z Kodeksu Napoleona, że kobieta jest „wieczyście małoletnia”, to znaczy potrzebuje reprezentanta płci męskiej we wszystkich sprawach administracyjnych, nie miało odniesienia do pełnoletnich kobiet stanu wolnego. Po ślubie do wszystkich spraw – zawierania umów, sprzedawania majątku (nawet własnego), czynienia darowizn i ich przyjmowania – potrzebowała „asystencji”, czyli upoważnienia męża. A ponieważ „kobieta niezamężna pełnoletnia stanowi zjawisko wyjątkowe, do pewnego stopnia nienormalne, znacznie większa ilość kobiet podlega ograniczeniom w stanie małżeńskim, niż korzysta z wolności”<sup>2</sup>, jak zauważał inny prawnik, Józef Lange, w 1907 roku.

Kamiński rozumiał ten problem i swoim odczytem chciał uświadomić kobietom zamężnym, jakie prawa i obowiązki nakładał na nie w sferze finansowej ówczesny kodeks cywilny. Dziwił się przy okazji, że kobiety tak niefrasobliwie podchodzą do wiedzy prawniczej. W końcu XIX wieku, gdy wygłaszał swój odczyt w ratuszu przed sfeminizowanym gremium, kobiety od kilku dekad studiowały już za granicą, uczestniczyły w kursach lekarskich, ekonomicznych czy filozoficznych. Ziemianki, inteligentki i mieszcanki często posiadały wiedzę większą niż ich ojcowie i mężowie na temat literatury, historii i języków obcych. A jednak prawo, ubolewał adwokat, zupełnie ich nie interesowało. „I skąd wstręt taki do ogrodu Temidy? – zapytywał zebrane. – Oto po prostu kwiaty z tego ogrodu uważane są za bezbarwne, a więc nudne, a nauka o nich za zbyt specjalną”.

Pobłażliwy ton Kamińskiego, choć irytujący, był uprawniony. To prawda, że kobiety nie posiadały formalnego wykształcenia prawniczego i nie orientowały się zbyt dobrze w zawłościach finansowych prawa małżeńskiego. A przecież to od posagów, spadków, rozdzielności i wspólnot majątkowych, obowiązku utrzymywania dzieci, inwentaryzacji wyprawy panińskiej zależało całe ich życie. Ogród Temidy mógł być bezbarwny (i pełen ukrytych ścieżek), ale należało poruszać się po nim sprawnie i zdecydowanie.

W podobnym tonie wypowiadała się Zofia Kowerska, autorka poradnika *O wychowaniu macierzyńskim*. Kowerska, pisarka i krytyczka literacka, wygrała zorganizowany przez „Bluszcz” w 1879 roku konkurs na poradnik. Wydawcy gazety pragnęli wspomóc finansowo publikację poradnika o wychowaniu dzieci „traktującego przedmiot wszechstronnie” i „opartego na naukowych zasadach”<sup>3</sup>. W poradniku Kowerska poświęciła wiele miejsca wychowaniu dziewcząt, skarżąc się przy okazji, że większość kobiet funkcjonuje bez znajomości podstawowych praw dotyczących bezpośrednio ich życia. „Niech panna wie, co to jest instytucja hipoteki, towarzystwa kredytowego, co są obroty papierów publicznych, co banki, giełda, prawo wekslowe”<sup>4</sup> – namawiała matki, postulując, by ktoś wydał podręcznik dla panien prosto wyjaśniający te podstawowe kwestie. Kowerska pisała te uwagi dziesięć lat przed wykładem Kamińskiego, przewidując jego przygany: „Prawnicy utrzymują, że niema uciążliwszej i nieznośniejszej rzeczy nad rozmowę o interesach z kobietą, wdową, która przez rodziców odsuwana od życia praktycznego, następnie przez męża utrzymywana w stanie dziecięcej nieznamomości zewnętrznego życia warunków – nic nie rozumie, wszystkiego się lęka, a o niczem nie ma najmniejszego pojęcia”.

Rzeczywiście, wiele kobiet nie wiedziało absolutnie nic na temat finansów. Nie wynikało to jednak z ich osobistej niechęci do prawa małżeńskiego (czy też z niechęci do zajmowania się skomplikowanym tematem, jak protekcjonalnie zakładał Kamiński), ale z tradycyjnego wychowania, które nie uznawało takich informacji za istotne. Kowerska widziała w tym również dużą winę mężów, którzy specjalnie nie wtajemniczali żon w sprawy finansowe, z wielu powodów – uznając, że kobieta nie zrozumie zawiłych kwestii prawnych, że znając sytuację finansową rodziny, będzie nadmiernie rozrzutna, albo też z chęci ukrycia swoich długów i problemów finansowych, spraw często pomijanych lub wprost zakłamywanych w okresie narzeczeństwa.

Podobne wychowanie miało nieraz katastrofalne skutki. Eliza Orzeszkowa, wydana za mąż jako świetna partia z dużym posagiem (5 tysięcy rubli rocznie dochodu z majątku ziemskiego Miłkowszczyzna, 30 włók lasu oraz ruchomości ocenione w opiece szlacheckiej na 10 tysięcy

rubli<sup>5</sup>), po powstaniu styczniowym musiała mierzyć się z wieloma problemami: separacją z mężem, jego ukrywanymi wcześniej długami i kontrybucjami nakładanymi przez władze rosyjskie na polskich właścicieli ziemskich. Orzeszkowa, mimo inteligencji i przedsiębiorczości, zupełnie nie radziła sobie w takiej sytuacji nawet z pomocą prawnika. „Każdy dzierżawca, oficjalista, Żyd, plenipotent mógł mię wyprowadzić w pole, jak daleko sam chciał – wspominała gorzko po latach – a w dodatku, gdy mi o tych rzeczach mówiono, po pięciu już minutach zaczynałam myśleć o czym innym i dlatego, aby mózdz swobodnie myśleć, zgadzałam się na wszystko, byleby tylko prędzej, prędzej był temu koniec”<sup>6</sup>. Ostatecznie majątek sprzedano, a pisarka musiała wyprowadzić się do Grodna.

Upadek finansowy Orzeszkowej miał miejsce w 1864 roku. Kowerska napisała poradnik w 1879. Kolejny dodruk, wynik wielkiej popularności, wyszedł w 1893 i cieszył się popularnością przez wiele następnych lat. Kopia z tego właśnie roku, znajdująca się w zbiorach Biblioteki Narodowej, ma na okładce dwa dopiski. Jeden to podpis właścicielki: „Władzia Szabowska, Berdyczów, 1903”. Drugi to dedykacja, zamieszczona wyżej: „Dla Alinki Sarnowskiej jako wskazówkę w wychowaniu córeczki przesyła Ciocia książkę, pozostałą po Cioci Władzi. Stefania Grabowska, 1939”. Córeczka Alinki, czwarte pokolenie kobiet z tej rodziny będące w posiadaniu książki Zofii Kowerskiej, pewnie uznała jej rady za staromodne i zupełnie nieprzydatne. Jej babki i ciotki wychodziły jednak za mąż w czasach, gdy zastrzeżenia Kowerskiej, tak jak porady Kamińskiego i Józefa Langeo, były bardzo na miejscu. Tym bardziej że w Królestwie Polskim prawo regulujące kwestie finansowe w małżeństwie nie pozostawiało kobiety zupełnie bez możliwości kierowania swoim losem.

## *Bielizna, odzież, sprzęty kobiece*

Pierwszą decyzję finansową kobieta musiała podjąć jeszcze przed wstąpieniem w związek małżeński. Gdy zaręczyny były już ogłoszone, a obie strony i ich rodziny zadowolone z planowanych działań, państwo

młodzi mogli udać się do rejenta i sporządzić umowę przedślubną. Mężczyzna występował w swoim imieniu, kobieta w swoim (jeśli oboje byli pełnoletni, to znaczy skończyli dwadzieścia jeden lat). Od zawartej tam lub pominiętej właśnie umowy zależało dalsze życie pary.

Kodeks cywilny Królestwa Polskiego nie definiował dokładnie, jak powinien przebiegać podział majątku żony i męża w małżeństwie. Para wypełniająca dokumenty przedślubne mogła zadeklarować wyłączność (obecnie: rozdzielność) majątkową, wspólnotę majątkową, rząd posagowy albo zdać się na przepisy ogólne. Wspólnota majątkowa polegała na tym, że mąż nie mógł bez zezwolenia żony, a żona bez zezwolenia męża obciążać ani sprzedać połowy swojego majątku wniesionego do związku. Zarząd nad całością dóbr (swoich i żony) miał mąż. Intencją takiej umowy było, żeby mąż utracił nie część swojej ani żony i by całość mogły odziedziczyć dzieci. Problem w takiej sytuacji (czy też, zależnie od zamożności jednej z osób, szansa) polegał na tym, że w przypadku dużej nierówności finansowej małżonków druga strona znacznie wzbogacała się na połowie majątku tej pierwszej. Połowa zadłużonego dworku to zdecydowanie mniej niż połowa posagu w wysokości 30 tysięcy rubli. Dlatego też Kamiński krytykował takie rozwiązanie, mówiąc, że „małżeństwo w samej swej zasadzie nie powinno przecież zaliczać się do sposobów nabycia majątku”<sup>7</sup>.

Wyłączność (czyli obecnie rozdzielność) majątkowa polegała na tym, że obie strony miały swój majątek, nad którym sprawowały zarząd, i obie strony musiały ponosić koszty codziennego życia w małżeństwie proporcjonalnie do stanu posiadania (czyli osoba zamożniejsza więcej). W tym przypadku żona mogła rozporządzać swoim majątkiem w tym sensie, że mąż występował w jej imieniu z pozycji pełnomocnika, a więc musiał składać jej rachunki na dowód dobrego zarządzania majątkiem. Taka umowa, inspirowana podobnymi rozwiązaniami w austriackim prawie w Galicji, nie podobała się orędownikom konserwatywnego modelu małżeństwa. Kamiński zwracał uwagę, że wyłączność majątkowa mogła stać w sprzeczności z innymi prawami małżeńskimi, na przykład obowiązkiem mieszkania pod tym samym adresem:

Wyłączność własności majątków [...] jest w sprzeczności z prawidłem powszechnem, przez wszystkie prawodawstwa przyjętem, męża za głowę rodziny uznajacem. Żona, będąc mocną bez wpływu męża i bez jego zezwolenia, zobowiązywać się, majątek swój zbywać lub obciążać, dochodami zarządzać, mogłaby temsamem inny sposób życia od męża prowadzić, w innym miejscu niż mąż chce, mieszkać albo często przebywać, inaczej dzieci wychowywać – i zgoła wszelkie układy i zamiary męża nieustannie krzyżować.

Rozdzielność majątkowa nie miała jednak aż tak wielkiej siły rażenia, szczególnie jeśli chodzi o niepokojące krzyżowanie planów mężczyzny. Józef Lange w swojej broszurze *O prawach kobiety jako żony i matki* zauważał, że nawet w przypadku wyłączności żona może zarządzać swoim majątkiem tylko w sprawach administracyjnych (czyli podpisywać na przykład umowy najmu należącego do niej mieszkania), a nie może między innymi sprzedawać ani nabywać nieruchomości czy podnosić kapitału przedsiębiorstwa bez zgody męża. Dodatkowo w sytuacji podpisania takiej intercyzy żona zobowiązana była do utrzymywania rodziny w stopniu adekwatnym do posiadanego majątku, a jeśli mąż nie miał pracy ani możliwości jej dostania, utrzymywania rodziny w całości<sup>8</sup>. Nie dziwi więc, że wiele kobiet nie decydowało się na takie rozwiązanie mimo potencjalnych korzyści z niego płynących.

Trzecim typem umowy przedślubnej był rząd posagowy, czyli sytuacja, w której z majątku wspólnego wyłączony był posag żony. Ani ona, ani on, nawet za zgodą współmałżonka i z własnej nieprzymuszonej woli, nie mogli naruszać żadnych nieruchomości wchodzących w skład posagu. To rozwiązanie mogło odstraszać potencjalnych łowców posagów – po co żenić się z zamożną panną, skoro z jej majątkiem nie można nic zrobić? Jednak Kamiński zauważał, że takie rozwiązanie, traktujące posag jako „fundusz żelazny”, nie jest właściwie korzystne dla nikogo, a już najmniej dla ekonomii, ponieważ zamraża pokaźne czasem środki i nie pozwala na ich inwestowanie ani pomnażanie. Dopuszczał jedno rozwiązanie, to znaczy częściowe wpisanie posagu w rząd posagowy. „Gdybym miał dwie rzeczy, których nie posiadam, tj. córkę i znaczny majątek – zwierzał się kobietom zebranych w sali ratuszowej pałacu Jabłonowskich – to pewną część takowego, broń Boże, nie całość, poddałbym pod posagowe rozporządzenie artykułu 221. Ze 100 tysięcy np. rubli niech sobie 90 będzie



swobodnych, niech moja córka pod kierunkiem swego męża [...] z pożytkiem dla siebie i dla kraju dojdzie fortuny, ale jeżeli losy zrządzą inaczej, [...] to niech te 10.000 nieruchomości, nienaruszalne, zostaną jej na czarną godzinę. Nisko oprocentowane nie uchronią jej od biedy, ale od nędzy zabezpieczą”<sup>9</sup>.

Większość małżeństw rozporządzała majątkiem, posiłkując się jednak prawem ogólnym. Prawo to stanowiło, że w małżeństwie każdy małżonek jest właścicielem swojego majątku ruchomego (jak pieniądze czy biżuteria) oraz nieruchomości (jak posiadłości, ziemia czy mieszkania). Mąż jednak zarządzał całym majątkiem żony (choć oczywiście musiał uzyskiwać jej zgodę na sprzedawanie czy zadłużanie nieruchomości) i był właścicielem wszystkich pochodzących z niego dochodów, jak na przykład czynszu z wynajmowanej kamienicy. Mógł więc zainwestować posag żony w rozbudowę czy naprawę domu, rozwój własnego interesu i tak dalej. Do niego należały też pieniądze zarobione w trakcie małżeństwa przez żonę, chyba że pochodziły one z „oddzielnego handlu, kunsztu, profesji lub talentu”<sup>10</sup>. Na ogół oznaczało to, że kobieta pracująca w restauracji, szynku, sklepie czy zakładzie rzemieślniczym męża nie miała prawa do własnych dochodów. Kamiński zwracał uwagę, że przepis ten odnosi się głównie do „literatek i artystek”, a nie pracujących często w obrębie gospodarstwa domowego kobiet z klasy niższej.

Według kodeksu cywilnego obowiązywało domniemanie, że wszystko, co posiadają małżonkowie, stanowi własność męża. Wynikały z tego nieprzyjemne konsekwencje, jak na przykład to, że gdy kobiecie trafił się mąż hazardzista, utracjusz i dłużnik, wierzyciele mogli z powodzeniem zgarnąć na pokrycie długów pieniądze, które do małżeństwa wniosła żona. Kobieta zostawała dosłownie w samej koszuli, ze szczotką do włosów w dłoni. Jak to ujmował kodeks cywilny: „Jeżeli wątpliwość zachodzi względem dorobku, czyli od żony pochodzi, domniemanie jest za tem, że jest dorobkiem męża. Bielizna, odzież i sprzęty kobiece, do użytku żony służące, choćby przez męża sprawione były, uważają się zawsze za własność żony”<sup>11</sup>. Jedynym sposobem na zabezpieczenie się przed takimi praktykami było sporządzenie inwentarza przedślubnego, gdzie kobieta

wyraźnie zapisywała u rejenta, co wnosi do małżeństwa, a więc która część majątku należy do niej i nie może być naruszana przez osoby trzecie.

Do tego kroku zachęcali wszyscy prawnicy. Józef Lange pisał, że sporządzenie inwentarza jest szczególnie przydatne w przypadku ruchomości, bo „po latach kilku lub kilkunastu dla żony może być wprost niemożliwym dowieść, że ona, a nie mąż, nabyła jakąś szafę lub stół”<sup>12</sup>. W innym jeszcze miejscu wracał do tematu mebli, precyzując: „fakt, że ona kupowała, lub też rachunek stolarza na jej imię wydany, nie stanowi sam przez się dowodu, żona bowiem najczęściej załatwia sprawunki domowe. Musi ona jeszcze dowieść, że kupowała właśnie za swoje pieniądze”<sup>13</sup>, by po śmierci męża obronić się przed wierzycielami lub innymi spadkobiercami. Kamiński doradzał to samo, wspominając, że inwentaryzacja majątku ma sens szczególnie wtedy, gdy małżonkowie nie są zamożni, a kobieta wnosi posag:

Inaczej rzecz się ma z ruchomościami, choćby z tak zwaną „skromną wyprawą”. Jeżeli niema dowodu przeciwnego, to prezumpcją prawną jest, iż nie tylko wszelka gotówka, ale i meble do męża należą, i zdarza się tedy dość często właśnie między ludźmi małej zamożności, że z wielkim nieraz trudem sprawiony na wyprawę dla panny ładny garniturek mebli, fortepian, przedmioty użytku domowego, prędeż lub później za długi męża opisane i sprzedane zostają<sup>14</sup>.

Podobne zalecenia można było znaleźć w niektórych poradnikach dla młodych panien. Większość z nich nie podejmowała tematu, kierując się zapewne krytykowanym wyżej przeświadczeniem, że kobietom nie wypada rozmawiać o pieniądzach. Kiedy jednak kwestia ta była poruszana, to z godną uznania bezpośredniością. Poradnik *Pani domu. Skarbiec porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów* pouczał w 1904: „Jak najuprzejmiej prosimy piękne czytelniczki o łaskawe odwrócenie uwagi od zbytków, które przystoją jedynie możliwym tego świata, [...] a raczej skupić się i rozważyć, że droga życia nie jest bynajmniej pudełkiem pralinek”<sup>15</sup>. Aby zaś zabezpieczyć się od „zakosztowania gorzkiego piołunu”, autor poradnika polecał bezwzględnie spisać intercyzę jako „rzecz niezmiernej wagi i doniosłości”. Niestety, jak ubolewał Józef Lange, większość umów przedślubnych, o ile w ogóle do nich dochodziło, polegała raczej na

spisaniu nieruchomości żony oraz na pokwitowaniu przejęcia przez męża posagu.

Który następnie zużywany był na pokrycie długów.

## *Panna lub wdowa z kapitałem w celach matrymonialnych*

Biorąc pod uwagę, jak często zarzucano kobietom, że nie znają się na finansach i przez własną naiwność czy brak edukacji nie potrafią zabezpieczyć się prawnie, zaskakujące jest, jak bardzo bezpośrednio i kobiety, i mężczyźni dyskutowali na temat wnoszonego wiana. Kobiety mogły nie zdawać sobie sprawy z zawłości konkretnych typów umów przedślubnych, lecz na pewno wiedziały, ile warte są ich posagi. Przytaczane na początku rozdziału skrupulatne wyliczenia Wokulskiego czy słowa Orzeszkowej, że konkurenci do jej ręki „prosili o moją... piękną, pszeną i leśną Miłkowszczyznę”<sup>16</sup>, nie dziwią, gdy spojrzy się na ogłoszenia matrymonialne z przełomu wieków.

W anonsach, z racji ograniczonej liczby znaków i sztywnej formuły, ich autorzy przechodzili od razu do rzeczy. Kawaler, wiek, wyznanie, pozycja społeczna, czasem też kilka słów o wyglądzie („brunet urody znośnej”<sup>17</sup>, „młody przystojny”<sup>18</sup>, „przyjemnej powierzchowności”<sup>19</sup>) i wymagania względem małżonki. Kobiety miały być dość młode, najlepiej między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, panny lub wdowy, niektórzy wyrażali jeszcze nadzieję w kwestii sympatycznego wyglądu potencjalnej żony. Jeden element był jednak niemal obowiązkowy. Prawie każde ogłoszenie zawierało preferowaną wysokość posagu.

Wymagania co do posagu wahały się w zależności od pozycji społecznej i zamożności samego mężczyzny – niektórzy pragnęli panny przynoszącej co najmniej 10, 20 albo nawet 30 tysięcy rubli, inni zadowalali się tysiącem albo 500 rublami srebrnymi u potencjalnej małżonki. W 1890 roku ogłaszał się na przykład „młody, przystojny, łagodnego charakteru farmaceuta, nie posiadający gotówki” poszukujący panny przyjemnej „z posagiem od 10 000 do 15 000 rubli”<sup>20</sup>. Innym razem „młody, inteligentny mechanik na

drodze żelaznej w Warszawie”, zarabiający 600 rubli rocznie, szukał „żony panny lub wdowy z kapitałem od 1000 rs”<sup>21</sup>, czyli wynoszącym prawie dwa razy tyle co jego roczna pensja (a może nawet więcej, skoro określał tylko dolną granicę wysokości posagu, jak zresztą robiła to większość dających ogłoszenia mężczyzn).

Kobiety rzadko ogłaszały się w „Kurierze Warszawskim”, dużo częściej w wychodzących później czasopismach specjalistycznych. W działającym w latach 1909–1913 „Flircie Salonowym” stanowiły już prawie połowę zainteresowanych. Dwie trzecie ogłoszeń kobiet zawierało też informacje o posagu – w tym 13 procent o jego braku. Dziewczyny pisały na przykład: „Panna, lat 18, blondynka, sympatyczna, wysoko wykształcona, inteligentna, lecz bez posagu, pragnie wyjść za mąż za inteligentnego i również wykształconego mężczyznę do lat 30 na stanowisku”<sup>22</sup>. Kandydatki bez posagu były też mniej wymagające. Kobiety z pieniędzmi ogłaszały się bardziej konkretnie. W tym samym numerze wdowa z 10 tysiącami rubli posagu pisała, że chce poznać kogoś inteligentnego na stanowisku doktora lub inżyniera<sup>23</sup>.

Mężczyźni bez skrępowania pisali też, po co im pieniądze wniesione do małżeństwa przez żony: na pokrycie długów albo ratowanie podupadającego interesu. We „Flircie Salonowym” w 1911 roku ogłaszał się:

Hrabia-kawaler, zdrów, mówią, że przystojny, z wyższym wykształceniem, pragnie poślubić pannę lub wdowę od 20 do 30 lat z dużym posagiem, w celu utrzymania majątku ziemskiego. Pośrednictwo przyjmuje się. Oferta serio, tylko o takie proszę<sup>24</sup>.

Hrabia nie precyzował, co znaczy „duży posag”, podobnie jak inny mężczyzna, który z kolei w zamian za posag zamierzał przymknąć oko na wiek potencjalnej żony: „Kawaler, lat 27, brunet przystojny ożeni się z panną posażną lub wdówką do lat 40. Oferty Mokotowska 9 u stróża”<sup>25</sup>.

Na ogół jednak mężczyźni podawali w ogłoszeniach dokładne kwoty:

Mężczyzna, lat 37, katolik, wykształcony, poszukuje panny lub wdowy w celach matrymonialnych z kapitałem rs 500, który ma posłużyć na wyrobienie mu pewnego stanowiska, dającego w przyszłości niezależny byt i utrzymanie dla całej rodziny<sup>26</sup>.

Podobnie ogłaszał się przystojny farmaceuta bez gotówki szukający panny z posagiem między 10 a 15 tysięcy rubli, który twierdził, że za te pieniądze pragnie nabyć aptekę<sup>27</sup>, albo „młody, przystojny z dobrej rodziny technik”, który chciał poślubić inteligentną pannę „z posagiem od 6 tysięcy rubli dla założenia interesu”<sup>28</sup>. Niektórzy zaś odwoływali się do wyższych uczuć potencjalnych kandydatek:

Do dobrych serc Waszych, płci piękna, zwraca się samotnik: która z Was ukoi smutek biednego wdowca z sześciorgiem dzieci? Lat 41, szatyn, wysoki, przystojny, urzędnik z wyboru – właściciel 20 włók ziemi... wymaga serca dla dzieci i siebie... niestety i posag konieczny. Oferty z fotografią Flirt dla „Tęskny”. Dyskrecja rzecz honoru<sup>29</sup>.

Nie zawsze oferty miały tak jednostronnie korzystny charakter. Część mężczyzn deklarowała, że szuka żony z posagiem odpowiadającym ich własnym odłożonym środkom. Wdowiec w średnim wieku szukał na przykład panny lub wdowy z posagiem od 10 tysięcy rubli, ale precyzował, że ma „interes wartości kilkunastu tysięcy”<sup>30</sup>. Podobnie „blondyn sympatyczny” w wieku lat trzydziestu dwóch szukał żony z posagiem od 20 tysięcy rubli, ale dodawał, że sam posiada majątek wart 70 tysięcy<sup>31</sup>. Z kolei wdowiec z dwójką dzieci szukał dla nich dobrej matki z posagiem od 10 tysięcy. Trudy wychowywania przybranych dzieci i dość wysokie wymagania posagowe miał kobiecie osłodzić fakt, że wdowiec ów posiadał „w interesie przemysłowym” 40 tysięcy rubli<sup>32</sup>. Czasem ludzie nie podawali nawet konkretnej sumy, pisali po prostu, że szukają kogoś, kto ich utrzyma. Tak ogłaszały się zarówno kobiety, jak i mężczyźni. W 1913 roku w „Tygodniku Małżeńskim” pojawiły się na przykład ogłoszenia:

20-letni młodzieniec, inteligentny, sympatyczny, pełen naturalnego humoru i dowcipu, z wielką przyszłością, w celu rozpoczęcia moralnego żywotu poszukuje dożgonnej towarzyski w wieku starszym (wyznanie i narodowość nie stanowi różnicy) z dużym kapitałem, w zamian małżonce swej przyrzeka być przyjacielem, szczerym i przywiązanym<sup>33</sup>.

Bezposażna! Wdówka, bezdzietna, niebrzydka, niestara, sympatyczna, posiadająca języki, oszczędna, pracowita, gospodarna, zgodna, szuka zamożnego mężulka, który potrzebowałby jej pociechy, podpory w swoim kalectwie, chorowości lub starości.

Można by uznać, że mężczyźni (i kobiety) ogłaszający się w czasopismach matrymonialnych albo na ostatnich stronach „Kuriera Warszawskiego” byli zdesperowani, a ich bezpośredniość wynikała z nieciekawej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Również w najzamożniejszych kręgach przemysłowych Królestwa Polskiego spłacano długi posagiem żony lub finansowano nim działalność gospodarczą.

„W każdym większym mieście istnieją oznaczone miejsca i dni, gdzie wyższe klasy spotykają się dla zawierania małżeństw”<sup>34</sup> – pisał August Bebel w 1907 roku.

Zebrania te słusznie zupełnie są nazywane „giełdami małżeńskimi”, gdyż, jak na giełdzie, spekulacja i szacherka grają tu główną rolę, a oszustw i szwindli też nie brak. Zadłużeni oficerowie, o starym szlacheckim tytule, rozpustą wyniszczeni światowcy, szukający w małżeństwie opieki dla zrujnowanego zdrowia; fabrykanci, kupcy, bankierzy, niedalecy od bankructwa, a często i od więzienia, a obok nich urzędnicy z widokami na awans, ale bez pieniędzy – są klientami tych giełd i zawierają transakcje małżeńskie. [...] Pieniądz powetować może wszelkie straty, pokryć wszelkie wady.

„Fabrykanci, kupcy i bankierzy” korzystali z szans, jakie oferowały posagi, nie tylko wtedy, gdy musieli ratować własne majątki. Znaczna część wielkich fortun przemysłowych nie powstałaby, gdyby nie posag narzeczonej czy ustosunkowany teść.

Carl Wedel, założyciel przedsiębiorstwa cukierniczego E. Wedel i protoplasta bajecznie zamożnej rodziny Wedlów, przybył do Warszawy w 1845 roku i razem ze swoim współnikiem, Karolem Grohnertem, prowadził cukiernię przy ulicy Piwnej 12. W 1850 Wedel ożenił się z Karoliną Wisnowską, córką fabrykanta sukna. Tuż po ślubie, w 1851, postanowił odłączyć się od współnika i założyć pierwszą w Królestwie fabrykę czekolady. Tezę, że to posag Karoliny pozwoliło na rozwój przedsiębiorstwa, zdaje się potwierdzać fakt, że początkowo właścicielem fabryki był szwagier Wedla, Robert Wisnowski, który dzierżawił tylko Wedlowi przedsiębiorstwo. Wraz z szalonym sukcesem czekolady i innych słodczy Carl Wedel w końcu odkupił udziały szwagra<sup>35</sup>. Podobnie zaczynał Józef Żychliński, najbogatszy Polak międzywojnia, którego majątek w 1929 roku oceniano na 293 miliony złotych. Żychliński, poznański król imperium cukrowego, posiadający udziały w cukrowniach

i fabrykach rolno-spożywczych, część majątku odziedziczył po ojcu, jednak na wielki rozwój i rozbudowę pozwolił mu dopiero ślub z Zofią Thiel, córką bogatego adwokata z Wrześni, która wniosła do małżeństwa ogromny posag<sup>36</sup>.

Karol Scheibler, jeden z najbogatszych fabrykantów łódzkich, w latach pięćdziesiątych XIX wieku pracował jako dyrektor przędzalni w fabryce swojego wuja w Ozorkowie. W 1852 roku założył własne przedsiębiorstwo w Łodzi, a jego imperium przemysłowe w latach osiemdziesiątych XIX wieku było warte 14 milionów rubli. To na nim Władysław Reymont wzorował postać niemieckiego fabrykanta Hermana Bucholca w *Ziemi obiecanej*. Fabryk by jednak nie było, gdyby nie ślub Scheiblera z Anną Werner, córką Christiana Wenera, właściciela cukrowni w Leśmierzu, a także dwóch farbiarni w Ozorkowie oraz Zgierzu. Anna wniosła w posagu 20 tysięcy rubli, które stanowiły 60 procent majątku zainwestowanego przez Karola w budowę zakładów przy Wodnym Rynku w Łodzi. Znaczenie pieniędzy Anny było tak duże, że po śmierci Karola do końca życia zachowała wpływy w przedsiębiorstwie – córka Matylda i zięć Edward Herbst, który przejął fabrykę po teściu, pamiętali, że bez jej wkładu finansowego potęga Scheiblerów mogłaby nie rozwinąć się tak imponująco<sup>37</sup>.

Małżeństwa pomiędzy dziećmi poszczególnych fabrykantów były „znamienne dla stosunków panujących wśród zamożnej łódzkiej burżuazji”<sup>38</sup>. „Giełdy małżeńskie”, o których pisał Bebel, w krzywym zwierciadle przedstawiał również Reymont. Córki łódzkich fabrykantów w niewybredny sposób zachwalał Karolowi Borowieckiemu Bernard Endelman:

- Uwaga, zaczynamy! Milion okrągły! – szepnął, przedstawiając go Müllerównie.
- O, my się znamy dobrze! – zawołała Mada z radością, wyciągając rękę. [...]
- Dwieście tysięcy w wysortowanych towarach albo w niepewnych wekslach – szeptał znowu Bernard, przedstawiając go brzydkiej, czarnej prawie od piegów pannie, której głowa, twarz i chudy biust zasypane były pudrem i brylantami. – Czy ma zęby własne, nie rękę, ale za brylanty odpowiadam. [...] Zaraz pana do ruin doprowadzę. Pięćdziesiąt tysięcy *bares geld* na stół, ale papa może się jeszcze raz spalić, to posag się skwadratuje.

Niemłoda, blada panna, o anemicznym spojrzeniu, zielonawej twarzy i sukni, uśmiechnęła się jakimś bolesnym uśmiechem, odsłaniając długie, rzadkie zęby i sine dziąsła. Borowiecki się skłonił i spiesznie odszedł. [...]

– Sto tysięcy, kaprysów za dwieście, a rozumu za trzy grosze – szeptał Bernard, przedstawiając go Feli, przyjaciółce Róży [...]. – Róża Mendelsohn! Nazwisko samo mówi: ile! ta druga, popielata, to Mela Grünspan, posagu nie wymienię w cyfrach, ale mogę pana objaśnić, że to najlepsza i najrozumniejsza panna w Łodzi – szepnął i przedstawił go przyjaciółkom, które ciekawie mu się przyglądały<sup>39</sup>.

Karol Borowiecki żeni się w końcu z Madą Müller, do której dołączony jest posag w wysokości miliona rubli. Jego próby założenia własnej fabryki spełzły na niczym, sabotowane przez innych, większych fabrykantów. Ostatecznie sukces finansowy osiąga nie z powodu własnej przedsiębiorczości czy sprytu, ale przez małżeństwo. Nie chce się żenić z ziemianką Anką, mimo że ten związek oparty byłby w większym stopniu na uczuciu. Rozmyślając o wyborze żony, Borowiecki przyznawał sam przed sobą: „burzyło się w nim wszystko na myśl, że przez to małżeństwo zejdzie do roli pionków, że jeśli zechce co mieć, to musi pracować lata całe, musi wyciskać maszyny, ludzi, wszystko, żeby coś wycisnąć dla siebie i to teraz! Teraz, gdy mu stary Müller dosyć wyraźnie powiedział, że mu odda Madę i zarząd fabryki, od razu milionową fortunę, od razu wielkie interesy i możliwość robienia jeszcze większych”.

Nie tylko ten fikcyjny przedsiębiorca nie doszedł do majątku samodzielnie. Stanisław Wokulski, który w 1878 roku kalkulował, ile będzie go kosztowało utrzymanie Izabeli, sam dorobił się pierwszego majątku na ślubie z Małgorzatą Minclową, wdową po Janie Minclu, która w posagu wniosła sklep. Po jej przedwczesnej śmierci odziedziczył jeszcze 30 tysięcy rubli posagu, które zainwestował za radą moskiewskiego przedsiębiorcy Suzina w dostawy dla wojska podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Z wojny wrócił już zaś z 250 tysiącami rubli w gotówce.

Wygląda więc na to, że najwięksi polscy przedsiębiorcy, zarówno fikcyjni, jak i ci prawdziwi, wielkie pieniądze zaczęli zarabiać nie z powodu własnych przymiotów charakteru, głębokiego zrozumienia rynku kapitalistycznego czy determinacji i ciężkiej pracy. Owszem, te cechy pozwalały na pomnażanie majątków i tworzenie imperiów przemysłowych,



jednak początek drogi nad wyraz często był ten sam – bogata kobieta, córka zamożnego ojca i jej posag.

Mada Müller jest przedstawiana jako porządna, niemiecka dziewczyna, której główne zainteresowania to dom i kuchnia i która deklaruje: „gdybym mogła [urządzić świat], to by wszystkie kobiety na świecie miały mężów i dzieci”. Od brata i ojca co chwilę słyszy, że jest głupia, że ma się nie odzywać i że na niczym się nie zna. Reymont okrutnie opisuje jej twarz „podobną do świeżo upieczonej bułki” i „żółte jak marchew włosy”. Kilka danych jej w powieści dialogów wskazuje jednak, że jest szczerą, miłą i empatyczną, a sam Borowiecki myśli w pewnym momencie, że Mada „zdradzała dużą żywość umysłu i wiele rozsądku życiowego”. A jednak w pamięci czytelników, a na pewno widzów ekranizacji *Ziemi obiecanej* Andrzeja Wajdy, pozostaje jako prosta, śmieszna parweniuszka (grana komicznie przez Bożenę Dykiel), która niezdarne poluje na niechętnego Borowieckiego, chociaż to przecież on, a nie ona, ma interes w zawarciu tego bardzo korzystnego małżeństwa.

O Małgorzacie Minclowej słyszymy tylko, że Wokulski „wkręcił się do sklepu Minclowej, która akurat została wdową, i w rok potem ożenił się z babą grubo starszą od niego. [...] baba objadła się czegoś i umarła, a Wokulski po czteroletniej katordze został wolny jak ptaszek, z zasobnym sklepem i trzydziestu tysiącami rubli w gotowiźnie, na którą pracowały dwa pokolenia Minclów”<sup>40</sup>. Małżeństwo Wokulskiego obśmiewali wszyscy jego znajomi. Subiekci w sklepie z politowaniem patrzyli, jak pani Małgorzata przytulała się do męża i była zazdrosna o ładne klientki. Czytelnik odnosi wrażenie, że Minclowa jest komiczną matroną, ważną jedynie z tego powodu, że jej majątek przysłużył się dalszym podbojom finansowym rynku wschodniego czynionym po jej śmierci przez Wokulskiego. A przecież nie jest to prawda. Małgorzata Pfeifer, zanim wyszła za mąż za Jana Mincla, była wielką miłością Rzeckiego, który opisywał ją jako znaną w towarzystwie kupieckim piękność. Co więcej, Minclowa nie była stara, a przynajmniej nie „grubo starsza” od Wokulskiego. Wokulski w roku akcji powieści miał czterdzieści sześć lat. Małgorzata zmarła w wieku około czterdziestu ośmiu lat, mniej niż dwa lata przed akcją powieści. Prawdopodobnie była rówieśnicą Rzeckiego, a więc była starsza od

Wokulskiego jedynie o cztery lata. A jednak znowu, mimo że to on dorobił się na ślubie z nią, to ona wyśmiewana jest jako zdesperowana stara baba, która z miłości do męża próbuje upiększać się licznymi kosmetykami i niejako za karę umiera na zakażenie krwi po którejś niebezpiecznej kuracji.

Marta Sikorska-Kowalska zwraca uwagę, że w spisach fabryk i fabrykantów, a także w dokumentach towarzystw kupieckich umieszczano nie tylko właścicieli firmy, ale też wszystkich członków rodziny. Już układ tych dokumentów świadczy o hierarchii ważności. W pierwszej kolumnie figurował fabrykant, w drugiej – jego synowie, w trzeciej – informacje o wykształceniu i wysokości kapitału osobistego i firmowego. W ostatniej kolumnie znajdowały się imiona żony i córek<sup>41</sup>. Po Leonii Poznańskiej, żonie Izraela, która wniosła w posagu sklep i koncesję na handel bawełną, nie zachowało się ani jedno zdjęcie. Niewiele wiadomo też o innych żonach fabrykantów, które zwykle żyły w cieniu mężów. Przeczytać możemy jedynie pamiętnik Heleny Geyer, żony Gustawa Geyera, przetłumaczony z niemieckiego i wydany drukiem prawie sto lat po jej śmierci. Helena nie wspomina w nim prawie wcale o handlu i codzienności zarządzania fabryką, skupia się na życiu rodzinnym. Jako starsza już kobieta o mężu nie pisze inaczej niż tylko „drogi, kochany mężulek”<sup>42</sup> i w puencie każdego opisanego wydarzenia podkreśla, jak bardzo był „piękny, mądry, sprawiedliwy i dobry”. Z najdrobniejszymi szczegółami opisuje swoje kolejne ciążę (urodziła dziewięcioro dzieci), dziecięce choroby córek i synów, ich upodobania, przygody i śmieszne powiedzonka. Z pamiętnika wyłania się obraz kobiety trzymającej się na uboczu życia przemysłowego Łodzi, podobnej do Mady Müller, która chciała, żeby wszystkie dziewczyny mogły znaleźć męża i mieć dzieci, wychowanej „między kuchnią a fabryką”<sup>43</sup>. Wyśmiane, zlekceważone i zapomniane, żony przemysłowców często kończyły właśnie tam, mimo że to na ich posagach powstawały największe fortuny na ziemiach polskich.

Mąż, który zainwestuje posag żony i zmieni go w wielką fortunę, to najlepsze, na co mogła liczyć młoda kobieta z mieszczaństwa, konkurująca na rynku matrymonialnym w ramach systemu posagowego. Taki ideał nie trafiał się jednak często. Maria Konopnicka jako naczelną „Świt”

w 1888 roku wprost opisywała, do czego służy posag: „Oto służy on najczęściej do spłacenia kawalerskich długów męża, długów już to dawniejszej daty, już świeżo na konkury zaciągniętych, oraz do życia przez pewien czas nad normę, w jakiej się rodzina później utrzymać będzie musiała”<sup>44</sup>. Maria Ilnicka, redaktorka naczelna „Bluszczu”, pisała, że stałym środkiem utrzymania rodziny powinna być praca męża, a posag należałoby odłożyć na procent w banku: „Takie ograniczenie w używaniu posagu żony jest nie tylko rozsądną i obowiązującą męża troskliwością o jej los, ale przy tak postawionych prawach posagowych, nie byłoby tylu małżeństw dla pieniędzy zawieranych, nie byłoby tylu łowców posagu i gonitw do grosza kobiety, na czym, niestety! ona sama za późno się dopiero poznaje”<sup>45</sup>. Tekst Ilnickiej jest omówieniem publikacji Juliana Ochorowicza, wynalazcy i psychologa, który w 1891 roku wydał *Listy do narzeczonej*, poradnik relacji małżeńskich. Ochorowicz pisał, że rozsądne używanie posagu powinno być prawem zwyczajowym, ponieważ nadmierna swoboda mężczyzn w wydawaniu pieniędzy wniesionych przez żonę jest nie tylko nieetyczna, ale prowadzi też do bankructw i oszustw.

Oszustwa te zaś zaczynały się jeszcze przed zawarciem małżeństwa.

## *Kupić, nie kupić – to choćby potargować*

Wypoczynek w uzdrowisku był niebezpieczną rozrywką.

W Krynicy na przykład panna Melania wpadła, wskutek strategicznego osunięcia, do rzeczki Słotwinki. Wypadek widział na szczęście pan Adolf, który uratował młodą pannę od utonięcia (a na pewno dalszego przemoczenia sukni) i, jak rozumiemy, pod wrażeniem chwili oświadczył się jej. Jako że Melania już wcześniej obserwowała w uzdrowisku przystojnego Adolfa, zgodziła się i sprawa zmierzała do szczęśliwego zakończenia. Kiedy jednak wszyscy trochę ochłonęli, mężczyźni, czyli ojciec Melanii i sam Adolf, niezależnie od siebie postanowili zasięgnąć informacji na temat finansów drugiej strony. Dyskretne wizyty u wspólnego znajomego, również bawiącego w Krynicy doktora Landaua, wyjaśniły

sytuację. Ojciec Melanii dowiedział się, że pan Adolf jest „goły jak święty turecki”<sup>46</sup>; Adolf, że Melania nie ma żadnego posagu, natomiast jej ojciec ma 30 tysięcy guldenów długów.

Wobec tak niekorzystnej sytuacji matrymonialnej, w świetle przyjętych już oświadczeń, obie strony postanowiły dyskretnie wycofać się z umowy. Rodzina Melanii czym prędzej kupiła bilety na pociąg powrotny do Krakowa, wyjeżdżający jeszcze tej samej nocy. Na dworcu, oprócz pociągu, czekał na nich też Adolf – również uciekający do Krakowa pod pretekstem nagłej choroby wujka. Obie strony musiały więc wytrzymać ze sobą kilka godzin niezwykle krępującej podróży. Podobno rozmawiano o pogodzie, teatrze, jedzeniu, plotkach towarzyskich – na pewno jednak nie o zaręczynach, które „umarły na wieki, pogrzeb zaś odbył się cichutko”.

„Mutatis mutandis podobna historyja powtarza się dość często u wędrownych panien i spekulujących na posagi młodzieńców” – podsumowywał krakowski pisarz i poeta Michał Bałucki, powtarzający tę (jak zaklina się w tekście) prawdziwą historię. Zawarł ją w *Albumie kandydatek do stanu małżeńskiego. Z notat starego kawalera* z 1877 roku – serii portretów typów kobiecych wraz z oceną ich przydatności do małżeństwa. Bałucki, z wyżyn swojego starokawalerstwa, a więc mężczyzny wolnego od małżeńskich ambicji, przedstawiał czytelnikowi „doświadczenie nie bardzo już przydatne na moje stare zęby”.

Doświadczenie to zaś musiało być naprawdę ciężkie, poparte serią historyjek o nakreślonych grubą kreską „łowcach posagów” i pannach kuszących pieniędzmi rodziców. Stereotypy te były tak powszechnie znane, że pojawiały się w różnych miejscach hasłowo, nawet bez rozwijania wątku. Poradniki dla niezamężnych panien czy dla matek przestrzegały przed nieuczciwymi mężczyznami, a satyrycy, tacy jak Bałucki, tworzyli karykaturalne wizje prowincjonalnego najczęściej mieszczaństwa, dla którego rynek matrymonialny był w istocie grą pozorów, gdzie kawaler ukrywał przed panną długi, a panna przed kawalerem brak dużego posagu.

W innym miejscu *Albumu* przestrzegał kawalerów bawiących w uzdrowisku przed pannami, które pozują na zamożne, ale krótko trzymane przez rodziców. Do tego fortelu potrzebny jest też umówiony przyjaciel, który opowiada upatrzonemu kawalerowi, że panna ma ogromny

posag, a skromna suknia i brak pieniędzy na wystawne kolacje to efekt surowego wychowania („to ciepła panna, grosz jest, tylko mama dusi go, jak harpagon”). Im bardziej panna się broni, tym większe legendy udaje się rozprowadzić na temat jej rzekomej fortuny – w końcu rodzice muszą strzec czegoś naprawdę cennego, skoro wkładają w to tyle wysiłku. „W ten sposób niejednej wędrownej pannie udało się złapać na męża nawet zrujnowane hrabiątko jakieś – prawił Bałucki. – Wprawdzie po ślubie hrabiątko, zbadawszy istotny stan kasy, ulotniło się bez śladu, Żydzi zabrali meble wypożyczone na miodowe miesiące, resztę zabrał gospodarz za komorne i nie zostało wędrownej pannie nic, prócz tytułu hrabiny, a ten zawsze jeszcze lepszy od tytułu starej panny”.

W świecie stworzonym przez Bałuckiego pieniądze odgrywały pierwszorzędną rolę, a większość porad dla młodych kawalerów oscylowała wokół zagadnienia, w jaki sposób uniknąć związku z panną, która nie ma pieniędzy, natomiast doprowadzić do takiego, gdzie panna pieniądze zdecydowanie ma. Bałucki przedstawiał na przykład postać „Ruin Palmiry” (określenie na niegdysiejszą piękność), która nie wyszła za mąż nie z powodu braku okazji, ale nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Kiedyś uganiali się za nią mężczyźni, lecz przyszedł „krach finansowy, który pannę pozbawił posagu [...] a opuszczone serce popękało z rozpacz i ze wspaniałej panny zostały ruiny, w których hysterya i doktor wraz z puszczykami smutku obrały sobie mieszkanie”. Autor odradzał związek z „Ruinami Palmiry”, jednak nie wykluczał, że czasem może być on konieczny:

Bywają nieprzewidziane wypadki, w których tonący chwytą się choćby takiego antyka, byle mógł jego posagiem pospłacać pilniejsze weksle i zapewnić sobie jaką taką egzystencję. Kogo zaś los nie zmusi do tej ostateczności, temu także znajomość starych panien przydać się może. Warto poznać je choćby dla tej przyczyny, dla której poznamy się z gatunkami trujących roślin lub szkodliwych zwierząt, tj. aby wiedzieć, jak się ich strzedz i zabezpieczać od nich mamy.

Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że w albumie Bałuckiego nie ma właściwie żadnej kombinacji finansowo-towarzyskiej, która dawała widoki na szczęśliwe małżeństwo. Panna bez pieniędzy była niebezpieczna, bo kłamliwa, panna z pieniędzmi jeszcze gorsza, bo rozpieszczona i traktująca

męża z pogardą. Młoda panienka miała być uciążliwa, stara panna – jak widać z przytoczonego cytatu, podobna do trującej rośliny albo szkodliwego zwierzęcia. Być może to właśnie dlatego, a nie z powodu wrodzonej ostrożności, autor pozostał kawalerem do końca życia.

Bałucki pisał też komedie obśmiewające drobnomieszczańską pogoń za pieniędzmi i awansem społecznym, o wymownych tytułach: *Polowanie na męża*, *Pozłacana młodzież*, *Grube ryby* czy *Niewolnice z Pipidówki*. Sztuki tego typu cieszyły się nieustającą popularnością, a teatry z upodobaniem wystawiały farsy koncentrujące się na finansowej stronie relacji damsko-męskich. Widzowie, zarówno ci w związkach małżeńskich, jak i stanu wolnego, mogli wybierać, czy chcą zobaczyć *Pannę z posagiem* (1890)<sup>47</sup>, *Posag w kominie* (1886)<sup>48</sup>, *Polowanie na posag* (1914)<sup>49</sup>, *W pogoni za posagiem* (1884)<sup>50</sup>, *Kuzynkę bez posagu* (1868)<sup>51</sup> czy może dramatycznie zatytułowaną sztukę wystawianą w latach trzydziestych *Bez posagu... ożenić się nie mogę!*<sup>52</sup>.

Komedie były krótkie (na ogół jednoaktowe) i pełne typowych chwytów fabularnych – pomyłonych tożsamości, nieporozumień wynikających ze zbieżności imion, nazwisk znaczących (na jedną z zamożnych pań poluje na przykład adwokat Kręciakiewicz), bohaterów mówiących tak samo dużo do siebie nawzajem, jak i na stronie wprost do widzów, by wyjawić im w porę liczne podstępny. Akcja rozgrywała się na ogół w ciągu jednego dnia, w jednym pomieszczeniu – zarówno po to, by oszczędzić na dekoracjach, jak i by postacie mogły efektownie się ukrywać i wyskakiwać zza licznych drzwi prowadzących do jednego pokoju. Oś fabularna większości komedii wyjawiona była już w tytule – główna bohaterka to młoda kobieta, w wyniku spadku lub splotu okoliczności obdarzona wielkim posagiem, która następnie musi przejrzeć knowania komicznych konkurentów i ochronić majątek.

Przed takim zadaniem stanęła na przykład bohaterka *W pogoni za posagiem*, biedna (do niedawna) guwernantka Zosia. Po otrzymaniu spadku po zamożnej ciotce przedtem samotna panna teraz ma aż czterech pretendujących do jej ręki pazernych mężczyzn – komicznego starego rotmistrza, równie starego rejenta, przebiegłego asystenta adwokata

i samego adwokata, pana Kręciakiewicza, który machinacjami prawnymi (bo, jak wiemy, kobiety nie znają się na finansach) próbuje omotać Zosię i następnie oświadczyć się jej jako wybawiciel z kłopotów. Zosia jednak jest sprytna, wyprowadza w pole wszystkich konkurentów, pozwalając im się oświadczyć tego samego dnia, a następnie grupowo odprawia ich z kwitkiem, zostając w towarzystwie dalekiego kuzyna Jerzego, który oczywiście nie czyha na jej pieniądze, a jedynie na serce.

Jadwiga, bohaterka *Panny z posagiem*, jest córką zamożnego, lecz wiecznie roztargnionego sędziego. Kocha się w niej właściwie każdy męski bohater sztuki – romantyczny dzierżawca Jan, miejski fircyk Albin, rozmarzony poeta Ludwik. Jadwiga kocha jednak tylko Jana, który nie chce jej się oświadczyć („Mamże rzucić mu się na szyję i powiedzieć, weź mnie za żonę, bo suchot dostanę?!”), bo jako „tylko” dzierżawca boi się, że zostanie oceniony jako łowca posagu. Sytuację eskaluje przyjazd do majątku Albina, który nie kryje się, że zamierza zrobić dobrą partię, żeniąc się z Jadwigą. Wszystko, po serii podstępów, oczywiście kończy się oświadczeniami już w jednym akcie.

Źródłem komizmu jest zarówno farsowa omyłkowość zdarzeń, nieporadność samych konkurentów, jak i rzucone przez nich cyniczne uwagi na temat kobiet. Publiczność wie, że główna bohaterka nigdy nie wybierze tego, który mówi o niej w sposób lekceważący, mimo że wszyscy bohaterowie wcześniej czy później komentują materializm rynku matrymonialnego i nie kryją, że w dobieraniu małżeństw liczą się głównie pieniądze. Co innego jednak wahanie Jana z *Panny z posagiem* czy deklaracje nieśmiałego hrabiego Tyszewicza (nie Tyszkiewicza!) z *Kuzynki bez posagu*, że „o posag tak bardzo mu nie idzie”, a co innego – niegrzeczne, cyniczne dyskusje pozostałych konkurentów. Albin, po przyjeździe do majątku Jadwigi i jej ojca, rozmawia z Janem, tak opisując Jadwigę:

Nigdy w życiu [jej nie widziałem]... ale wiem, że ładna... przypuszczam wreszcie, że tylko przystojna, nie garbata, nie kulawa ani zyzowata... to dosyć... [...] Przy tym posag coś koło miliona, jak mi śpiewała prezesowa – cóż więcej potrzeba?<sup>53</sup>

Gdy zaś dowiaduje się od Jana, że Jadwiga ma już konkurenta do jej ręki, odpowiada:

Mój drogi, trudno, żebyś wymagał, abym dwadzieścia mil zrobił na próżno... kupić nie kupić – jak to mówią – to choćby potargować.

O pannach na wydaniu z *Kuzynki bez posagu* z kolei tak rozmawiają hrabia Tyszewicz i Radziszowski:

HRABIA: Doprawdy? Podobła ci się?

RADZISZOWSKI: Nadzwyczajnie. (na stronie) Po to tylko przyjechałem do tej dziury. (głośno) A przyznam ci się szczerze, że przede wszystkim podoba mi się i to od dawna jej okrągły posag. Ale à propos posagów, wiesz co mi wczoraj mówiono?

HRABIA: Zapewne to samo co onegdaj i dzisiaj, i jutro mówić będą, że je bardzo lubią i cenią i nierównie więcej jak te, które je przynoszą.

RADZISZOWSKI: (śmiejąc się) Ma się rozumieć, ale dodawano, że ty myślisz o pannie bez posagu, ale która ma krewnę Krezusa w spódnicy, który może ją wyposażyć.

Fabula *Kuzynki bez posagu* opiera się na tym, że bogata Księżna ma trzy kuzynki (bez posagu!), a ich bardzo ambitna matka próbuje wymóc na Księżnej podarowanie dziewczynom posagów, ponieważ inaczej nie wyjdą nigdy za mąż. Księżna nie chce wydawać pieniędzy, więc postanawia sama znaleźć kuzynkom zamożnych mężów. Ostatecznie okazuje się, że hrabia Tyszewicz nie chce ożenić się z żadną z nich, tylko z bogatą hrabianką Zosią, a w ostatniej scenie Księżna zostaje z tym samym kłopotem, co na początku sztuki.

Farsy, oprócz dostarczania rozrywki, przemycały też widzom treści dydaktyczne. Morały płynęły zwykle z ust kobiet, ofiar podchodów łowców posagu. Zmagania z interesownymi mężczyznami doprowadzają Zosię z *W pogoni za posagiem* do smutnej konkluzji, że „rubel jest wszechwładcą naszych stosunków, życia i uczuć i on nadaje nam patenta, że tak się wyrażę, na mądrych, wielkich, cnotliwych i prawych, lub wyzutych z wszystkiego co szlachetne i wzniosłe”<sup>54</sup>. Księżna rozmawia z panną do towarzystwa, Neumannową, narzekając na współczesnych mężczyzn:

KSIĘŻNA: Ale na Boga, zkadże ten wstręt do małżeństwa?



NEUMANN: Ztąd, że w tym wieku rachub obrachowano, że małżeństwo jest złym interesem.

KSIĘŻNA: Ale są przecież jeszcze panny z posagiem.

NEUMANN: Mało. Ale to też są jeszcze ludzie, którzy się starają o posagi, nie ma już takich, którzyby się starali o panny!<sup>55</sup>

W recenzji komedii małżeńskiej Aleksandra Fredry *Teraz*, wystawionej w 1878 roku, tak podsumowywano wybory bohaterki: „Jest więc jedna panna Agata, praktyczna, pozytywna, która wierzy tylko w kasę ogniotrwałą, a lubi tylko jedno na świecie, obcinać kupony, i ta po kwadransie rozmowy zupełnie otwartej i szczerzej idzie za mąż za wiedeńskiego bankiera czy agenta giełdowego, którego nie kocha, który jej nie kocha, tylko wzajemnie w sobie cenią swój zmysł praktyczny i robią korzystną spółkę. Tym życzy się, żeby ich pierwszy krach pochłonął”<sup>56</sup>.

W ironicznej recenzji *Bez posagu... ożenić się nie mogę*, sztuki wystawianej już w międzywojniu, autor podsumowuje, że „czytało się podobnych rzeczy i widziało wiele: takiej kobiecej dyplomacji pocziwej dziewczyny [...], takiego broniącego się od małżeństwa z myślą kościelną gentlemana, zwyciężonego wreszcie przez miłość. Komedyjka miła, zaktualizowana nowoczesnymi hasłami o konieczności posad i pracy dla bezrobotnych mężczyzn, o powrocie kobiety z biur i urzędów – do ogniska domowego, kuchni i dzieci”<sup>57</sup>. Rzeczywiście, mimo rzucanych ze sceny haseł o zepsuciu moralnym mężczyzn wszystkie omawiane sztuki podawały konserwatywny w gruncie rzeczy sposób na rozwiązanie tego problemu – znalezienie mężczyzny, który ożeni się z posażną panną bezinteresownie, z miłości. Biedniejszy dzierżawca Jan oświadcza się w końcu Jadwidze, bogaty hrabia Tyszewicz żeni się z równie bogatą hrabianką Zosią, Zosia z *W pogoni za posagiem* na końcu sztuki jest jeszcze wolna, ale widz ma nadzieję, że daleki kuzyn Jerzy, który nie odziedziczył żadnego majątku po zmarłej ciotce, wkrótce zdobędzie jej serce. Brak zainteresowania pieniędzmi, który przejawiają amanci, jest wszakże deklaratywny – skąd mamy wiedzieć, że nie obchodzi ich majątek posażnych panien, nie wiadomo. Pieniądze są tu nagrodą, której warci są jedynie ci, którzy nie chcą ich mieć. A długi?

Gdy w *Lalce* po licytacji kamienicy okazuje się, że Łęccy zarobili na tym więcej, niż można by się spodziewać, hrabina Karolowa radzi Izabeli, by zainteresowała się znowu Kaziem Starskim, który wrócił właśnie z zagranicy. Prezentuje jego zalety w znany nam już sposób: „Dla ciebie jest to wyborna partia, którą tym łatwiej będzie zrobić, że Tomasz ma kapitał, który powinien mu wystarczyć, a Kazio coś słyszał o zapisie ciotki Hortensji dla ciebie. No, przypuszczam, że Starski jest trochę zadłużony. W każdym razie to, co mu zostanie z majątku babki, z tym, co ty możesz wziąć po Hortensji, powinno by wam na jakiś czas wystarczyć. A później zobaczymy. On ma jeszcze stryja, ty masz mnie, więc wasze dzieci nie doznają biedy”<sup>58</sup>.

Izabela rozważa serio tę kandydaturę i wspomina o pomysle swojej kuzynce:

– Aaa!... – szepnęła panna Florentyna, jakby wypadek ten był już jej wiadomy. –  
Więc nie gniewa się?... – spytała, akcentując ostatni frazes.

– Zapewne... Zresztą nie wiem... – uśmiechnęła się panna Izabela. – Ciotka mówi,  
że jest bardzo piękny...

– I zadłużony... Ale cóż to szkodzi. Kto dzisiaj nie ma długów!

## *Otrucie grzybem*

W 1868 roku czasopismo „Kłosa” publikowało serię karykatur autorstwa Leona Kunickiego. Rysunki przedstawiały „typy żon” i podobnie jak dziesięć lat później almanach Michała Bałuckiego nie oszczędzały swoich bohaterek. Czytelnicy mogli pośmiać się z „żony starszej od męża, a więc podejrzliwej i zazdrosnej”, „żony literatki” (nigdy nie pamięta o obiedzie!), „żony gospodarnej” (goni do pracy!), „żony do *convenance*” („Przynajmniej przy ludziach udawajmy, żeśmy zgodne i czułe małżeństwo!”), jak również „żony posażnej”. Na tej ostatniej karykaturze żona, ubrana w obszerną i elegancką suknię, rzuca do skulonego przy kominku męża: „Nie robiąc ci żadnych wymówek, przypominam jednak, że

to, co masz dziś, masz z mojej łaski, bo przyznaj sam, że byłeś goły jak święty turecki”<sup>59</sup>.

Z biednych małżonków naśmiewały się też pisma satyryczne, jak wydawana w Warszawie „Fortuna” czy krakowski „Bocian”. Bezlitośnie komentowano zarówno damski, jak i męski materializm. W różny jednak sposób. W 1885 roku „Fortuna” pisała na przykład w dziale *Wiadomości bieżące*:

Samobójstwo.

W dniu wczorajszym dwudziestopięcioletni Heliodor X ożenił się z pięćdziesięcioletnią Eufrozyną Q, żyjącą z kapitału. Powodem samobójstwa były długi.

Otrucie grzybem!

Straszny ten wypadek dotknął ośmnastoletnią Fruzię. Pragnąc polepszenia losu, oddała ona rękę siedemdziesięcioletniemu niedoładze. Obecnie Fruzia narzeka, że grzyb posiada właściwości trujące. Co smutniejsze, iż trucizna działa nie natychmiastowo, lecz powolnie, na przeciąg całego życia! Aha, nie trzeba było się wdawać ze spruchniałymi grzybami!<sup>60</sup>

Już w tym małym zestawieniu dowcipów widać różne rozłożenie ciężaru winy. Wybór Heliodora nazywany jest samobójstwem powodowanym przez długi, a więc poważną tragedią, do której doszło z powodu poważnych problemów. Fruzia zaś podtruła się grzybem na własne życzenie, a gazeta wypomina jej, że nie powinna podejmować tak lekkomyślnych decyzji z powodu pieniędzy. Paradoksalnie większość dowcipów o małżeństwach dla pieniędzy dotyczy kobiet. Dwie koleżanki rozmawiają na przykład o wielbicielu jednej:

– Powiedz mi, Maniu, co mam odpowiedzieć temu głupiemu Kaziowi? Wystaw sobie, że wystosował do mnie oświadczenie miłosne na sturublowym papierku i prosi o odpowiedź.

– Powiedz mu, Zochno, że nie masz listowego papieru i żeby dla podtrzymania prawidłowej korespondencji przysłał ci chociażby liberkę takiego papieru, na którym on do ciebie pisał<sup>61</sup>.

Interesowność kobiet tropiona była we wszystkich klasach społecznych. W jednym numerze „Fortuny” czytelnicy mogli podziwiać rycinę *W salonie* przedstawiającą dwie modnie ubrane panny, toczące taki dialog: „– Papa

chce mnie wydać za Edwarda, ale podług mnie *il n'est pas bien*. – Nie zważaj na to, albowiem jego portmoneta *est bien*”<sup>62</sup>. Z kolei na rycinie *Z wesołego świata* widać dwie tancerki z podrzędnego wodewilu, rozmawiające w kulisach: „– Wiesz, ten wysoki, czarny, z drugiego rzędu, ciągle na mnie lornetował. – Znam go... Kostek... głupi, ale wziął po ciotce grube pieniądze. – Ach, poznajże mnie z nim czym prędzej! – Zaraz, otóż te grube pieniądze stracił do szczętu... – Tak? A to rzeczywiście głupi. Nie warto, abyś mi go nawet przedstawiała”<sup>63</sup>. O pieniądzach myślały zarówno same panny, jak też ich matki. „Bocian” drukował w 1904 roku dowcip o testamencie, w którym matka pisała do córki: „Córce mojej nie zostawiam żadnego legatu w gotówce, ale to tylko dlatego, że odziedziczyła po mnie takie wspaniałe łydki...”<sup>64</sup>. O kobietach (ale nie o mężczyznach) przeczytać można było też zbiory aforyzmów w tematyce finansowo-mażeńskiej, jak na przykład:

Mąż kobiety, która go zdradza, przypomina kapitał, ulokowany na ostatnim numerze hipoteki...<sup>65</sup>

Pocałunek, zwrócony przez kobietę, bywa niekiedy kredytem na zaciągnięcie poważniejszego długu...

Miłość kobiety da się kupić, ale wierność – nie<sup>66</sup>.

Dowcipy na temat mężczyzn związane były raczej z podkreśleniem ich dobrodusznego safandulstwa czy też nieporadnych negocjacji posagowych z majątnymi teściami. Na jednym obrazku zatytułowanym *Ze świata handlowego* młody mężczyzna rozmawiał z przyszłym teściem w obecności tajemniczo uśmiechniętej atrakcyjnej narzeczonej: „–Ja pańską córkę szacuję na dwakroć! Czy nie mylę się? – Nieszczęśliwy jesteś pan taksator. Ja jako ojciec wiem najlepiej. – Więc i pan posiada fałszywe brylanty?”<sup>67</sup>. W innym dowcipie dialog przebiegał następująco: „OJCIEC: Moja córka otrzyma teraz bardzo ładną wyprawę, a po mojej śmierci odziedziczy gotówkę 100 tysięcy złotych! MŁODY CZŁOWIEK: A czy nie mogłaby teraz otrzymać te 100 tysięcy, a po pańskiej śmierci odziedziczyć wyprawę?”<sup>68</sup>.

W innym numerze dialog przebiegał już między mężem a żoną:

ŻONA: Więc sobie to na nic nie żałujesz, a mnie to nawet samą na głupią Krynicy nie chcesz dać, chociaż cały majątek tylko mojemu posagowi zawdzięczasz!

MAŻ: Właśnie dlatego, moja duszko! Ja mam bogatą żonę, więc mogę sobie na niejedno pozwolić, a ty wyszłaś za mąż za ubogiego człowieka i dlatego powinnaś być oszczędna!<sup>69</sup>

Żart ten doskonale pokazuje różnice w ocenie. Mężczyzna z tego dowcipu jest w pozycji władzy. Mimo że to on nie miał pieniędzy (a więc ożenił się dla posagu, kobieta zaś zapewne z powodu uczucia), to teraz kontroluje cały majątek rodzinny i może nie dawać żonie środków na letni wyjazd do Krynicy. Upokorzenie odczuwane z powodu nierówności majątkowej odbija sobie, po pierwsze, wydając pieniądze żony, po drugie, wypominając jej nierozsądną decyzję matrymonialną (wyszłaś za mąż za człowieka ubogiego, dlatego nie pojedziesz na wakacje!), a po trzecie – odpowiadając na poniżające zarzuty żony inteligentną ripostą godną druku w gazecie.

Również wiele niesatyrycznych tekstów zawierało, w podtekście czy wprost, obronę mężczyzn żeniących się dla pieniędzy, a przynajmniej okazywało im wyrozumiałość. „Miejmy odwagę jasno wypowiedzieć zdanie to, dość upokarzające”<sup>70</sup> – pisała „Dobra Gospodyni” w 1903. Mężczyźni nie chcieli za żony biednych panien bez posagu. Żadna w tym ich wina. „Minęły już czasy romantyczne”, w których kawalerowie pojmowali za żony panny bez pieniędzy albo dobrych koneksji – „panna mniej ładna i dobra, ale bogata ma więcej starających się o nią niż najpiękniejsza i dobra jak anioł”. Autorka tekstu zrzucała to na karb drożyzny i niekorzystnych warunków ekonomicznych współczesnego świata, które sprawiały, że mężczyzna z drobnego mieszczaństwa, zarabiający 300 czy 400 rubli rocznie (jak na przykład urzędnik kolejowy z ogłoszenia we „Flircie Towarzyskim”), byłby nieodpowiedzialny, żeniąc się z kobietą, której posag, złożony w banku na procent, nie będzie dawał przynajmniej takiej samej miesięcznej wypłaty jak jego pensja.

W sukurs mężczyznom przychodziły też poradniki dobrego wychowania. Większość tych tekstów skierowana była do kobiet jako bardziej zależnych od towarzyskiej presji i kodów zachowania. Niektóre jednak, opisując akceptowane w mieszczaństwie sposoby zawierania umów

mażeńskich, zdradzały pośrednio, gdzie znajdowało się miejsce mężczyzn w tym procesie – w bezpośredniej bliskości sejfu ojca przyszłej panny młodej.

## *Jak uniknąć kłopotliwego zapytywania*

Jesteś młodym człowiekiem w pełni sił i urody, masz, co prawda, jeszcze skromną posadę, ale przy twojej pilności i staranności czeka cię awans niebawem. Prezentujesz się dobrze, masz mały zapas odłożonej gotówki, masz trochę długów, kilka garniturów, spory zapas bielizny, frak, cylinder i nieskończoną ilość modnych rękawiczek, krawatów, kołnierzyków i lasek spacerowych!<sup>71</sup>

W ten sposób rozpoczynał z werwą swój *Przewodnik zakochanych* Konstanty Krumłowski w 1903 roku. Tak przygotowany mężczyzna mógł wybierać się na poszukiwania żony. Jednak nie można tego było zrobić zupełnie spontanicznie. Przed rozpoczęciem oficjalnych zalotów młody człowiek powinien poinformować o swoim zamiarze rodziców i przyjaciół domu, by ci mogli dowiedzieć się okreśłą drogą, „dokładnie i z pewnych ust o majątku, stosunkach i rodowodach obydwu zainteresowanych rodzin”<sup>72</sup>, albo, jak to ujmował inny poradnik, „danych, na których mu najbardziej zależy, czyli przede wszystkim stosunkach rodzinnych i majątkowych”<sup>73</sup>. Następnie, jeśli wszystko było w porządku, kawaler miał udać się na spotkanie z ojcem dziewczyny: „podczas takiego widzenia się omawia się sprawy majątkowe tak zupełnie, jak kontrakt ma je zapewnić. [...] Ojciec panny młodej wymienia natychmiast sumę posagu, jaki może dać córce, a w ten sposób strona druga unika kłopotliwego zapytywania”<sup>74</sup> – głosił poradnik Baronowej Staffe z 1898 roku.

Unikanie zakłopotania było tu kluczowe. Krumłowski w 1903 doradzał ujmująco, że wypytywanie o pieniądze młodzieniec powinien „zakończyć zapewnieniem, że [powoduje nim] czysta i bezinteresowna miłość”<sup>75</sup>, a następnie „jeśli posiada długi (a zwłaszcza gdy rachuje w tym względzie na pomoc teścia) – powinien także o tych długach delikatnie napomknąć”. Konkretnie kwoty zadłużenia powinien jednak wymieniać „na wyraźne

zapytanie ojca”. Dokładny wywiad jeszcze przed bliższym poznaniem panny miał też poskutkować możliwością eleganckiego wycofania się. Poradnik z 1892 roku doradzał, by mężczyzna dowiedział się od rodziców, czy nie mają na oku innego kandydata, czy nie poszukują bogatego męża dla córki oraz czy w ogóle oferują posag. „W ten sposób, gdyby mu najwięcej chodziło o majątek – kontynuował autor – po zasięgnięciu informacji zawczasu cofnąć się może”<sup>76</sup> bez niepotrzebnego wstydu.

Według poradników męskie zainteresowanie finansową stroną małżeństwa należało utrzymywać w kurtuazyjnej tajemnicy przed kobietą, z którą chciano się ożenić. Zarzut o interesowność (choć przecież zupełnie uprawniony w świetle wcześniejszych porad) mógł być powodem zerwania zaręczyn.

Szanowny Panie!

Przed dwoma miesiącami oświadczyłeś mi Pan swoją miłość i prosiłeś Rodziców o moją rękę. Zezwolili moi dobrzy Rodzice pod warunkiem, że Pan się dobrze będziesz prowadził, a ja za ich poradą uczyniłam Panu nadzieję mojej wzajemności. Tymczasem co się dzieje. Pan sądząc, że jestem w nim zakochana po uszy, stałeś się dla mnie obojętnym, a co najgłówniejsza, kilka razy byłeś pijany i nawet poważyłeś się przyjść do naszego domu w nietrzeźwym stanie. Ojciec mój też się dowiedział, że Pan w Oberży pod Złotą Sarną wyrażałeś się o nas w nieprzyzwoity sposób, a mianowicie dałeś poznać, że chodzi Mu głównie o posag. Dla tych powodów proszę mi dać święty spokój i uważać nasz stosunek za zerwany.

Z szacunkiem

Aniela O.<sup>77</sup>

– pisała urażona młoda kobieta z Brodnicy w 1885 roku. Jej narzeczony natychmiast nadesłał list z wyjaśnieniami:

Droga Panno Anielo!

Nie wiem, czyby piorun wśród dnia pogodnego przestraszył mnie tyle, co list od mej kochanej Anielki. [...] Przyznaję, że m zblądził, że m źle zrobił, a mianowicie najgorsze to, iż rzeczywiście sobie głowę trochę zapruszyłem. Ale, ukochana Panno Anielko, nie potępiaj mnie z krete sem.

[...] Co zaś się tyczy wypadku pod Złotą Sarną, to sumienie moje jest czyste, albowiem tam wcale nie chodzę. Słyszałaś może, miła Anielciu, że dzwonią, ale nie wiesz, w którym kościele. Otóż nie ja, ale Franek, zazdroszczący mi Ciebie, powiedział pod Złotą Sarną, że mi nie chodzi o Ciebie, ale o posag, a widać usłużni przyjaciele przewrócili kota w miechu.

Mam nadzieję, że po tym wyjaśnieniu przebaczysz mi, a ja, żeby coś podobnego więcej nie zaszło, strzedz się będę nie tylko rozpalających napoi, ale nawet bawarskiego piwa.

Szczerze Cię kochający  
Walenty M.

Wobec takich wyjaśnień w następnym liście Aniela wybaczyła Walentemu, ale zastrzegła, że ten musi przeprosić także jej rodziców, bo oni również poczuli się urażeni plotkami o interesowności Walentego.

Aniela i Walenty to postaci fikcyjne, jedni z wielu bohaterów poradnika pisania listów miłosnych Józefa Chociszewskiego z 1900 roku. Poradnik kierowany był do średniozamożnego mieszczaństwa i do aspirującej klasy pracującej – mężczyźni w listach na ogół trudnili się handlem, planowali otworzyć własne sklepy, magazyny materiałów czy zakłady rzemieślnicze. Autor uznał, że zamiast podawać suche informacje o eleganckim formacie listów i okrągłych frazach, które na pewno znudzą czytelników, wypełni dzieło listami wymyślonych przez siebie bohaterów, dając tym samym wgląd między innymi w narzeczeńskie nieporozumienia pary z Brodnicy. Inne listy, szczególnie związane z oświadczynami, równie często zawierały fragmenty, w których mężczyzna zapewniał korespondentów (głównie rodziców panny), że nie zależy mu na ich pieniądzach. Mieczysław uspokajał rodziców Bronisławy, że „moje stanowisko i stosunki majątkowe znacie Państwo dobrze, więc nie posądzcie mnie, abym liczył tylko na posag, a nie przede wszystkim osobę panny Bronisławy”. Bolesław pisał do matki panny Władysławy, że „majątkowe moje położenie jest tego rodzaju, że mogę zapewnić odpowiednie utrzymanie żonie i nie patrzeć bynajmniej na posag. Właśnie w tych dniach odbiorę dziedzictwo po zmarłych zawczasie niestety! śp. mych Rodzicach, a jest to kwota wynosząca 6000 talarów. Wyuczywszy się handlu łokciowego, założę handel na własną rękę”. Franciszek do ojca innej panny: „Gospodarstwo moje nie jest wprawdzie zbyt wielkie, ale ziemia jest dobra, a co najgłówniejsza, że nie mam ani grosza długów hipotecznych ani osobistych. Sądzę tedy, że jeżeli Pan zechcesz przyjąć mnie za zięcia, nie będziesz miał powodu żałować tego kroku”.



Aspirujący do pozycji osoby z towarzystwa mężczyźni mieli więc chwalić się, że nie potrzebują do życia pieniędzy przyszłej żony. Choćby miało to być oczywistym kłamstwem.

Iza Moszczeńska, emancypantka i działaczka społeczna, autorka poradników wychowania dzieci i wychowania seksualnego, z rozbawieniem pisała o panice w związku z „łowcami posagów”. „Mężczyźni, obdarzeni wyższym poczuciem godności osobistej, szlachetną ambicją i subtelniejszą uczuciowością – uspokajała swoje czytelniczki w *Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna* – często tak starannie unikają upokarzającej roli łowcy posagowego, podejrzeń o interesowne zabiegi koło kasy ogniotrwałej przyszłego teścia, że przez to samo tracą sposobność zbliżenia się do kobiety”<sup>78</sup>. Zupełnie jak Jan w *Pannie z posagiem*, któremu sfrustrowana, bogata Jadwiga miała już rzucać się na szyję z okrzykiem „weź mnie za żonę, bo suchot dostanę!”. Jednocześnie Moszczeńska nie zaprzeczała, że warunki matrymonialne są trudne, chociażby dlatego, że większość mężczyzn poświęca młodość na zgromadzenie kapitału, by móc się ożenić w średnim wieku, a tymczasem młode panny cierpią na brak kandydatów do swojej ręki. Ci, którzy decydują się na ślub przed czterdziestką, „w małżeństwie szukają albo materialnego oparcia, albo też choć takiej pomocy, któraby troskę o utrzymanie rodziny na dwie osoby rozdzieliła”. Edward Prądyński również narzekał na to niewygodne położenie, pisząc w 1873 roku, że mężczyźni zbyt często boją się ożenić kierowani uczuciem, niepotrzebnie uznając, że nie mają wystarczających środków na utrzymanie żony. Żenią się więc bezpiecznie, z posażnymi pannami, a następnie przyplacają swoją interesowność nieszczęśliwym pożyciem małżeńskim. Cierpią jednak na własne życzenie, bo gdyby mężczyzna „się chronił więcej od przedwcześnie wystudzającego duszę rozwielmożnienia żądz cielesnych i wyrzekł się skandalicznego gonienia za posagiem i hańbiącej uczuć sprzedajności”<sup>79</sup>, problemu by nie było.

Karykatury w „Kłosach” i dowcipy w „Bocianie” uderzały właśnie w to poczucie godności osobistej, o której pisali Moszczeńska i Prądyński – mężczyzna po ślubie dla pieniędzy czuł się zależny od żony albo też mierzył się z politowaniem okazywanym mu przez jego krąg towarzyski.

Rolą żony było więc tak postępować w związku, by mąż nie odczuł tego towarzyskiego i ekonomicznego brzemienia zbyt dotkliwie.

Przerzucanie odpowiedzialności na kobiety nie kończyło się jedynie na tego typu poradach. W czasopiśmie pouczano młode panny, że brak perspektyw na małżeństwo z powodu braku posagu jest w istocie ich winą, ponieważ nie reprezentują sobą żadnej innej wartości niż finansowa. „W ogóle prawie dziewczęta nasze, tej tak licznej u nas klasy szlacheckiej, chowane są nad stan: po pańsku – chowane tak, jak gdyby życie słało dla nich drogi swoje różami: a cóż gdy się tak nie stanie, gdy zimny nasz klimat róż nie da?”<sup>80</sup> – zapytywała Maria Ilnicka w 1888 roku. Dziewczęta takie zostają na lodzie, a „gdy panna bez posagu, lub z posagiem tak niewielkim, że nie może on zapewnić utrzymania na tej stopie życia, do której wychowanie urobiło ją nie tylko pragnieniami, ale i wytworzyło organizm niezdolny znieść twardszego życia niezamożności”, wyjdzie w końcu za mąż, wtedy niewątpliwie „pęka szczęście małżeńskie”. „Dobra Gospodyni” podnosiła podobny problem i widziała w takiej sytuacji tylko jedno rozwiązanie – radziła młodym dziewczynom przewyciężyć klasowe uprzedzenia względem pracy zarobkowej kobiet, nauczyć się jakiegoś fachu i pracując, odłożyć odpowiednią kwotę na posag. „Takie kobiety nie dla swojego posagu, ale dla swoich cnót i zalet będą pożądane przez młodzież naszą, która uszanuje w nich nie tylko kobietę, ale dzielnego współpracownika!”<sup>81</sup> – obiecywała autorka artykułu w 1903 roku.

Wobec panujących ówczesnie wzorców kulturowych takie porady mogły wydawać się co najmniej zaskakujące. Poradniki dobrego wychowania jednogłośnie niemal wskazywały, że, w przeciwieństwie do mężczyzn, panny na wydaniu nie powinny interesować się finansową stroną projektowanego małżeństwa.

## *Co za nędza!*

Już Jan Maurycy Kamiński pouczał, że „małżeństwo w samej swej zasadzie nie powinno przecież zaliczać się do sposobów nabycia majątku”<sup>82</sup>. Gazety

postępowe zwracały uwagę, że gdyby nie posagi, kobiety mogłyby być pewne, że mężczyźni żenią się z nimi tylko dla nich samych, a nie dla pieniędzy. Niepisany obyczaj umacniał bowiem w mężczyznach „złe owo mniemanie, że posag uwalnia od pracy, i pokusy do oszukiwania się dla posagu”<sup>83</sup>. Z wahaniem opisywano nowatorskie rozwiązania na przykład w Stanach Zjednoczonych, gdzie podobno nie liczono się tak bardzo z posagiem, młodzi ludzie mogli poznać się bliżej przed ślubem, ponieważ od panien nie oczekiwano takiej wstrzemięźliwości w kontaktach międzyludzkich jak na ziemiach polskich. Brak posagu miał zapewnić szczerłość uczuć i zniechęcić do takich małżeństw, „dla których było-by najlepiej, gdyby składające je osoby mogły względem siebie pozostać antypodami”<sup>84</sup>.

Antypodą na pewno mógłby pozostać mąż Żanetki Jaeger, córki zamożnego warszawskiego fabrykanta. Żaneta była bardzo dobrze ułożoną panną, która w pierwszych latach XX stulecia miała zostać równie dobrze wydana za mąż. W tym celu jej rodzice, którzy po sprzedaży udziałów w fabryce kupili majątek ziemski gdzieś w Kieleckiem, przyjeżdżali raz do roku do Warszawy (na kilka tygodni w karnawale) i angażowali się intensywnie w życie towarzyskie. Żaneta miała siedzieć w salonie na fajfie, czyli popołudniowej herbacie, i zabawiać przychodzących z wizytą znajomych. Strategia szybko przyniosła skutek, ponieważ Żaneta niebawem była już zaręczona. W narzeczeństwie najbardziej podobało jej się, że „dostaje kosze kwiatów, olbrzymie pudła czekoladek, chodzi do teatru”<sup>85</sup>. Ślub miał się odbyć wkrótce (bo narzeczony był niezwykle niecierpliwy), a Żaneta czas spędzała na pokazywaniu koleżance swojej imponującej wyprawy ślubnej. Koleżanką tą była zaś pamiętnikarka Jadwiga Kopeć, urodzona w 1892 autorka wspomnień *Dziecko dawnej Warszawy*.

Jadwiga, wówczas piętnastoletnia, z pewnym zdumieniem oglądała skarby Żanety. „Czego tam nie było! – wspominała. – Więc najpierw suknie. Ślubna – biała, adamaszkowa, pokryta koronką, wizytowa – z szafirowego weluru, druga, skromniejsza, granatowa, wełniana, z tuniką. Dalej płaszcz zimowy na nurkach, do tego mufka, czapka i etola, oraz palto jesienne. Bielizna biała i kolorowa z nansuku i jedwabiu, rozszyta

walansjenkami”. Nie koniec na tym. Żaneta miała przygotowane jeszcze firanki, bieliznę pościelową wyszywaną haftem (w tym cztery tuziny prześcieradeł), umeblowanie mieszkania („buduarek utrzymany w tonie różowym ze złoceniami, mebelki w stylu *empire*”), serwis porcelanowy zdobiony kobaltem, srebrne (nie platerowane!) sztucce, biżuterię. Od narzeczonego dostała pierścionek z brylantem i dwa sznury pereł. Jadwiga patrzyła na to wszystko w zachwycie, przypominając sobie dziecięcy pokój Żanety – „było w nim tyle kosztownych zabawek, które oglądałam jedynie przez szybę. Jakież smutne myśli snuły mi się teraz po głowie”. Nie bez powodu. Ślub odbył się najszybciej jak to możliwe, a Żaneta pojechała w podróż poślubną do Włoch nad jezioro Lugano. Po kilku tygodniach zaś mama przyniosła Jadwidze wieści od rodziców Żanety: „Wyobraź sobie, że cały majątek męża Żanety, miał być jakoby w Sandomierszczyźnie, to fikcja! Ten człowiek okazał się być niebieskim ptakiem, łowcą posagowym. Podobno jego długów i największy posag nie pokryje. Rodzice Żanety starają się o unieważnienie małżeństwa”.

„Panny bardzo bogate wychodzą za mąż bardzo nieszczęśliwie”<sup>86</sup> – przekonywała swoje czytelniczki Iza Moszczeńska w 1903 roku. Kręcą się wokół nich mężczyźni interesowni, którzy nie zważają na przymioty samej panny, a chcą tylko pieniędzy. Dlatego dziewczyna z mniej zamożnego mieszczaństwa czy nawet córka rzemieślnika, zmuszona okolicznościami do zarabiania własnych pieniędzy, ma szansę znaleźć lepszego, bardziej empatycznego męża.

Dziewczęta nie powinny się więc niepokoić pieniędzmi. Wielu autorów podkreślało, że małżeństwo dla pieniędzy jest na dłuższą metę nieopłacalne i przede wszystkim niemoralne. Zofia Kowerska podsumowywała „przebywanie w towarzystwie dziewcząt przesiąkniętych próżnością, marzących tylko o strojach, balach, karnawałach, podróżach, bogatych partiach” krótko: „co za nędza!”<sup>87</sup>. Inny poradnik przestrzegał: „nie bierz osoby, która goni za groszem tylko, bo żeni się z twym majątkiem. Takie osoby nie mają wyobrażenia o szczęściu”<sup>88</sup>. Właściwie w każdym poradniku znaleźć można podobne zdanie: niech dziewczęta (i ich rodzice!) „nie dążą gwałtem do tzw. świetnych partii, bo nie zawsze kobieta znajduje

szczęście, robiąc los wielki”<sup>89</sup>, albo: „choć pieniądze gardzić nie należy, ten jednak, co się żeni wyłącznie dla pieniędzy, niewiele dba o swoje szczęście”<sup>90</sup>. Podsumowania takie padały zwykle gdzieś pomiędzy poradami, w jaki sposób zyskać pewne informacje o posagu kobiety albo ile należy wydać na wyprawę ślubną.

Temat pieniędzy miał być niestosowny dla kobiet, tak więc doradzano, by na wzmiankę o posagu, długach czy pensji narzeczonego wychodziła w ogóle z pokoju. Zgodnie z zasadami dobrego wychowania nie do pomyslenia miało być też, by dziewczyna uczestniczyła w ustalaniu wysokości posagu czy negocjowaniu spłaty długów: „panna nie jest nigdy świadkiem rozmów w kwestii majątkowej”<sup>91</sup> – stwierdzał na przykład Edward Lubowski. „Zazwyczaj w czasie tej wizyty [konkurenta u teścia] panna w ogóle się nie pokazuje, prowadzona jest bowiem rozmowa o interesach pieniężnych, mających zabezpieczyć byt małżonków”<sup>92</sup> – wtórował mu Mieczysław Rościszewski, ten sam, który zalecał „nie dążyć gwałtem” do świetnych partii i porównywał wydawanie córki za bogatego starca do zabójstwa.

Rozdźwięk pomiędzy poradnikami dla panien i przytaczanymi wcześniej artykułami prasowymi każe się zastanowić, w jaki sposób kobiety niezamężne w ogóle mogły spełnić dotyczące ich oczekiwania społeczne. Można uznać, że poradniki dobrego wychowania to specyficzny rodzaj literatury – prezentujący rozwiązania i normy nieco przestarzałe już w momencie publikacji, lansujący wygładzony obraz świata, który odzwierciedlał raczej osobiste przekonania autora niż rzeczywistość. Jednocześnie poradniki odgrywały ważną rolę edukacyjno-informacyjną przede wszystkim dla osób nieposiadających kapitału kulturowego, zainteresowanych awansem społecznym, które przez lekturę chcą się dowiedzieć, jakie zwyczaje obowiązują w klasie, do której aspirują. Teksty w „Świcie” uznać można z kolei za publikacje feministyczne, propagujące radykalne rozwiązania, poza normami społecznymi. „Bluszcz” jednak nie znajdował się w awangardzie emancypacji, a „Dobra Gospodyni” była pismem dość konserwatywnym, skierowanym przede wszystkim do warstwy ziemiańskiej i drobnomieszczaństwa.

Wydźwięk tych tekstów był więc następujący: w klasie wyższej pieniądze były najważniejszą rzeczą, o której należało jak najgłośniejsz milczeć. Mężczyźni wykazywali się odpowiedzialnością, informując rodzinę wybranki o swoich długach i stanie posiadania, jednak kobiety miały nie interesować się majątkiem męża przed ślubem, bo to źle świadczyło o ich moralności i nie wróżyło dobrego związku. Jednocześnie dyskurs wokół finansowej strony małżeństwa obecny w prasie, ale też w formach rozrywkowych, w rodzaju popularnych sztuk teatralnych, wyraźnie wskazuje, że w klasie wyższej kobietom nie przypisywano wartości ze względu na ich zalety, talent czy urodę, a jedynie ze względu na posag. Tu też dochodziło do logicznej niekonsekwencji. Wyśmiewano mierzenie wartości kobiety pieniędzmi, którymi dysponowała, ale równocześnie prezentowano to jako rozsądny zabieg odpowiedzialnego ekonomicznie mężczyzny.

Kobieta z klasy wyższej niż robotnicza stawiała więc przed niemożliwym zadaniem: udźwignięcia całej odpowiedzialności za pomyślność związku bez faktycznego wpływu na jego kształtowanie. W pragmatycznym podejściu do małżeństwa to kobieta miała się interesować swoim dobrobytem finansowym, znać zasady prawne, nie dać się oszukać przy zawieraniu związku. Powinna też uważać na łowców posagów, ale nie wnikać dokładnie, ile długów czy zobowiązań ma przyszły mąż. Nie powinna interesować się pieniędzmi ani ich pragnąć, ale też nie powinna się dziwić, gdy nie mając posagu do zaoferowania, nie może znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. Ostatecznie cała ta skomplikowana siatka finansowych zależności zmierza do jednej porady – panna na wydaniu ma kształtować własne przymioty charakteru i zdobyć wykształcenie kierunkowe, by móc zachęcić kandydata na męża pociągającą osobowością i samodzielnie zarobionym posagiem.

To charakterystyczne, że system kapitalistyczny już wówczas przerzucał odpowiedzialność za osiągnięcie satysfakcjonujących warunków życia bezpośrednio na najslabsze jednostki, dając im jednocześnie najmniejsze możliwości sprawcze. Klasy wyższe (zarówno arystokracja czy ziemiaństwo, jak też przemysłowcy i miejska inteligencja) czerpały korzyści z systemu patriarchalnego, w którym pociągającej kobiecości

(uroda, wykształcenie w niepraktycznych umiejętnościach, jak sztuka, muzyka czy języki obce) nie dało się połączyć z pracą zawodową. Mężczyźni, zanim osiągnęli wiek i stanowisko pozwalające utrzymać niepracującą żonę, nie mieli możliwości ożenić się w ramach swojej klasy społecznej. Kobiety nęciły więc kandydatów na dorobku posagami – zebranymi przez ich ojców, a nie przez nie same. Zamiast jednak normalizować pracę kobiet z klasy wyższej albo postulować zmianę płac mężczyzn, prasa zachęcała kobiety, by pracowały nad swoim charakterem, i w ten sposób wychodziły na prowadzenie w małżeńskim wyścigu. Ewentualnie, by porzuciły „pańskie” wychowanie (które przecież zgodne było z normą kulturową) i zaczęły zarabiać pieniądze, występując więc praktycznie z własnej klasy społecznej i tracąc szansę na małżeństwo z kandydatem mogącym zyskać akceptację rodziny i swojego kręgu towarzyskiego. Tak jak w lekkich komediach omyłek – dobre małżeństwo było nagrodą dla tych, które wcale się nim nie interesowały.

## Oszczędności. Życie to nie pudełko pralinek

Młoda panna, inteligentna, mająca 700 rs. gotówką i fach przynoszących 35 rs. miesięcznie, poszukuje męża młodego, inteligentnego<sup>93</sup>.

Panna, lat 24, szatynka, czarne oczy, inteligentna, na posadzie biurowej z pensją miesięczną rb. 50, pragnie nawiązać korespondencję z człowiekiem młodym, inteligentnym, na stanowisku niezależnym<sup>94</sup>.

Panna, lat 17, inteligentna, dobrego serca, utrzymująca się z krawiecczyni, pragnie wyjść za mąż do wspólnej pracy (bez posagu).

Tak ogłaszały się w „Kurierze Warszawskim” i „Flircie Salonowym” dziewczyny z klasy pracującej, które postanowiły wziąć sprawę zamążpójścia w swoje ręce. Nie mogły zaproponować przyszłym mężom pieniędzy ojca, dlatego na szalę kładły własną miesięczną pensję, jakkolwiek byłaby licha. Zamieszczały ogłoszenia i liczyły na odzew.

Można odnieść wrażenie, że takie uwolnienie od przymusu zebrania posagu miało wyjść na dobre członkom klasy robotniczej. Niektórzy, jak Alfred Blaschko, niemiecki lekarz dermatolog zajmujący się chorobami wenerycznymi, malowali wręcz sielankowy obraz niczym nieskrępowanej wolności wyboru. Twierdził, że dzięki pracy fabrycznej kobiet, „wobec możliwości wspólnego starania się o środki do życia, robotnik i robotnica śmieiej patrzą w przyszłość” i szybciej, mniej bojaźliwie zawierają związki małżeńskie<sup>95</sup>. Kobiety pracujące (fizycznie, jak szwaczki, robotnice, służące czy krawcowe, albo umysłowo, jak pracownice biurowe, stenotypistki czy telegrafistki) na pozór wiodły życie wprost wyjęte z porad „Bluszczu” czy „Dobrej Gospodyni”. Własną ciężką pracą realizowały ideał kobiet niezależnych, które inaczej niż dziewczyny z klasy wyższej nie



musiały tracić czasu na upokarzającym „targu małżeńskim” ani znosić uwag o brzydkich pannach z posagiem, kupowaniu i targowaniu.

Wanda Reichsteinowa w 1891 roku zapewniała panny: „nie wyobrażajcie sobie, aby potrzeba koniecznie gonić za szczęściem, które najczęściej samo dosięga te panienki, co w domu rodzicielskim starają się sumiennie wypełniać swoje obowiązki, co losy swoje zdały w ręce Opatrzności, czekając cierpliwie jej wyroków”<sup>96</sup>. Szczęściem tym był oczywiście odpowiedni mąż. Poradnik Reichsteinowej był kierowany do czytelniczek z mieszczaństwa i ziemiaństwa, podobnie jak porady z wyżej wymienionych gazet. Młode kobiety z klasy robotniczej nie mogły czekać na „szczęście” w domu rodzicielskim. Jednak ani warunki życia codziennego pracownic, ani nawet skierowany wprost do nich przekaz społeczny nie miały wiele wspólnego z tą roztaczaną w czasopiśmie inteligentnych wizją samodzielnej kobiety pracującej na własny posag.

### *Zaliczka, pożyczka i raty*

Jedenastolatka biegnie po schodach na trzecie piętro. Chwyta oburącz ogromne pudło, zawierające dopiero co skończoną przez koleżanki suknię, na nim umieszcza kolejne dwie paczki z surowymi materiałami i tak, zataczając się, gna po schodach na dół, byle szybciej. A potem to samo kolejne cztery razy. Kiedy cały ładunek zamówień jest już na dole, biegnie, tyle razy, ile trzeba, biorąc tyle, ile zdoła unieść, na pocztę albo do prywatnych domów i roznosi opłacone paczki. Potem wraca i cały proces zaczyna się od nowa, pod czujnym okiem komenderującej „pryncypałki”. Po schodach z ładunkiem będzie jeszcze biegła kilkanaście razy w ciągu tego dnia.

Dziewczynka jest uczennicą w magazynie krawieckim. Praca gońca to warunek wstąpienia do zawodu krawcowej. Jedenaście godzin dziennie, od ósmej rano do ósmej wieczorem z godziną przerwą na obiad. Teoretycznie uczy się w ten sposób szycia. Praktycznie – nie może nauczyć się niczego, biegając ciągle na pocztę i załatwiając prywatne sprawunki właścicielki

magazynu. Za kurs szycia będzie musiała oddzielnie zapłacić. Z czego, nie wiadomo, prawdopodobnie z pieniędzy zarobionych przez rodziców. Uczennice zaczynają między jedenastym a czternastym rokiem życia, praktyki trwają około dwóch lat. Są oczywiście bezpłatne<sup>97</sup>.

Podobnie pracują też małe szwaczki. Około dwunastego roku życia są przyjmowane na nauki. Po kilku miesiącach potrafią już szyć, właścicielka szwalni korzysta więc z ich pracy za darmo, „toteż w pracowniach bielizny można spotkać dużo uczennic”<sup>98</sup>. Tak samo jest w pracowniach kapeluszy, wytwórniach sztucznych kwiatów, sklepach wielobranżowych. Dzieci pracują za darmo. A gdy podrosną – za marne grosze, szczęśliwe, że jakoś przetrwały okres przyuczenia do zawodu. Młode, niewykwalifikowane szwaczki, krawcowe i kwiaciarki zarabiały między 2 a 5 złotych reńskich miesięcznie. Później ta pensja wzrastała do mniej więcej 10 złotych reńskich miesięcznie.

*Wywiady nad położeniem robotnic*, najpierw w Krakowie, a potem we Lwowie, prowadziły w latach 1902–1904 badaczki współpracujące z „Nowym Słowem”, feministyczną gazetą pod redakcją Marii Turzymy. Studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod kierunkiem Zofii Daszyńskiej-Golińskiej, przeprowadziły około sześćdziesięciu wywiadów z przedstawicielkami różnych zawodów robotniczych – od pomocnicy zecera przez ekspedientkę w sklepie, szwaczkę, cygarniczkę aż do krawcowej, praczki i prasowaczki. Pierwszą serię wyników opublikowała doktor Salomea Perlmutter, drugą – Róża Gottlieb. Podsumowania malowały obraz bardzo smutny. Kobiety we wszystkich gałęziach przemysłu były źle opłacane, niedożywione i bez możliwości poprawy warunków pracy. Wywiadowczynie obracały się w kręgach socjalistycznych, stąd też wyraźna sugestia kończąca każdy fragment reportażu, że doli robotnic pomogłoby najbardziej uformowanie i rozwijanie związków zawodowych, ale też – organizacja i uświadamianie ze strony aktywistek-emancypantek.

Przy okazji jednak materiały zebrane przez studentki dostarczają wielu informacji na temat zarobków robotnic i sytuacji rodzinno-matrymonialnej. We wszystkich zawodach pracowały kobiety bardzo młode – od jedenastoletnich uczennic przez pracownice opłacane, wśród których

„średnia wieku wynosiła 16–20 lat”<sup>99</sup>. Większość z nich była niezamężna, na ogół nie z wyboru. Mimo chęci praca nie pozostawiała im czasu na szukanie znajomości czy dowolny rodzaj rozrywki. Stan wolny i młodość były też wykorzystywane przez pracodawców:

Prasowaczki są przeważnie młode i przystojne i takich szukają przedsiębiorcy, licząc na to, że one im ściągną publiczność. W tym celu żądają nawet przedsiębiorcy i przedsiębiorczynie, jak zeznały ekspertki [czyli respondentki ankiet], aby prasowaczki ładnie się ubierały i „aby się podobały”. Na szczęście nie wszędzie tak jest, ale zdaje się, że przeważna ilość pralni środkami takimi stara się osiągać cel, tj. bogatą klientelę, a istnieją nawet takie, powiadają ekspertki, „do których żadna porządna panna by nie poszła”<sup>100</sup>.

Tak pisała Perlmutter w 1903 roku. Przymus „podobania się” dotyczył też ekspedientki w handlu. Dziewczyny musiały być schludnie i ładnie ubrane, zachęcać do zakupu towarów i być uśmiechnięte, niezależnie od warunków: „odpoczywać w sklepie nawet w wolnych chwilach nie wolno, jak również czytać, robić robotę lub siedzieć – donosiła Róża Gottlieb. – Kiedy są bardzo znużone, korzystając z chwilowej nieobecności gości, siadają, używając do tego szuflad wysuwanych z szaf”<sup>101</sup>. Dzień pracy trwał dwanaście godzin z godziną przerwą na obiad.

Mimo długich godzin pracy w przemyśle konfekcyjnym i krawieckim, wydłużających się jeszcze w sezonie (czyli okresie tuż przed towarzyskimi wydarzeniami roku), pracownice niemal żadnej branży nie zarabiały tyle, by móc sobie pozwolić na mieszkanie samodzielne. Mieszkały zwykle z rodzicami i licznym rodzeństwem – respondentki zaznaczały, że w rodzinie jest około pięciorga, a najczęściej ośmioro dzieci. Wszyscy w rodzinach pracowali: „Jako córki przeważnie robotników, ubogich rzemieślników, woźnych lub sług dorzucają do dochodów rodziców swój skromny, gorzko zapracowany grosz i w ten sposób z potu 3, 4 często nawet 5, 6-ciu osób opędza się koszt nędznego mieszkania i jeszcze nędzniejszego wikt”<sup>102</sup> – pisała Perlmutter o młodych pomocnicach typograficznych. Te, które nie miały wsparcia licznej rodziny (a raczej – które nie mogły polegać na połączonych marnych dochodach swoich, rodzeństwa i rodziców), cierpiały jeszcze gorszą biedę. We Lwowie pracujące w krawiectwie „dziewczęta, pozostające same, bez rodziców, mieszkają kątem, albo

w »Pracy kobiet«, płacąc stosunkowo dużo za »kąt« swój, w którym nie może być mowy o należytem odpoczynku po ciężkiej pracy całego dnia lub tygodnia”<sup>103</sup>. Płace były tak niskie, że nie wystarczały często na regularne ciepłe posiłki – standardem w opisywanych branżach była kawa lub herbata z bułką na śniadanie i kolację oraz zupa albo chleb z kiełbasą na obiad. Wśród krakowskich szwaczek, które przedstawiane były jako pracownice szczególnie wyzyskiwane, „bywa też czasem tak, że zamiast płacy dostaje robotnica u pryncypałki obiady. O ile więc taka nie ma pomocy zkańkolwiek, zdarza się, że prócz obiady – nic nie jada. Lub też dziewczętom, które nie mogą w domu sypiać z różnych powodów – daje pryncypałka nocleg, i tak po kilka ich sypia w t. zw. »szlabanie«”<sup>104</sup>.

Sytuacja raportowana przez socjalistyczną grupę badawczą z Uniwersytetu Jagiellońskiego była szczególnie tragiczna, być może nawet opisywana w tonie alarmistycznym po to, by jaskrawo wykazać wyzysk kobiet z klasy robotniczej i zbudować mocne argumenty ku powstaniu związków zawodowych. Co nie zmienia faktu, że z przytoczonych w opisie każdej branży stawek dziennych i tygodniowych, zależnie od doświadczenia, godzin pracy i sezonu, wynikało, że dziewczyny te nie mogą nawet marzyć o spokojnym utrzymaniu, a na pewno nie mają żadnych dodatkowych środków do odłożenia na posag. Niewystarczające zarobki, kiepskie wyżywienie i warunki mieszkaniowe sprawiały, że robotnice wpadały raczej w spiralę długów. Brak ciepłego ubrania i regularnych posiłków przyczyniał się do chorób, te do przerw w pracy, więc tym bardziej młodych robotnic nie było stać na lekarza czy sycące jedzenie. Perlmutter zaznaczała, że „potrzeby stroju zaspakaja się bądź to zaliczką, bądź pożyczką, bądź też kupowaniem na raty. Ideału »oszczędzania« żadna z pytanych robotnic ani tej, ani innych w ankiecie figurujących kategorii osiągnąć nie była w stanie”<sup>105</sup>.

## *Trzy drogi do wyboru*

Wyszłam za człowieka, którego znałam zaledwie parę tygodni, starszego od siebie o dwadzieścia lat i do tego wdowca. [...] Mając macochę i ojca, który był dobry, lecz zimny i mało miał serca, to też wyszłam za mąż bez zawiadomienia ojca i macochy, bo ona chciała, ażebym wyszła za jej syna, którego ja nie lubiłam, tak samo jak i macochy. Macocha mnie też nie lubiła za to i powiedziała: dałabym ci wszystko, cobyś zechciała, ażebyś kochała mojego syna, inaczej nic nie dostaniesz. I tak się stało. Kupiłam sobie używaną suknię i za indultem wzięłam ślub ze swoim mężem<sup>106</sup>.

Ślub nasz i skromne przyjęcie, na jakieżeśmy się zdobyli, było to wszystko za pożyczone pieniądze, ponieważ ja od kilku miesięcy byłam bez pracy, więc i bez grosza, nawet kilka złotych miałam długi, a mąż tak samo był bez pieniędzy jak i ja.

Tak opowiadały o swoich małżeństwach bohaterki *Pamiętników bezrobotnych*, publikacji powstałej w wyniku konkursu na pamiętniki klasy robotniczej zorganizowanego na początku lat trzydziestych XX wieku przez Ludwika Krzywickiego. Z ponad siedmiuset zgłoszeń opublikowano pięćdziesiąt siedem, w tym sześć autorstwa kobiet. Autorki pamiętników były w różnym wieku. Pierwsza cytowana bohaterka urodziła się w latach siedemdziesiątych XIX wieku, ślub brała w latach dziewięćdziesiątych. Imiała się różnych prac fizycznych, w chwili zgłoszenia pracowała jako krawcowa w Warszawie. Jej małżeństwo nie było szczęśliwe, mąż, gdy jeszcze żył, nie zarabiał na rodzinę. Gdy zmarł, to ona starała się zapewnić wyżywienie siedmiorgu dzieciom, a gdy dorosły, dalej pomagała im finansowo, ponieważ zmagali się z chorobami, bezrobociem i niskimi płacami w zawodach fizycznych. Druga bohaterka wyszła za mąż już w latach dwudziestych XX wieku, a jej pamiętnik jest zapisem ciągłego wpadania w długi, zaciągania pożyczek, spłacania weksli, wyprzedawania sprzętów domowych i głodu dwójki pracowników fabrycznych, którzy zostali pozbawieni pracy z powodu międzywojennego kryzysu ekonomicznego.

Bohaterki *Pamiętników* nie zastanawiały się nad zasadnością małżeństwa – było to po prostu jedno z naturalnych wydarzeń życiowych. Ich historie potwierdzały wcześniejsze, równie punktowe badania Perlmutter i Gottlieb – kobiety z klasy robotniczej nie miały środków na uzbieranie jakichkolwiek oszczędności przed ślubem, nie miały nawet za co wyprawić wesela. A jednak wychodziły za mąż, choć w warunkach kryzysu

przełomu lat dwudziestych i trzydziestych (ale również jeszcze w poprzednim wieku, na co wskazuje historia pierwszej, starszej kobiety) mężowie także nie byli w stanie zaoferować im żadnego zabezpieczenia finansowego. Autorzy teorii o lepszym przygotowaniu do życia kobiet z klasy robotniczej nie brali pod uwagę, że warunki pracy i życia (czy to przed I wojną światową, czy też po niej) przytłaczającej większości członków klasy robotniczej, a szczególnie pracujących kobiet, nie pozwalały na żadne rozsądne planowanie przyszłości. Robotnice, w podobnym stopniu co panny z klasy wyższej, mogły szukać w małżeństwie tego samego: choć szczątkowej ochrony przed tragediami życiowymi. Szczególnie interesujące wydaje się w tym kontekście świadectwo innej autorki *Pamiętników*, młodej robotnicy niewykwalifikowanej z Częstochowy:

Od czasu poznania mnie ten chłopiec odporu nie daje, tylko się żenić i żenić chce, nie miałam życzenia z początku, ani nawet w myśli mi nie było powstało wyjść za kogoś brzydkiego, biednego, lecz matka jego pracuje na trzy dni w tygodniu, też czasem zarobi parę groszy, mieszkanie mają duże, wynajęte, matka jest wdową, oprócz niego jest jeszcze trzech braci w domu, wiem, że tam też nie rozkosz, lecz oni mnie proszą wciąż, iż utrzymanie mi dadzą, wesele wyprawią, wszystko mi kupią do ślubu i żebym się nie martwiła, że nie będę miała co jeść, tak mi mówi matka jego, więc się zdecydowałam i wyjdę za niego, bo mnie przeraża to życie bez opiekuna w tej nędzy, a mężczyzna prędzej może pracę dostać niż ja. W końcu stycznia ma być mój ślub, wszystko kupują do ślubu, a nawet pierzynę będę jej mieć, bo moja matka mi nic nie da, a wyrzeka się mnie, iż wychodzę za człowieka brzydkiego i bez majątku. [...] Mówię do matki: „Mamo, trzy drogi mam do wyboru, jedna jest droga hańby, z której można żyć, lecz którą iść nie chcę, druga – śmierć, a trzecia droga – wyjść za mąż”. [...]

Przez nędzę... życie związę z człowiekiem niekochanym, a później... Bóg wie, jakie życie mnie czeka, a może później pokocham kogoś i będę pragnęła należeć do tego człowieka, lecz będzie już za późno. A żyć tak dalej nie chcę bez opieki, bo czuję, że mogłabym życie odebrać sobie z tej nędzy.

„Droga hańby”, o której wspomina autorka, to praca seksualna. Młoda dziewczyna, córka praczki, jedyna z piątki rodzeństwa, która dożyła dorosłości (reszta zmarła w czasie epidemii tyfusu), postrzegała małżeństwo z niekochanym człowiekiem jako szansę na godne życie. Co ciekawe, robotnica wiedziała dokładnie, że jej przyszły mąż jest biedny

(co wyjątkowo oburzało jej matkę, gotową wybaczyć ślub z rozsądku, ale z kimś zamożnym albo choć przystojnym). Uważała jednak, że wszystko jest lepsze niż znoszenie nędzy w pojedynkę. Jej sposób mówienia o małżeństwie jest bardzo podobny do patriarchalnego sposobu postrzegania związku prezentowanego w poradnikach dobrych manier dla panien z klasy wyższej – mężczyzna ma tu odgrywać rolę opiekuńczą, choćby nawet, w obliczu braku środków, jedynie na poziomie symbolicznym.

Co więcej, kobiety rzeczywiście zarabiające tyle, by móc uskładać oszczędności lub posag, zupełnie nie spieszyły się do małżeństwa i też ich do tego nie zachęcano. Poradniki dla służących domowych przestrzegały przed pochopnym zawieraniem znajomości czy wprost odradzały czytelniczkom małżeństwo.

„Większa część dziewcząt uważa zamążpójście za najbezpieczniejsze zabezpieczenie przyszłości – pisała w 1909 roku Elżbieta Bederska do młodych służących. – Tak być powinno, ale niestety, codzienne doświadczenie uczy, że tak zawsze nie jest”<sup>107</sup>. Bederska radziła rozsądnie dobierać kandydatów, dowiedzieć się od znajomych, „czy nie pijak, karciarz lub leniuch”, a najlepiej odłożyć małżeństwo na później, gdy kobieta dojrzeje i zgromadzi własny kapitał. „Jeżeli mężczyzna, tak jak kobieta mają już oszczędności, za które mogą dom sobie urządzić, a wspólne ich pożycie zaraz w początkach wolne będzie od kłopotu, to mogą być szczęśliwymi, lecz gdzie się pobierze bieda z nędzą, jak przysłowie mówi, to życie w małżeństwie zamiast oczekiwanego szczęścia przyniesie im tylko troski, zmartwienia, a napewno niesnaski i kłótnie, bo miłość o głodzie sprzykrzy się i wojewodzie” – doradzała niecierpliwym.

To nawoływanie do cierpliwości wiązało się często z przestrogią na temat nieszczerých narzeczonych, w czym celowały szczególnie pisma patronackie. Pisma patronackie to czasopisma, które powstały po 1891 roku w wyniku apelu papieża Leona XIII ogłoszonego w encyklice *Rerum novarum*. Papież wzywał Kościół katolicki i wszystkie jego instytucje do walki o dusze klasy robotniczej, zagrożone przez socjalizm i laicyzację społeczeństwa. Jednym ze sposobów umoralniania pracowników i pracownic fizycznych miało być powstanie prasy skierowanej wprost do

proletariatu, w tym także do kobiet. Gazety dla kobiet były wydawane przez Stowarzyszenie Sług Katolickich imienia Świętej Zyty w Krakowie (wydawca „Przyjaciela Sług” i „Pracownicy Polskiej”) oraz Stowarzyszenie Katolickich Służących w Warszawie (wydawca „Pracownicy Katolickiej”). Czasopisma te, prezentujące bardzo konserwatywny obraz świata, w którym poddańcza pozycja klasy robotniczej była odzwierciedleniem boskiego porządku i panowania Boga nad człowiekiem, z niechęcią odnosiły się do wszelkich relacji pozazawodowych służących domowych. W zażyłych przyjaźniach z innymi pracownicami węszone lenistwo i plotkarstwo, w relacjach z rodziną pracodawców – zadufanie, w związkach z mężczyznami – niemoralność. Różnymi sposobami starano się więc odstraszyć służące domowe od mężczyzn.

Straszono oczywiście ogniem piekielnym w przypadku nawiązania nieformalnej relacji seksualnej. Ksiądz Kazimierz Riedl pisał w 1891, że służąca ma się „brzydzić grzechem jak wężem”<sup>108</sup>, że „lepiej cierpieć głód i nędzę, lepiej po żebraniu chodzić”, niż grzeszyć przeciwko szóstemu przykazaniu, jak również radził służącym: „ubieraj się schludnie, ale skromnie, i bój się, by przez ciebie kto do grzechu nie był pobudzony, bo oprócz własnego, jeszcze cudzy grzech weźmiesz na swoje sumienie”. Inny ksiądz w „Przyjacielu Sług” w 1901 zagrzewał młode panny do czystości (seksualnej), a „gdyby do walki przyszło, to raczej śmierć niż grzech!”<sup>109</sup>. Elżbieta Bederska opowiadała swoim czytelniczkom o przypadku służącej, która lubiła w niedziele chodzić na tańce i poznawać mężczyzn. W jedną niedzielę doszło do nieszczęścia. Poznała chłopaka, który „był miły, grzeczny, potokiem słów serdecznych i ponętnych obietnic odurzał” – jak wyznawała, a w wyniku znajomości straciła nie tylko ciało, ale i duszę „łatwowierną i samotną” – to znaczy nie dość, że uprawiała z nim seks, to jeszcze się zakochała. Bederska zapewniała, że służąca ta do końca życia zmagająca się z poczuciem wstydu i nosiła piętno grzechu. Warto wspomnieć, że narracja ta miała ogromną siłę rażenia i dominowała w klasie robotniczej wiele lat później. Jeszcze w 1931 roku matka biednej robotnicy, na wieść o tym, że jej córka może wyjść za biedaka, umrzeć z głodu albo iść do pracy seksualnej, odpowiadała: „Wybierz lepiej śmierć, to będę wiedzieć,



żeś nie jest dla nikogo, i będę cię chociaż w trumnie widzieć, a tak to większa rozpacz, że jedynej córki ślubu nie będę widzieć”<sup>110</sup>.

Drugą metodą zniechęcania do relacji z mężczyznami były argumenty z pozoru pragmatyczne. Tak jak panny z klasy wyższej straszono łowcami posagów, tak dziewczyny z klasy robotniczej – narzeczonymi oszustami. „Przyjaciel Sług” donosił na przykład w 1900 roku, że w Krakowie aresztowano malarza nazwiskiem Suwał, który „nic nie robiąc, żył jak hrabia, pił jak koń, [...] a ćmił cygara najdelikatniejsze”<sup>111</sup>. Wspecjalizował się w uwodzeniu służących, którym obiecywał małżeństwo, pożyczał od nich pieniądze, a następnie porzucał. Suwała ujęto już po tym, jak wyłudził od dziewczyn ponad 1200 koron. „Przyjaciel Sług” zalecał ostrożność, ale też pisał wprost: „to pewnikiem jaki socyalista. Dla dziewcząt zaś nauka, by ladajakiemu przybłędzie i niedowiarkowi nie zufać, a co do pieniędzy, nie kupować sobie za nie męża”. Podobnych historii znaleźć można było wiele.

Służące dobrze je znały i buntowały się przeciwko takiemu ograniczaniu ich wolności osobistej. Michalina Ulanicka uspokajała w poradniku dla służących: „Służącym się nieraz zdaje, że panie odradzają im małżeństwo, gdyż nie chcą mieć kłopotu ze zmianą pracownicy. Tak nie jest”<sup>112</sup>. Dobra pani po prostu chce wszystkiego, co najlepsze, dla własnej pracownicy, więc „ma obowiązek odradzać nierozsądne małżeństwo, w którym pracownicę czeka nieszczęście i nędza”. Tak jak starsza służąca w poradniku Bederskiej cierpiała, bo lekkomyślnie związała się bez ślubu z oszustem, tak u Ulanickiej „wiele starszych kobiet” cierpiało na starość, bo wyszły za mąż za człowieka, którego odradzały im pracodawczynie.

Historie o oszustach były publikowane nie tylko w czasopiśmie dla służących i pracownic przemysłowych. „Kurier Warszawski” donosił czasem o skandalicznych sprawach kryminalnych, które rozpały wyobraźnię mieszkańców miasta. Jedną z takich historii dotyczyła Julki Andziak ze Starego Miasta. Julka była córką ubogiego szewca. Gdy miała dwanaście lat, poznała dwudziestoletniego subiekta z cukierni, Mariana Dmochowskiego. Dmochowski uwiódł dziewczynkę, przynosząc jej ciastka i cukierki. By upewnić się, że Julka nikomu nic nie powie, obiecał jej, że

jeśli utrzyma ich relację w tajemnicy, ożeni się z nią, gdy tylko dziewczynka skończy szesnaście lat. Julka czekała trzy lata i tuż przed swoimi urodzinami dowiedziała się, że Marian, owszem, żeni się, ale już teraz, i to z zupełnie inną panną.

„Nic dziwnego, wszak biedna Julka nie ma nic, zaś – to panna posażna, skończyła pensję, córka właściciela domu i restauracji – komentował „Kurier”. – Fakt ten, zupełnie naturalny, wywołuje protest w duszy dziewczyny: wszak trzy lata żyła tylko nadzieją i obietnicami, a teraz ma wszystko postradać, ślub jego z posażną panną ma się odbyć dziś jeszcze...”<sup>113</sup>. Julka postanowiła, że nie zostawi tak tej sprawy. Wzięła z domu butelkę z roztworem ługu (silnie żrącą substancję) i ruszyła pod kościół katedralny Świętego Jana. Gdy pan młody wysiadł z dorożki, chlusnęła mu w twarz roztworem ługu i uciekła. Marian rzucił się do zakrystii, gdzie przemył oczy, następnie zaś ceremonię zaślubin kontynuowano. Później jednak okazało się, że w wyniku działania ługu Marian stracił wzrok w prawym oku, w lewym zaś widzi szczątkowo i stan tego oka stopniowo się pogarsza.

Julka została zidentyfikowana przez Mariana i pociągnięta do odpowiedzialności karnej. Tłumaczyła, że „chciała zniszczyć jedynie Dmochowskiemu ubranie, by wywołać zamieszanie i przeszkodzić aktowi zaślubin, nie zaś pozbawić go wzroku”. Sąd skazał ją na rok więzienia, oddalił jednak pozew cywilny Dmochowskiego, który domagał się oprócz tego jeszcze tysiąca rubli odszkodowania od rodziny Julki.

Ton sprawozdania sądowego jest sensacyjny, właściwy tego typu relacjom. Z jednej strony dowiadujemy się, że gdyby Julka miała swoje pieniądze, niepotrzebna byłaby cała tragedia rodem z *Halki* (Julka wyskakuje przed karetę w dniu ślubu ukochanego, a ten i tak się żeni z zamożną panną). Autor wyraźnie staje po stronie Julki, określając ją jako „złapane w zasadzkę dziecko” i opisując, jak przed kościołem z tłumu „wysuwa się młode, blade dziewczę, prawie dziecko jeszcze, w szarą sukienkę odziane”. Sytuację, w której mężczyzna porzuca biedniejszą dziewczynę (pomijając już nawet wątek obcowania seksualnego z nieletnią) dla bardziej zamożnej narzeczonej, określa, ironicznie i gorzko, jako „nic dziwnego” i „fakt zupełnie naturalny”. Jednocześnie ton artykułu wskazuje,

że gwałtowna reakcja dziewczyny (jakkolwiek wiodąca do przestępstwa) była czymś niestosownym i wręcz żalonym. Porywczka Julka z proletariatu, chlustając kwasem w twarz amanta, wywarła na mężczyźnie zemstę, jaka nie przysłaby do głowy dobrze wychowanej dziewczynie z wyższej klasy społecznej.

Panny z klasy pracującej, by uniknąć losu Julki, powinny słuchać rodziców i pracodawców i oszczędzać pieniądze. Tak jak „Dobra Gospodyni” zalecała dziewczynom z mieszczaństwa zarabianie na swój posąg, tak „Pracownica Katolicka” dowodziła służącym, że praca na służbie jest właściwie doskonałym sposobem na uskładanie posagu i przygotowanie do roli żony. W tekście *Służba nie poniża* autor donosił, że w ciężkich czasach „rzecz dziwna, jakże często [...] widuje się nie jedną, dwie, ale nieraz nawet kilka córek zostających w domu bez określonego zajęcia”<sup>114</sup>. Gdyby zaś poszły na służbę, mogłyby „uczyć się, nabierać doświadczenia, a mieć przy tym pewną opiekę, lepsze jedzenie i kąpiel spokojny”. Pewna opieka odnosiła się oczywiście do pracy pod czujnym okiem pani domu.

Przed oszustem sama obroniła się Marie Sansgêne, gdańska służąca, autorka wspomnień wydanych w 1908 roku. Gdy miała kilkanaście lat, służyła w budynku Banku Krajowego w Gdańsku, sprzątała tam mieszkania pracowników. Pewnego dnia na ulicy przedstawił jej się elegancko ubrany mężczyzna i podarował jej całe pudełko ciastek. Na adres kasjera banku (czyli pracodawcy Marie) szybko zaczęły przychodzić kolejne prezenty, a August Koch, jak się przedstawił, zabierał Marie na zakupy, do cyrku i na zabawy. Podarował jej też dużo złotej biżuterii i zaproponował, że się z nią ożeni. Do ślubu nie doszło, bo mężczyznę aresztowała policja. Okazało się, że jest znanym złodziejem, uciekł z więzienia i jest poszukiwany za kradzież trzech tysięcy marek. Marie musiała pokazać na policji wszystkie otrzymane prezenty i złożyć dokładne zeznania. „Czy te prezenty sprawił mi z czystej sympatii, czy raczej za moim pośrednictwem chciał uzyskać dostęp do budynku banku? Tego z całą pewnością nie mogłam się dowiedzieć”<sup>115</sup> – podsumowała Marie. Notowała potem szczęśliwa, że mogła odebrać z posterunku swoje prezenty (żakiet, sukienkę, parasolkę, złotą broszkę), ponieważ zostały kupione legalnie i należały do młodej

służącej. Podobnego szczęścia nie miała Marynka, służąca w domu Lucyny Kotarbińskiej, żony reżysera i dyrektora teatralnego Józefa Kotarbińskiego. Pani domu opisała we wspomnieniach na temat swoich służących historię Marynki, która odeszła z pracy, by wyjść za mąż za dużo młodszego mężczyznę, i to mimo ostrzeżeń pracodawczyni. Kotarbińska dowiedziała się, że wybranek Marynki nie ma stałej pracy, a poza tym otrzymała anonim od krewnego służącej Antoniego M., „rząncy domu i Corpusu”. Antoni pisał, że narzeczony „już jej wyciognął najmniej 300 koron, na które ona ciężko pracowała, jednym słowem, zniszczył ją i mnie wstydu narobił, bo jako krewny dałem mu posadę na poczcie, niedobra, drugą w Gierychcie, tysz niedobra, więc z tego poznałem, że nic nie wart”<sup>116</sup>. Marynka nie posłuchała, a potem szybko wróciła do pracy, kiedy okazało się, że jej mąż jest alkoholikiem i stosuje przemoc domową. Przy okazji straciła jednak wszystkie oszczędności, w tym ubrania i pościel.

Patriarchalna opieka pracodawców (i Kościoła) miała uchronić dziewczyny z klasy robotniczej przed popełnieniem ogromnego błędu na rynku matrymonialnym, na którym mogły stracić zarówno duszę, jak i pieniądze. Zgryźliwie komentowała to z perspektywy socjalistycznej Salomea Perlmutter. W jednym z wywiadów przeprowadzonych w pracowni sztucznych kwiatów wysłuchała historii właścicielki magazynu, która chwaliła się szczególnie dobrym traktowaniem swoich robotnic. Zupełnie inaczej niż większość, płaciła uczennicom na praktykach już od początku zatrudnienia (co prawda 2 złote reńskie miesięcznie, czyli bardzo mało), a pracownice wyuczone zarabiały od 8 do 18 złotych reńskich miesięcznie. Jedna z robotnic chciała jednak odejść z zakładu, ponieważ wyszła za mąż i mąż nie pozwalał jej pracować. Właścicielka pracowni podniosła więc jej pensję na guldena dziennie (czyli około 24 złotych reńskich miesięcznie, zależnie od liczby dni pracy), „gdyż »lubiła« ją bardzo i tem »nie do odrzucenia« podniesieniem jej płacy przywiązała ją do roboty”<sup>117</sup>. Perlmutter z pewną nieufnością przyjmowała deklaracje właścicielki pracowni i w jej działaniu widziała raczej samolubne pragnienie zysku, a nie szczególną troskę o los zamężnej pracownicy. Poza wszystkim zaś zachowanie właścicielki było dla niej dowodem na to, że pracodawcy z powodzeniem mogli płacić dużo więcej

wykorzystywanym pracownikom fizycznym, a ich skąpstwo niewiele miało wspólnego z rzeczywistą sytuacją ekonomiczną: „nie zdradza nam przedsiębiorczyni, czy traciła w następstwie na robotnicy tej, nam jednak zdaje się, co zupełnie zresztą byłoby naturalnem, że byłaby się starała pokonać swoją sympatyę, gdyby za drogo była ją kosztowała” – zapewniała Perlmutter czytelniczki raportu.

### *Bezczelne i głupie kłamstwa*

Jak pisał Józef Lange, „kobieta niezamężna, pełnoletnia stanowi zjawisko wyjątkowe, do pewnego stopnia nienormalne”. Jednak w klasie robotniczej wiele kobiet nie wychodziło za mąż. Osiem na dziesięć służących było stanu wolnego<sup>118</sup>. Niezamężne także były pracownice zakładów rzemieślniczych przepytywane przez Salomeę Perlmutter. Najczęściej mężów miały robotnice fabryczne, choć i tak odsetek ten był stosunkowo niewielki – na przykład w fabrykach włókienniczych, gdzie załoga była najczęściej sfeminizowana, zamężnych było około 25 procent robotnic<sup>119</sup>. Połączenie tego społecznego oczekiwania, by wszystkie panny wychodziły za mąż, z dość niskim odsetkiem zamężnych kobiet pracujących skutkowało pomysłami, w jaki sposób im to ułatwić. „Bluszcz” donosił z aprobatą w 1892 roku o francuskim pomysle, by robotnicom fabrycznym fundować posag „ze strony społeczeństwa, żeby, wyszedłszy za mąż, mogły być matkami i pracować w domu”<sup>120</sup>. Podobnie wypowiadał się Edward Prądyński, który z perspektywy gorącego orędownika pracy kobiet stwierdzał, że praca w fabryce powinna być tylko pierwszym stadium pracy kobiecej, zajęciem wykonywanym między szesnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia, a obsługa maszyn ma służyć „za praktyczną szkołę technicznego ukształcenia i ułatwiać to przysposobienie pewnych zasobów na posag, co razem wzięte, chwilę zamążpójścia niewątpliwie dla niej tylko przybliżyć może”<sup>121</sup>. Następnie zaś robotnica z uskładanym posagiem miała przenieść się do domu i pracować chałupniczo.

Postulat społecznej odpowiedzialności za wysokość posagu dziewczyn z klasy robotniczej przerodził się w końcu wieku w system kas posagowo-pogrzebowych. Kasy różnego rodzaju – oszczędnościowe czy pożyczkowe – stanowiły klasyczny element pomocy ekonomicznej praktykowany przez towarzystwa dobroczynne. Działalność prawie każdej większej organizacji (jak Warszawskiego, Łódzkiego czy Kaliskiego Towarzystwa Dobroczynności) zakładała organizację kas dla rzemieślników i robotników, które oferowały nisko oprocentowane pożyczki na bieżące potrzeby czy na rozwój działalności zawodowej (w kasach pożyczkowych), a także możliwość oszczędzania (w groszowych kasach oszczędnościowych, nazywanych tak, ponieważ można było w nich składać sumy, zaczynając już od jednego grosza). Według sprawozdania Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynnego z 1880 roku w tym roku kalendarzowym z kasy pożyczkowej skorzystały na przykład trzydzieści trzy krawcowe, siedem nauczycielek i siedemdziesiąt cztery szwaczki<sup>122</sup>. Te ostatnie pożyczyły zresztą w sumie 6246 rubli, najwięcej ze wszystkich grup zawodowych wymienionych w sprawozdaniu, co pokrywałoby się z doniesieniami z reportażu Perlmutter, że „potrzeby stroju zaspakaja się bądź to zaliczką, bądź pożyczką, bądź też kupowaniem na raty”<sup>123</sup>, a o oszczędzaniu nie ma z braku funduszy żadnej mowy.

Na przełomie wieków zaczęły powstawać kasy oszczędnościowo-pożyczkowe specjalizujące się w dostarczaniu funduszy kobietom pragnącym wyjść za mąż. Pierwsza kasa posagowa w Królestwie Polskim powstała w Kaliszu w 1901 roku. Kasy zakładano w dużych ośrodkach miejskich, jak Łódź, Piotrków, Kielce czy Warszawa, ale także w mniejszych miejscowościach, jak Mińsk Mazowiecki, Radogoszcz czy Chojny Nowe. Większość z nich przetrwała kilka lat, niektóre aż do początku I wojny światowej. Między 1901 a 1914 rokiem w Królestwie Polskim zarejestrowano trzydzieści cztery kasy posagowe. Powstawały kasy głównie chrześcijańskie, czasem także żydowskie, jak Towarzystwo Pomocy Wzajemnej Biednym Mającym Połączyć się Węzłem Małżeńskim „Achawas Koło” w Warszawie. Ich ustawy założycielskie były niemal identyczne, ponieważ wszystkie zatwierdzić musiała administracja rosyjska, która zapewniała wzór statutu takiej kasy. I tak Łódzka Kasa

Posagowa, Warszawska Kasa Posagowa „Małżeństwo” i Kielecka Kasa Posagowa „Wesele” w swoich statutach zakładały, że członkami kasy mogą być jedynie osoby niezamężne w wieku co najmniej siedemnastu lat, bez różnicy płci. Do kasy należeć nie mogli ludzie uczący się w zakładach naukowych, pozostający w aktywnej służbie wojskowej niższego stopnia, osoby już zaręczone i z wyrokami sądowymi<sup>124</sup>.

Kasy działały na dwa sposoby. Kasa kielecka i Warszawska Kasa Posagowa „Małżeństwo” zakładały, że członkowie wnoszą jednorazową opłatę przy przyjęciu do kasy w wysokości 5 rubli, a następnie płacą miesięczne lub dwutygodniowe składki. Kasy takie jak kasa łódzka albo druga warszawska kasa „Wesele” z kolei wymagały początkowej wpłaty przy przyjęciu w wysokości 5 rubli, a następnie wpłacenia kolejnych 5 rubli w przypadku małżeństwa członka kasy.

Nietrudno policzyć, że składki w kasach, czy to finansowane miesięcznie, czy jednorazowo, przekraczały na ogół możliwości zarobkowe kobiet z klasy robotniczej. Pod koniec XIX wieku w Królestwie Polskim szwaczka zarabiała średnio od 8 do 10 rubli miesięcznie, praktykantka krawiecka około 4 rubli. Robotnica fabryczna między 10 a 12 rubli. Najmłodsze posługaczki i pomywaczki kuchenne zarabiały rubla miesięcznie. Służące domowe zarabiały stosunkowo najmniej jako osoby dorosłe, czyli od 3 do 7 rubli miesięcznie, ponieważ oprócz tego pracodawcy zapewniali im mieszkanie i podstawowe wyżywienie<sup>125</sup>. Wypłata z kasy posagowej była jednak nie do pogardzenia. Za uiszczenie do pięciu składek warszawska kasa „Wesele” przewidywała wypłatę posagu wysokości 500 rubli<sup>126</sup>. Za sto szesnaście do stu dwudziestu składek dostawało się już 1500 rubli posagu, co brzmi może dobrze, jeśli pominie się fakt, że sto dwadzieścia składek po 5 rubli to 600 rubli, czyli prawie połowa ostatecznej wypłaty.

Chwiejny system finansowania kas posagowych generował różne problemy. „Gazeta Kielecka” donosiła w 1904 roku, że w kilka miesięcy po otwarciu kasa ma już komplet członków (w sumie dziewięćset osób we wszystkich trzech oddziałach), płacących regularnie należne składki. Jednak „z otwarciem kasy pochopność do zawierania związków

mażeńskich bardzo wzrosła, w ciągu bowiem tegorocznych zapisów trzydziestu dziewięciu uczestników i uczestniczek wstąpiło w stan małżeński”<sup>127</sup>. Kasa wypłacała sześć posagów trzysturublowych, jednak kolejne pary musiały czekać, aż zbierze się odpowiednia kwota. W związku z wpływającymi od dziewięciuset członków miesięcznymi opłatami kasa miała zamiar wypłacać posagi co dwa tygodnie, tak że ostatni z trzydziestu dziewięciu nowożeńców miał otrzymać swój posag aż sześćdziesiąt sześć tygodni po ślubie. A jednak kasy posagowe miały dobrą prasę. „Biesiada Literacka” pisała o powstaniu warszawskiej kasy „Małżeństwo”, że „Warszawa ma, nareszcie, swoją kasę posagową”<sup>128</sup>. Mieczysław Rościszewski w poradniku małżeńskim z 1904 roku pisał zaś wprost, że „jak najuprzejmiej prosimy piękne czytelniczki o łaskawe odwrócenie uwagi od zbytków, które przystoją jedynie możliwym tego świata”<sup>129</sup> i odkładanie pieniędzy na przyszłość. Co do kasy posagowej, pisał: „skwapliwie korzystamy z świeżo, bo zaledwie 13 Listopada 1902 roku, zatwierdzonej ustawy Warszawskiej Kasy Posagowej i podajemy ją tu w wyjątkach jako źródło pomocy dla najmniej zamożnych osób, które pragną wstąpić w związki małżeńskie. Dobrze jest mieć pod ręką wyciąg taki i w danej chwili podsunąć go bodaj... bodaj własnej pokojówce, gdy zapragnie skosztować słodczy hymenu”.

Rościszewski proponował więc wstąpienie do kasy posagowej pokojówce czytelniczki. Pokojówce, która zarabiała między 3 a 7 rubli miesięcznie, nie było jej więc stać bez odkładania na zapłacenie wpisowego (5 rubli). Biorąc pod uwagę, że kasa, którą reklamował, to kasa „Małżeństwo”, czyli z systemem wpłat jednorazowych przy ślubie każdego członka, pokojówka musiałaby nie tylko odłożyć na wpisowe, ale w ciągu roku wpłacać 5 rubli na każdy ślub. Gdyby w Warszawie doszło do takiej sytuacji jak w Kielcach (trzydzieści dziewięć osób z kasy wzięło ślub tego samego dnia), pokojówka musiałaby wpłacić 195 rubli, kwotę dla większości pracowników fizycznych nieosiągalną.

Kasy posagowe przyjmowały osoby „bez różnicy stanów”, jak głosił statut, jednak intencją była pomoc klasie niższej. Wobec nierealistycznych do zapłaty wysokości składek kasy utrzymywały się w dużej części z datków zewnętrznych, podobnie jak kasy pożyczkowe i groszowe kasy



oszczędnościowe dla proletariatu. Co więcej, ze źródeł wynika, że założycielami i inicjatorami kas byli członkowie inteligencji (i do tego sami mężczyźni). O założenie kasy do władz wnioskowali drobnomieszczenie, urzędnicy państwowi oraz majstrowie i urzędnicy fabryczni<sup>130</sup>. Sporadycznie uczestniczyli w nich robotnicy i chłopi. Z kasy nie korzystały też jedynie kobiety – przeciwnie, było ich mniej niż mężczyzn. Według *Rejestru alfabetycznego członków bałuckiej kasy posagowej* z roku 1903 do kasy należało dwustu sześciu mężczyzn i sto osiemdziesiąt dwie kobiety<sup>131</sup>. Z zachowanych materiałów dąbskiej kasy posagowej wynika zaś, że to mężczyźni zgłaszali się po wypłatę posagu na żonę<sup>132</sup>. Kasy nie miały też szerokiego zakresu działania. Informacje te zdają się potwierdzać fakt, że były to w zasadzie organizacje dobroczynne, zakładane przez lokalnych filantropów i utrzymujące się nie tyle ze składek członków faktycznie potrzebujących pomocy, ile raczej z datków i pomocy zewnętrznej.

Kobietom pozostawało liczenie na dobroczynność. W „Kurierze Codziennym” w 1889 roku zamieszczono na przykład ogłoszenie Rady Miejskiej Warszawskiej Dobroczynności Publicznej<sup>133</sup>. Rada ogłaszała, że na mocy darowizny księżnej Anny Wołkońskiej trzy kandydatki otrzymają posag wysokości 239 rubli. By móc cieszyć się pieniędzmi, kobiety musiały spełnić kilka warunków. Po pierwsze, wziąć ślub 30 kwietnia – w rocznicę śmierci „Elżbiety Aleksejewny, księżnej warszawskiej, hrabiny Paskiewicz Erywańskiej”, matki księżnej Wołkońskiej. Po drugie, musiały być wyznania chrześcijańskiego, moralnego prowadzenia się, mieć pomiędzy osiemnaście a trzydzieści lat oraz pochodzić z biednej rodziny rzemieślniczej lub robotniczej. Sieroty miały pierwszeństwo przed dziewczynami posiadającymi choć jednego żyjącego rodzica. Kandydatki chcące ubiegać się o posag musiały przedstawić radzie miejskiej stosowne dokumenty poświadczające stan cywilny, zameldowanie w Królestwie Polskim, robotnicze lub rzemieślnicze pochodzenie, a także świadectwo moralnego prowadzenia się, wystawiane przez właściciela nieruchomości, w której dana panna wynajmowała mieszkanie, a poświadczone przez policję.

Po raz kolejny narracja o kobiecej samodzielności finansowej zdawała się służyć tylko jednemu celowi – praca miała nie tyle umożliwić niezależne życie, co pozwalać na podniesienie swojej wartości, i to nie na rynku zawodowym, ale na rynku matrymonialnym. Edward Prądyński pisał w 1872, że „użycie pary jako działającej siły zwolniło człowieka z czysto fizycznego mozołu i pozostawiło mu to tylko, co jest udziałem rozmysłu, zręczności, wprawy, pilności i czujności, a tem samem opatrnościowem zrzędzeniem losu utorowało drogę do ekonomicznego wyzwolenia kobiety”<sup>134</sup>. Prądyński jako idealny przykład wyzwolenia finansowego kobiet z proletariatu podawał urządzenie fabryk w Manchesterze i amerykańskim miasteczku Lowell w Massachusetts. Fabryka w Lowell była znana z innowacyjnej organizacji produkcji i zarządzania personelem, a metody stosowane przez założyciela miasta i fabryki, Francisa Cabota Lowella, zakładały rezygnację z pracy dzieci na rzecz zatrudniania młodych kobiet, którym oferowano także pakiet socjalny. Prądyński wyjaśniał:

w lowelskich fabrykach znajduje się ich 9,000; tutaj to szczególnie całe urządzenie jest wzorowem. Tylko połowa zapracowanych pieniędzy bywa wypłacaną, druga kapitalizuje się i składa na posag, do którego zazwyczaj wyrobница dochodzi po kilku latach. Przy fabryce znajduje się kościół i wyższy, wybornie urządzony zakład naukowy, do którego wyrobnice obowiązkowo w pewnych godzinach uczęszczać muszą; stół i mieszkanie mają one u ustanowionych dozorczyń nieposzlakowanej opinii. Moralność w lowelskiej fabryce panuje tak wielka, że pracować tam poczytuje się za zaszczyt i służy w przyszłości za najlepszą rekomendację.

Zachwyty nad Lowell polskiego entuzjasty emancypacji i pracy kobiet jest znaczący z wielu powodów. Lowell, Miasto Wrzecion (*City of Spindles*), miało być idealnym, utopijnym miejscem, gdzie fabrykant dawał pracownikom szansę nie tylko na zarobek, ale też na zdobycie wykształcenia, a równocześnie chronił ich moralność surowymi metodami kontroli. Do Lowell często zapraszano na wycieczki dziennikarzy i pisarzy, którzy następnie publikowali pochlebne reportaże. A jednak pracownice z Lowell odrzucały zachwyty mężczyzn z klasy wyższej. „To ładny obrazek – pisała do fabrycznej gazety robotnica Juliana, poruszona kolejnym entuzjastycznym reportażem prasowym – ale tylko my, pracujące

w fabryce, wiemy, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. [...] Pianino, nauczyciele muzyki, szkoła wieczorowa, wykłady, biblioteka, wszystkim tym, pisze pan, możemy się cieszyć. Pytanie – kiedy mamy znaleźć na to czas? Gdy nasze wykończone ciała domagają się tylko snu?”<sup>135</sup>. Inna robotnica, Olivia, pytała: „Mówią nam dżentelmeni stąd i zza granicy, że robotnice w Lowell mają się najlepiej na świecie. [...] Naprawdę, panowie! Czyż nie uważacie w takim razie, że wasze żony i siostry też powinny dostąpić tego zaszczytu i dołączyć do nas? Czy gdy zakochani malujecie przed swoją narzeczoną obraz przyszłego życia w niezmaconej szczęśliwości, to opowiadacie jej, że może dostąpi kiedyś tej największej radości i przypadnie jej los robotnicy fabrycznej?!”<sup>136</sup>. Pytania robotnic redagujących gazetę fabryczną „Voice of Industry” pozostawały oczywiście bez odpowiedzi.

Środki z tak chwalonego przez Prądzyńskiego funduszu socjalnego pracownic były wypłacane w dniu ich zamążpójścia. Taki system wydawał się ulepszoną wersją kas posagowych, które borykały się z nieregularnością wpłat i brakiem płynności. Jednak w istocie ten sposób oszczędzania był parodią niezależności ekonomicznej kobiety. Pracownica fabryczna nie miała żadnego wpływu na to, co dzieje się z jej gotówką, do dyspozycji dostawała bowiem tylko część wypłaty. Pomijając już fakt, że nie każda kobieta chciała, mogła czy miała szansę wyjść za mąż (kiedy w takim razie zwracano jej zgromadzony kapitał?), potrącanie posagu z pensji było ograniczeniem prawa dostępu do jej własnych ciężko zarobionych pieniędzy. Mimo że praca w fabryce miała być drogą do „ekonomicznego wyzwolenia kobiety”, to jednak taka organizacja pracy jak w Lowell wskazywała jasno, że niezależność finansowa kobiety miała stanowić tylko zachętę dla potencjalnego małżonka, a nie narzędzie do jej emancypacji. Pracownica sama nie mogła wydać tych pieniędzy na cokolwiek, choćby lepsze jedzenie, ubrania, edukację albo rozrywkę. Pieniądze przechodziły pod zarząd jej męża, zanim ten jeszcze w ogóle pojawił się na horyzoncie. Rozwiązanie to byłoby wręcz niedorzeczne w przypadku polskich robotnic. Fatalne warunki finansowe pracy, jakich doświadczały na co dzień, miałyby się jeszcze pogorszyć przez obcięcie im połowy pensji na rzecz funduszu posagowego. Zamiast więc dawać im możliwość poprawy warunków życia

przez pracę, zmuszano by je do małżeństwa w poszukiwaniu wsparcia materialnego – a wtedy mogłyby zaoferować mężowi odłożony przez fabrykanta posag.

Prądyński nie wspominał zresztą o tym, o czym pisano w „Voice of Industry” – że oszczędności dziewczyn z Lowell są znacząco przeszacowane. Autorka tekstu opublikowanego pod pseudonimem Vox Populi dementowała pojawiające się w innych lokalnych czasopismach informacje, jakoby każda pracownica fabryczna w Lowell miała odłożone na koncie w Lowell Savings Bank 1250 dolarów. „Bardziej bezczelne i głupie kłamstwo – produkt umysłu drania albo głupca – nie pojawiło się wcześniej w żadnym piśmie”<sup>137</sup> – pisała. Przede wszystkim, biorąc pod uwagę, że w Lowell pracowało prawie siedem tysięcy robotnic, łączna suma oszczędności musiałaby wynieść prawie 9 milionów dolarów. Raport głównego księgowego banku z tego samego roku wskazywał jednak, że na kontach oszczędnościowych znajduje się 675 tysięcy dolarów, a depozytów jest niecałe 5 tysięcy. Średnio na jednym koncie znajdowało się więc raczej 120 niż 1200 dolarów. W prasie krążyła też historia o robotnicy, która odłożyła z pracy fabrycznej ponad 3 tysiące dolarów. „Po pierwsze, kobieta ta odłożyła najwięcej połowę tej kwoty – prostowała Vox Populi – a po drugie, połowa tej połowy to, zachodzi poważne podejrzenie, pieniądze zapłacone jej za milczenie przez jednego z prominentnych nadzorców fabrycznych, który narzucał jej swoje względy i który jest ojcem jej syna oddanego na wychowanie gdzieś na wieś”. Kłamstwa na temat wysokości funduszy odkładanych przez robotnice były niezwykle szkodliwe, jak dowodziła autorka, ponieważ przekładały się na społeczne przekonanie, że los robotnic jest godny pozazdroszczenia. Stąd zaś już prosta droga do obniżenia płac przez korzystających z okazji fabrykantów. I powtarzanie niesprawdzonych informacji przez polskich autorów kilka dekad później.

*Poświęcać, zawsze poświęcać*

Zofia Kozłowska-Budkowa była jedyną kobietą, która w międzywojniu uzyskała na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora habilitowanego. W 1937 roku została zatrudniona na uczelni na stanowisku adiunkta i należała do pierwszego pokolenia pionierek samodzielnej pracy naukowej. Całe życie zmagала się z uprzedzeniami środowiska akademickiego i wyrzeczeniami, na jakie musiała się zdecydować, by kontynuować karierę naukową jako kobieta. Musiała także zaakceptować, że jej sukces naukowy nie wpisuje się w ramy sukcesu przewidzianego dla kobiet z jej pokolenia. Kozłowska urodziła się w 1886 roku, gdy od kobiet wymagano czego innego niż uzyskiwanie kolejnych stopni naukowych. Tak wspominała swoje dzieciństwo w inteligenckim domu:

Byłam pierwszym dzieckiem moich rodziców, a otrzymałam imię po zmarłej starszej siostrze mojego ojca [...]. Była podobno bardzo piękna i imponowała na balach w Wiedniu w sukniach własnej roboty. Niestety nie odziedziczyłam po niej urody ani praktyczności. Zawiodłam też nadzieje rodziców, którzy spodziewali się chłopca, bo wówczas mówiło się o córkach: „pierz, czesz, strzeż, a potem zapłać komu, ażeby to wziął do domu”<sup>138</sup>.

„Pierz, czesz, strzeż, a potem zapłać komu, ażeby to wziął do domu”. W industrialnym społeczeństwie przełomu wieków wartość kobiety związana była bezpośrednio z jej posagiem, a nie, jak wmawiano kobietom, ich osobistymi przymiotami czy sukcesami. W związku z szybko następującymi przemianami gospodarczymi i społecznymi, rozwojem klasy robotniczej, emancypacją grup zmarginalizowanych, konserwatywne mieszczaństwo wytworzyło ideał „prawdziwej”, kobiecej kobiety. Obraz dziewiczej narzeczonej, a następnie oddanej domowi, religijnej, posłusznej żony, która będzie organizować mężowi zmagającemu się z kapitalistycznym światem ciepły dom i rodzinę, zawładnęła wyobraźnią klasy wyższej tak bardzo, że według jego miary oceniano kobiety ze wszystkich klas społecznych, niezależnie od materialnych warunków ich egzystencji.

Żona miała być cichą pomocnicą – nie tylko w sensie organizacji życia domowego, ale też finansowego wsparcia przedsięwzięcia małżeńskiego. Niska sprawczość kobiety na pozór nie pasowała do tak wielkiej odpowiedzialności, jaką jest zapewnienie pieniędzy na życie domowe czy

w przypadku córek przemysłowców – na męzowski sukces w biznesie. Stąd tak znacząca rola posagu w debacie publicznej. Pieniądze te, pochodzące od ojca, przywiązane były do kobiety w sposób pasywny. Mogła więc poświęcić się rodzinie i mężowi, nie wykazując żadnej inicjatywy. Podpis na akcie ślubu nie był w istocie aż tak ważny jak podpis na pokwitowaniu przejęcia posagu.

Problem pojawiał się, gdy mężczyźni członkowie rodziny nie zapewnili kobiecie wystarczającego wkładu finansowego. Pomysły na obejście tego problemu świadczą o powszechnym braku zrozumienia idei niezależności kobiecej. Niezamożne ziemianki i mieszczańki miały bowiem same zarabiać na swój posag, wykazując się zapobiegliwością i myśleniem perspektywicznym, a jednocześnie nie powinny utracić tradycyjnych kobiecych cnót, w rodzaju uległości, skromności i czystości. Pytanie, dlaczego dziewczyna, która znalazła sposób na samodzielne utrzymanie się w świecie, w którym małżeństwo oferowało jej głównie wsparcie finansowe, miałyby dalej tak desperacko dążyć do ślubu, pozostawało bez odpowiedzi.

Kobiety z klasy robotniczej również podlegały ocenie na tych samych zasadach, co było tym bardziej kuriozalne, że z pracy służącej, szwaczki czy robotnicy ciężko było utrzymać się przy życiu, a co dopiero cokolwiek zaoszczędzić. Mając na uwadze poprawę sytuacji życiowej kobiet z klasy robotniczej, uczestnicy debaty publicznej bezmyślnie przykładali do nich własną miarę. Propozycje uczestnictwa w kasach posagowych czy też chwalone rozwiązania z amerykańskich fabryk świadczyły o tym, że w optyce klasy wyższej celem pracy kobiety nie jest samodzielność, ale podniesienie jej wartości na rynku matrymonialnym. Ponieważ zaś kobiety z proletariatu nie realizowały ideału prawdziwej kobiecości, dodatkową zachętą dla potencjalnych mężów miał być system kontroli moralności dziewczyn – książeczki służbowe dla służących domowych, gdzie pracodawcy wpisywali oceny zachowania, umoralniające pogadanki w pismach patronackich, kontrola nad życiem prywatnym robotniczek mieszkających w hotelach fabrycznych. Tymczasem, jak widać z pamiętników bezrobotnych, dla osób pozbawionych materialnych środków do życia związek małżeński był szansą na fizyczne przetrwanie,

bez potrzeby systemu zachęt rozwijanego i pilnowanego przez pracodawców z klasy wyższej.

Obłudna narracja o kobiecej sprawczości, która wyraża się w pracy, poświęceniu i dobrowolnej uległości wobec mężczyzn, na dobre zadomowiła się jednak w powszechnej świadomości. Ten paradoks ekonomicznej matni, w której znajdowały się kobiety z różnych klas społecznych, najlepiej wyrażała w 1903 roku Iza Moszczeńska w „Nowym Słowie”. Tam podsumowywała ironicznie wymagania nakładane na młode kobiety szykujące się do małżeństwa:

Córki nasze powinny być jak najzdrowsze, a zarazem jak najwięcej pracować i uczyć się, powinny stać kulturalnie jak najwyżej, a mieć jak najmniejsze osobiste potrzeby. Powinny być praktyczne, przede wszystkim praktyczne, a zatem wszystko robić same, poczynając od przyprawiania sosów i cerowania pończoch, aż do rysowania fasonów mebli i wzorów na dywany, a zarazem zarabiać na równi z mężczyznami i ojcami, by im nie być ciężarem, gdyż w obecnych, ciężkich warunkach materialnych mężczyźni nie stać na utrzymanie kobiety – naturalnie, jeśli ta kobieta jest jego żoną.

Jednakże, o ile ich zarobkowanie jest niezmiernie pożądane dla ich ojca, obciążonego rodziną, dla męża – który inaczej nie byłby miał odwagi się żenić, o tyle sprzeciwia się nieraz interesom innych ojców i mężów, obniżając ich zarobki. Trzeba zatem obmyślić taki sposób zarobkowania, żeby każda swemu ojcu lub mężowi pomagała, nie szkodząc cudzym, żeby każda w razie sieroctwa lub wdowieństwa sama sobie dawała radę i nie potrzebowała cudzej pomocy, a jednak nie odbierała chleba nikomu, kto równie jak ona chce i potrzebuje zarabiać.

I jeszcze na koniec:

Albowiem alfą i omegą kobiecej mądrości życiowej jest poświęcać się, poświęcać i poświęcać, wszędzie i dla każdego, być na każdym miejscu, gdzie tylko zadanie jest zbyt ciężkie i gdzie dlatego właśnie mężczyźni nie mają ochoty trudzić się sami<sup>139</sup>.

Część III

Pozycja



## Kompetencje. Nieporadnik pani domu

Elżbieta Pawłowska urodziła się w 1841 roku w zamożnej rodzinie ziemiańskiej. Jej ojciec zmarł, gdy miała kilka lat, matka szybko ponownie wyszła za mąż, urodziła nowe dziecko i wysłała jedenastoletnią Elżbietę na pensję do Warszawy, do sióstr sakramentek. Dziewczyna spędziła na pensji pięć lat, gdzie uczyła się wszystkiego, czego potrzeba młodym pannom – trzech języków, historii, arytmetyki, tańca, gry na pianinie i rysunku. Program „bogaty nie był”<sup>1</sup> – wspominała Pawłowska, ale też nikt się tego nie spodziewał. „Gdy czytam opisy pensji takie, jak np. w *Przedpieklu* p. Gabrieli Zapolskiej, i porównywan je z atmosferą, która napełniała moją, zdumiewam się, nie dowierzam i bardzo mi smutno”. I niejako na dowód, że nie było tak źle, dodawała, że „ze wszystkich koleżanek moich, jedna tylko, Janina Rutkowska, trochę garbata, została zakonnica”. Reszta dziewcząt ukończyła edukację i z sukcesem wyszła za mąż.

Podobnie potoczyły się losy Elżbiety. Jako szesnastolatka, zamożna dziedziczka majątku, otrzymała propozycję ślubu z kuzynem swojego ojczyrna, mężczyzną starszym od niej o prawie dwadzieścia lat. Jego szwagier, sędzia Glindzicz, prezes izby cywilnej, złożył wizytę matce Elżbiety, która wyraziła zgodę, a potem zapytała córkę, czy odpowiada jej taka decyzja. Młoda panna była zachwycona, ponieważ małżeństwo oznaczało nowe przygody, wyjazdy, suknie i przede wszystkim wyrwanie się spod władzy matki. „Zdaje mi się, że gdyby podówczas kawałek drewna za człowieka przebrano i powiedziano mi, że gdy wyjdę za niego, będę panią siebie i wszystkiego mego, że on mnie wozić będzie po różnych okolicach i zabawach, zgodziłabym się wyjść za drzewo”<sup>2</sup> – komentowała później.

Ślub odbył się w styczniu 1858 roku, po pięciu tygodniach od zaręczyn, a panna młoda nie miała wcześniej okazji porozmawiać z narzeczonym sam na sam ani przez chwilę. Zresztą niekoniecznie jej na tym zależało. Stawała się dorosłą kobietą, a życie poważnej damy musiało być jeszcze lepsze niż życie bogatej panny na wydaniu. I rzeczywiście, pierwsze dwa lata pożycia małżeńskiego były dla Elżbiety bardzo przyjemne. Mąż lubił się bawić, a nowe fundusze z posagu żony pozwalały na najlepsze zabawy. „Byłam wtedy po prostu samym śmiechem, samą pustotą, samą próżnością”<sup>3</sup> – pisała w pamiętniku. Jednak po pewnym czasie sytuacja zmieniła się na gorsze.

Jako narzeczona wieczory spędzała albo na zabawach tanecznych i spotkaniach towarzyskich, albo razem z przyjaciółką Melanią, rówieśniczką, także zaręczoną:

Gdy przypadkiem gości nie było i nigdzie zaproszonymi nie byliśmy, przy słabym świetle jednej palącej się w pokoju lampy siadywałyśmy obok siebie na niskich, pod ścianą stojących stołeczkach i powtarzałyśmy sobie wszystko, cośmy kiedykolwiek słyszały i czytały o przeznaczeniu i obowiązkach kobiety. [...] Te dwory wiejskie, do których uwieść nas miano, nieznanne nam jeszcze, stawały przed wyobraźnią naszą, otoczone wszystkimi pięknościami i ponętami natury, a napełnione wdziękami i wykwintami, o jakich tylko mogłybyśmy mieć najsłabsze choćby wyobrażenie.

„Najsłabsze wyobrażenie” nie wystarczało zaś, by przygotować młode panny do życia mężatek w ich klasie społecznej. Codzienne życie we dworze ziemiańskim wymagało praktycznej wiedzy daleko wykraczającej poza znajomość historii czy trzech języków obcych zdobytą na pensji dla panien. Pani domu musiała dbać o zaopatrzenie domowników we wszystko, czego mogli potrzebować (od jedzenia, przez lekarstwa, ubrania, aż po tytoń dla mężczyzn i ręcznie wyrabiane świece), planować zakupy, gromadzić zapasy, pilnować wyrobu przedmiotów codziennego użytku, szyć, haftować, dziergać, zarządzać służbą, od podkuchennej po ogrodników, prowadzić księgi rachunkowe, dysponować pensjami pracowników, wreszcie – angażować się w działalność kościelną i dobroczynną<sup>4</sup>. Elżbieta nie miała ani kompetencji, ani ochoty podejmować tej ciężkiej pracy. Wkrótce rozpoczęły się nieporozumienia małżeńskie, tym silniejsze, że okazało się, że majątek ziemski męża jest

obciążony hipotekami, on sam zaś wydaje okazały posag Elżbiety na pokrycie długów. Nadeszło też powstanie styczniowe, a wraz z nim ruina finansowa i w końcu separacja małżonków. Elżbieta, w rodzinie nazywana Elizą, uzyskała unieważnienie małżeństwa z Piotrem Orzeszko (choć zachowała jego nazwisko), przeprowadziła się do Grodna i rozpoczęła karierę pisarską.

Jadwiga Działyńska została wydana za mąż w wieku dwudziestu lat, w 1852 roku. Jej mężem został generał Władysław Zamoyski, starszy od niej o lat dwadzieścia osiem brat jej matki. Przez małżeństwo stała się organizatorką jednego z najważniejszych salonów polskich w Paryżu. Mimo doskonałego wykształcenia pod okiem guwernantek nie wiedziała jednak, w jaki sposób zarządzać domem. Przez pierwsze kilka miesięcy małżonkowie jadali tylko w restauracjach, bo Jadwiga nie wiedziała, „jakich ilości mięsa, chleba, jarzyn i innych rzeczy potrzeba na daną ilość osób, a za tym na nasz stół i dla sług; ani jaka tych rzeczy cena [...], jak kurę od indyka, wołowinę od baraniny, zwierzyny itp. rozpoznać”<sup>5</sup>. Nie miała też pojęcia, ile wynosi tygodniowa pensja kucharki. Nie chciała zwracać się z tym do męża, bo bała się kompromitacji. Tak jak Eliza Orzeszkowa, wspominała po latach z goryczą i rozbawieniem:

Myślałam sobie, że to wszystko przepadnie i wejdzie to w zwykły tryb życia, a ja się chyba zabiję. Co począć, co począć? [...] Nie umiałam rozkazów dawać, nie umiałam upominać. Nie wiedziałam, co mam, a czego nie mam prawa [od służby] żądać. Nie chciałam mego męża nudzić każdym szczegółem, nie wiedziałam, kogo się radzić. Dość, że gospodarowanie odbywało się prawdziwie w pocie czoła.

Na eleganckich kolacjach u innych arystokratycznych rodzin zdjeta paniką Jadwiga dyskretnie chowała do torebki wyłożone przy talerzach cetele, czyli jadłospisy, starając się z nich nauczyć na pamięć przykładowej kompozycji obiadowej. A lokaj generała Zamoyskiego, Michał, kradł z paryskich hoteli zastawę stołową i obrusy, podobno chcąc pomóc młodej pani domu zorganizować kuchnię.

Te absurdalne sytuacje, wspomniane po latach przez znane, zamożne kobiety z klasy wyższej, obnażają fundamentalną skazę systemu wychowania dziewcząt w drugiej połowie XIX wieku. Pomijając kwestie

poziomu edukacji domowej czy na pensjach, widać, że tradycyjny system kształcenia nie spełniał nawet swojego podstawowego, patriarchalnego celu, czyli przygotowania młodych dziewcząt do roli pani domu. Za to, czego nie wiedziała Elżbieta Pawłowska, Eliza Orzeszkowa musiała zapłacić emocjonalnie, towarzysko i finansowo. Do tych gorzkich doświadczeń wracała wielokrotnie w powieściach (*Pamiętnik Wacławy*, *Marta* i *Nad Niemnem*) i tekstach publicystycznych, jak *Kilka słów o kobietach*. O rynku małżeńskim pisała, że jest „połączoną klatką, w której papugi o malowanych piórach niezgrabnie naśladowują mowę i obyczaje ludzkie”<sup>6</sup>. A po ślubie muszą konfrontować się z rzeczywistością, do której nie są w żadnym stopniu przystosowane.

Wanda Reichsteinowa napominała swoje mieszczańskie czytelniczki: „Zaledwie młoda panienka opuści ławę szkolną, zdaje jej się, iż już się stała jakąś ważną osobistością. [...] dorosła panienka, sposobiąc się może do zupełnie nowego stanu, do stanu o wiele trudniejszego, na seryo powinna traktować gospodarstwo domowe, zbadać wszystko dokładnie, co w zakres jego wchodzi, nie tylko dlatego, ażeby przynosić niejaką ulgę swej matce, która często zbyt obciążona jest rozmaitemi obowiązkiem gospodyni domu, ale również w swoim własnym interesie”<sup>7</sup>. Zamiast bowiem przymierzać nowe suknie i tracić czas na tańcach, młoda panna powinna nauczyć się gotować, opiekować małym rodzeństwem, sprzątać. W ten sposób lepiej przysłuży się przyszłemu mężowi i całej swojej rodzinie. Prowadzenie gospodarstwa domowego, podobnie jak gromadzenie posagu, było kolejnym polem konkurencji, na którym panny wykazywały się odpowiednimi umiejętnościami mogącymi zachęcić lub odstraszyć mężczyznę. O ile jednak prezentacja statusu finansowego odbywała się przed ślubem, o tyle nieumiejętność prowadzenia domu na ogół wychodziła na jaw po nim, gdy decyzja została już podjęta. W końcu stulecia, gdy zarówno Zamoyska, jak i Orzeszkowa były już kobietami w podeszłym wieku, na pomoc kolejnym pokoleniom niepewnych mężatek przychodziły liczne czasopisma i poradniki prowadzenia domu. Te wprawdzie wyjaśniały, jak polerować srebra, planować jadłospis, gotować kompot i sadzić marchewkę, ale przy każdej okazji wytykały młodym kobietom ich niekompetencję.

## *Kolęda dla gospodyń*

Dawniej nie było u nas w zwyczaju, aby panienki zamożniejszych rodzin znały się na kuchni, chociaż było to zawsze bardzo użytecznym dla tego samego, ażeby wiedzieć, ile potrzeba wydać kucharzowi. Dzisiaj znajomość ta stała się już koniecznością. Nie można teraz dla zabawki piec sobie ciasteczek, podług przepisu pana Makarego lub pani Ćwierczakiewiczowej, ale lepiej dowiedzieć się, jak się sporządza pieczeń lub dobry rosół.

To znów Wanda Reichsteinowa, znów w tonie pouczającym frywolne panienki. Wybór przykładów nieprzydatnych przepisów wydaje się tu jednak mało szczęśliwy. Pan Makary to znany kucharz, autor popularnej w Wielkopolsce publikacji *Makarego 730 obiadów wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy tudzież spizarni, sklepu i kuchni dla chorych*. Lucyna Ćwierczakiewiczowa to zaś najpopularniejsza kucharka Królestwa Polskiego, autorka najpoczytniejszej książki kucharskiej drugiej połowy wieku XIX, wznawianych siedemnaście razy *365 obiadów za 5 złotych*. O Ćwierczakiewiczowej, pochodzącej z protestanckiego, mieszczańskiego domu, wzorowej gospodyni, Bolesław Prus napisał w jednym z felietonów, że „do zawarcia sakramentu małżeństwa potrzebne są następujące kwalifikacje: pełnoletność, wolna a nieprzymuszona wola i *365 obiadów za 5 złotych*”<sup>8</sup>. Korzystanie z przepisów tych uznanych autorytetów kulinarnych nie świadczyło więc o niekompetencji panny, a raczej o tym, że orientuje się, kogo warto słuchać.

W poradnikach dotyczących prowadzenia domu przekonywano panie, że nie wystarczy przejawiać jakiegokolwiek umiejętności, by zyskać miano dobrej gospodyni – trzeba się wykazać wszechstronnością. Pieczenie ciasteczek wyśmiewała sama Lucyna Ćwierczakiewiczowa. Jako piętnastoletnia dziewczynka postanowiła zwrócić na siebie uwagę przystojnego kawalera goszczącego w domu jej rodziców. Ponieważ była jeszcze za młoda, by wziąć udział w wieczornym spotkaniu, postanowiła upiec ciastka, poprosić matkę, by podała je do stołu, i w ten sposób zrobić wrażenie na panu Adolfie. „Jeszcze na pensji przepisywałam z pisanego kajeciku jednej z koleżanek jakieś makaroniki, paluszki, ciastka

długotrwałe i piaskowe – wspominała po latach – taki też to był i ten przepis jak miliony jemu podobnych, z których nic zrozumieć nie można, a które zwykle służą za frycówkę młodej gospodyni”<sup>9</sup>. Ciastka spaliły się od spodu, bo Lucyna nie wiedziała, jak kontrolować temperaturę pieca. Matka jednak zgodziła się podać je podczas kolacji. Następnego dnia okazało się, że goście, owszem, poczęstowali się, ale następnie w większości chowali ledwo nadgryzione wypieki na parapetach i w oparciach krzeseł, bo były niejadalne. „Pierwszy więc mój debiut na polu gospodarczym nie udał mi się wcale, jak i debiut w miłości” – podsumowywała Ćwierczakiewiczowa. Potem nauczyła się już wszystkiego, czego potrzeba dobrej pani domu. A swoje czytelniczki przekonywała, że „praca sama w sobie jest zbawienną tak dla ciała, jak i ducha naszego, trzyma oboje w karbach. Nie poniżając człowieka, podnosi go i umacnia”.

Ćwierczakiewiczowa była autorką bestsellera *365 obiadów za 5 złotych*, ale wydawała dużo więcej niż tylko kolejne reprinty swojej książki kucharskiej. Spod jej pióra wychodziły także poradniki sprzątania, prowadzenia domu czy opieki nad zwierzętami gospodarskimi. Pisała felietony w „Bluszczu” i innych gazetach dla kobiet, a co roku wydawała *Kolędę dla gospodyń*, czyli kalendarz na kolejny rok, w którym dobra pani domu miała zapisywać sobie plan dnia, zadania gospodarskie, daty imienin i wekowania konfitur – wszystko w wygodnych, wydrukowanych tabelkach. *Kolęda dla gospodyń* zawierała także dużo tekstów dodatkowych. Czasem były to specjalistyczne porady (na przykład o tuczeniu indyków czy wywabianiu plam z firanek) albo kolekcje wierszy czy aforyzmów, zawsze jednak obowiązkowo kilka artykułów przekonujących o podniosłej roli gospodyni domowej – i narzekających sarkastycznie na pustogłowe młode mężatki bez pojęcia o prowadzeniu domu.

Nieumiejętność ta nie odnosiła się tylko do najlepiej urodzonych arystokratek w rodzaju Jadwigi Zamoyskiej. Ćwierczakiewiczowa pisała wprost, że jej czytelniczkami są średnio- lub zupełnie niezamożne panny z drobnomieszczaństwa, i to one powinny szczególnie uważać na to, żeby w związku wstępować z wiedzą, jak dobrze prowadzić gospodarstwo

domowe. „W niedalekiej jeszcze przeszłości kobieta była tak wychowana, że idąc za mąż, sądziła, że zaczyna się dla niej czas swobody i rozrywek; dziś kobieta idąc za mąż, wie, że do niej należy nie tylko utrzymać, ale przysporzyć to, co mąż na polu przemysłowej swej pracy zdobędzie”<sup>10</sup> – pouczała czytelniczki w *Kursie gospodarstwa miejskiego i wiejskiego dla kobiet* z 1889 roku. Ujmowanie obowiązków domowych jako powinności lub wręcz warunku człowieczeństwa kobiety pojawiało się często. W *Kolędzie dla gospodyń* na rok 1876 Ćwierczakiewiczowa pisała: „każda dobrze życząca krajowi obywatelka, żona i matka, w jakimkolwiek ją los umieści położeniu i stanowisku społecznym, nie spełni obowiązków swoich z korzyścią dla rodziny, jeżeli nie będzie znać warunków i zasad ekonomii domowej, czyli gospodarstwa kobiecego [...] powiem więcej: tylko kobieta prawdziwie inteligentna i moralna zdolna jest zarządzać domem z korzyścią dla rodziny i domowników”<sup>11</sup>.

Informacje w podobnym tonie pojawiały się we wszystkich niemal poradnikach gospodarstwa domowego. Poradnik *Kobieta jako gospodyni domu, współpracownica rolnika i właściciela* z 1910 roku rozpoczynał się tak: „Kobieta jest osią życia domowego. Od sposobu jego zorganizowania i kierowania zależy zdrowie moralne i fizyczne rodziny, a dalej – społeczeństwa”<sup>12</sup>. W *Kolędzie dla gospodyń* z 1878 roku długi artykuł zamieściła Maria Ilnicka, redaktor naczelna „Bluszczu”. Nosił tytuł *Panny bawiące* i opisywał smutny los rezydentek, czyli niezamężnych panien mieszkających z rodziną. W tym tekście Ilnicka również przekonywała, że warunki życia takiej rezydentki poprawić może zdecydowanie nauka prowadzenia gospodarstwa domowego. Z jednej strony pomogłyby pani domu, w którym mieszkają (przejmując nieodpłatnie obowiązki gospodyni), a z drugiej, jeśliby się postarały, mogłyby znaleźć męża. Wszak „osoba przygotowana w sposób tak praktyczny na pracowitą towarzyszkę życia pracowitego mężczyzny, znalazłaby prędzej niż inna wyciągającą się ku niej dłoń męską”<sup>13</sup>. Podobnie uważała Wanda Reichsteinowa w poradniku dla młodych panien, która poświęciła drugą połowę swojego dzieła na szczegółowy opis obowiązków młodej żony w gospodarstwie domowym i zawodów, jakie mogłaby wykonywać, gdyby trzeba było dorobić do domowego budżetu (według Reichsteinowej można było dorabiać na

przykład uprawą kwiatów, ziół leczniczych, pszczelarstwem czy malowaniem na porcelanie). Bolesław Londyński pisał w 1904 w *Pani domu. Skarbcu porad praktycznych*, jak to nowoczesne wychowanie sprawiło, że życie rodzinne stało się koszmarem „odstrasającym męża i syna, a samą panią domu zamieniając[ym] w pokutnicę”<sup>14</sup>. Poradnik gospodarstwa domowego miał być „uczciwym przypomnieniem, że to życie domowe to dźwignia rodzin polskich, że im czystsze, ponętniejsze, im dystyngowańsze będzie ludzkie gniazdo, tem jego samce więcej mu ziaren zniosą, i ciepłu radzi, chętniej w nim zasiądą do wspólnych biesiad i świergotów”.

Takie opinie w licznych poradnikach Lucyny Ćwierczakiewiczowej uznać by można za sposób autopromocji. Ćwierczakiewiczowa prowadziła doskonale prosperujące przedsiębiorstwo poradnikowe, a jej dochód ze sprzedaży samych 365 *obiadów za 5 zł* wyniósł po kilkunastu latach 84 tysiące rubli, wartość dwóch kamienic<sup>15</sup>. Nic dziwnego, że przedstawiała umiejętności gospodarskie jako niezbywalny element kobiecości. Tak jak większość poradników, tak i jej publikacje musiały przedstawić czytelniczkom nie tylko przydatne informacje, ale także całościową wizję życia małżeńskiego i przemiany osobowości kobiety. Ćwierczakiewiczowa w tym samym stopniu sprzedawała przepisy na zupę rumianą i leguminę cytrynową, co zapewnienia, że czytelniczka gotująca według jej porad stanie się po prostu lepszym człowiekiem. Podobny, spójny obraz wyłania się ze wszystkich poradników gospodarstwa domowego. Niezależnie od pochodzenia społecznego kobieta znająca się na gotowaniu, praniu i zakupach miała nie tylko odgrywać przypisaną przez Opatrzność i tradycję rolę żony, ale w ogóle realizować istotę swojego człowieczeństwa. Znajomość gospodarstwa domowego wpływała dobrze na jej samopoczucie (bo praca uszlachetnia), moralność (bo mogła spełniać się w służeniu rodzinie) i postawę obywatelską (bo silna rodzina to silny naród). Co więcej, dobra gospodyni mogła łatwiej znaleźć dobrego męża, który nie tylko doceniał jej umiejętności kulinarne, ale także mógł więcej i efektywniej zarabiać dzięki roztropnej żonie w domu. By zrealizować ten ideał, młode mężatki musiały tylko uważnie przeczytać poradniki.



## *Gospodarstwo jest sztuką dobrego użycia czasu, rozumu i pieniędzy*<sup>16</sup>

Poradniki prowadzenia gospodarstwa domowego przedstawiały umiejętności gospodarskie jako cenny wkład kobiety w związek. Mimo wzniosłej frazeologii, zrównującej niemal wiedzę o sezonowej uprawie ziół doniczkowych z poczuciem człowieczeństwa, poradniki i czasopisma gospodarskie dla kobiet twierdziły zgodnie, że nie jest to żadna wiedza tajemna ani wynik kobiecej intuicji. Prowadzenie domu to praca, wymagająca nauki, przyswojenia wiadomości i codziennej, systematycznej uwagi. Poziom szczegółowości instrukcji wskazywał zaś, że była to też edukacja, którą zwykle zaczynać trzeba było od zera.

Bolesław Londyński swój poradnik podzielił na sześć części: *Ognisko domowe*, *Dziecko*, *Małżeństwo*, *Pani domu*, *Życie zewnętrzne* i *Dział praktyczny*. Ponieważ poradnik miał na celu całościowo opisać wszystkie aspekty życia kobiety ze sfery mieszczańskiej i klas wyższych, część porad dotyczyła zasad *savoir-vivre*'u – jak się ubrać, jak odpowiadać na zaproszenia na wizyty, kiedy organizować podwieczorki towarzyskie, a kiedy kolacje. Część informacji miała też charakter poradnika medycznego, szczególnie rozdział o opiece nad dzieckiem. Pozostałe jednak dotyczyły drobiazgowo opracowanego życia codziennego. Czytelniczka mogła dowiedzieć się, jak wynajmować mieszkanie, jak meblować kolejne pokoje, gdzie stawiać łóżko, a gdzie komodę. Londyński podawał przykłady wypraw panieńskich skomponowanych na 100, 200, 500 i 1000 rubli, z podziałem na cenę chusteczek do nosa, pościeli i pończoch. Omawiał organizację prania i noszenia bielizny do magła, wietrzenia, prasowania i krochmalenia. Kolejne rozdziały szczegółowo podawały przykłady codziennego śniadania, podwieczorku i obiadu, planowanie zakupów spożywczych, dyspozycje dla służących idących na targ po zakupy.

Koszmar Jadwigi Zamoyskiej, która nie wiedziała, co się podaje na proszony obiad, w 1904 roku już by się nie zdarzył. Te informacje znajdowały się na wyciągnięcie ręki. Jadłospisy były publikowane również

przez czasopisma dla kobiet, takie jak „Dobra Gospodyni”. Nie chodziło w nich o same przepisy (te miała znać służąca lub można je było przeczytać w książkach kucharskich), a raczej o organizację zakupów na cały tydzień i oszczędne wykorzystanie zakupionych towarów. Oto przykładowy jadłospis z lipca 1905 roku (każdego dnia dwa warianty menu, do wyboru zgodnie z preferencjami rodziny):

#### Dyspozycja obiadów na cały tydzień

Niedziela 1. Zupa angielska (ox-tail), sola zapiekana, kurczęta pieczone z sałata, suflet migdałowy. 2. Zupa pomidorowa, kaczki pieczone z buraczkami, suflet morelowy.

Poniedziałek. 1. Zupa rakowa, kotleciki w papilotach, kwiczoły z kompotem, lody morelowe. 2. Rosół z kluseczkami, cielęca pieczeń z mizerją, krem czekoladowy.

Wtorek: 1. Zupa „consommé royal”, jarzynka z wędzonym ozorem, indyk pieczony z sałata, mus poziomkowy. 2. Zupa szczawiowa z jajkami, rostbef z garniturem, ciastka z agrestem.

Środa 1. Zupa z jarzyn, pasztet z kaczek, comber barani z mizerją, mleczko waniljowe. 2. Krupnik, sznycle z jajkami, omlet z konfiturami.

Czwartek 1. Zupa „à la Reine”, węgorz marynowany, cielęca pieczeń à la sarna, suflet czekoladowy. 2. Zupa cytrynowa, huzarska pieczeń z kapusta, budyń z ryżu.

Piątek 1. Sago na winie, sandacz z jajkami, pstrągi smażone, krem migdałowy z rumem. 2. Zupa cebulowa z kluseczkami, szczupak smażony, naleśniki z sokiem.

Sobota. 1. Barszcz z uszkami, auszpik z kurcząt, rostbef z pieczarkami, galareta morelowa. 2. Kartoflanka na baraninie, kotlety z jarzynami, legumina z kaszki<sup>17</sup>.

Kolejne wydania *Kolędy dla gospodyń* Ćwierczakiewiczowej wskazywały, jak wiele zadań musiała opanować od podstaw młoda żona – planowanie obiadów było drobnostką w skali całego przedsiębiorstwa domowego. Kalendarz na rok 1895 miał sto siedemdziesiąt stron i składał się z kilku części. Na początku kalendarz z zaznaczonymi świętami, imieninami i rocznicami, daty urodzin cara Aleksandra III i całej jego rodziny. Dalej „część informacyjna”, z adresami lekarzy internistów, pensji prywatnych dla dziewczynek i szkół dla chłopców, zakładów i instytucji dobroczynnych, z rozkładem jazdy pociągów na dworcach Warszawy, rozkładem jazdy tramwajów, tabelą opłat pocztowych za przesyłanie listów i paczek, cenami miejsc w głównych teatrach miasta, adresami hoteli i innymi tego typu informacjami, które mogły przydać się w życiu

codziennym kobiety z miejskiej klasy średniej. Potem trzydzieści sześć stron z „rozkładem pracy gospodarczej kobiecej na rok cały”. Każdy miesiąc miał przeznaczone cztery strony w kalendarzu. Na pierwszej widniała rozpiska dni, razem z godzinami zachodu i wschodu słońca oraz imieninami, na drugiej porady dotyczące rozplanowania pracy w danym miesiącu. W styczniu Ćwierzakiewiczowa radziła:

wszelkie zapasy spiżarni, apteczki i piwnicy są w całej pełni, całą więc gospodarczą czynnością pani domu jest przyjmowanie gości. Miesiąc ten bowiem zwany karnawałem [...]. W rodzinnym kółku cały ten miesiąc schodzi na czytaniu lub projektach zabaw – przygotowaniach toalet wieczornych, których wzory podaje tak obszernie, poczynając od 1 Numeru roku w szpaltach swoich *Bluszcz*, pismo dla kobiet. Suknie balowe lekkie powinny się szyć naprędce [...] nie radzę je szyć wieczorami, bo lekka tkanina od ognia zająć się może. [...] Smażenie pączków, faworków, robienie kremów, galaret, które w tym miesiącu naturalnie bez lodowni wybornie się udają, jest codzienną pracą w styczniu<sup>18</sup>.

Na kwiecień:

Jeżeli Wielkanoc jest wczesna, to koniec marca lub początek kwietnia schodzi na przygotowaniach wielkanocnych. Radzę w ostatnim tygodniu już w poniedziałek zająć się gotowaniem rodzynek, migdałów i tarciami cukru do bab (patrz „Jedynie praktyczne przepisy”, edycja 14), gdyż te żmudne roboty zajmują wiele czasu. [...] W mieście cały kwiecień schodzi na przerabianiu ubiorów wiosennych dla całego domu, a dzień długi i pora niezbyt gorąca jest po temu do każdej roboty. W kwietniu należy starannie pilnować w piwnicach kartofli. [...] Ten miesiąc daje już nowalije, jest więc ciągle robota w inspektach i ogrodach (patrz „Kalendarz robót w inspektach i ogrodach”).

Maj, „ten piękny poetyczny maj, jest miesiącem nabiału”. Należy też wtedy trzepać futra i chować je do kufrów. W lipcu kupować miód i robić konfitury z malin, a we wrześniu zbierać i suszyć orzechy włoskie na Boże Narodzenie.

Trzecia strona kalendarza przy każdym miesiącu przeznaczona była na tabelę „Co dano do prania”. Dobra pani domu miała zapisywać, ile w danym miesiącu wyprano „koszul męskich nocnych, spodni par, kaftaników, majtek par, spódnic, pończoch, chustek do nosa, serwet stołowych, deserowych, kolorowych, kołnierzyków, rękawków, mankietów, czepeczków, chustek batystowych” i tak dalej. Część o praniu szczególnie bawiła Bolesława Prusa, który co roku reklamował czy też recenzował

kolejne wydanie *Kolędy* w swoich felietonach w „Kurierze Warszawskim”: „Szacowne to dzieło – ów kalendarz! Zamiast poezji znajdujemy w nim artykuł o półgęskach lub o kwaszeniu kapusty, a zamiast traktatu o emancypacji – rejestrzyk bielizny zaczynający się od koszul dziennych i czepków nocnych, a kończący się na kaftanikach i pończoszkach dziecinnych. Delicje – powiadam!”<sup>19</sup>. Jeśli weźmie się pod uwagę, że pranie powszechnie oddawano do magła lub powierzano pracze przychodzącej do prania raz w miesiącu i zbierającej zlecenia z całej kamienicy, zapisywanie sobie oddanych części garderoby miało głęboki sens. Dobra gospodyni powinna umieć doliczyć się wszystkich posiadanych części bielizny, inaczej narażała gospodarstwo na straty finansowe. Czwarta strona kalendarza była niezadrukowana, przeznaczona na osobiste zapiski pani domu.

Nie koniec na tym. Drugą część kalendarza zajmowały „pogawędki gospodarskie”, z których pani domu mogła dowiedzieć się, jak prowadzić dom we wszelkich aspektach. W *Kolędzie dla gospodyń na 1895 rok* zakres tematów obejmował między innymi: przepis na gotowanie śmietanki, sposoby przyrządzania i jedzenia ślimaków winniczków, artykuł o tym, jak niszczą się sprzęty domowe z powodu nieuwagi służących, opinie na temat solenia mięsa wielkanocnego, ponadto porady: „Dlaczego należy jadać ryby widelcem, a nie nożem”, „Wietrzenie mieszkań”, „Jak przechowywać lampy przez lato”, „Plamy z kawy i mleka”, artykuł zatytułowany po prostu „Pieczarki”, a także inny, o złowieszczym tytule „Wojna i śmierć szczurom”.

Czasopisma i poradniki dla pań domu przedstawiały zajmowanie się domem jako powołanie i pracę równoważną męskiej pracy zarobkowej. Mimo to w poradach w większości zakładano, że pani ma do pomocy służącą, a jej wkład w prowadzenie gospodarstwa domowego jest głównie organizacyjny. W *Kolędzie* w dziale organizacji pracy miesięcznej używano sformułowań dających do zrozumienia, że gospodyni ma jedynie pamiętać o wydaniu poleceń. Zdania bezpodmiotowe oddalały konkretne zadania od czytelniczki:

W marcu czy to w mieście, czy na wsi największe odbywają się prania bielizny, gdyż tak woda marcowa, jak i słońce ma skłonność bielenia jej. Wszelkie drobiazgi białe

należy koniecznie w końcu miesiąca poddać działaniu słońca. W końcu miesiąca, jeżeli czas po temu i nie ma już obawy zimna, można już otwierać okna zabezpieczone na zimę, czyścić mieszkania z zimowego kurzu, myć podłogi, zaprawiać posadzki<sup>20</sup>.

Wiadomo było, że pani z mieszczaństwa nie będzie sama froterować podłóg ani robić dużego prania. Poza kwestią klasową (to zadania dla służby) te ciężkie roboty były wyczerpujące fizycznie i wykonywane przez oddzielnych specjalistów – froterów, na ogół mężczyzn, i wynajmowane na godziny praczki. Czasem w poradnikach wprost podawano instrukcje dla służby. W zleceniach na wrzesień na przykład Ćwierczakiewiczowa pisała, aby przeprowadzić inspekcję lamp naftowych w mieszkaniu i pouczyć służącą, aby umyła lampy i przycięła knoty, bo „tylko tym sposobem może dojść do dobrze palących i nie kopcących lamp”.

Samo postępowanie ze służbą również miało znajdować się w wachlarzu umiejętności pani domu. Londyński omawiał w osobnym rozdziale modelowe traktowanie służących, opisując proces zatrudnienia (przez biuro pośrednictwa, należy dopełnić formalności w opłacie administracyjnej i podpisać książeczkę służbową służącej), wyżywienie (to, co jemy sami), czas wolny (jeden dzień wychodnego w tygodniu, należy pozwalać wychodzić na zabawy taneczne i do teatru ludowego) i postępowanie w nagłych wypadkach, takich jak choroba lub śmierć służącej (należy odwieźć do szpitala i dowiadywać się o zdrowie, pogrzeb na nasz koszt)<sup>21</sup>. Zawsze drobiazgowa Ćwierczakiewiczowa w *Podarunku ślubnym* podawała tabelę z rozpisaniem jadłospisem służącej i cenami poszczególnych produktów. Nie zgadzała się z Londyńskim, że służba ma jeść to samo co państwo – zalecała dietę prostszą i dużo tańszą. Według jej wyliczeń służąca powinna jeść dwie bułki, warzywa z okrasą (okrasa, czyli tłuszczu, około 30 gramów dziennie) i 250 gramów mięsa, a do tego herbatę i mleko rano i wieczorem. Pani w mieście, przekonywała więc w *Podarunku*, powinna wydawać na służącą (razem z pensją, opałem, światłem i prezentami na święta) około 150 rubli rocznie<sup>22</sup>. Na końcu *Kolędy* na rok 1895 zamieszczała zaś przedruk przepisów dotyczących zatrudniania służby domowej w Królestwie Polskim.

Te bardzo dokładne instrukcje świadczyły o tym, jak niewiele mogły wiedzieć na podobne tematy młode panie domu. Londyński pisał, że młoda mężatka powinna rozważyć, czy chce zatrudniać służącą doświadczoną czy zupełnie początkującą. „Dla pani domu jest to kwestia niezmiernej wagi, czy zgodzić służącą zupełnie surową [...], czy też taką, która przeszła pierwociny służby w innych domach i wniesie ze swoją osobą to wszystko, do czego ją przyzwyczajono gdzie indziej”<sup>23</sup> – ostrzegał. Dobrze przygotowana gospodyni (zapewne po lekturze odpowiednich poradników) mogła ukształtować nową służącą zgodnie ze swoimi potrzebami. By kształtować nawyki służby, należało jednak posiadać na ten temat wiedzę. Wanda Reichsteinowa w swoim poradniku zwracała uwagę, że mało która młoda mężatka ma pojęcie o prowadzeniu domu, a tym samym, że może zaznać nieprzyjemności: „Głównym powodem zepsucia dla służby bywa nieład domowy, nieakuratność, brak obrachunku. [...] Skoro służba dostrzeże, iż pani domu nie zna się na niczym i nie dba o nic, w takim razie zapewne postara się na swoją korzyść wyzyskiwać położenie rzeczy”<sup>24</sup>. Służące szybko rozpoznawały młode panie domu i niekoniecznie dawały się ukształtować, wiedząc, że na gospodarstwie znają się lepiej. Marcysia, warszawska służąca z *Moich służb*, notowała w dzienniku:

Służę teraz u jednej głupiej pani, to jest takiej, co niedawno za mąż wyszła i ma dopiero drugą służącą. Tamta pierwsza ją oszukiwała: sama mi to powiedziała przy zgodzie i bardzo prosiła, żebym była uczciwa. No, przecież jej nie okradnę i nie przyprowadzę złodziei. Ale ta pani bardzo zabawna: jeszcze nic nie wie z gospodarstwa i dopiero ciągle się uczy od innych, a taką minę robi, jakby wszystko umiała<sup>25</sup>.

Następnie Marcysia wymieniała z uciechą kolejne gafy młodej pani – dała jej w prezencie kawałek płótna na koszulę o wartości 10 rubli (równowartość kwartalnej pensji służącej), na śniadanie karmiła kanapkami z masłem i szynką. Nie знаła się też na gotowaniu i przepisach, co maskowała kolejnymi prezentami:

Jak przychodzi obiad dysponować, to pani zawsze najpierw przeczyta sobie w książce, ale później tak wszystko pokręci, że ja dopiero muszę zgadywać. Jak zgadnę, podpowiem, i pani za mną powtórzy, to taka szczęśliwa, że mi nieraz aż kieliszek słodkiej wódki albo karmelek wyniesie, bo jej się zdaje, że sama wie wszystko. Więc bardzo mnie lubi.

W przypadku młodej pani nie pomagały nawet poradniki i książki kucharskie. O takich żonach opowiadano dowcipy, jak ten drukowany w 1904 roku w „Bocianie”:

#### Młode mężatki

Pani X., młoda mężatka, przypaliła pieczeń, a bojąc się kompromitacji przed mężem, biegnie do telefonu i pyta swej również niedawno zamężnej przyjaciółki:

– Karolciu, przypaliłam wołowinę tak, że bardzo ją czuć. Cóż teraz zrobić?

– Polej ją wodą kolońską! – brzmi odpowiedź Karolci<sup>26</sup>.

Prawdziwą szkołę traktowania służących i zarządzania gospodarstwem młode panie odbierały od matki i koleżanek. W poradnikach wielokrotnie podkreślano, że „ze służbą należy się zawsze obchodzić łagodnie, po przyjacielsku”<sup>27</sup>, że pani domu „nie może się z nimi obchodzić pogardliwie, z gniewem i bez żadnego względu”<sup>28</sup> i że stosunek do osób z niższej klasy społecznej świadczy o charakterze samej panny. Jednak młoda pani z opowieści Marcysi po wizycie przyjaciółki dowiedziała się, że służącej nie należy dawać szynki do kanapek, tylko kawałek kaszanki, a po spotkaniu z matką odebrała cenne płótno i wymieniła na paczkę taniego bawełnianego perkalu. Po pół roku Marcysia notowała z niesmakiem:

Pani się gniewa (już umie teraz, jak inne panie, i nie taka nieśmiała do służących, jak dawniej: nauczyły ją różne przyjaciółki; o wszystko się musiały dowiedzieć i zaraz swoje: „a tak, a owak...”).

Młoda mężatka zamieniła się w pilnującą porządku dozorczynię.

## *Praca ręczna nie poniża*

Dla Marysi służba jest zarazem szkołą, ale pałki i dwójki nie ściągają kar na uczennicę, tylko na nauczycielkę. [...] Talerz stłuczony, szklanka, miska, biurko oblane atramentem przy zcieraniu kurzu, samowar wygięty i rozlutowany – ktoby miał sumienie wytrącać te szkody z pensji, na początek dosyć małej!<sup>29</sup>

Pisała w 1904 Maria Ilnicka w „Bluszczu”, dowodząc, że w relacji pani domu–służąca to ta pierwsza ma gorzej, ponieważ musi na własny koszt

nauczyć zatrudnioną dziewczynę pracy domowej. Umiejętność prowadzenia domu rzeczywiście nie była instynktowna nie tylko dla jednej płci, ale też konkretnej klasy społecznej. Dziewczyny z klas ludowych, tak samo jak te z klas wyższych, nie rodziły się z umiejętnością ani nawet z predyspozycjami do prac usługowo-opiekuńczych. Ku nieustannej irytacji pań domu z mieszczaństwa.

„Większa połowa służących, powiedziałabym nawet, że prawie wszystkie, gdy pierwszy raz wstępują w służbę, prawie żadnego nie mają pojęcia o swych obowiązkach, a co za tem idzie, nie znają się na pracy domowej”<sup>30</sup> – pisała Elżbieta Bederska we wstępie swojego poradnika dla służących z 1909 roku. Bederska postanowiła wyjść temu problemowi naprzeciw i wydać książkę z instrukcjami, w jaki sposób czyścić, gotować, zmiatać i polerować, jak głosił podtytuł *Dobrej służącej, czyli co powinnam wiedzieć o służbie i na służbie*. Bederska tłumaczyła, że większość służących nie ma pojęcia o pracy domowej, nie wie, jak się gotuje kawę, poleruje srebra ani prasuje delikatne ubrania. Podobnie jak w przypadku pań, ich też nikt tego nie uczył, zakładając błędnie, że są to umiejętności wrodzone kobietom i przez to oczywiste. Stąd też problem pracownic domowych, które przeceniały swoje umiejętności przy zatrudnieniu:

Nie mają one zamiaru okłamywać państwa, im się tylko zdaje, że praca domowa to są rzeczy łatwe do wykonania, jak np. robienie ognia, gotowanie kawy, uprzątnięcie pokoi itp. Widziały to przecież tyle razy, jak w domu matka robiła. A choć same nigdy roboty tej się nie imaly, myślą, że tu tylko dobrej woli potrzeba, aby tę samą rzecz równie dobrze zrobić. Tak jednak nie jest, dobra wola i chęć do pracy są bezwątpienia chwalebne, pomagają do prędszego wyuczenia się, ale nie zastąpią nigdy umiejętności.

Poradnik miał zaradzić temu problemowi. Bederska dawała bardzo konkretne rady, łącznie z rozpisaniem całego dnia pracy służącej od wschodu słońca do pójścia spać. Tłumaczyła, w jakich porach dnia chodzić na targ, jak rozpoznawać świeże owoce i warzywa, bezpiecznie rozpalać piec i w jaki sposób obchodzić się z lampami naftowymi. Dziewczętom zastanawiającym się, czy podjąć pracę na służbie, starała się opisać, jaki jest zakres ich obowiązków, czego będą od nich oczekiwać panie i na jakie zadania mogą się zgodzić, a na jakie nie powinny:



Jakie są obowiązki służącej w średnio-zamożnym domu.

Do obowiązków dziewczyny należą mniej-więcej następujące czynności:

1. Postarać się, aby węgle, drzewo lub inne materiały opałowe były w kuchni. Robienie ognia pod kotliną, a zimą i palenie w piecach.

2. Przy gotowaniu śniadania, obiadu, kolacji pani domu pomódz, grubsze roboty wykonywać samej, albo też samej gotować, wedle ugody.

3. Pokoje: okna, sień, schody wycierać, dywany trzepać, szorować, obuwie i rzeczy czyścić, łóżka pościelać itp. W domach, gdzie tylko jedna jest służąca, zazwyczaj pani lub córka w lżejszej pracy pomagają.

4. Prać lub też przy wielkiem praniu pomagać, bieliznę składać, zmaglować, bieliznę przynajmniej maglowaną prasować. Męską bieliznę po części z domu się wydaje do prasowania.

5. W rodzinach, w których są małe dzieci, częściowe ich dozоровanie.

Rady można było też znaleźć w czasopismach dla służby, w rodzaju „Pracownicy Katolickiej” czy „Przyjaciela Sług”. Tam, obok umoralniających pogawędek o naturze religijnej, publikowano konkretne wskazówki, równie szczegółowe, jak porady na temat organizacji dla pań domu. W 1898 roku „Przyjaciel Sług” opublikował na przykład *Dziesięć przykazań dla pokojówek*, gdzie przeczytać można było między innymi:

1. Przy zamiataniu nie zapominaj o kącikach i nie wywołuj całych obłoków pyłu.
2. Gdy czyścisz podłogi, pamiętaj założyć firanki, zasłony, by nie sięgały aż do ziemi. Małe kobierce, chodniki wpierv usuń i wytrzep.
3. Przy mokrem ścieraniu podłóg nie używaj ścierki zbyt mokrej ani brudnej.
4. Przy ścieraniu pyłu z mebli miej ściereczkę miękką, osobną, naciskaj, ścierając, a nie trzep, bo pył spędzony tym sposobem osiadzie gdzie indziej.
5. Mokremi rękami nie chwytaj mebli ani klamki.
6. Wszystko postaw na dawne miejsce, nie przekładaj książek, gazet na inny stół.
7. Umyj ręce i załóż biały fartuch, gdy się zabierasz do pościelania łóżek<sup>31</sup>.

Nie dosyć na tym. Wobec powszechnych utyskiwań, że trudno trafić na kompetentną służącą, niektóre zamożniejsze kobiety zakładały szkoły gospodarstwa domowego.

Hrabina Barbara Kwilecka założyła w 1891 roku szkołę dla służących w swoim folwarku i dworze w Dobrojewie w Wielkim Księstwie Poznańskim. Szkoła kształciła pokojówki i kucharki, program nauki trwał trzy lata, a dziewczęta opłacały go, przez cały ten czas odpracowując swoją

naukę w folwarku Kwileckiej<sup>32</sup>. W Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej 81 działała od 1901 roku szkoła imienia Świętej Kingi, kształcąca pokojówki i kucharki na dwuletnich kursach. Tu naukę fundowały dziewczętom panie z towarzystwa, które następnie planowały zatrudnić je we własnych domach<sup>33</sup>. Kursy dla kucharek prowadziła w 1875 roku Lucyna Ćwierczakiewiczowa. Trzymiesięczny kurs gotowania kosztował 50 rubli – równowartość rocznej pensji służącej domowej w Warszawie, co wskazuje, że Ćwierczakiewiczowa celowała raczej w panny z klasy wyższej, chcące nauczyć się najlepszych przepisów od modnej i bardzo znanej osobistości<sup>34</sup>. Prowadziła też wykłady gospodarstwa domowego, również przeznaczone dla panienek z inteligencji – zajęcia odbywały się w ostatniej klasie na warszawskich pensjach pani Porazińskiej i pani Smolikowej, przeznaczonych dla zamożnych córek mieszczańskich. Tekst wykładów opublikowała potem w formie oddzielnej książki, czyli *Kursu gospodarstwa miejskiego i wiejskiego dla kobiet* z 1889 roku.

Bardziej egalitarny pomysł miała Jadwiga Zamoyska, sama cierpiąca w młodości z powodu braku wykształcenia domowego. Nie chciała, wzorem zawsze dbającej o markę osobistą Ćwierczakiewiczowej, prowadzić wykładów na pensjach dla panien z klasy wyższej, nie planowała też powoływać do życia szkoły zawodowej dla przyszłych służących. Zamoyska po śmierci dużo starszego męża założyła w 1882 roku Szkołę Domowej Pracy Kobiet. Celem szkoły, zwanej Zakładem Kórnickim od miejsca powstania, było, jak głosił statut, „dać kobietom możliwość uzupełnienia wychowania w zakresie obowiązków życia domowego, wprawiając je do potrójnej pracy, ręcznej, umysłowej i duchowej, do zasadniczego przestrzegania porządku i oszczędności sił, czasu, mienia”<sup>35</sup>. Zamoyska, zgodnie z własną filozofią, podobną do tej wyrażanej przez autorów wszelkich poradników gospodarstwa domowego, zakładała, że zarządzanie domem jest podstawą człowieczeństwa kobiety. W swoim traktacie *O pracy* pisała:

Postawiliśmy sobie za jedno z głównych zadań, ażeby słowem i przykładem doprowadzić uczennice nasze do zrozumienia, jak ważną i doniosłą jest wszelka praca,

nie wykluczając najniższej i najpośledniejszej. Chciałybyśmy w nie wpoić to przekonanie, że praca ręczna, podjęta z większym zasobem wykształcenia umysłowego i duchowego, nie tylko że nie poniża, ale że nic skuteczniej przyczynić się nie może do wyrobienia charakteru, obowiązkowości i tak cennej w życiu zaradności i samodzielności<sup>36</sup>.

Założenia Zakładu Kórnickiego były rzeczywiście nowatorskie. Według pomysłu Zamoyskiej szkoła miała być przeznaczona dla pańienek z wszystkich klas społecznych, bez względu na zamożność i wyznanie, prowadzona przez świeckie, praktyczne nauczycielki. Maria Dissłowa, sama będąca nauczycielką kursu gospodarskiego na pensji Królowej Jadwigi we Lwowie, opublikowała w 1906 roku reportaż ze szkoły, mieszczącej się wówczas w Kuźnicach koło Zakopanego. Dissłowa była pod wrażeniem dyscypliny i porządku panującego w szkole, gdzie najmniejsze nawet szczegóły, jak ułożenie alfabetyczne przepisów w kuchni czy kolejność korzystania ze ścierek do osuszania naczyń, ustalone były odgórnie i surowo przestrzegane. Pisała z uznaniem: „[starsze koleżanki] baczą pilnie na wszystko, na porządek zewnętrzny, na zachowanie się, każde uchybienie przepisem notują, a w czasie stosownym następuje upomnienie, nagana lub pochwała i nagroda, wyznaczona za wzorowe zachowanie się. Taka systematyczność drobiazgowa jest właśnie tą sprężyną cieniuchną w zegarku, która cały porządek zakładowy utrzymuje zawsze w równej mierze”<sup>37</sup>. Uczennice w ciągu drobiazgowo zorganizowanego roku szkolnego miały okazję poznać wiele działów pracy domowej. Uczyły się gotowania, mycia naczyń, nakrywania do stołu, szycia, pieczenia ciast i chleba, robienia sera, organizacji spiżarni. W zakładzie działały też pracownie wyrobu mydła, świec i wody kolońskiej, introligatornia, warsztat klejenia pudełek, kurnik i obora.

Wydaje się, że Zamoyska chciała wcielić w życie ironiczne porady Izabeli Moszczeńskiej, by młode panny z klas posiadających, jeśli chcą spełnić oczekiwania społeczne, nauczyły się „wszystko robić same, poczynawszy od przyprawiania sosów i cerowania pończoch, aż do rysowania fasonów mebli i wzorów na dywany, a zarazem zarabiać na równi z mężczyznami i ojcami, by im nie być ciężarem”<sup>38</sup>. Praktyka nie pokrywała się do końca z teorią.

Po pierwsze, warto spojrzeć na faktyczny program szkolny. Oczywiście, można by pomyśleć, że każda panna z klasy wyższej, czy to z ziemiaństwa, miejskiej inteligencji, czy drobnomieszczaństwa, mogła się nauczyć cerować pończochy i bieliznę, gotować, układać jadłospis oraz utrzymywać spiżarnię. Te pochodzące z ziemiaństwa mogły też uznać za przydatne lekcje z robienia serów, opieki nad kurami i bydłem. Zakład Kórnicki oferował jednak również szeroko rozwinięte warsztaty w maglu i pralni – uczennice uczyły się prać, krochmalić i prasować ubrania i pościel. Oddzielna była też lampiarnia, gdzie uczono je obchodzić się z lampami i kominkiem. Zajęcia w szwalni również oferowały tylko praktyczne, konkretne umiejętności kroju i szycia ubrań, w tym produkcji gorsetów z fiszbinami, „które w wykończeniu nie ustępują niczym gorsetom sporządzanym w specjalnych fabrykach”<sup>39</sup>. Były to usługi wykonywane na ogół w pracowniach krawieckich i szwalniach. Jak pisała Dissłowa: „roboty ręczne, jakie wykonują, noszą zawsze cechę praktyczności i pożytku. Robótek ozdobnych, bezcelowych, robionych dla zabicia czasu, nie widziałam wcale i zdaje się, że na to nie ma czasu. Czas cenią bowiem bardzo w Zakładzie”. Duża część kursów obowiązkowych w szkole projektowana była więc z myślą nie o pannach z klasy wyższej, które prawdopodobnie nigdy nie będą miały okazji przetestować w praktyce umiejętności maglowania czy robienia gorsetu, ale ich późniejszych pracownikach – służących domowych, kucharkach, krawcowych, szwaczkach.

Rozpoznanie to łatwo potwierdzić, gdy przyjrzymy się, jakie uczennice były przyjmowane do szkoły. Dissłowa zauważała w 1906 roku, że szkoły gospodarstwa domowego nie są popularne na ziemiach polskich, ponieważ trudno jest znaleźć chętne do nauki panny w dowolnej klasie społecznej, a szkoła Zamoyskiej miała stały przypływ uczennic. Zakład Kórnicki podzielono na trzy działy – dział pierwszy i drugi przeznaczone były dla uczennic z klas wyższych i były to kursy płatne, dział trzeci był darmowy, a uczennice przyjmowano tam na koszt zakładu. Panny z działu pierwszego przebywały w zakładzie do dziesięciu miesięcy i oprócz zajęć praktycznych miały też lekcje języków czy historii jako kontynuację klasycznej edukacji na pensji dla panien. Panny z działu trzeciego skupiały się na zajęciach

praktycznych, a ich lekcje teoretyczne ograniczały się do nauki czytania i religii. W ciągu czterdziestu pierwszych lat funkcjonowania zakładu, od 1882 do 1922 roku, przez szkołę przeszło 1908 uczennic, z czego 1203 uczyły się w dziale trzecim, na koszt szkoły, pozostając w zakładzie od trzech do nawet pięciu lat. W dokumentach prowadzonych do 1892 roku zachowały się informacje o zatrudnieniu ojców, wpisywane przy nazwisku nowej uczennicy. Najczęściej spotykane tam zawody to: cieśla, ogrodnik, szewc, robotnik (prawdopodobnie folwarczny), leśnik, stolarz, wyrobnik, stangret, murarz. Od czasu do czasu trafiał się wójt, nauczyciel czy organista<sup>40</sup>.

Przykład szkoły Zamoyskiej wskazuje, że praktyczna, codzienna strona życia domowego nie interesowała młodych panien, które ze względu na pochodzenie klasowe nie miały zamiaru jej na co dzień praktykować. Wanda Reichsteinowa przekonywała w poradniku:

Liczy się zwykle na to, iż córka pod okiem matki nauczy się tego wszystkiego, co wchodzi w zakres gospodarstwa kobiecego; ale nie zawsze córki mają to szczęście, a potem matki w ten sam sposób niepraktyczny wychowane, nie są w możności pouczenia swoich córek. Zdaje mi się, iż zakład hrabiny Zamoyskiej posiada właśnie wszystkie warunki potrzebne do dokończenia edukacji niewieściej w praktycznym kierunku<sup>41</sup>.

Nie miała jednak racji. Wzniosłe hasła o pełni człowieczeństwa kobiety, która wie, jak zrobić kompot z porzeczek oraz ile krochmalu dodaje się do kilograma bielizny, padały na jałowy grunt. Jedyne dziewczęta i młode kobiety, którym faktycznie opłacało się uczestniczyć w kursach gospodarstwa domowego, doskonalić umiejętności gotowania, szycia czy chowu kurcząt, to te, które wiedziały, że następnie będą tę wiedzę wykorzystywać w pracy zarobkowej. Marcysia, służąca z pamiętników, chciała się nauczyć gotowania, bo kucharce płacono dwa razy tyle co niewykwalifikowanej „służącej do wszystkiego”. Do szkoły Zamoyskiej szły głównie córki ojców z klasy robotniczej i chłopstwa, które dzięki stypendiom miały zamiar następnie przekroczyć suchą nogą bagno najgorszej, niewykwalifikowanej pracy fizycznej i pracować jako ochmistryn timer, sklepowe, freblanki, może otworzyć szwalnię czy sklep. Poza nielicznymi wyjątkami (nieco ponad pięćset uczennic w ciągu

czterdziestu pierwszych lat) kształcenie w kierunku pracy domowej interesowało dziewczęta, którym ktoś chciał płacić za jej wykonywanie.

Młoda mężatka z wyższej klasy społecznej stawiała przed wyzwaniem, któremu nie mogła podołać – zbudowania swojej pozycji w małżeństwie jako kompetentnej partnerki męża. W obliczu wyraźnej, sankcjonowanej ustawowo przewagi ekonomicznej mężczyzny w małżeństwie i niemożności wykonywania pracy zawodowej (bo praca taka nie mieściła się w normie kulturowej) pozostawała jej właśnie taka możliwość – kreowania swojej pozycji jako kompetentnej, władczej pani domu, bez której rodzina nie może się obyć, a mąż skutecznie działać w sferze pozadomowej. W budowaniu takiej pozycji zbiegały się interesy konserwatywne i postępowe. Obie strony dowartościowywały, za pomocą poradników, artykułów prasowych i wiadomości przekazywanych w szkole, młode dziewczęta w pozycji pani domu. Strona konserwatywna robiła to w celu utrzymania *status quo* i przekierowania ambicji kobiet z klasy wyższej z kariery na dom. Strona postępową, emancypacyjną – wskazywała, że tak zwane „kobiece zajęcia” mogą być źródłem sprawczości i poczucia podmiotowości kobiety.

Käthe Schirmacher pisała w feministycznym „Nowym Słowie” w 1903 roku: „I czyż jeszcze za dni naszych nie można często usłyszeć, że mąż pracuje za dwoje i że »utrzymuje żonę«? – Nie ma większego fałszu nad ten, nikt nie może pracować za dwoje, a kobieta utrzymuje się sama. Jej praca domowa jest warunkiem koniecznym pracy męża poza domem, kobieta sprawia pół pracy mężczyzny, toteż połowa jego płacy należy się słusznie kobiecie”<sup>42</sup>. Pytanie brzmi jednak – czy to „jej” praca domowa pozwalała mężowi na wygodne życie, czy też odpłatna praca zarobkowa kucharki, pokojówki, bony i niani? Już po I wojnie światowej, gdy pozycja kobiety na rynku pracy wzrosła, a różnice klasowe nieco zmalały, tygodnik „Bluszcz” drukował modelowy dzień pracy zaangażowanej pani domu (z mieszczaństwa) i jej służącej. Gdy porówna się te dwa plany dnia, doskonale widać, co rozumiano jako prace domowe w różnych klasach społecznych:

Plan dnia pani domu:

7.30 śniadanie.

8–9 zmywanie szkła i porcelany, dokończenie toalety.

9–10 reparacje, szycie itp.

10–13 zajęcia okresowe lub sporadyczne na mieście, jak np. sprawunki, PKO, krawcowa.

13–14 rachunki, kontrola i wykończenie porządków.

14–15 zajęcia umysłowe: korespondencje, gazety lub t.p.

15–16 pomoc w kuchni i nakrycie do stołu.

16–17 obiad.

17–19.30 zajęcia z dziećmi (pomoc w lekcjach).

19.30–20 kolacja.

20–22 beletrystyka, radio, kino, teatr itp.

Plan dnia służącej:

6.30–7 czyszczenie ubrań i obuwia.

7–8.30 podanie śniadania, zjedzenie, sprzątnięcie ze stołu, zamiatanie pokoi.

8.30–9.30 zakupy do obiadu.

9.30–11.30 sprzątanie pokoi, w tem jednego gruntownie (dzień, w którym służąca pierze, wolny jest od gruntownego sprzątania, wobec czego pozostaje więcej czasu na zajęcia okresowe).

11.30–13.30 zajęcia okresowe.

13.30–16 gotowanie obiadu z pomocą pani domu.

16–17 obiad i sprzątnięcie.

17–19 wolne.

19–20 szykowanie, podanie i zjedzenie kolacji.

20–20.30 sprzątanie po kolacji<sup>43</sup>.

Argument Schirmacher miał dowartościować kobiecą pracę domową i wpłynąć na równowagę sił w związku małżeńskim, tak zachwianą w klasie wyższej. Cały problem polegał jednak na tym, że wiele kobiet spoza klasy robotniczej nie umiało lub nie chciało wykonywać tej „pracy domowej”. A dziewczyny z klasy robotniczej nie musiały czerpać poczucia sprawczości ze swoich umiejętności gospodyni domowej, ponieważ za zajęcia usługowo-opiekuńcze (jak szycie, gotowanie, pranie, opiekę nad dziećmi, karmienie piersią) dostawały gotówkę w ramach świadczenia stosunku pracy jako służące, praczki, szwaczki, kucharki, nianie i mamki.

## *Bądźcie królami w snach swoich*

Przypuszczając, że wszyscy otrzymacie posady i zaczniecie dobrze, radzę wam: Mierzcie wysoko. Figi nie dałbym za młodzieńca, który nie widzi się w wyobraźni współnikiem lub naczelnikiem wielkiej firmy. Nawet na chwilę niech nie zadawała was myśl, że dostatecznie będzie, jeżeli zostanieie wyższymi urzędnikami, naczelnikami lub dyrektorami. Niech każdy z was powie sobie: „Moje miejsce jest u szczytu”.  
Bądźcie królami w snach swoich<sup>44</sup>.

W trakcie godziny szycia w szkole gospodarstwa domowego w Kuźnicach uczennice nie tylko produkowały praktyczne i pożyteczne części garderoby, ale także słuchały pouczających książek czytanych przez nauczycielki lub samą generałową Zamoyską. Córki stangretów, robotników i wiejskich nauczycieli, cerując skarpety i obrębiając fartuchy, słuchały, a następnie mogły zadawać pytania hrabinie Zamoyskiej, która rozwiewała wątpliwości i wyjaśniała bardziej zawiłe kwestie. Podczas wizyty Disslowej Zamoyska czytała akurat *Państwo interesu* Andrew Carnegiego.

*The Empire of Bussiness* było pół poradnikiem, pół zapisem drogi do kariery i bogactwa autora, szkockiego finansisty, przemysłowca i filantropa. W 1902 roku, gdy wyszło amerykańskie wydanie książki, Carnegie był najbogatszym człowiekiem na świecie – w 1901 roku sprzedał Carnegie Steel Company i tym samym odebrał ten tytuł Johnowi D. Rockefellerowi. Polskie wydanie *Państwa interesu* wyszło w 1904 roku i dodawane było bezpłatnie do „Tygodnika Ilustrowanego” jako prezent dla prenumeratorów. Cytat o „byciu królem w snach swoich” znajduje się na drugiej stronie pierwszego rozdziału *Droga do powodzenia w interesie*, przedstawionego jako wykład w 1885 roku przed studentami szkoły handlowej w Pittsburghu. Nawet jeśli hrabina Zamoyska czytała na głos bardzo powoli, w ciągu godziny szycia dziewczęta na pewno miały okazję zapytać, czy Carnegie radził również im, by zostały naczelniczkami wielkiej firmy i nie bały się mierzyć wysoko.

We wstępie do polskiego wydania tłumacz radził, by książkę tę przeczytały osoby wszystkich stanów, ponieważ Carnegie podaje w niej receptę, jak wychować dobrego obywatela: to znaczy takiego, którego



cechują upór, przedsiębiorczość, pracowitość i oszczędność. Pytany o najważniejszy cytat z Biblii, Carnegie odpowiadał podobno: „dbaj o grosze swoje, bo talary twoje same o siebie dbać nie będą”. Obraz ubranych w fartuchy i czepki dziewcząt z klasy robotniczej wysłuchujących porad miliardera na temat tego, jak zostać prezesem amerykańskiego przedsiębiorstwa, wydaje się absurdalny – jednocześnie klasistowski, seksistowski i niezwykle naiwny. Można jednak zrozumieć, dlaczego Zamoyska wybrała taką lekturę. Carnegie wyznawał zasady w gruncie rzeczy podobne do tych propagowanych przez autorów poradników gospodarstwa domowego, wywodzące się ogólnie z protestanckiej etyki pracy. A skoro rodzina to przedsiębiorstwo, poradnik „jak zostać milionerem” mógł odnosić się tak samo do studentów szkoły handlowej w Pittsburghu, jak i uczennic szkoły gospodarstwa domowego w Kuźnicach.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa w *Podarunku ślubnym* pisała, że znajomość rachunkowości jest niezwykle istotna, by rodzina mogła dobrze i zdrowo funkcjonować, i powinna być nauczana jako oddzielny przedmiot na pensjach. „Ogół umiejętności ekonomicznych powinien nosić nazwę ekonomii społecznej, dzielącej się na dwie gałęzie »ekonomii domowej« i »ekonomii politycznej« – dowodziła czytelniczkom – ekonomia polityczna zastałaby tak jak jest nauką o tworzeniu i rozdziale bogactwa krajowego, ekonomia domowa stałaby się nauką o używaniu i zachowaniu tegoż majątku, który przejawia się w artykułach żywności i materiałach odzienia”<sup>45</sup>. Żona i matka przedstawiała się w tym ujęciu już nie tylko jako strażniczka domowego ogniska, doglądająca krochmalenia zasłon i produkcji powideł, ale także skarbniczka, pilnująca płynności finansowej rodziny przez swoje odpowiedzialne dzielenie i mnożenie domowego budżetu.

Zakład Kórnicki nie mógł więc działać inaczej. Zamoyska nie oferowała wprawdzie oddzielnych zajęć z ekonomii domowej, ale włączała uczennice w prowadzenie rachunków. Disslowa pisała jak zawsze z uznaniem: „Oglądałam też czynności kasowe i buchalteryjne uczennic. W takim olbrzymim zakładzie prowadzenie rachunków, inkasowanie i wydawanie pieniędzy stanowi jeszcze jeden wielki dział pracy, zatrudnia stale pewną

ilość sił – i musi być równie akuratnie i starannie prowadzony, jak cały zakład”<sup>46</sup>. Dziewczętom, którym nie dane było uczęszczać do zakładu, pozostawały poradniki buchalterii domowej.

## *Minister finansów swojego męża*

Lucyna Kotarbińska na przełomie wieków XIX i XX prowadziła inteligentki dom najpierw w Krakowie, a potem w Warszawie, jako żona dyrektora i reżysera teatralnego Józefa Kotarbińskiego. Sama również pracowała – między innymi jako redaktor naczelna popularnego czasopisma dla kobiet, „Tygodnika Mód i Powieści”. Całe życie zatrudniała więc służące domowe, między innymi wyborną kucharkę Michalinę, prostą wiejską kobietę w średnim wieku. Do obowiązków Michalinki należało gotowanie i chodzenie po zakupy, do obowiązków Kotarbińskiej – sporządzanie zamówień i rozliczanie reszty. To ostatnie zawsze było dla niej koszmarem. Jak wspominała w pamiętniku:

Przy rachunkach obie bywałyśmy w tarapatach niesłychanych. Bo to tak bywało:

– Za to dałam pięć złotych i pół. Za to rubla i 30 groszy. Za to 5 kopiejek. To dwie szóstki, a to trojaka.

Utnij łeb, nic nigdy nie mogłam się doliczyć. A jeśli jeszcze przybywały w piątki jajka, na cały tydzień kupowane, jedne po 7 groszy, a drugie para trzynaście, i trzeba było mnożyć, a ja znów tej tabliczki nigdy nie umiałam, więc wtedy już raptownie kończył się rachunek i dla salwowania swej powagi mówiłam:

– Michalinko, daj resztę i idź spać. Ja to obliczę, dobranoc ci<sup>47</sup>.

Kotarbińska być może nie miałaby tego problemu, gdyby czytała poradniki buchalterii.

Już w XIX stuleciu niektóre poradniki prowadzenia gospodarstwa domowego zawierały rozdziały na temat ekonomii domowej – tego, jak spisywać, dzielić i prowadzić wydatki. W ujęciu autorów było to zadanie kobiety dające jej władzę nad rodziną, choć to nie ona zarabiała te pieniądze, tylko jej mąż. Żona nie miała więc wpływu na to, ile miesięcznie dostanie pieniędzy na prowadzenie domu. Jeśli jednak zarządzała

majątkiem dobrze i z głową, pełniąc funkcję ochmistrzyni przedsiębiorstwa domowego tak, jak ekonom zarządzał pańskim majątkiem na wsi, mogła być z siebie dumna i wzmocnić swoją pozycję w małżeństwie jako tej, która odpowiedzialnie dzieli i mnoży domowy budżet. „Pani domu powinna pamiętać, że jest nie tylko królową w swoim miniaturowym państewku, ale nadto – ministrem finansów swojego męża”<sup>48</sup> – przypominał Londyński w 1903 roku. Od jej biegłości finansowej zależał więc sukces państwa-przedsiębiorstwa, czyli rodziny. Jeszcze w latach trzydziestych XX wieku czasopismo „Przegląd Kobiety”, wydające książeczki rachunkowe, przypominało: „przez ręce pań domu przechodzi w całej Polsce rocznie osiem miliardów złotych. Miesięcznie stanowi to 666 milionów złotych. Gdyby tylko 1/100 wydatków miesięcznych zaoszczędziła każda pani domu, wyniosłoby to 6.660.000 zł miesięcznie odłożonych oszczędności, a w ciągu roku dałoby to 79.920.000 złotych”<sup>49</sup>. Przedstawiając cyfry w taki sposób, faktycznie odnosiło się wrażenie, jakby kobiety operowały budżetem niewielkiego kraju. I ponosiły adekwatną do tego zadania odpowiedzialność.

Londyński radził, jak rozplanować wydatki. Zalecał, by co miesiąc odkładać 40 procent dochodu na czarną godzinę („gdy choroba powali pana domu i jego głowę na łożo boleści”), 10 procent przeznaczać na komorne lub ratę za dom, a pozostałe 50 procent na całą resztę, czyli wyżywienie, ubranie, opał, pensje dla służby i chesne za szkołę dzieci. Pani domu, której trudno było zmieścić te wszystkie wydatki w budżecie, poradnik zalecał uważne gospodarowanie i cięcie kosztów – rezygnację z deseru po obiedzie, kupowanie hurtowe towarów podstawowych po niższych cenach, szycie sukni z tańszych materiałów. „Przegląd Kobiety” radził, by robić weki i konfitury, układać racjonalne jadłospisy na cały tydzień, nie używać mocnych lamp gazowych i oszczędnie palić w piecu. Przede wszystkim jednak poradniki buchalterii przekonywały żony i matki, że wszystko jest kwestią dobrej organizacji. Niezależnie od tego, jak niewiele z pracy przynosił mąż, rozsądna, kompetentna kobieta była w stanie podzielić te pieniądze tak, by wystarczyły na życie. Jak przekonywał Londyński, szczegółowe wyliczanie przychodów i rozchodów jest kluczowe: „gdybyście panie zapisywały tylko jedną sumę ogólną wydatków

codziennych, nie zaś każdy przedmiot pojedynczo, to nigdy nie doprowadziłybyście waszego gospodarstwa do należytego porządku i dobrobytu”. Dlatego też każda pani domu powinna prowadzić dokładne książki rachunkowe.

Książki rachunkowe, czyli zeszyty z wyrysowaną tabelą, stanowiły centralny punkt „ekonomii domowej”, im bardziej szczegółowo były prowadzone, tym lepiej. Wzór książki podawał sam Londyński, proponując następujące rubryki: wydatki gospodarskie, ubranie i bielizna, wydatki różne, sumowane następnie z podziałem na ruble i kopiejki, a odejmowane w tabeli od dochodów. W przykładowo wypełnionej tabeli na styczeń 1903 roku Londyński wpisał w dochodach „pensja od męża 100 rubli”, a następnie w przykładowych wydatkach gospodarskich: „Marysi za grudzień zasług 5 rubli” i „15 pudów cukru po 13 kopiejek”. Do wydatków Londyński polecał wpisywać „honorarium wypłacone lekarzowi, kupno lekarstw, wydatki drobne na dorożki i tramwaje, marki pocztowe, posłańców, łożę lub krzesło w teatrze, jałmużnę, kupno papieru, piór, ołówków, bilety wizytowe, książki, nuty i w ogóle wydatki”, wśród dochodów – pensję (męża) i „takie obrywki gospodarskie, jak sprzedaż makulatury, sprzedaż starego ubrania itp., podatki realne w przypuszczalnej sumie ich wartości, słowem wszystko, co realnie zasób powiększa”.

Sposób prowadzenia księgowości domowej nie zmieniał się szczególnie przez dekady. Jeszcze w 1930 roku gazeta „Bluszcz” prowadziła dwuletni *Korespondencyjny kurs gospodarstwa domowego*, gdzie w kolejnych zeszytach publikowano wykłady dla panien miejskich i wiejskich zawierające całą wiedzę, jaką powinna mieć odpowiedzialna pani domu. Jedną z serii wykładów prowadzona przez Izę Mandukową nazywała się *Rachunkowość*. Mandukowa podawała w kolejnych lekcjach przykłady różnych książeczek rachunkowych, które powinna prowadzić dobra pani domu. Proponowała podzielić rachunki na spis inwentarza (zestawienie wszystkich posiadanych ruchomości i nieruchomości, robione rzadko), doraźną książeczkę handlową (przychodów i rozchodów, uzupełnianą codziennie) i książkę kasową, uzupełnianą raz w miesiącu, by podsumować wydatki. Podawała również przykłady. Książeczka uzupełniona za styczeń 1930 roku zawierała w tabeli przychody: „otrzymałam od męża na budżet

700 zł”<sup>50</sup>, „otrzymałam od męża dodatkowo 800 zł”. W wydatkach – rata za futro (750 zł, zapewne na to poszły dodatkowe pieniądze od męża), żywność, elektryczność, komorne za styczeń (105 zł, mniej niż zalecane przez Londyńskiego 10 procent), materiał na sukienkę, lampka nocna i stolik, naprawa kłódki do piwnicy, soda, płyn do czyszczenia. Wzorowej pani domu z „Bluszczu” z miesięcznego budżetu wysokości 1500 złotych zostało 75 złotych reszty, która przechodziła na kolejny miesiąc.

Prowadzenie domowych rachunków w tej formie było tak popularne, że „Bluszcz” w 1930 rozpiisał nawet konkurs na najlepiej wypełnioną książeczkę rachunkową. Wypełnianą przez rok *Książkę rachunkową kobiety polskiej* należało wysłać do redakcji, a zwycięska pani domu miała otrzymać nagrodę wysokości 500 złotych. W ogłoszeniu podkreślano, że nagroda zostanie przyznana „za najdokładniejsze prowadzenie rachunków podług schematów w książce zawartych, i najracjonalniejsze rozłożenie sum na poszczególne rubryki, przyczem głównym motywem przyznania nagrody będzie, oczywiście, nie wielkość budżetu, ale najekonomiczniejsze i najbardziej wartościowe zużytkowanie, choćby bardzo skromnego dochodu, z uwzględnieniem rubryki oszczędności”<sup>51</sup>.

Do takiego konkursu przystąpić mogła na przykład Jadwiga Jarmulska, właścicielka *Książki rachunkowej* wydanej przez „Przegląd Kobiety”<sup>52</sup>. Jadwiga prowadziła regularne zapiski w tabeli przez cały rok 1938. Jej książka miała miesiące podzielone na daty dzienne, a każdy dzień mógł zawierać wpis w siedmiu kategoriach: „żywność”, „mieszkanie, opał, elektryczność, gaz”, „ubranie, umeblowanie, naczynia”, „pranie, służba”, „szkoła, wydatki kulturalne, podatki”, „oszczędności, PKO”, „wydatki różne”. Jadwiga codziennie odkładała 10 złotych w ramach oszczędności. Dziennie wydawała na żywność między 40 a 60 złotych, służącej płaciła raz w miesiącu 70 złotych, a resztę wydatków pochłaniały szkoła i życie kulturalne. Z boku, w kategorii „uwagi”, zapisywała dodatkowe wydatki: „bilet”, „ubranie”, „galanteria”, „palnik”, „apteka”, „gazety”, „mydło”, „nafta, denaturat”, „radio”. Nie wypełniała jednak książeczki dokładnie według porad kursu gospodyń domowych – kategoria „saldo” pozostawała pusta, bo Jadwiga nie sumowała codziennie wydatków.

Książki rachunkowe zakładały, że kobiety są w stanie z łatwością prowadzić domowe finanse, a wszelkie niepowodzenia wynikają raczej z wad ich charakteru i wychowania, a nie obiektywnych trudności. Praktyka wskazywała, że było to myślenie nadmiernie optymistyczne. Lucyna Kotarbińska, która nie znała tabliczki mnożenia (podobnie jak jej służąca), wspominała o swojej niekompetencji w formie uroczego żartu. Nie czuła, by musiała się tego wstydzić – taki poziom edukacji odpowiadał jej zajęciu i klasie społecznej. Nieznajomość tabliczki mnożenia nie była tutaj głównym problemem – prowadzenie podstawowej księgowości domowej nie było znowu tak skomplikowane. Lucyna Ćwierczakiewiczowa zapewniała swoje czytelniczki, że „na prowadzenie zwykłej buchalterii domowej wystarczy kobiecie nauka czterech działań arytmetycznych. [...] Znam kilka gospodyń, których wszechstronne wykształcenie odebrane przed dwudziestu laty nie dotknęło buchalterii ówczesnie nie wprowadzonej jeszcze w system edukacji kobiecej – a jednak życzę każdej umiejętnej gosposi i odpowiednio w warunkach dziś żądanych wykształconej, aby takie robiła interesa z produktów swego gospodarstwa”<sup>53</sup>. Poważniejszym problemem było to, że wiele kobiet z klasy wyższej nie znało wartości pieniądza, ponieważ w domu rodzinnym nie dopuszczano ich do żadnych spraw finansowych. Anna Potocka, najmłodsza siostra Jadwigi Zamoyskiej, wyszła za mąż w 1866 jako dwudziestolatka. Pierwsze otrzymane od męża pieniądze wydała na wstążki do włosów. W pamiętniku wspominała:

Wielką wadą mojego wychowania, a raczej braku wychowania [...] było, że mnie wcale nie nauczono obchodzić się z pieniędzmi: nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego, ile mamy dochodu, ile nas będzie kosztowało życie, czy rzeczywiście zostanie coś i ile na fantazje. Wcale nie miałam pojęcia, ile co powinno kosztować. Pamiętam, że pierwsze 25 talarów, które mi mąż mój dał na sprawunki, gdyśmy przyjechali do Poznania, poczuwałam się niejako upoważniona wydać na bodaj co: i wróciłam do domu z różnymi rzeczami, to na prezenta dla różnych osób, to na jakieś wstążeczki różnokolorowe. [...] Tak samo było z jałmużną. Wszak moja Matka tyle ubogim świadczyła! Przecież trzeba było brać od niej przykład, czyż się godziło co odmówić ubogim?<sup>54</sup>

Podobnie Eliza Orzeszkowa wyrzucała sobie: „wszakże ja doprawdy nie umiałam dobrze garści pieniędzy przeliczyć!”<sup>55</sup>. Między innymi dlatego, jak sama pisała, zmuszona była sprzedać rodzinny majątek po powstaniu styczniowym. Z frustracją na system wychowania ziemiańskiego, który doprowadził ją do takiej bezradności w obliczu problemów finansowych, rozprawiała się między innymi w *Marcie*, wydanej w 1873 roku. Wdowa po urzędniku, piękna i młoda Marta Świcka, nie może znaleźć żadnej pracy, ponieważ nie posiada żadnych przydatnych umiejętności. Przede wszystkim zaś nie wie, jak obchodzić się z pieniędzmi, i to nie pozwala jej podjąć pracy w handlu i sprzedaży. Jak tłumaczy jej właścicielka sklepu konfekcyjnego, zatrudniająca w roli subiektów samych mężczyzn:

Trzeba także, aby sklepowi umieli rachować, i nie byle jak rachować, tam bowiem, gdzie w każdej godzinie, minucie niemal, wpływają sumy coraz nowe i coraz inne cyfry reprezentujące, opuszczenie jednego grosza stać się może przyczyną nieładu w rachunkach, którego my najpilniej strzec się musimy. [...] Wszystkich przymiotów tych najczęściej pozbawione są kobiety. Nieprzyzwyczajone do porządku, nieakuratne, dla przerachowania najdrobniejszej sumy nosić muszą w kieszeni tabliczkę mnożenia, niewinne trusiątka, tylko co odczepione od spódniczki mamy, zaledwie śmieją podnieść oczy na twarze kupujących, nie wiedząc, jak do nich przemawiać<sup>56</sup>.

Marta, nie mogąc zaprzeczyć (sama nie umie dobrze liczyć i wstydzi się tłumów), odchodzi z kwitkiem i bez grosza. Tak kompletna dyskryminacja nie była oczywiście zgodna ze stanem faktycznym (w końcu XIX wieku w sklepach pracowało wiele kobiet, jak choćby opisywane przez Salomeę Perlmutter ekspedientki ze sklepów z materiałami). Orzeszkowa jednak chciała pokazać, jak bardzo upośledzone na rynku pracy są kobiety wychowane na żony w klasie wyższej. Doświadczenie zupełnej nieświadomości realnej wartości pieniądza, tak frustrujące, jak przerażające, powtarza się w pamiętnikach kobiet dorastających w drugiej połowie XIX stulecia. Maria z Łubieńskich Górską, rówieśnica Jadwigi Zamoyskiej, pisała o pierwszych dniach swojego małżeństwa:

Ślub nasz był w niedzielę. W poniedziałek koło południa mój mąż mi przyniósł 200 złp w różnych gatunkach pieniędzy, mówiąc, że to na wydatki domu, po czym wyszedł do gospodarstwa. Pamiętam, że jak zostałam sama z tymi groszakami przed sobą, gorzko zaczęłam płakać. Jak ja ten dom będę prowadzić? [...] O żadnym gospodarstwie nie

miałam wyobrażenia. Nie chciałam zdradzić się z moją nieświadomością, ale życie wydało mi się bardzo trudne<sup>57</sup>.

Sytuacja nie zmieniała się bardzo dynamicznie także po I wojnie światowej. Tadeusz Boy-Żeleński pisał jeszcze w międzywojniu, że kobiety nie znały wartości pieniędzy, ponieważ nawet w sklepach wszystko brały na kredyt, regulowany następnie przez męża: „kobieta poza domem nie miała pieniędzy, nie wiedziała – jak anioł – o ich istnieniu”<sup>58</sup>.

W klasach posiadających małżeństwo opierało się na szczególnych zasadach nierównowagi, wynikających z tego, że według normy społecznej kobiety nie powinny pracować. W kwestiach finansowych musiały więc radzić sobie z podwójnie trudną sytuacją. Po pierwsze, nie miały żadnego wpływu na to, ile pieniędzy otrzymają od męża. W książkach buchalterskich „dochody” oznaczone były pod wpisem „otrzymałam od męża”. Czy oznaczało to, że mężczyzna przekazywał im całą pensję, czy tylko jej połowę, lub w ogóle pewną część, którą uznał tego miesiąca za stosowną? Żona zaś musiała z tego zmiennego, nieweryfikowalnego budżetu zaplanować cały miesiąc wydatków na dom – zawsze stały, niezawodny, zrównoważony i oszczędny. Po drugie, kobiety te, nie mając doświadczenia na rynku pracy ani nie dokonując na ogół żadnych transakcji finansowych, nie mogły ocenić, czy są sprawiedliwie traktowane. Nierealistyczny wizerunek oszczędnej i zaradnej gospodyni propagowany w prasie wywierał dodatkową presję na młode kobiety. W gazetach mogły przeczytać porady podobne do tych, jak w opublikowanym w 1865 roku *Liście do młodej osoby*:

tysiączne przykłady dowodzą nam przy końcu każdego roku, ile gwałtownych sprzeczek wywołują w małżeństwie wydatki kobiece. Ażeby uniknąć tych nieporozumień, kobieta powinna znać dokładnie dochody, którymi rozporządzać może na swoją toaletę, i zawsze być w zgodzie z tą cyfrą, gdyż nieprzewidziane wypadki powinny być w to policzone. W tym względzie, jak i we wszystkim żona powinna mieć dla męża nieograniczone zaufanie i nie ukrywać przed nim prawdziwej ceny swoich strojów. Jeżeli przez niedoświadczenie albo lekkość popełniła jaką niedorzeczność, wydając za wiele, może tylko natychmiastowem przyznaniem się do winy okupić swój błąd; opóźnienie podwaja niebezpieczeństwo, skrytość może się wyrodzić w przyzwyczajenie, a kiedy kobieta popadnie w niebezpieczeństwo tak



wielkie z przyczyny tak błahej, trudno wówczas mężowi zachować jej szacunek i przywiązanie tak niezbędne w spokoju małżeńskim<sup>59</sup>.

Mężowi trudno było zachować szacunek do rozrzutnej żony, która przez niedoświadczenie wydała za dużo na sukienkę. Julian Ochorowicz pisał do młodych panien w 1898 roku, że „niepodobna jest być oszczędnym, nie znając wartości pieniędzy. [...] Skądże, pytam, panna, nie mając najmniejszego pojęcia o dochodach ojca, o wydatkach rodziców, nienauczona praktycznie, jak i wiele trzeba pracować, ażeby mieć sto rubli – skąd taka panna może mieć poczucie rządności i oszczędności? Ona w takiej szkole uczy się tylko jednej rzeczy: wypraszenia sobie nowych sprawunków przymileniem i pieśzcotami”<sup>60</sup>. Anna Potocka, która wyszła za mąż z miłości i szczęśliwie, radziła młodym pannom jako starsza kobieta w latach dwudziestych XX wieku: „Jakże konieczne jest wprawienie się do oceny towarów i znajomości cen! Od ilu gorzkich zawodów i strat zabezpieczałyby się kobiety w ten sposób, i – co bardzo ważne – oszczędzałyby się młodemu mężowi przykrego obowiązku monitorowania żony o wydatki! [...] Wszystko to, co rodzice zaniedbają, by uczynić córkę w wydatkach roztropną, praktyczną, obeznaną, odbije się kiedyś kamieniem na jej pożyciu domowym, będzie pośmiewiskiem rodziny męzowskiej, sług, a daj Boże, nie męża samego!”<sup>61</sup>. Dopóki jednak zmianie nie uległ sposób edukacji oraz dopóki nie porzucono rodzinnej i społecznej praktyki odsuwania młodych kobiet z klasy wyższej od kwestii finansowych, ich sytuacja była bardzo nieprzyjemna. Narzekania na rozrzutne żony bez szacunku do męzowskiej pracy były na tyle powszechne, że Ochorowicz pomijał je w swoim poradniku, bo „to przedmiot oklepany, a przytem trąci kazalnicą”<sup>62</sup>. Według popularnego przekazu gwałtowne sprzeczki na tle finansowym odbywały się z winy żony – niezależnie od tego, że wydawała pieniądze z nieznaną jej do końca sumy całkowitej, o których wartości miała tylko mgliste pojęcie, bo przeliczała je na wstążki do włosów i wysokość jałmużny rozdawanej w kościele.

## *Obliczaj tak, aby nie zabrakło*

Marcysia, służąca domowa, zatrudniła się w domu młodego małżeństwa, u pani, która nie wiedziała, jak się gotuje, i dawała jej na śniadanie kanapki z szynką. Młoda pani tak samo niedoświadczona jak w gotowaniu i komenderowaniu służącą była w prowadzeniu rachunków. O ile jednak pomyłki wobec służącej pomagały jej tuszować matka i przyjaciółki, o tyle potknięcia budżetowe kontrolował mąż. Marcysia opisywała ich comiesięczne rozmowy z niesmakiem:

To mnie już samej serce bije, jak przyjdą te dwa dni przed pierwszym i zabraknie. Bo tak: pani przychodzi do biurka, jak pan czyta gazetę, i mówi ze strachu, nie jak ona sama, a jakby kto za nią, że aż i mnie przez to w gardle dławi:

– Mój drogi, może mi dasz na jutro rubla na obiad?... Nie wystarczyło mi... Nie mam z czym posłać Marcysi do miasta...

On udaje, że nie słyszy. Trzy, a czasem i cztery razy trzeba powtórzyć. Tobym się wolała powiesić, a pani wszystko musi znieść. Wreszcie panu tylko zakotłuje się w rękach ta gazeta ze złości. Jak nie zemnie ją, jak nie ciśnie na stół, jak nie wrzaśnie, tak aż trzeszczą szyby w oknach.

– Powinno wystarczyć... Nie trzeba żyć nad stan... Nie ma na mięso – niech będzie chleb suchy. A goście?... Co nam po gościach?...

– Przecież ty sam sprowadziłeś tych panów na winta...

– Cóż to, nie wolno mi?

– No tak, ale przecież to kosztuje...

– Trzeba tak obliczać, żeby na nic nie zbrakło...<sup>63</sup>

W końcu pan dawał żonie rubla lub dwa. Kobieta była jednak już tak upokorzona, że rozmowa kończyła się najczęściej płaczem.

Poradniki księgowości domowej, oprócz wprowadzania nierealistycznych standardów prowadzenia domu, dają interesujący wgląd w to, co w omawianym okresie uznawano za majątek rodzinny, wspólny, co zaś należało do poszczególnych członków rodziny. Londyński radził, by „przed przystąpieniem do jakichkolwiek rachunków sporządzić wspólnie z mężem inwentarz wszystkich ruchomości i zasobów pieniężnych”<sup>64</sup>. W ten sposób co roku pani domu mogła kontrolować, czy stan finansowy rodziny się poprawił, czy też pogorszył, i informować o tym męża. Inwentarze polecały także Reichsteinowa i Ćwierczakiewiczowa.

W *Korespondencyjnym kursie gospodarstwa domowego* w „Bluszczu” podawano przykład takiego spisu. Iza Mandukowa przedstawiała uczennicom następującą symulację, ilustrowaną stosowną tabelą:

Pani domu w porozumieniu z mężem postanowiła ulepszyć dotychczasowy sposób prowadzenia rachunków i kontroli domowych przez zaprowadzenie racjonalnej rachunkowości od dnia pierwszego stycznia 1930 roku. Oboje przeto sporządzili spis inwentarza: pan domu spisał stan swej kasy i oszczędności rodziny, pani domu spisała stan swej kasy domowej oraz ruchomości i wszelkie przedmioty wartościowe, znajdujące się w mieszkaniu<sup>65</sup>.

Pozornie oczywiste stwierdzenie pokazuje dokładnie, czyje są tak naprawdę pieniądze domowe. Pan domu miał swoją kasę, pani domu – jedynie kasę domową. W myśl doradców finansowych kobieta zarządzała majątkiem, ale nie była jego właścicielką. Stąd też wyjątkowa odpowiedzialność ciążąca na jej pracy – złe rozporządzanie budżetem domowym było, oprócz oczywistego problemu rodzinnego, podobne raczej do defraudacji majątku przez niefrasobliwego pracownika firmy niż do błędu życiowego osoby prywatnej. W innym wykładzie na temat finansów Mandukowa zapewniała, że dobra gospodyni z każdej kwoty otrzymanej od męża jest w stanie utrzymać dom: „Ten problemat [małego budżetu] będzie wieczną bolączką rodziny, gdy pani domu tej zalety nie posiada, gdy nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie stoi na wysokości zadania jako administratorka”. Kobieta administrowała więc nie swoim majątkiem, a mężczyzna miał zarówno własne pieniądze, jak i prywatne długi. W przykładowym inwentarzu z 1930 roku, oprócz rubryk dotyczących nieruchomości, ruchomości czy papierów wartościowych, była też rubryka „długi”. Fikcyjna rodzina z „Bluszczu” spłacała na raty „futro pani” oraz „inne drobne zobowiązania pana”, niewyszczególnione dokładnie.

Prowadzenie inwentarza mogło też być sposobem na odkrycie przez żonę rzeczywistej sytuacji finansowej rodziny. Ukrywanie przed kobietą długów, wyśmiewane, lecz powszechne w okresie narzeczeństwa, mężczyźni praktykowali również w codziennym życiu domowym. „Jest rzeczą dość powszechnie przyjętą, że mąż daje tylko na utrzymanie domu, a nie wtajemnicza żony we wszystkie źródła swoich dochodów, w stan swego majątku i swoje przedsiębiorstwa” – pisał Ochorowicz do

niezameżnych panien w 1898. Ten zwyczaj należało zmienić, ponieważ kobieta, która nie ma pojęcia o sytuacji finansowej rodziny, nie może być następnie oskarżana o nierozważne gospodarowanie budżetem. „Żona więc powinna bezwarunkowo znać majątkowy stan męża i być we wszystkim duchowym współnikiem jego przedsięwzięć i postanowień” – zalecał Ochorowicz. Podobnie pisała Wanda Reichsteinowa do swoich czytelniczek, zauważając, że „wiele znajduje się mężów, którzy nie wtajemniczają wcale żon swoich w stosunki majątkowe, zwalając za to na ich barki cały ciężar i kłopoty utrzymania domu, pozwalając im wedle potrzeby urządzać domowe wydatki tak długo, dopóki nie przewyższą dochodów lub dopóki utrata całego majątku nie położy kresu marnotrawstwu i rozrzutności”<sup>66</sup>. A wtedy jest już za późno na inwentaryzację.

Takie podejście do finansów domowych budowało grunt pod przemoc ekonomiczną, jakiej doświadczała na przykład młoda pracodawczyni Marcysi. Pozbawiona swoich pieniędzy, musiała prosić o gotówkę męża, który, w zgodzie z zaleceniami poradników ekonomii domowej, powtarzał, że „trzeba tak obliczać, by na nic nie zabrakło”. Biorąc pod uwagę, że następnie rzucał żonie na podłogę brakujące dwa ruble, by ta zbierała je spod mebli na kolanach, zdanie to nabierało odcienia szczególnie ponurej ironii. Nie tylko ta jedna kobieta była zależna od męża w ten sposób. Inna pani, chcąc ukryć przed mężem pewne wydatki, zapożyczała się u służącej i kucharki, obiecując, że odda im pożyczone pieniądze z procentem. Kucharka Barbara przestrzegała Marcysię, by nie dawała pani ani grosza, ponieważ nigdy go już nie zobaczy. Marcysia notowała, że pani jest właściwie dobra, „aby nie pożyczać pieniędzy. Choć nie pożyczyc, to i tak się nie uweźmie. Szuka gdzie indziej, a nieraz dobrze pana podbierze, aż strach, żeby innych pan nie miał w posądzeniu”<sup>67</sup>.

Praktyka pożyczania pieniędzy od służby na ogół kojarzona była z powolnym upadkiem finansowym rodziny. Od lokaja Mikołaja pożyczala ruble na prowadzenie domu rodzina Łęckich (ukrywając to przed panem Tomaszem). Czasem jednak takie pożyczanie od pokojówek, szczególnie przez kobiety, wcale nie świadczyło o złej sytuacji finansowej domu. Miało raczej na celu ukrycie nieprzewidzianych wydatków. Pani z opowieści

Marcysi pożyczala na ubrania i rozrywki, a następnie oddawała, gdy mąż przydzielał jej budżet na następny miesiąc – oraz, co służąca skwapliwie zapisywała, jeśli żadna służąca nie chciała jej pożyczyć, podbierała pieniądze wprost z męzowskiego portfela. Inne kobiety mogły jednak pożyczać na rzeczy, na które mąż nie chciał im dać – jak młoda pani, której przez męzowskie wydatki na wieczory z winem i kartami brakowało pieniędzy na jedzenie.

Anonimowa autorka publikacji *Pod sekretem. Wycieczka w świat kobiety* z 1873 roku jako jedna z niewielu poruszała wstydlivy, przemilczany temat przemocy ekonomicznej doświadczanej przez kobiety z klas posiadających. Pisała, że małżeństwo jest wspólnotą ekonomiczną, ale „jeśli jedna strona, to jest kobieta, przynosi do budżetu tylko rozchody, a niema ani w głowie, ani w kieszeni żadnego kapitału, to jakież będzie jej stanowisko – najzupełniej zależne. Kobieta nawet wysoko moralnie stojąca, musi często w małżeństwie robić niezgodne z jej i dzieci szczęściem ustępstwa [...], musi żona ulegać, musi przyjmować najtrudniejsze dla swej godności ludzkiej warunki, bo nie umie stanąć o własnej sile”<sup>68</sup>. Radziła więc czytelniczkom, aby szły do pracy i w ten sposób unikały upokorzenia zależności ekonomicznej. Pieniądze pochodzić mogły także z posagu, jeśli ten wkład małżonek złożył w banku na procent. Anonimowa panna, pisząc pod pseudonimem „Dzisiejsza” do jednej z krakowskich gazet codziennych w 1900 roku, stwierdzała, że rozważa małżeństwo tylko dlatego, że ma duży posag. „Bez posagu za mąż bym nie wyszła, bo duma nie pozwalałaby mi śledzić błagającym wzrokiem każdego pierwszego miesiąca, aż szanowny małżonek raczy trzęsącą się od zniecierpliwienia ręką wyjąć z pugilaresa niebieski papierek i rzucić mi go na stół z niezręcznie udaną wspaniałomyślnością”<sup>69</sup> – zapewniała.

### *Jak pogodzić pracę z obowiązkami domowymi*

Praca miała zmieniać równowagę sił w małżeństwie. „Gazeta dla Kobiet”, czasopismo skierowane do kobiet pracujących, również promowała

książeczki rachunkowe. Tam przykładowa strona wyglądała jednak nieco inaczej. Gospodyni miała zapisywać „zarobek tygodniowy męża” (12 rubli), „zarobek córki” (6 rubli) i to, co sama otrzymywała za sprzedaż jajek (8 rubli)<sup>70</sup>. Służąca Marcysia, dziewczyna z klasy robotniczej, patrzyła na panią domu zbierającą banknoty z podłogi i notowała z ulgą:

U nas chłop równy babie: on pracuje i ona pracuje; on się rozzłości, ona mu łeb zmyje; ona zła – on jej przysoli i dobrze. Ale nie tak, żeby tylko jedno zawsze ustępowało i skakało koło drugiego, a tamto nic...<sup>71</sup>

Wbrew ocenie Marcysi praca zarobkowa kobiet w klasie robotniczej nie rozwiązywała jednak wszystkich problemów z ich zależnością ekonomiczną. Według Anny Żarnowskiej „w środowisku robotniczym pracę zarobkową kobiet traktowano wyłącznie instrumentalnie, jako konieczność ekonomiczną, w imię interesu rodziny, która nie może utrzymać się z zarobków mężczyzny (ojca, męża, brata)”<sup>72</sup>. Kobieta zarabiająca na dom i dokładająca się do domowego budżetu nie była traktowana lepiej, nie wpływało to też na podniesienie jej statusu w rodzinie. Z jednej strony, częściowo wpływ na to miała na pewno patriarchalna organizacja rodziny, wedle której to mężczyzna powinien być w stanie utrzymać całą rodzinę – ten wzorzec, popierany również przez Kościół, odciskał swoje piętno także na rodzinach robotniczych. Z drugiej strony, w przemyśle kobiety zarabiały mniej więcej połowę tego, co mężczyźni – bo fabrykanci uznawali, że ich praca jest mniej wartościowa. Wynikały z tego różne implikacje. Po pierwsze, robotnicy postrzegali pracujące kobiety jako powód, dla którego fabrykanci nie chcieli podnosić im pensji. Po drugie, opinia środowiskowa (kształtowana przez publicystykę, poradniki i ulotki dla klasy robotniczej) wartościowała pracę kobiet zameżnych negatywnie – ich wysiłek, skutkujący zaniedbaniem domu, niewart był przynoszonych przez nie marnych pieniędzy. Szczególnie negatywnie – pisze Żarnowska – oceniana była przez robotników praca matek. Wiele kobiet po wyjściu za mąż przenosiło się więc z fabryki do pracy chałupniczej, usług lub gastronomii, by pozostać w pozycji podległej mężowi i rodzinie<sup>73</sup>.

Karol Forster w poradniku dla robotnic – *Klasom pracującym polskim sześć książeczek przynosi szczerzy ich przyjaciel Karol Forster. O przeznaczeniu kobiet* – napominał łagodnie, że kobiety w klasie robotniczej powinny przede wszystkim dbać o zapewnienie mężowi warunków do dobrego życia rodzinnego. „Jeżeli kobiety klas robotniczych są pracowite i oszczędne, ich mężowie i dzieci [...] nie będą doznawali nędzy, będą więc mniej powstawali z oburzeniem na stan społeczny, będą mniej skłonni do rozwiąłości, jakiej się nieszczęśliwy mąż oddaje, aby na chwilę zapomnieć o swojej nędzy”<sup>74</sup> – pisał do swoich czytelniczek. Robotnice miały wykorzystywać godziny wolne od pracy na sprzątanie domu, gotowanie posiłków i zapewnianie miłej, rodzinnej atmosfery. Forster drukował swój poradnik w 1868. W 1906 roku, niecałe czterdzieści lat później, porady nie zmieniły się szczególnie. „Robotnik Polski”, chrześcijańskie czasopismo patronackie skierowane do pracowników i pracownic przemysłowych, zwracał uwagę, że przez pracę zarobkową robotnice zaniedbują swoje rodziny. Autorka artykułu zdawała sobie sprawę, że kobiety nie mogą przestać pracować, ponieważ rodzina nie utrzyma się bez ich pracy, jednak proponowała proste według niej rozwiązanie – wprowadzenie pracy zmianowej dla kobiet. Kobiety mogłyby pracować na pół etatu, jeden tydzień od rana do południa, kolejny – od południa do wieczora. Wolny czas przeznaczyłyby za to na zajęcie się domem. „Ten sposób przyjąłby się prędko i robotnice same doszłyby do przekonania, że lepiej i korzystniej jest dla nich otrzymywać choćby tylko połowę tego wynagrodzenia, które otrzymują obecnie, lecz za to mieć pół dnia czasu na zajęcie się gospodarstwem i wychowywaniem dzieci, aniżeli brać płacę trochę wyższą, lecz za to wyczerpywać cały zapas swych sił i zaniedbywać z konieczności dom i dzieci”<sup>75</sup> – podsumowywała z zadowoleniem autorka Irena Moszyńska, nie tłumacząc jednak, jak rodzina robotnicza miałaby się utrzymać z tak pomniejszonej pensji.

Takie dobrotliwe, choć odklejone od realiów, porady dla mężatek z klasy robotniczej pojawiały się regularnie w źródłach o każdym profilu ideowym, zwykle bez zrozumienia materialnych warunków funkcjonowania robotnic. Kobiety z proletariatu, szczególnie te pracujące w przemyśle, często poświęcały własne zdrowie i dobrostan rodziny, żeby zarobić na

zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych jej członków. Wobec braku ubezpieczeń zdrowotnych czy urlopów macierzyńskich pracowały do końca ciąży, często z opłakanymi skutkami zdrowotnymi. Wśród dzieci urodzonych przez pracownice Zakładów Żyrardowskich w ostatniej ćwierci XIX wieku śmiertelność noworodków wynosiła powyżej 50 procent<sup>76</sup>. W 1883 roku „Przegląd Tygodniowy” donosił tonem wielkiego odkrycia, że ze względu na rewolucyjne zmiany w fabryce Jeana Dollfusa w Mülhausen, który zapewnił swoim pracownicom sześć tygodni urlopu po porodzie, śmiertelność wśród noworodków zmalała z 39 do 23 procent<sup>77</sup>.

Gdy dołożyć do tego problemy niezwiązane z płodnością, lecz ze standardem życia – wysoką zapadalność na gruźlicę i pylicę płuc u pracownic przemysłu włókienniczego, zatrucia rtęcią i innymi metalami wśród pracownic zakładów chemicznych i kosmetycznych, złe warunki mieszkaniowe, niedożywienie – wydaje się, że chęć spełniania się w roli pani domu mogła w przypadku kobiet z klasy pracującej nie znajdować się tak wysoko na liście priorytetów, jak chcieli to widzieć publicyści. Nawet w czasopiśmie feministycznym zajmującym się sprawami kobiet z proletariatu, jak „Ster”, temat ten omawiany był w podobnym tonie co w konserwatywnym poradniku Forstera. Emilia Topas-Bernsteinowa pisała w 1897 roku o pracownicach fabryki w Tomaszowie Rawskim: „Warto widzieć, jak robotnica taka, obok pracy zawodowej, zakrzętnąć się potrafi koło dobra rodziny. Jak dopadkami uprzęta izbę, przyrządza nędzny posiłek, pierze bieliznę, karmi dziecko po powrocie z roboty. Dawniejszy zwyczaj przynoszenia dzieci matkom do fabryki jest wzbroniony”<sup>78</sup>. W większości fabryk zmiana trwała dwanaście godzin z godziną przerwą na obiad, pracowano zaś sześć dni w tygodniu, a więc wykonywanie tych zadań musiało odbywać się kosztem najpilniejszych potrzeb fizjologicznych, jak jedzenie i sen. Podkreślając te gospodarskie sukcesy robotnic, Topas-Bernsteinowa chciała pokazać czytelniczkom, w większości emancypantkom z inteligencji, że robotnice fabryczne to moralne istoty, w aspiracjach bardzo podobne do nich samych.

Wobec tak trudnych warunków pracy przemysłowej proletariuszkom chcącym wypełniać dobrze rolę pani domu polecano raczej pracę na



służbie, jako łatwiejszą i zdrowszą. Choć jeszcze mniej służących niż robotnic było zamężnych, wykonywanie obowiązków służącej postrzegano jako dobrą inwestycję na przyszłość. Bederska pisała w swoim poradniku, że służba przynosi dziewczętom największe korzyści, ponieważ uczą się tam gotować, sprzątać, prac i prasować, „a to jest konieczną potrzebą każdej kobiety, która zamiar ma wyjść za mąż, ten zamiar zaś mają prawie wszystkie młode dziewczyny”<sup>79</sup>. Niestety, według niej większość córek robotników i rzemieślników wolała iść do pracy w fabryce, magazynie krawieckim lub szwalni, ponieważ postrzegały pracę na służbie jako hańbiącą. Bederska nie wspominała jednak o tym, że praca w przemyśle była dużo lepiej płatna (średnia pensja w fabryce wynosiła 10–15 rubli dla kobiety, na służbie zaś tylko 5–8 rubli). Rozpatrywała pracę fizyczną tylko w kategoriach potencjalnej przydatności dla przyszłej matki i żony – oczywiście po ślubie najlepiej niepracującej już w ogóle.

Ta argumentacja miała swoje zwolenniczki. Aspekt wprawiania się do małżeństwa czy wręcz bycia „zastępczą panią domu” niektóre służące postrzegały jako najlepszy element swojej pracy – rodzaj dowartościowania dla kobiety, która nie ma swojego domu i rodziny, a jednak może pośrednio spełniać się na tym polu. Służąca Władysława Pawełczak w liście do „Gazety dla Kobiet” z 1909 roku udowadniała, że jej zajęcie jest lepsze niż praca robotnicy, bo „służąca jest zastępczynią pani domu. Pani ma inne obowiązki do wypełniania, nie może należycie zająć się gospodarstwem, bierze więc sobie osobę do wyręczenia jej w tych zajęciach. Służąca sprząta ładnie umeblowane pokoje, aż skończy na kuchni, która się błyszczy od czystości. Wtedy z zadowoleniem i radością może sobie powiedzieć: »To moja praca, moje ręce to zrobiły!«”<sup>80</sup>.

Trudną sytuację kobiet z proletariatu dostrzegały niektóre emancypantki. „Kobieta robotnica podwójnie dźwiga więzy – to też kwestya kobieca istnieje tak samo w klasie robotniczej jak w klasach uprzywilejowanych – i jedyne jej rozwiązanie w zupełnym uniezależnieniu kobiety pod względem ekonomicznym od mężczyzny”<sup>81</sup> – pisała w 1902 roku Maria Turzyma, redaktor naczelna feministycznego pisma „Nowe Słowo”. „Na tej samej zasadzie mąż jej ma prawo do jej pracy i do jej zarobku – a to, że oprócz pracy tej musi rodzić i chować dzieci – musi oprać, obszyć i nakarmić

rodzinę, to liczy jej się nie za zasługę, ale za słabość i niższość jej przyrodzoną”. Turzyna, podobnie jak nieliczne inne emancypantki (na przykład Felicja Nossig czy Zofia Daszyńska-Golińska) uważała, że kobiety z klasy robotniczej są równie uprawnione do uczestnictwa w ruchu feministycznym, co kobiety z klas wyższych, stanowiące oczywiście większość działaczek. Jako jeden z przykładów na to, że wszystkie kobiety, niezależnie od klasy, cierpią z powodu patriarchalnego systemu społecznego, podawała właśnie ekonomiczną zależność każdej kobiety od mężczyzny, szczególnie w małżeństwie. Problem „niewolnictwa ekonomicznego” wydawał jej się tak podstawowy i palący, że przewidywała, „bez żadnego wahania i wątpliwości”, że gdy kobiety zdobędą niezależność finansową, patriarchat upadnie.

Ćwierć wieku później, w 1930 roku, wykładająca na *Korespondencyjnym kursie gospodarstwa domowego* Natalia Jastrzębska pytała uczennice *Jak pogodzić pracę zawodową z obowiązkami domowymi*. Czasy się zmieniły – mówiła – i od kobiet nie oczekuje się, że będą rezygnowały z pracy, gdy tylko wyjdą za mąż lub nawet gdy zostaną matkami. W przypadku pracownic fabrycznych i pracujących w rzemiośle sprawa była ułatwiona – one mogły korzystać ze żłobków przyfabrycznych, przedszkoli i stołówek pracowniczych, co znacząco ułatwiało im codzienne życie i zwalniało z obowiązków rodzinnych (jest to rozpoznanie co najmniej optymistyczne, jeśli nie zupełnie nieprawdziwe). Krawcowe, szwaczki czy właścicielki sklepów mogły z kolei brać dużo zleceń do domu lub zabierać dzieci do pracy, a więc też nie musiały wybierać. Kobiety z mieszczaństwa czy inteligencji powinny zaś „uzbroić się moralnie w hart i pogodę ducha, pozbyć się drobiazgowości, umieć celowo i rozsądnie wybrać mniejsze zło, nie wpadać w przesadę i nie poddawać się nerwom”<sup>82</sup>. A także zastanowić się, czy wykonywany zawód opłaca się ich rodzinom. Jastrzębska udawadniała, że kobiety pracujące na stanowiskach specjalistycznych, jak lekarki, nauczycielki, urzędniczki, adwokatki czy inżynierki, zarabiały co najmniej 500 złotych miesięcznie i w związku z tym mogły „zapewnić sobie dobrą, fachową pomoc w domu”. Służąca utrzymywała więc dom w porządku, a pani szła do pracy, spełniała się zawodowo, budowała swoją niezależność i wzmacniała pozycję w rodzinie

bez wyrzutów sumienia. Mężatkom Jastrzębska nie polecała za to pracy biurowej:

Wszystko jest dobre, dopóki pracownica nie wyjdzie za mąż, a zwłaszcza dopóki nie ma dzieci. Potem zaczyna się tragedia. O ile kobieta, posiadająca istotne, wyższe kwalifikacje do zawodu biuralistki: gruntowną znajomość buchalterii, korespondencję, stenografię, języki obce, może w tym zawodzie liczyć na dobre wynagrodzenie i awans na wyższe stanowiska, o tyle taka niższa posadka dla osoby bez kwalifikacji jest beznadziejna: płaca mała, jakieś 180–250 złotych, trzysta już wyjątkowo, nadziei na przyszłość żadnych, bo jakież może być awans w tym zakresie? Więc praca codzienna, nużąca, długa, zaniedbywanie obowiązków domowych lub spóźnianie się i opuszczanie biura, przemęczenie, rozpacz w razie choroby dziecka, którego nie można pielęgnować, a zawsze rozdrażnienie i niepokój, co się dzieje w domu zostawionym na opiece lichej służącej, bo na dobrą nie starczy.

Ostatecznie więc wyzwolenie ekonomiczne schodziło na dalszy plan wobec dobrostanu rodziny. Jastrzębska podawała „ze wzruszeniem”, że Maria Skłodowska-Curie „w czasie dokonywania swego wiekopomnego odkrycia obywatela się bez służącej, umiała więc gospodarować, umiała wychowywać dzieci! Było to zapewne jedną z przyczyn wielkiej miłości, jaką darzył ją mąż i darzą do dziś dnia córki”. Jeśli więc robotnice fabryczne mogły sprzątać mieszkanie po dwunastogodzinnej zmianie w fabryce, a dwukrotna laureatka Nagrody Nobla umiała jednocześnie wyizolować czysty chlorek radu i planować zdrowe obiady dla całej rodziny, uczestniczki kursów „Bluszczu” nie miały już żadnej wymówki.

### *Kobieta stworzona do drobnostek*

Przekonanie, że kobieta dominuje w sferze domowej, miało dowartościować słabszą stronę relacji. We wszystkich klasach społecznych kobiety wchodziły w związki małżeńskie z mężczyznami dużo starszymi (normą była różnica wieku wynosząca dziesięć lat i powyżej), pracującymi zawodowo, często o ustalonej pozycji społecznej i finansowej. Ich brak wiedzy nie ograniczał się jedynie do kwestii gotowania i prania. Szczególnie w klasach wyższych, w wyniku delikatnego wychowania, nie

miały także podstawowych wiadomości na temat własnej fizjologii i dojrzewania płciowego. Jak wspominała czytelniczka „Dobrej Gospodyni” w liście do czasopisma: „Wychowana między 4 braćmi, bez matki od 3 lat życia, a od 10 do 17 w klasztorze Niepokalanek, byłam tak dalece nieświadoma, że poza czysto abstrakcyjną wiadomością, że to nie bociany dzieci przynoszą, nic literalnie nie wiedziałam i każdą myśl pod tym względem uważałam za coś bardzo zdroźnego”<sup>83</sup>. W stanie „naiwności” pozostała do dwudziestego roku życia, a następnie wyszła za mąż.

Czytelniczka, podpisująca się pseudonimem „Jedna z Matek”, pisała te słowa przy okazji dyskusji, która przetoczyła się przez łamy „Dobrej Gospodyni” w 1904 roku. Dyskusja, bardzo burzliwa i angażująca kilkadziesiąt czytelniczek tego pisma dla pań domu z ziemiaństwa i mieszczaństwa, dotyczyła edukacji seksualnej, a konkretnie tego, kiedy (i co) mówić na ten temat córkom. Czytelniczki dzieliły się na dwa obozy – jeden popierał model wychowania proponowany przez „Jedną z Matek”, drugi, dużo mniej liczny, określał ukrywanie wiedzy o prokreacji przed młodymi pannami „anachronizmem z XVIII wieku lub dworu Ludwika XIV”<sup>84</sup>, niemającym racji bytu w XX stuleciu. „Jedna z Matek” nie uważała swojego braku wiedzy za wadę, przeciwnie, była dumna z takiego stanu rzeczy i doradzała innym matkom podobne postępowanie z własnymi córkami. Jej zdaniem „dusza dziewicy – to bezwarunkowo kwiat o puszkę delikatnym, tak delikatnym, że nawet poważne słowa matki, odsłaniające zagadkowe zawsze dla umysłu dziewczęcia tajemnice – będą tem niebacznym dotknięciem, które zetrze niepokalaną barwę kwiatu”<sup>85</sup>.

List „Jednej z Matek” ostro krytykowała w kolejnym numerze „Jedna z Panien”, zarzucając jej działanie na szkodę młodych i dziwiąc się, że sama wychowana w nieświadomości, chce reprodukcować system opresji i polecać go kolejnemu pokoleniu. Odwoływała się głównie do argumentów praktycznych, niewątpliwie bliskich pragmatycznemu duchowi „Dobrej Gospodyni” pełnej porad gospodarskich o praniu, hodowli bażantów i szczepieniu krzaków malin. Pisała, że „nie ulega wątpliwości, że chcąc prowadzić książki, szyć suknie, a nawet chować gęsi, trzeba nauczyć się

buchalterji, krawiecczyni i nabrać przybliżonego bodaj pojęcia o hodowli zacnego ptactwa – dla ukształcenia jednak ciała i duszy przyszłego człowieka wystarczy – natchnienie. Bo na nie jedynie liczyć może powyższym systemem wychowana kobieta”<sup>86</sup>. Nie tak powinna wychowywać swoje córki odpowiedzialna ziemiańska matka. „Jedna z Panien” zwracała również uwagę, że nieświadomie seksualnie dziewczęta mogły przeżyć poważny szok tuż po ślubie i ze względu na swój brak wiedzy pograć dobrze zapowiadające się małżeństwo. Porównywała wysyłanie niewinnych dziewcząt do męża z wyruszeniem w podróż dookoła świata bez butów i przewodnika: „Czy ktoś, udający się w podróż naokoło świata, nie uważałby za stosowne zaopatrzyć się w przewodniki, rozkłady, wystudiować marszruty i nakreślić kierunku. My tymczasem do życia, będącego podróżą bardziej trudną i odpowiedzialną, zabieramy się nie inaczej, jak do touru walca lub mazura. Z mgłą na oczach, wachlarzem w rękę i pustką w głowie suniemy prosto w przepaść” – podsumowywała z mocą.

Dyskusja ta odbywała się w 1904 roku i widać, że nawet na początku XX wieku koncepcja trzymania kobiet w zupełnej nieświadomości dalej była żywa, choć kontestowana, szczególnie przez młodsze pokolenie. Pierwszy poradnik dla dziewcząt zawierający elementy edukacji seksualnej to broszura z tego samego roku, pod tytułem *Jak rozmawiać z dziećmi o kwestiach wrażliwych: wskazówki dla matek*, autorstwa Izy Moszczeńskiej. Moszczeńska wydała ją w serii z innymi książeczkami, w tym jedną przeznaczoną dla matek dorastających panien: *Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna*. W tej drugiej pisała, wcielając się w matkę, wprost do dziewcząt:

Słyszałaś nieraz, że przeznaczeniem kobiety jest zostać żoną i matką, a – jak zwykle dodają – i gospodynią, stawiając tym sposobem zadanie rodzenia i wychowania przyszłych ludzi tuż obok umiejętności kwaszenia ogórków, przyprawiania sosów i wywabiania plam, a przez to samo obniżając poniekąd pojęcie o znaczeniu kobiety i jej roli. Nie samo to zestawienie jednak drażni i razi ciebie i inne dziewczęta w twoim wieku, o ile mają wyższe dążenia i wyższe ambicje. Drażni je ono ze względu na to, że nigdy nic analogicznego nie mówi się ich braciom i rówieśnikom<sup>87</sup>.

Moszczeńska zwracała uwagę na ten sam problem, o którym pisała „Jedna z Panien” – poprzez ukrywanie przed dziewczętami wiadomości na temat ich fizjologii upośledza się ich szanse na częściowo choć partnerski związek. Nie bez powodu przy okazji mówienia o edukacji seksualnej dyskusantki sięgały po argumenty związane z prowadzeniem domu. Inna korespondentka, pani Kotwicz, pisała do „Dobrej Gospodyni”, że trwanie w całkowitej nieświadomości aż do ślubu może mieć jakiś sens, gdy małżeństwo zawierane jest z miłości – liczyła najwyraźniej, że kochający mąż jest w stanie delikatnie wyjaśnić żonie, czego się po niej spodziewa w sferze seksualnej. „Jednak małżeństwa kojarzą się też nieraz z różnych innych powodów: dla kariery, dla dobrej partji, dla niezostania na koszu, dla dogodzenia ambicji czy jakiemuś wyliczeniu rodziców i.t.d., w takim razie nieświadomienie dziewczyny jest ciężkim grzechem, jeżeli nie zbrodnią, bo odbiera jej prawo wolnego wyboru i rozporządzenia swą osobą, gdyż może nie przystałaby na małżeństwo, gdyby wiedziała, o co chodzi”<sup>88</sup>. I chociażby dlatego należało uświadamiać dziewczyny przed oświadczynami kandydata na męża.

Tak jak brak kompetencji praktycznych ułatwiał późniejszą przemoc ekonomiczną w związku, tak samo brak wiedzy o współżyciu i płodności czynił łatwiejszą przemoc emocjonalną. W obu przypadkach wiadomości, które uznawano za kluczowe dla ich powodzenia jako kobiet, pomijano milczeniem w procesie edukacji. Tak jak pisała Moszczeńska – młoda dziewczyna słyszała, że świadectwem jej sukcesu życiowego będzie smażenie dobrych konfitur i urodzenie zdrowych dzieci, ale nigdy nie dowiadywała się, w jaki sposób osiągnąć którykolwiek z tych celów.

Dla kobiety pozbawionej sprawczości gospodarstwo domowe było jedyną przestrzenią władzy. Jednak nawet ta zupełnie tradycyjna przestrzeń oddana jej była pod pewnymi warunkami. Teofila Brodowska pisała gorzko w poradniku z 1879 roku:

Stanowisko żony najrozmaiciej przez mężów bywa pojmowane. Dla jednych żona jest sprzętem w salonie, maszynką do przyjmowania gości, dla drugich jest ona wyręczycielką nieumiejętnych kucharek i najwięcej zaufania godną klucznicą, dla innych jeszcze, wygodnym i bezpiecznym zmysłowych uciech narzędziem<sup>89</sup>.

Następnie dawała radę młodym mężatkom, że utrzymanie emocjonalnej więzi z mężem, a nie jedynie spełnianie tych trzech ról, może sobie zapewnić poprzez sumienne i odpowiedzialne wypełnianie obowiązków domowych. Gdy ten przekona się, jak godnie reprezentuje ona ich rodzinę, a przy tym nie zważa na jego zdrady i oziębłość, na pewno ujrzy ją w innym świetle. Brodowska jednak przestrzegała przed nadmiernym oddaniem się licznym obowiązkom domowym, bo to również może odstraszyć męża:

Przy zajęciach około gospodarstwa i domu, wśród ustawicznych utarczek ze służącymi, żona często nie ma czasu ani humoru, żeby, dla przypodobania się mężowi, co dzień być starannie ubraną, uśmiechniętą, wesołą. [...] Niepodobna jej też ukryć przed nim tych wszystkich gospodarskich zajęć, tych czynności koło porządku domowego, których tak mężczyźni nie lubią.

Radziła więc spokój, czy też, dużo późniejszymi słowami Natalii Jastrzębskiej, „pozbyć się drobiazgowości, nie wpadać w przesadę i nie dać się nerwom”. Idealna pani domu z porad Ćwierczakiewiczowej czy Zamoyskiej, a nawet z wykładów „Bluszczu” musiała stać się z czasem męcząca i nieatrakcyjna dla męża. By zaś wypełnić doskonale wzorzec kulturowy żony i matki, kobieta powinna do tego znaleźć równowagę między indywidualizmem a poświęceniem i wystrzegać się uciążliwej drobiazgowości.

Drobiazgowość jest tu określeniem kluczowym. Niektóre autorki, zwykle o bardziej progresywnym światopoglądzie (choć Brodowska jest przedstawicielką nurtu zdecydowanie konserwatywnego), zwracały uwagę na to, że gloryfikacja zajęć domowych może być szkodliwa. Po pierwsze, jest zamykaniem kobiety w wydzielonej przestrzeni niemocy poprzez zarzucanie jej pozornie niezbędnymi, naprawdę zaś mało znaczącymi, pracochłonnymi obowiązkami, po drugie zaś umacnia przekonanie, że mężczyźni stworzeni są do rzeczy wielkich, czyli tych na zewnątrz domu, kobiety zaś do drobnostek, zawierających się wewnątrz. Autorka *Pod sekretem* ujmowała to następująco:

Tego mierzenia drobnostek skalą rzeczywistej ich doniosłości nie masz prawie między kobietami. Gubimy się w szczegółach, chorujemy na drobnostkowość. Zatracamy wielkie zalety spotrzebowaniem ich na drobniutkie czyny. Przez zbyteczną

troskliwość zatruwamy często, zamiast osładzać, życie domowe. Przy zacieśnionej sferze naszych pojęć i sądów, gorliwość w sprawach domowych zamienia się w gderliwość, porządek w bezustanną krzątaninę, wrodzona chęć i umiejętność jednania sobie serc w śmieszne pretensje. [...] Drobnostki powinny być uważane i pełnione jako takie. Robienie z muchy słonia jest najkomiczniejszą, najogólniejszą i najnieznośniejszą wadą kobiet w domowym pożyciu<sup>90</sup>.

„Robienie z muchy słonia”, czyli wmawianie kobietom, że opieka nad domem jest nie tylko najdonioślejszym, ale też nad wyraz skomplikowanym zajęciem, w istocie infantylizowało je i neutralizowało ich potencjał do buntu. Widać to także w przykładaniu wagi do wywiązywania się z obowiązków idealnej pani domu w przypadku kobiet z niższych klas społecznych. Mimo że robotnice, szwaczki, krawcowe czy służące często nie miały męża i dzieci bądź też skupione były na codziennej walce o zapewnienie minimum egzystencji swoim rodzinom, w centrum zainteresowania twórców debaty publicznej znajdowało się pytanie, czy praca fizyczna nie stoi im na przeszkodzie w rodzeniu zdrowych dzieci i utrzymaniu czynszowego mieszkania w zadowalającej czystości. Nie odpowiadali zaś na pytanie, zadawane przez autorkę *Pod sekretem*:

Dlaczegoż kobieta ma poświęcać całe życie na drobne starania, jeśli na wymiecenie domu, pościernie kurzów, podlanie kwiatów, ugotowanie obiadu i poobcieranie nosków dzieciom, przy miernej fortunie, potrzeba dziennie parę godzin? [...]

Czyż nie dlatego powyższe zajęcia cały nam czas pochłaniają, że dla kobiet przyzwyczajonych do zajmowania się tylko drobnostkami, odsuniętych od wzmacniających umysł kombinacji szerszych, w końcu małe rzeczy stają się wielkimi?



## Awans i mezalians

### *Mam duszę jak i pan*

Łaskawa pani! Niesłychanie zdziwieni jesteśmy, że pani pomimo tylekrotnych ostrzeżeń decyduje się zostać żoną ordynata Michorowskiego. Pomijamy egoizm, który pozwala pani na ten krok zbyt śmiały. Dla własnych butnych dążeń, dla zadowolenia wygórowanych ambicji nie waha się pani unieszczęśliwić ordynata. [...] Sfera mści się za naruszenie jej praw. Nie wolno targać się na jej tradycję uświęconą przez wieki! Kto z nią walczy, poniesie porażkę!... Niech pani nie liczy na uprzejmość naszą dla niej jako ordynatowej. *Ce ressemble un peu mal!*... Pierwsze miesiące będziecie wystarczać sobie – zwykły szął *du mois de miel!*... – ale gdy upojenie ordynata minie, prędko zrozumie, że wpadł w pułapkę. Jeśliby chciał bezczelnie wprowadzić panią w nasze sfery, proszę być pewną, że my jej nie przyjmiemy. Na gruncie neutralnym spotykaliśmy się, i to było możliwe, ale bliższe stosunki łączyć nas nie mogą.

[...] Pani dla arystokracji jest i pozostanie trędowata, pomimo swej piękności. Ostrzegamy ostatni raz.

Jeden za wszystkich<sup>91</sup>.

Taki anonimowy list otrzymała Stefcia Rudecka na kilka dni przed ślubem z bajecznym ordynatem Waldemarem Michorowskim. Przejęta jego treścią, jak i przychodzącą od kilku tygodni podobną korespondencją, zapadła na zapalenie mózgu i zmarła w dzień swojego wesela. Pochowano ją w sukni ślubnej, a Michorowski powiesił ogromny obraz przedstawiający Stefcię w rodzinnej galerii portretów na znak swojej wiecznej, tragicznej miłości i pogardy wobec arystokratycznego środowiska, które doprowadziło do śmierci anielskiej Stefci.

Tak kończą się burzliwe dzieje bohaterki melodramatu doskonałego, czyli powieści *Trędowata* Heleny Mniszkówny, wydanej w 1909 roku.

Powieść wzbudzała skrajne emocje. Krytycy obwołali ją „typowym płodem grafomanii kobiecej” i literaturą dla kucharek i pokojówek. Czytelnicy jednak rzucili się na tekst z entuzjazmem, który sprawił, że do 1938 roku *Trędowatą* wznowiono co najmniej szesnaście razy<sup>92</sup>. Wiktor Gomulicki w swojej dość przychylniej recenzji powieści wspominał: „Zanim jeszcze znalazłem czas na przeczytanie dwóch okazałych woluminów, zaznajomiły się z nimi dwie młode kobiety. Każda, zwracając mi powieść, miała zaczerwienione powieki. U jednej był to skutek bezsenności: »ta *Trędowata* to szalenie zajmująca, żem całą noc na czytaniu spędziła«. U drugiej czerwoność pochodziła od łez nad książką wylanych”<sup>93</sup>. Dzieło Mniszkówny wielokrotnie udowodniło swoją magiczną niemal moc przyciągania. W 1976 roku powstała najszlachetniejsza ekranizacja powieści w reżyserii Jerzego Hoffmana, a efekt, zarówno u krytyków (obrzydzenie), jak i publiczności (zachwyt, dziesięć milionów widzów w kinach) wywołała ten sam.

W warstwie fabularnej historia Stefcia jest opowieścią o Kopciuszku – młodej, pięknej, niewinnej kobiecie, która ze względu na przymioty swego charakteru zdobywa miłość bogatego, przystojnego i władczego księcia (tu ordynata, czyli utytułowanego właściciela dóbr ziemskich). Jest to jednak wariant pesymistyczny – Kopciuszek nie przezwycięża szykan doznawanych od wyniosłych przeciwników, by móc żyć długo i szczęśliwie w luksusowym pałacu, ale mimo wsparcia ukochanego umiera ze smutku. Poza tym jednak to historia, która opowiada o bezsilności kobiety w sztywnej strukturze społecznej, jak również przypomina o ekonomicznych uwarunkowaniach małżeństwa. Mniszkówna przestrzega czytelniczki, że mezalians kończy się źle.

Ciekawe, że Stefcia Rudecka nie przynależy do bardzo odległej od Michorowskich warstwy społecznej. Pochodzi z ziemiańskiej rodziny, choć do ich nazwiska nie jest przywiązany tytuł szlachecki. Jak zwracają uwagę liczni bohaterowie powieści (w tym panna Rita Szeliga, sama bez tytułu arystokratycznego), nie jest wyjątkiem wśród powszechnie akceptowanych towarzysko kobiet w klasie wyższej. Stefcia nie pochodzi też z biednego domu, choć na pewno jej majątek nie może równać się fortunie ordynata Michorowskiego – ojciec daje jej w posagu 20 tysięcy rubli, co jest sumą

przyzwoitą i często spotykaną wówczas w szlacheckich rodzinach. Co więcej, w okresie, w którym powstała powieść, małżeństwa tego typu były rozpowszechnione.

Małżeństwa między szlachtą ziemiańską a arystokracją musiały budzić pewne kontrowersje, jednak dużo mniejsze niż choćby wprowadzanie do rodzin szlacheckich dzieci mieszczan, i to jeszcze na przykład z zasymilowanych rodzin żydowskich. A i to się zdarzało. W Królestwie Polskim po 1864 roku, czyli po uwłaszczeniu chłopów i po powstaniu styczniowym skutkującym kontrybucjami, posiadacze ziemscy musieli się mierzyć z ogromnymi trudnościami majątkowymi. Ratowano podupadłe fortuny ślubami pomiędzy różnymi klasami społecznymi. Wielki przełom w kwestii społecznego tabu stanowił na przykład ślub w 1874 hrabiego Karola Ignacego Zamoyskiego (ordynata!) z Marią Różą Kronenberg, córką bankiera Leopolda Kronenberga. Wszystkie cztery córki Jana Blocha, bogatego przedsiębiorcy kolejowego, wyszły za mąż za polskich arystokratów (a prasa obwołała ich związki „transakcją sprzedaży nazwiska”<sup>94</sup>). Ich śladem podążyło wielu arystokratów i ziemian – prześledzić można związki małżeńskie między szlacheckimi rodzinami Łubieńskich, Dunin-Borkowskich, Szymanowskich czy Wielopolskich a rodzinami burżuazyjnymi Salingerów, Halpertów, Janaszów i Natansonów<sup>95</sup>. Oczywiście, związki te zwykle dochodziły do skutku, gdy strona bez herbu mogła zaoferować na pocieszenie ogromny majątek. W *Trędowatej* taka pomoc finansowa nie była konieczna. Tak naprawdę jednak antagonizm arystokracji wobec Stefci bierze się więc nie tyle z uwarunkowań ekonomicznych, ale jej pozycji – i to nawet nie, jak deklarują w powieści jej zaciekli przeciwnicy, pozycji klasowej (bo tu niechęć jest zupełnie niezrozumiała, szczególnie w kontekście szlacheckiego, ziemiańskiego pochodzenia dziewczyny), ale zawodowej. Stefcia bowiem wchodzi w towarzystwo Michorowskich jako guwernantka.

Rudecka była przedstawicielką tej szczególnej grupy zawodowej zaludniającej zarówno powieści, jak i dziewiętnastowieczną rzeczywistość. Pozycja guwernantek była zaś niejasna i trudna. Eliza Orzeszkowa opisywała ich życie w bardzo ciemnych barwach. Raportowała ponuro, że w dworach, domach i na pensjach:

mrowi się ogromna masa tych cichutkich i pokornych istot w ciemnych wełnianych sukienkach, z blademi od strudzenia twarzami, ze spuszczonej od upokorzeń wzrokiem, istot, które bez powołania i zdolności, bez dostatecznego wykształcenia, pracują ciężko i najczęściej nieumiejętnie<sup>96</sup>.

Guwernantki były niedokształcone, ponieważ ani rodzice, ani nauczyciele nie przykładali wagi do tego, by je edukować. Same panny również często traktowały swój zawód jako ostatnią deskę ratunku. Moda na zagraniczne guwernantki sprawiała również, że zamożne matki wołały zatrudniać Angielki, Niemki lub Francuzki, niezależnie od poziomu ich wykształcenia, z czystego snobizmu. Polskie nauczycielki zaś, same niedouczone, edukowały kolejne zastępy dziewcząt, ucząc słabego francuskiego, słabej znajomości arytmetyki i jeszcze słabszej gry na fortepianie. Wszystko to zaś robiły za pieniądze urągające godności, nierzadko jeszcze na dokładkę próbując unikać awansów starszych braci uczennic czy też lubieżnych panów domu. Nic dziwnego więc, że zarówno w opinii emancypantek, takich jak Orzeszkowa, jak i szerszej opinii publicznej guwernantki były „moralnie i materialnie najbiedniejszymi w świecie istotami”.

Figura guwernantki jest o tyle istotna w kontekście opowieści o mezaliansie, że to właśnie guwernantki znajdowały się w tej niejasnej, trudnej do określenia sytuacji klasowej. Z jednej strony, wiele z nich miało wyższe kompetencje kulturowe i intelektualne niż ludzie, u których pracowały – wykształcenie, takt i obycie Stefcia są podkreślane jako jej największe zalety. Waldemar mówi zresztą prześmiewczo do swojej urażonej rodziny, że Stefcia „jest obyta, utalentowana, obce języki posiada wybornie, umie prowadzić lekką salonową rozmowę, jak i poważną. [...] Jest starannie wykształcona i dobrze wychowana, przy tym dumna i ambitna o wiele więcej od pewnych panien z naszej sfery, które potrafią same oświadczać się mężczyznom”<sup>97</sup>. Z drugiej strony, często pochodziły z klasy społecznej podobnej swoim pracodawcom, a do pracy guwernantki szły z powodu deklaszacji – czy to finansowej, gdy rodzinie nie starczało środków na wyprawę dla niezamężnej córki, czy też rodzinnej, gdy młoda dziewczyna traciła wspierających ją krewnych w wyniku choroby lub śmierci. Ta niejasna, trudna pozycja przekładała się na frustrację i głębokie

niezadowolenie z wykonywanej pracy. Część guwernantek, na ogół słusznie, miała poczucie, że wystarczyłaby tylko niewielka odmiana losu, a same znajdowałyby się na miejscu swoich pracodawczyń.

Podobna tożsamość kulturowa, a jednocześnie liminalna pozycja guwernantki nierzadko prowokowały komentarze czy przypadki molestowania. Również Michorowski początkowo zamierzał tylko uwieść Stefcie, co sam jej ujmująco wyznaje w trakcie oświadczyn. Towarzystwo ordynata, widząc urodę nauczycielki i jej wyjątkowe traktowanie przez pracodawców, uznaje automatycznie, że Stefcia jest kochanką Waldemara („do uszu pani Idalii doleciał jeden wyraz: *maîtresse*”). Guwernantkom składano erotyczne propozycje tak często, że żarty z tego znalazły się nawet w satyrycznych czasopismach dla panów. „Bocian” publikował w roku wydania *Trędowatej* taki na przykład dowcip:

*W dziecinnym pokoju*

- No, Stasiu, pocałuj swoją nową guwernantkę!
- Kiedy ja się boję, proszę mamy...
- Czego?
- Żeby nie dostał tak jak tatuś dziś rano w papę!<sup>98</sup>

By żart był śmieszny, a czytający go mężczyźni nie czuli niewygodnych wyrzutów sumienia, guwernantka musiała wykazać się hartem ducha i zdecydowanie odpowiedzieć na molestowanie. W rzeczywistości jednak nie było to takie proste. Na przeszkodzie nauczycielkom domowym stało dobre wychowanie. Skrępowana konwenansem dziewczyna (inaczej niż pochodząca z ludu służąca) „zmuszoną jest udawać, że nie rozumie pólśłówek delikatnych, aluzji przejrzystych, wreszcie dwuznaczników, które by raczej jednoznacznikami zwać należało, treść ich bowiem wątpliwości nie przedstawia”<sup>99</sup> – jak pisała autorka artykułu w „Bluszczu” z 1904 roku, alarmująca o złej sytuacji nauczycielek domowych. Lucy Delap, pisząc o pozycji guwernantek w społeczeństwie wiktoriańskim, wskazywała, że najczęściej to one były obiektami fantazji seksualnych o dominacji<sup>100</sup>. Władza nad uczniami czy uczennicami kobiety w rzeczywistości pozbawionej władzy (zarówno w sferze praktycznej, jak i symbolicznej) sprawiała, że ta zamieniała się w erotycznych marzeniach

mężczyzn w rozdającą karcące spojrzenia i wymierzającą kary kusicielkę. Większa społeczna mobilność guwernantek (a więc możliwość nie tylko romansu, ale też małżeństwa) jeszcze podsyciała te fantazje. Fantazje, za które zależne od pieniędzy i woli pracodawców nauczycielki płaciły wysoką cenę. Jak to ujmowała autorka artykułu w „Bluszczu”: guwernantka na każdą zniewagę, niemoralną propozycję czy molestowanie „zaciśnie usta, zmilczy, wiedząc dobrze, że chleb nawet goryczą zaprawny jest niemniej chlebem”<sup>101</sup>.

Poczucie gwałtownej nierównowagi, którego doświadczały guwernantki, przekładało się na ich stosunek do ewentualnego nierównego małżeństwa. Warto zauważyć, że wszystkie niemal bohaterki powieści z tym wątkiem ostro bronią się przed awansami mężczyzny – najpierw, ponieważ chcą bronić swojej cnoty przed uwodzicielem z klasy wyższej, a później, ponieważ wiedzą, że ich uczucie nie ma racji bytu. Przed ślubem z Waldemarem ucieka Stefcia (dopóki ten jej nie przekona i częściowo nie zmusi), ucieka też Klara z noweli *Pieśń przerwana* Elizy Orzeszkowej. Gdy dowiaduje się, że jej ukochany udaje tylko sekretarza księcia, a tak naprawdę to księżę Oskar we własnej osobie, porzuca go i wyprowadza się z miasteczka. Obie strony rozumieją, że wobec nierówności klasowych (Klara jest córką nauczycielki) nie może ich połączyć nic więcej niż romans, a to byłoby wbrew zasadom moralnym dziewczyny. Czytelnik zaś na końcu dowiaduje się, że reakcja Klary była słuszna, ponieważ na pytanie sekretarza, dlaczego oszalały z prawdziwej miłości księżę Oskar nie odnajdzie Klary i po prostu się z nią nie ożeni, księżę „wydobył z kieszeni chustkę, przyłożył ją do oczu i śmiał się tak, że aż śmiech przechodził w łkania”<sup>102</sup>. Sprzed ołtarza ucieka też pierwowzór wszystkich uwodzonych guwernantek, czyli Jane Eyre z powieści Charlotte Brontë z 1847 roku. Jej pragnienie zachowania cnoty doprowadza w końcu bogatego pana Rochestera do oświadczeń, ale okazuje się, że mężczyzna ma już żonę i próbuje popełnić bigamię. Jane ucieka i wraca do Thornfield Hall dopiero, gdy szalona Bertha Rochester ginie w pożarze, który unicestwia rozległą posiadłość oraz oślepia samego Rochestera. Dopiero wtedy, w sytuacji wyrównanych szans, Jane z rozkoszą przejmuje na siebie

obowiązek opieki nad okaleczonym arystokratą i czerpie głęboką satysfakcję z władzy, jaką ma nad uzależnionym od siebie mężczyzną.

Bohaterki historii o mezaliansach między guwernantką a mężczyzną z klasy wyższej bronią się przed uczuciem, ponieważ dowodzi to ich cnoty i wartości osobistej. Im bardziej demonstracyjnie okazują, że nie obchodzą ich tytuły i pieniądze amantów, tym bardziej dowodzą, że są ich warte. Stefcia Rudecka czy Jane Eyre, mimo że dzieli je półwiecze, podbijają serca arystokratów uporczywym odrzucaniem pieniędzy i podkreśleniem braterstwa na płaszczyźnie duchowej, a nie materialnej. Rita mówi o przyszłej wybrance Michorowskiego, że „ten człowiek wybierze sobie kobietę zupełnie swoją, dla niego stworzoną [...]. On wybierze sobie kobietę, którą zechce nazwać żoną, nie wśród głośnych nazwisk i partii, nie wśród tytułów, ale tam... gdzie się nikt nie spodziewa”<sup>103</sup> i jej przepowiednia sprawdza się co do słowa. Rochester zaczyna inaczej patrzeć na Jane, gdy ta, nie mogąc znieść jego obcesowego zachowania, wybucha w końcu klasowym gniewem:

Ponieważ jestem biedna, nieznana, nieładna i mała, myśli pan, że i duszy we mnie nie ma ani serca? O, jak się pan myli! Mam duszę jak i pan i także serce! [...] Nie zwracam się teraz do pana tak, jak nakazuje zwyczaj czy konwenans światowy [...] bo równi przecież jesteśmy!<sup>104</sup>

W rzeczywistości ekonomicznej zależności kobiet od mężczyzn takie literackie przedstawienie sytuacji to jednak dydaktyczna ułuda. Na przełomie wieków XIX i XX w rodzinach ziemiańskich dla kobiet istniały dwa rodzaje związków: alians i mezalians. W rodzinach mieszczańskich „występował jeszcze najbardziej pożądanym i traktowanym jako rodzaj kariery typ trzeci: awans”<sup>105</sup>. Awansem mogło być wkupienie się za pomocą pieniędzy rodziców do kręgów szlacheckich czy otrzymanie tytułu hrabiowskiego przez małżeństwo mieszczałki i arystokraty. W omawianym okresie jednak 90 procent mężczyzn z klasy posiadającej żeniło się z kobietami, które nie pracowały<sup>106</sup>. Z perspektywy guwernantki, kobiety należącej zwykle do uboższej inteligencji czy ziemianstwa, małżeństwo z bogatym mężczyzną było często sprawą być albo nie być – względy finansowe odgrywały tu najważniejszą rolę i na pewno nie były

pomijane wzruszeniem ramion i dyskusją o pokrewieństwie duchowym. Jeśli rozpatrywać małżeństwo w kategorii awansu, to w sytuacji guwernantki ucieczka od zamożnego pana może mieć dwojakie uzasadnienie. Jeśli następuje w powieści, jest raczej zabiegiem dydaktycznym, mającym umacniać w czytelnikach słuszność *status quo* i konserwatywny obraz świata podzielonego na zamknięte klasy społeczne. W rzeczywistości jednak ucieczka ta nie musiała być powodowana konserwatywnymi przekonaniem o wrodzonej przewadze moralnej arystokracji czy ziemiaństwa nad mniej zamożnym mieszczaństwem czy inteligencją. Awans musiał się opłacać, natomiast wejście w związek w sytuacji dużej nierównowagi ekonomicznej (bo przecież nie kapitałów kulturowych) mogło być dla kobiety bardziej niebezpieczne niż rezygnacja z takiej możliwości. Wiedziała to nawet gotycka heroina romansowa, Jane Eyre. Jak zauważa Katarzyna Szumlewicz, po spaleniu zamku i utracie wzroku „bezsilność Rochestera, połączona z istotną zmianą jego charakteru, stanowi niezłą gwarancję, że Jane nie podzieli losów poprzedniczki, czyli ubezwłasnowolnienia i ograbienia z pieniędzy”<sup>107</sup>.

## *Dolarowe księżniczki*

Szukajmy żony we własnej sferze towarzyskiej!<sup>108</sup>

Namawiał do tego mężczyzn w 1908 roku Konstanty Krumłowski, autor poradnika *Przewodnik zakochanych, czyli jak zdobyć szczęście w miłości i powodzenie u kobiet?*. Innego rodzaju związki nie mają przed sobą dalekiej przyszłości. Według niego równie fatalne było branie sobie żony z niższej, jak i wyższej niż własna klasy:

Żona z wyższej sfery towarzyskiej, o ile nie jest bardzo kochającą i bardzo rozumną, będzie się zawsze uważała za ofiarę losu [...], będziesz miał w domu zawsze teatralnie zrezygnowaną męczennicę, z kwaśnym uśmiechem na twarzy, a nieuzasadnioną goryczą w sercu albo brutalną tyranę o niskich, samolubnych instynktach.

Dziewczyna z niższej sfery towarzyskiej musi i będzie odczuwała zawsze twoją umysłową, duchową czy towarzyską wyższość. Wyrodzi to w jej umyśle przygnębienie,



bojaźliwość w obcowaniu i samopoczucie upośledzenia w domu. Kobieta mniej tkliwa i mniej lub wcale nie kochająca stanie się ordynarną, brutalną, obrzydzi ci dom i życie.

Podobnie do Krumłowskiego wyrażały się inne osoby, które postanowiły zawrzeć ten wątek w swoich poradnikach małżeńskich. Większość z nich pisała, że mezalians jest zły nie z powodu czynników zewnętrznych – rzadko wspomniano o społecznym oburzeniu czy ostracyzmie mogącym utrudniać życie, nie odwoływano się do pojęć takich jak honor, tradycja czy czystość linii szlacheckiej. Jako główny argument podawano niedobranie małżeńskie i prawdopodobieństwo nieszczęśliwego związku. Bronisław Gumplowicz już w latach trzydziestych XX wieku zwracał się do kobiet, pisząc, że mąż z ludu dla zamożnej i wykształconej panienki nie może być w żadnym wypadku partnerem: „trzeba brać pod uwagę, że człowiek pospolity będzie najchętniej instynktownie ciągnął do takich samych jak on, i kulturalna kobieta, choć żona, pozostanie dla niego do pewnego stopnia obcą, nudną z powodu właśnie tej kultury”<sup>109</sup>. Przestrzegał, że prosty mąż z klasy robotniczej lub z chłopstwa może bić i upokarzać żonę, starając się odbić sobie poczucie nierównowagi klasowej. Może ją także zdradzać ze służącymi i innym personelem domowym, ponieważ będzie czuł wobec nich bliskość taką, jakiej nie czuje wobec wyżej postawionej partnerki. Z kolei prosta żona może zadowolić męża, ale tylko jeśli ma świadomość, że mąż oczekuje od niej „serca, pieśczości i zrozumienia”, a nie rozmowy, oraz gdy będzie w stanie „swoją wrażliwą intuicją łatwo i chętnie dopasować się do potrzeb duchowych człowieka, z którym żyje”. Zachowanie porządku społecznego miało tu być w interesie jednostek, a utrzymywanie sztywnego podziału klasowego receptą na indywidualne szczęście małżeńskie.

Inaczej sprawę ujmowała anonimowa autorka *Przewodnika życia światowego* z 1900 roku. Pisała wprost, że powodzenie mezaliansu zależy od zaangażowanych w niego ludzi, natomiast trudne może być wprowadzenie takiego związku na salony. Jeśli chodzi o mężczyznę, to małżeństwo dla pieniędzy nie jest niczym dziwnym: „arystokracja chętnie złoci swoje tarcze zamorskimi bogactwami; inni stanowisko i byt zawdzięczają wyłącznie posagom żon swoich: i w takich wypadkach mąż powinien umieć zachować swoją powagę [...], aby nie narazić swej

osobistej godności”<sup>110</sup>. Inaczej, znów, jeśli to mężczyzna weźmie ślub z kobietą z niższej klasy społecznej: „ta powinna być nadzwyczaj przezorna, ukrywając się w cieniu za mężem, który przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność za jej przeszłość i postępowanie. [...] mąż powinien także przez jakiś czas trzymać się na uboczu, postępować z wielkim taktem i nie próbować ukazywać się w świecie przed pozyskaniem pewności, jak w nim będzie przyjęty”. Ogólnie jednak autorka przewodnika zapewniała, że możliwa jest zmiana klasy społecznej przez małżeństwo. Wystarczy tylko trochę dobrych manier, pokora, rozsądek, a jeśli wszystko zawiedzie – bardzo dużo pieniędzy.

Mezaliany to pojęcie obyczajowe, które nie jest dobrze zdefiniowane i ma różne odcienie znaczeniowe w zależności od czasów i klasy społecznej, która go używa. Nie odnosi się, jak można by wnioskować z poradników, do związków nierównych ze względu na wiek, wykształcenie czy wychowanie partnerów. Nie zawsze chodzi też jedynie o różnicę klasową. Prawdziwe znaczenie mezalianu łatwiej zrozumieć, gdy spojrzysz na związek małżeński jak na interes, na którym obie strony mogą zyskać lub stracić. O ile mezaliany są dla strony słabszej dobrym ruchem biznesowym (choć i tu nie można go postrzegać jedynie w prostych kategoriach awansu klasowego, ale też na przykład zabezpieczenia finansowego), o tyle dla strony silniejszej oznaczają klęskę przedsiębiorstwa. Osoba (zwykle mężczyzna) pojmująca za małżonka kogoś, kto nie wnosi nic do związku, robi zły interes. Jak pisał do młodych mężczyzn M. A. Zawadzki w poradniku małżeńskim:

Uczucie jest kapitałem, z którego tylko procenta wolno zużywać, a grzechem jest nieopatrzone trwonienie kapitału, który, lekkomyślnie raz wyczerpany, nie da się już nabyć i niczym zastąpić<sup>111</sup>.

Zawadzki miał tu na myśli raczej to, że inwestycja uczuciowa w związek z niewłaściwą kobietą może zniszczyć młodemu człowiekowi życie – jeśli spłodzi on niechciane dziecko lub nabawi się choroby przenoszonej drogą płciową albo wskutek nieszczęśliwej miłości zgorzknienie i przestanie szukać partnerki. Nie bez powodu Zawadzki używa jednak metafory kapitału i odsetek: związek musi się opłacać. Tu tkwi więc źródło skandalu,

na jaki decyduje się ordynat Michorowski – on może wzmocnić swoją pozycję i zapewnić dzieciom matkę z rodowodem, hrabiankę Melanię Barską, a jednak nie chce tego zrobić, w zamian wybierając zwykłą ziemiankę Stefanię Rudecką. W *Lalce*, mimo obiekcji Izabeli, starania kupca Wokulskiego powoli przestają być traktowane jako bezczelność, a zyskują poparcie arystokracji, ponieważ niższa klasa społeczna męzczyzny jest neutralizowana przez jego ogromny majątek, boleśnie potrzebny zrujnowanemu hrabiostwu Łęckim. Nawet Karol Borowiecki, szlachcic, o którym Bucholc mówi „von Borowiecki”, podkreślając po niemiecku jego herbowy rodowód, żeni się z Madą Müller, córką prostego niemieckiego tkacza, który doszedł do milionowego majątku – i związek ten jest powszechnie akceptowany, a łódzcy znajomi gratulują Karolowi zrobienia dobrego interesu. Fikcyjne związki literackie stanowiły odbicie standardów obowiązujących w prawdziwym życiu. Ślub hrabiego Zamoyskiego z Różą Kronenberg, córką zasymilowanego żydowskiego milionera, nie był mezaliansem, ponieważ ona wniosła do małżeństwa ogromne pieniądze. Podobnie jak śluby córek Jana Blocha z innymi polskimi arystokratami. Tu względy towarzyskie, klasa, smak i obycie, którymi to pojęciami ze świętym oburzeniem szafowano w melodramatach i poradnikach, nie miały znaczenia. Pieniądze wygładzały każdy towarzyski skandal. Prawdziwy problem pojawiał się, gdy ich nie było.

### *Pigmalion i wybryk ekscentryka*

Hrabia M. miał rozliczne zainteresowania. Był miłośnikiem sztuki i mecenasem artystów. Lubił teatr, literaturę i malarstwo, a jako stary kawaler (już po pięćdziesiątce) poświęcał swoim zamiłowaniom dużo czasu. Lubił też dalekie spacerować. Jego ulubionym kierunkiem wypraw były tereny nad Wisłą pod mostem Kierbedzia, ponieważ rosły tam jabłonie zrzucające jesienią dorodne jabłka. Hrabia krążył pomiędzy jabłkami i wybierał te, które zabierze do domu. Pewnego dnia oprócz jabłoni

zobaczył pod mostem wspaniałe zjawisko – młodą, piękną dziewczynę patrzącą na wodę.

Hrabiemu M. tak bardzo spodobał się ten widok, że postanowił do dziewczyny przemówić. Szybko okazało się, że panna ma piętnaście lat, jest córką flisaków wiślanych (ludzi transportujących towary z nurtem rzeki) i pracuje jako służąca. Hrabia nie namyślał się długo i zaproponował dziewczynie przeprowadzkę do swojej kamienicy w mieście. Dziewczyna zgodziła się, a hrabia następnego kilka lat poświęcił na jej edukację – zatrudniał najlepsze nauczycielki i nauczycieli sztuki, literatury i dobrych manier. W końcu, gdy dziewczyna skończyła dwadzieścia lat, hrabia ożenił się z nią. Spędzili w szczęściu lat trzydzieści, hrabia zmarł po osiemdziesiątce, a jego żona, obecnie szanowana mecenaska sztuki, stara hrabina M., poświęciła resztę życia i majątku na fundowanie muzeów i stypendiów dla zdolnych artystów.

Taką historię opowiada w swoim poradniku Bronisław Gumplowicz, jako pokrzepiający dowód na to, że mężczyzna może się korzystnie ożenić z kobietą dużo niżej stojącą w hierarchii społecznej – musi tylko poświęcić dużo czasu i energii na wykształcenie takiej panny z ludu. Niektóre sformułowania w tej niby pozytywnej historii dają jednak do myślenia. Hrabia skontaktował się z rodzicami dziewczyny: „pertraktacje nie trwały długo. Hrabia kupił dziecko i rodziców i zabrał je do siebie, do pałacu w Warszawie, jak swoje”<sup>112</sup>. Nie zapytał więc najwyraźniej panny, czy chce z nim iść, odkupił ją od rodziców i zawiózł do nowego domu. Następnie zaangażował wielkie środki w jej edukację – „żył z nią od początku, a ożenił się po pięciu latach”. Oznacza to, że przez pięć lat traktował pannę (dziecko? relacja ta wydaje się jednocześnie zabarwiona erotycznie i podobna do relacji rodzicielskiej) jak swoją kochankę z ludu, którą kupił sobie do domu, a następnie dopiero postanowił się ożenić. Kwestią otwartą pozostaje, czy gdyby młoda flisaczka nie spełniła jego oczekiwań intelektualnych i nie umiała przedzierać się w wielką damę, to porzuciłby ją w końcu na ulicy (być może w ciąży, skoro „żył z nią od początku”), czy na przykład miłosiernie zatrudnił jako swoją służącą w pięknym pałacu w Warszawie. Gumplowicz odnotowuje też z zadowoleniem, że po śmierci męża hrabina wycofała się z życia

publicznego i przeznaczyła odziedziczony majątek na działalność charytatywną. Rozumiemy, że gdy zniknął mężczyzna stanowiący jej legitymację w świecie arystokratycznym, sama zrozumiała, że musi się z niego wycofać, a odziedziczoną niesprawiedliwie (bo wbrew urodzeniu) fortunę rozdać bardziej na nią zasługującym.

Historia hrabiego M., który kupił sobie żonę nad Wisłą, jest prawdopodobnie fikcyjna (choć Gumpłowicz zwraca się do czytelników, jakby powinni znać stypendium imienia hrabiostwa M., z którego mogą korzystać młodzi artyści). Wskazuje jednak specyficzną odmianę mezaliansu warunkowo akceptowaną przez społeczeństwo, gdy mężczyzna jest jednocześnie niezwykle zamożny i ekscentryczny. Hrabia odgrywa tu rolę Pigmaliona, który wielkim nakładem sił i środków sprawia, że żona z ludu staje się właściwie nieodróżnialna od pań z klasy wyższej (ku uciesze męża i uldze jego towarzystwa). Gumpłowicz zapewniał czytelników, że „jak [hrabia] brał ślub, dziewczyna już była tak wykształcona, że mało różniła się od przeciętnej miejskiej pani z lepszego domu”. Taki rodzaj zmiany klasy społecznej wybaczano był jednak jednostkom nieprzeciętnym. Krumłowski w swoim poradniku pisał do czytelników z mieszczaństwa, że „żenią się wprawdzie arystokraci z cyrkówkami, poeci z wieśniaczkami, ale są to eksperymenty zbyt śmiałe, zbyt ryzykowne [...], na eksperymenty takie mogą pozwolić sobie panowie i poeci”<sup>113</sup>.

Krumłowski, krakowski dramaturg i satyryk, pisał poradnik w 1903 roku, gdy głośne były śluby młodopolskich artystów z kobietami z ludu. Trzy siostry Mikołajczykówny, Anna, Maria i Jadwiga, córki chłopca z Bronowic pod Krakowem, zawarły związki z członkami krakowskiej bohemy. Anna wyszła za mąż za Włodzimierza Tetmajera (1890), Maria była narzeczoną przedwcześnie zmarłego w 1894 Ludwika de Laveaux, a Jadwiga wyszła za Lucjana Rydla (1900)<sup>114</sup>. Śluby te wywołały wielkie poruszenie i skandal, a Mikołajczykówny zmagaly się z ostracyzmem społecznym i problemami małżeńskimi. Włodzimierz Tetmajer żenił się wbrew woli rodziców i w tajemnicy przed nimi. Pisał do przyjaciela, że „wszyscy, cały Kraków odwrócił się ode mnie. [...] Z rodziną mam fatalne przejścia, bo ojciec znać mnie nie chce. Jednym słowem straszne

awantury”<sup>115</sup>. Stosunki miało ocieplić dopiero urodzenie się pierwszej córki pary. Julia Tetmajer, babcia, pisała jednak w listownej relacji z chrztu: „Włodzio ma córkę. Jadwigę Annę Julię. Niby oczy ojca, ale całość chłopska. Byłam na chrzcie, co mi sprawiło wielką przykrość. Czułam, że to dziecko nie nasze!”<sup>116</sup>. Podziały klasowe trzymały się w najlepsze. Julia zresztą przez wiele lat miała zastrzeżenia wobec synowej – że była bierna i posłuszna, nosiła stroje chłopskie i zajmowała się sprzedażą warzyw i owoców na rynku w Krakowie, tym samym przypominając przechodniom, że Włodzimierz Tetmajer popełnił dotkliwy mezalians.

Lucjan Rydel pozornie miał łatwiejszą drogę – zenił się dziesięć lat po Tetmajerze, jego matka nie zerwała z nim stosunków. Odwlekała jednak zgodę na ślub syna w nadziei, że ten się rozmyśli. Przyjaciele i rodzeństwo również podchodzili do sprawy sceptycznie. Gdy Jadwiga Rydel zamieszkała z mężem w Krakowie, bywała nie tylko tematem plotek, lecz także celem ataków na ulicy. Córka Helena wspominała, że mieszczańskie panie spotkane na spacerze na Plantach, „mijając ją, pluły jej pod nogi, inne pokazując sobie palcami, mówiły głośno »To ta małpa, co Rydla zbałamuciła«, a nawet ciągnąc za brzeg chustki lub zapaski, pytały: »Po ileż to Rydel płacił za taką dziadówkę?«”<sup>117</sup>. Lucjan Rydel nie był w stanie skutecznie obronić siedemnastoletniej żony, Jadwiga więc zaczęła wychodzić dopiero po zmroku. Była również zazdrosna o męża – to, co w pięknych chłopkach pociągało miejskich panów, czyli jak pisał Rydel o Jadwidze: „szczerą, prostą, delikatną [...], czystą w duszy (aż do przesady we wstydlivości)”<sup>118</sup> – sama Jadwiga postrzegała jako swoją wadę. Panny z inteligencji i mieszczaństwa, z którymi Rydel miał styczność na Wyższych Kursach dla Kobiet, „wydawały jej się strojne, ładne i bardzo mądre. Czuła się wobec tej plejady nieznananych panien jakaś upośledzona pod każdym względem”<sup>119</sup> – wspominała córka.

Warto również zaznaczyć, że relacje Tetmajera i Rydla z Anną i Jadwigą rozpoczęły się w sytuacji dużej nierównowagi. Do kontaktów między chłopkami z Bronowic a krakowskimi artystami dochodziło, gdy te pozowały w Szkole Sztuk Pięknych na Kleparzu. Podkrakowscy chłopcy nie chcieli puszczać na modelki ładniejszych córek, „gdyż mieli jakieś

uprzedzenia do adeptów sztuki – może i słusznie” – wspominał malarz Leon Kowalski. Bali się po prostu, że krakowscy studenci uwiodą i wykorzystają dziewczyny. Nie wiadomo, czy tak właśnie poznali się Anna i Włodzimierz Tetmajer. Wiadomo jednak, że Anna miała wówczas szesnaście lat (i w tym wieku wyszła za męża), a Tetmajer dwadzieścia osiem. Podobna różnica wieku dzieliła Rydla (lat trzydzieści) i jego żonę Jadwigę (lat siedemnaście). Gdy połączyć dużą różnicę wieku z ogromną przewagą wykształcenia (Anna i Jadwiga umiały pisać i czytać w ograniczonym zakresie), pozycji społecznej i ogólną wrogością środowiska, można dojść do wniosku, że małżeństwa Mikołajczykównien były dla nich równie trudne, co dla ich mężów – i zupełnie nie postrzegały ich jako awansu społecznego. Charakterystyczne wydaje się tu podsumowanie narzeczeństwa Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny zapisane przez Aleksandrę Czechównę, znaną krakowską pamiętnikarkę, powinowatą Rydlów:

Trudno przypuścić, ażeby Lucio mógł dostać pannę z 50 tysiącami posagu, gdyby zaś np. wziął za żonę 15, a choćby i 20 tysięcy złr, to procent od tej sumy wystarczyłby zaledwie na sługi, na jedną choćby suknię balową, a w końcu na aptekę, doktorów i dentystę. W ten sposób musiałby on co najmniej mieć ze 2 albo i 3 tysiące złr pewnego dochodu, ażeby utrzymać dom jako tako, i wypełnić żądania swojej pani. Ponieważ on stałego dochodu nie ma, mógłby więc być bardzo nieszczęśliwym, podczas gdy tutaj żeniąc się, ma wszystko ułatwione. Ugotuje mu ona, upierze, gdy Pan Bóg da dzieci, wszystkie wykarmi i nie będzie miała żadnych wymagań. A gdy do tego weźmiemy pod uwagę, że on tę dziewczynę kocha, to doprawdy ja pierwsza powiem, iż dobrze zrobił, że się z nią ożenił<sup>120</sup>.

Według Czechówny, osoby postępowej i przyjaznej Rydlowi, to on robił w tej sytuacji dobry interes. Postawa Czechówny kontrastuje z postawą Julii Tetmajer – kobiety w podobnym wieku i z tej samej klasy społecznej, matki Włodzimierza. Julia o Annie pisała: „wystaw sobie, że ona sama nosi mleko do miasta i staje z niem na rynku i sprzedaje! Cały ten ich dom i stosunki są tak wstrętne, że najlepiej zapomnieć, że istnieją”<sup>121</sup>. Nie zwracała jednak uwagi, że to dochody Anny z handlu warzywami i nabiałem utrzymują jakoś dom Tetmajerów na powierzchni, ponieważ Włodzimierz, jako początkujący malarz i słaby rolnik, nie przynosił prawie żadnych pieniędzy.

Według Julii jednak korzyść dla Anny (awans klasowy) była tak ogromna, że kwestie finansowe pozostawały na drugim miejscu. Czechówna, mimo że zwracała uwagę na nierówność intelektualną Rydla i Jadwigi, przytomnie pisała, że dla niepraktycznego poety taka żona jest gwarantem dobrej opieki i paradoksalnie, zabezpieczeniem finansowym – ponieważ jej wymagania względem męża są niskie, a przyzwyczajona do ciężkiej pracy na roli nie potrzebuje służącej. Znowu, to Anna i Jadwiga ponosiły tu koszt małżeństwa, niekoniecznie mogąc (czy chcąc) korzystać z ewentualnych owoców własnego awansu społecznego. Ta pragmatyczna kalkulacja finansowa nie zmienia jednak faktu, że w szerszej opinii towarzyskiej związku te postrzegano w kategorii wybryku ekscentryków i niemalże projektu artystycznego owładniętych chłopomanią artystów. Jak pisał Krumłowski, „przeciętny zwyczajny śmiertelnik powinien szukać żony we własnej sferze towarzyskiej”<sup>122</sup>. Bo za jego decyzją nie stały wielkie pieniądze czy powszechnie szanowany talent.

Przeciętny mieszczanin nie miał też znowu tak wiele kontaktu z chłopkami (a przynajmniej chłopkami dalej mieszkającymi na wsi, bo w drugiej połowie XIX wieku ponad 85 procent kobiet służących wówczas w Warszawie nie urodziło się w mieście, ale przyjechało do pracy ze wsi)<sup>123</sup>. Większość ich relacji z kobietami z klasy niższej dotyczyła przedstawicielek miejskiego proletariatu – szwaczek, praczek czy handlarek, a przede wszystkim pracownic seksualnych i służących domowych. Relacje te zaś od początku naznaczone były mieszanką erotycznej fascynacji i całkowitego uprzedmiotowienia.

### *Kto się żeni ze służącą?*

U nas, zwłaszcza w pewnych sferach towarzyskich, istnieje wprost epidemiczny zanik zmysłu moralnego, idący w parze z przekonaniem, że naturalny porządek rzeczy wymaga, by istniały pewne grupy ludzi pozbawione praw ludzkich i niewarte żadnych względów, a żyjące tylko dla użytku, rozrywki lub wygody ludzi uprzywilejowanych<sup>124</sup>.



Pisała tak w 1904 roku Izabela Moszczeńska, zniesmaczona wynikami ankiet przeprowadzanych w latach 1899 i 1903 na temat życia seksualnego wśród warszawskich studentów. Wyniki wywiadów mówiły nie tylko, że młodzi mężczyźni z miejskiej burżuazji i inteligencji nie czekają z inicjacją seksualną do ślubu (większość rozpoczęła życie seksualne między piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia), ale też, że swobodnie obcuja z kobietami znajdującymi się wobec nich w relacji podległości. Ponad 50 procent pierwszy stosunek przeżyło ze służącą domową, kolejne 25 procent – z pracownicą seksualną, boną lub szwaczką. W swoich odpowiedziach nadmieniali, że te relacje są dla nich „zupełnie normalne”, szczególnie te nawiązywane ze służącymi domowymi. „Kilku wspomina o oporze ze strony służącej – notowała Moszczeńska – albo też o biernym i niechętnym poddawaniu się”. Na ogół jednak nie poświęcali wiele czasu na refleksje, czy służące życzą sobie takich relacji, co doprowadziło Moszczeńską do gorzkiej konstatacji na temat „zaniku zmysłu moralnego” wśród mężczyzn z klasy wyższej.

Stosunek mężczyzn do służących domowych wynikał nie tylko z ich osobistego wychowania, ale też ze skomplikowanych czynników społecznych. Wobec postępującej industrializacji i migracji do miast na przełomie wieków klasa robotnicza traktowana była przez klasę wyższą podejrzliwie i niechętnie. Popularne teorie higienistów i psychologów wskazywały, że widoczny w przestrzeni miejskiej, głośny i zwracający uwagę proletariatus jest źródłem degeneracji fizycznej i psychicznej społeczeństwa. Lud miał być bierny, leniwy i agresywny, skłonny do przemocy i alkoholizmu, o niższym rozwoju umysłowym i jednocześnie zupełnie pozbawiony zahamowań moralnych<sup>125</sup>. Szczególnie kobiety z proletariatus – demoralizowane przez trudy pracy fizycznej i kontakt z mężczyznami na stopie zawodowej, bez kontroli rodziny czy duchownego – miały pragnąć ciągłych relacji seksualnych. To w połączeniu z bliskością i dostępnością służących domowych, które znajdowały się w pozycji podległości i były zależne od pracodawców nie tylko w kwestii zatrudnienia, ale też mieszkania i wyżywienia, sprawiało, że w popularnym rozumieniu służące stanowiły łatwo dostępne partnerki seksualne. Bliskość dawała okazję do molestowania i wymuszania relacji seksualnych,

klasistowskie teorie psychologiczne zaś zwalniały mężczyzn z zastanawiania się, czy służąca chce tej relacji. Jak głosił wierszyk z czasopisma dla mężczyzn, zachwalający relacje ze służącą w opozycji do korzystania z usług pracownic seksualnych:

Gdy mi kurtyzana  
Jest za wielką panią,  
To z jej pokojówką  
Zabawię się tanio.

Szampan i ostrygi  
Trza dla damy wielkiej,  
A dla niej wystarczy  
Wódka i serdelki.

Pierwsza wielkopańskie  
Ma fumy i fochy,  
Batystowe chustki  
I długie pończochy!

Druga nieraz nasek  
W swój fartuszek utrze.  
Gusta ma mniej drogie  
I pończochy krótsze!<sup>126</sup>

W mezaliansie z guwernantką można było się dopatrywać pokrewieństwa dusz czy specyficznej sprawiedliwości społecznej – w końcu kobiety te często należały do podobnej klasy społecznej, co poślubiający je mężczyźni, ale wskutek deklasacji i zubożenia dysponowały jedynie kapitałem kulturowym, a nie materialnym. Związek z artystką cyrkową czy nawet chłopką można było postrzegać jako relację romantyczną, zawartą przez bardzo bogatego arystokratę lub artystę, który chciał ucywilizować, wykształcić i ukształtować moralnie swoją wybrankę. W chłopce miał widzieć czystą, witalną młodą kobietę, niezepsutą przez uprzemysłowione miasto, zdrową i silną, a więc też atrakcyjną seksualnie. Echa tego sentymentalnego postrzegania kobiet z ludu widoczne są nawet

w historyjce z poradnika Gumplowicza – tam przedstawia przyszłą hrabinę M. jako siłę natury, element sielskiego krajobrazu sadu: „Złota polska jesień. Właśnie słońce zachodziło, przepalając blaskiem świat cały. Patrzy – na górze czerwonych jak krew jabłek stoi bosonoga, prosta dziewczyna, dziecko 15–16 lat najwyżej, w zwykłej płóciennej spódnicy, którą wiaterek miota”<sup>127</sup>. Tak ponętnie nie prezentowała się pomywaczka opróżniająca nocniki albo szorująca kominek z sadzy. Służąca czy pracownica seksualna należała do zdegenerowanej, zdemoralizowanej klasy społecznej i małżeństwo z nią nie miało żadnego uzasadnienia.

Czasem się jednak zdarzało.

### *Żona nie rezonuje o literaturze i sztuce*

Marie swojego męża poznała na ulicy. Myślała właśnie witrynę sklepu, w którym pracowała, a ponieważ górna część szyby znajdowała się bardzo wysoko nad ulicą, skonstruowała sobie podest – wysoki na czternaście stopni, chybotliwy i niebezpieczny. Czekający w pobliżu dorożkarz uznał to za świetną okazję do zabawy – podszedł do dziewczyny i zaczął kołysać podestem, tak by przestraszyć Marie. Ta jednak wyjątkowo się zdenerwowała, wylała mu na głowę wodę z wiadra, zeskoczyła z podestu, a następnie, jak sama relacjonuje: „przyłożyłam solidnie woźnicy, okładając go energicznie ścierą, tak że uciekł błyskawicznie do swojej dorożki. Jeszcze tam wymierzyłam mu parę razy jego własnym batem”<sup>128</sup>. Widowisko ze śmiechem oglądali inni dorożkarze czekający na postoju, a także mężczyzna mieszkający w kamienicy naprzeciwko sklepu. Godzinę później Marie otrzymała przez gońca dwadzieścia marek i liścik, w którym pan dziękował za piękne widoki. Marie odesłała pieniądze, pisząc, że nie pracuje w cyrku, tylko na służbie, lecz pan nalegał i poprosił, by móc kłaniać się dziewczynie na ulicy. „Sposób, w który ten niemłody już – miał na karku co najmniej trzydziestkę – mężczyzna się do mnie zwracał, był tak uprzejmy, że choć uwielbiałam jego traktowanie, mimo woli wprowadził mnie w zakłopotanie. Nasza rozmowa z tego powodu wkrótce utknęła

w martwym punkcie, toteż ustąpił, prosząc jeszcze raz o wybaczenie. [...] Nie podejrzewałam, że właśnie poznałam swojego przyszłego męża” – wspominała Marie.

Mąż, którego imienia Marie nie podaje, wydawał się dziewczynie niemłody, ponieważ sama miała wówczas około osiemnastu lat. Marie Sansgêne, a właściwie Marysia (tak zwracają się do niej pracodawcy i rodzina), była służącą domową w Gdańsku w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Urodziła się w biednej rodzinie robotniczej. Jej ojciec, zanim zachorował i przestał pracować, był handlarzem koni i woźnicą, a matka utrzymywała liczną rodzinę, pracując jako praczka. Marie poszła więc na służbę w wieku czternastu lat – by odciążyć rodzinny budżet i samej dołożyć trochę pieniędzy do wyżywienia młodszego rodzeństwa. Pracowała w mieszczańskich domach w Gdańsku przez siedem lat, aż do ślubu z tajemniczym obserwatorem z okna, u którego w końcu zatrudniła się na służbie. Potem, po latach, spisała swoje wspomnienia, które w 1908 roku wydała po niemiecku pod pseudonimem „Marie Sansgêne” i tytułem *Wspomnienia z młodości ubogiej służącej*.

Marie widziała przyszłego męża jeszcze dwa razy – raz, gdy pracodawcy kazali jej zanieść znajomemu książkę, którą wcześniej pożyczyli. Okazało się, że ten znajomy to właśnie obserwator z kamienicy naprzeciwko. Dał jej wtedy w prezencie drogą portmonetkę z kości słoniowej i powiedział: „zazdroszczę mężczyźnie, którego uszczęśliwi pani kiedyś swoją miłością”<sup>129</sup>. Kolejny raz, około roku później, wpadli na siebie na ulicy – i mężczyzna z okna poprosił, by Marie zatrudniła się u niego jako gospodyni domowa.

Wspomnienia Marie wyraźnie wskazują, że dziewczyna przyzwyczajona była do podobnych awansów mężczyzn z klasy wyższej, u których pracowała. W książce chowa się nieco za wymyśloną personą – na początku znajduje się dialog z mężem, gdzie Marie kryguje się, że jej młodość nikogo nie obchodzi. Mąż namawia ją, by wydała swoje dzieje, bo „służące jako takie nigdy i nigdzie nie pisują książek”, więc jej tekst jest niezwykle wartościowy. Marie odtwarza więc swoje wspomnienia, przedstawiając się jako piękna i pyskata panna z miejskiego proletariatu. Zawsze wie, co powiedzieć, nigdy się nie wstydzi, na każde kłopoty reaguje adekwatnie do

sytuacji – gdy trzeba, wybuchnie śmiechem, a w innej sytuacji rozda kilka kuksańców i rzuci w napastnika wiadrem. Drastycznie różni się od Anny Tetmajer, która, według niechętniej jej teściowej, „słowa jednego nie mówi – rusza się jak automat, spełnia każde żądanie Włodzia z niezmiennym wyrazem twarzy”<sup>130</sup>. Prawdopodobnie dzieje się tak dlatego, że Marie może mówić własnym głosem. Podobnie bojowo opisuje siebie Marcysia, bohaterka *Moich służb*. Ona również boryka się z ciągłymi zaczepkami ze strony mężczyzn, szczególnie syna pracodawczyni i jego kolegów. Tak pisze o usługiwaniu do stołu w trakcie studenckich wieczorków: „Jak mnie tam pani starsza pośle z herbatą, to mała szklanki mi z tacy nie pospadają: wszyscy do mnie z figlami. Jeden uszczyplnie w łokieć, drugi powie głupstwo do ucha, trzeci złapie w pól, dalej że całować. Nastraszyłam, że tak wrzasnę, co pan Tymek wie. Dopiero wszyscy do niego, co to było? A on: – Dajcie spokój, nie zaczynajcie z tą wariatką... Straż ogniową i Pogotowie swoim kwikiem gotowa sprowadzić...”<sup>131</sup>. I rzeczywiście, głośny wrzask Marcysi sprawił, że panicz Tymek i jego koledzy zostawili w spokoju młodą służącą. Marcysia wykorzystywała podobne metody z powodzeniem w innych domach. Gdy została zatrudniona w miejscu, gdzie molestował ją nie tylko syn, ale też mąż pani, krzyczała, pluća i nie spała całą noc z zapalonym światłem w pokoju zamkniętym na klucz, a następnego dnia „podziękowała za służbę”.

Dla Marie takie zachowanie było tak oczywiste, że aż przezroczyście – opisując służbę u starej panny i jej brata, starego kawalera, niemal mimochodem wspomina, że pan „z początku próbował nawet przyciągnąć mnie do siebie i pocałować, ale już przy pierwszej próbie powiedziałam mu: »Proszę, niech pan da sobie spokój z tymi głupstwami, ze mną się panu nie poszczęści!«”<sup>132</sup>. Czasem musiała jednak wprost uciekać albo walczyć o siebie siłą – na posadzie u wdowca, czterdziestoletniego handlarza wyrobami galanteryjnymi, uniknęła gwałtu w piwnicy tylko dlatego, że zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i zaczęła krzyczeć tak głośno, że obudziła cały dom. „Kiedy następnego dnia poskarżyłam się starej matce, pan domu szturchnął mnie w korytarzu i chciał mnie uderzyć, ja jednak oplućam go i powiedziałam mu w oczy całą prawdę o jego niegodziwym

postępowaniu” – donosiła czytelnikom Marie, a potem krótko stwierdzała, że tego samego dnia spakowała swoje manatki i odeszła z tej pracy.

Zachowanie Marcysi i Marie świadczy o ich wyższości moralnej w stosunku do chutliwych mężczyzn, którzy korzystają ze swojej przewagi związanej z płcią i pozycją społeczną. Poprzez wrzask i wyśmiewanie dziewczyny obnażają erotyczne pragnienia panów, które, choć groźne, są jednak doprawdy żalodne – bo dotyczą kobiet, które nie chcą i nie mogą ich dobrowolnie odwzajemnić. Znając źródła przedstawiające faktyczne warunki funkcjonowania służących domowych, nie można oprzeć się wrażeniu, że zarówno dziennik Marcysi, jak i wspomnienia Marie to częściowo fantazja o władzy. Reakcje Marie mogą być nieco podkoloryzowane, by przedstawić się w lepszym świetle – być może Marie książkowa jest nieco odważniejsza i ma szybszy refleks niż Marie prawdziwa. W rzeczywistości podobne historie rzadko kończyły się brawurową ucieczką, a wrzask nie zawsze był wystarczającą obroną. Teodora Męczkowska pisała w 1908 roku, że w niemieckiej ankiecie na temat losu służących domowych przy pytaniu o stosunki z panami i paniczami służące odpowiadały: „trudno byłoby sobie poradzić, gdyby człowiek nie miał silnych pięści i nie umiał się bronić”<sup>133</sup>. I przytaczała historie usłyszane od znajomej lekarki, do której zgłaszały się piętnasto- i szesnastoletnie służące w ciąży i zarażone chorobami wenerycznymi – przez panów i paniczów, którzy nie respektowali odmowy. „Że mężowie, bracia i siostrzeńcy nasi nie są pod tym względem bez winy, chyba nikt nie wątpi” – podsumowywała Męczkowska.

Nic więc dziwnego, że Marie podchodziła nieufnie do awansów swojego przyszłego męża. Szczególnie onieśmialały ją jego wykwintne komplementy (choć pozbawione, jak się wydaje, aluzji erotycznych) oraz to, że był od niej starszy i dobrze wykształcony. Na pierwszym spotkaniu zaprosił ją do mieszkania i pokazywał jej album ze zdjęciami ze swojej wycieczki do Włoch, a także częstował ją winem, jak twierdził, z winogron zebranych ze zboczy Etny. Sama Marie umiała czytać i pisać – chodziła do szkoły przez sześć lat, ale jak sama przyznaje, lata spędzone w szkole były dla niej tylko stratą czasu. Historia jej edukacji jest typowa dla dzieci z proletariatu czy z obszarów wiejskich z tego okresu. Po pierwsze,

opuszczała bardzo dużo zajęć, czasem miesiącami nie chodziła do szkoły, ponieważ matka potrzebowała jej pomocy w domu i przy pracy w maglu. Kiedy zaś już trafiała do ławki szkolnej, na skutek pracy fizycznej była tak zmęczona, że nie miała ochoty ani siły uważać na zajęciach.

Kiedy poruszyła ten temat ze swoim przyszłym mężem, on odpowiedział, że „nic nie szkodzi; gdy będzie chciał porozmawiać o uczonych rzeczach, zwróci się do swoich ksiązek, choć ma ich trochę dość i wolałby się cieszyć rozmową z naturalną i niezepsutą istotą ludzką: uczone i zmanierowane kobiety budzą w nim odrazę”<sup>134</sup>. Następnie dodał, że Marie jest jeszcze młoda i może się wiele nauczyć. I rzeczywiście, sam tekst *Wspomnień* zawiera aluzje literackie, chociażby do dwunastu prac Herkulesa czy do historii biblijnych – najwyraźniej Marie polubiła mitologię. Marie zgodziła się więc zatrudnić u niego jako gospodyni; jak rozumiemy, miało to być tylko rozwiązanie tymczasowe, by mogli zamieszkać wspólnie od razu, a po kilku tygodniach wziąć ślub.

Odpowiedź męża Marie wydaje się charakterystyczna dla relacji w tego typu mezaliansach. To, na co zwracali uwagę autorzy poradników – że w związku tak odległym klasowo małżonkowie nie będą mieli o czym ze sobą rozmawiać, że żona z klasy robotniczej będzie dla mieszczanina czy inteligenta zbyt potulna, bojaźliwa i zgryźliwa z powodu kompleksu niższości – mężczyźni naprawdę żeniący się z kobietami z klasy niższej zupełnie ignorowali. Idealizowali raczej brak wykształcenia przyszłej żony, postrzegając ją jako bardziej cnotliwą, uczciwą i wierną niż zmanierowane kobiety z ich własnej klasy społecznej. Lucjan Rydel, pisarz i poeta, odpowiadając na zarzut o tym, że jego narzeczona jest ledwie piśmienna i trudno im będzie znaleźć platformę porozumienia, pisał do matki tak: „znalazłem w Jadwisi to wszystko, co stanowi istotną wartość duszy ludzkiej. Mamusia – zdaje mi się, przecenia znaczenie i wartość wykształcenia [...], można nic nie umieć, a być świętą prawie”<sup>135</sup>. A do kolegi: „Będę miał żonę, jakiej każdemu tylko życzyć można. Z natury jest inteligentna i pojętna, ma żywe poczucie wszystkiego, co piękne, a nad wszystkie zalety umysłu najwyższa: nie rezonuje [czyli nie kłóci się] o sztuce i literaturze”<sup>136</sup>.

Niekoniecznie znaczy to, że w mezaliansach mężczyźni szukali kobiet słabszych od nich intelektualnie. Prawie wszyscy zwracają uwagę na naturalną, wrodzoną inteligencję swoich żon czy partnerek, tym lepszą, jak uważali, że nieskrzywioną współczesnym wychowaniem. Michał Römer, wileński adwokat, przez kilka lat pozostawał w związku z Anną Wolberg, łotewską pracownicą seksualną, którą uratował z domu publicznego w 1911 roku. Anna (zwana Annin) nie mówiła po polsku ani po rosyjsku, Michał zaś nie mówił po łotewsku. Porozumiewali się jedynym wspólnym językiem, czyli niemieckim, o którym Römer pisał, że jest to „szkaradna niemczyzna, od której Niemcowi by włosy na głowie powstały”<sup>137</sup>. Anna umiała też pisać i czytać, prowadziła dziennik (który Michał potajemnie jej wykradał i wioził do kolegi znającego łotewski, by ten go przetłumaczył), ale społeczne piętno pracy seksualnej i bariera językowa sprawiały, że wydawała się małomówna i wycofana. A jednak Römer, mężczyzna po trzydziestce, podkreślał w swoim dzienniku, jak bardzo dziewiętnastoletnia Anna jest bystra. Gdy odwiedził ją w pierwszym hotelu, w jakim zamieszkała po odejściu z domu publicznego, pisał niezadowolony o postawie gospodyni, pani Gawrońskiej:

[Anna] jest bardzo znudzona, samotna, onieśmielona. Pani Gawrońska nie zdołała jej zbliżyć do siebie, otoczyć sercem, pojąć. Zapewne Anna pod względem poziomu inteligencji i kultury stoi o wiele niżej od pani Gawrońskiej. Jest to dziewczyna z ludu, dziczka, ale natury bujnej, bogatej, z której dużo zrobić można i która w sobie ciekawą treść zawiera. Pani Gawrońska tego dostrzec nie zdołała; stosowała się do niej przez pryzmat umysłowości inteligenckiej i nie potrafiła wyrwać jej z samotności i onieśmielenia i zrównać z sobą.

Römera oczywiście pociągała w Annie jej młodość, uroda i ponętne ciało, jednak widział w niej też coś w rodzaju szlachetnej dzikuski, „dziczki” – jak sam pisał – która „jest prawdziwie rasowa, ma w sobie bądź co bądź głęboką kulturę ludu łotewskiego”. Niechęć pani Gawrońskiej do rozmowy z Anną wynikała z uprzedzeń do jej horyzontów umysłowych i z charakterystycznego dla klasy wyższej pojmowania inteligencji jako zdolności do rozprawiania o sztuce i literaturze. Podobnie po wizycie Lucjana i Jadwigi Rydlów Aleksandra Czechówna zapisywała z niepokojem:



Co się tyczy jego, to jest to doprawdy zadziwiające, jak ten człowiek nie ma żadnej blagi, żadnej zarozumiałości, i szczególnie wobec swojej żony, czy ją nie chce upokarzać swoją erudycją, czy z jakiego innego powodu, dość że gdy ja zaczynałam mówić coś o jego odczytach, on zaraz zagadał o gospodarstwie, o dzieciach, i kto by go np. u nas widział, a nie znał, to powiedziała by pewnie, że jest to jakiś ogrodnik [...], nigdy zaś by się nie domyślił w nim ani uczonego, a tem mniej poety<sup>138</sup>.

Może po prostu Czechówna nie próbowała porozmawiać z Jadwigą na tematy inne niż dzieci i dom, z góry zakładając, że dziewczyna nie będzie umiała nic powiedzieć. A mogłaby się zdziwić. Michał Römer z kolei notował, że dyskutuje z Anną o wszystkim, również o sprawach „społeczno-etycznych i religijnych”<sup>139</sup>. Z zadowoleniem zapisywał, że „Anna ma tęgą głowę i umysł bardzo żywy. [...] Rozmowa z nią jest nie tylko zajmująca, ale kształcąca nawet. Niepospolita natura”.

Römer był zakochany w Annie, postrzegał ich związek jako relację głęboko fizyczną i pełną namiętności, ale też prawdziwe pokrewieństwo dusz, miłość na całe życie. Pisał: „w niej żonę znalazłem [...], jest ona istotnie moją żoną, bo ją w siebie wcieliłem i rozszerzyłem me życie psychiczne na nią”. A jednak nigdy się z nią nie ożenił. Po pierwsze dlatego, że był już żonaty – pozostawał w separacji z żoną po kilku miesiącach małżeństwa. Po drugie zaś dlatego, że bał się reakcji rodziny i odcięcia finansowego od ojca, konserwatywnego patriarchy rodu Römerów. Czekał, aż Papa umrze. Nie doczekał się jednak. W 1914 roku to Anna Wolberg zmarła na gruźlicę.

### *A niech go pokręci z jego ożenieniem*

Zbyszek był przystojnym dwudziestokilkulatkiem. Lubił pić alkohol, palić cygara i spędzać czas w kawiarniach, restauracjach i klubach dla dżentelmenów. Nie lubił za to pracować w biurze, gdzie był zatrudniony na posadzie administracyjnej. Najbardziej zaś nie lubił słuchać matki. Tak się złożyło, że lubił także młodą dziewczynę służącą w domu rodzinnym, Hankę. Jego awanse zakończyły się relacją erotyczną – w pewnej mierze

wymuszoną pozycją społeczną Zbyszka i uwiedzeniem bezsilnej służącej. Wskutek tych relacji Hanka zaszła w ciążę, niedługo zaś o wszystkim dowiedzieli się rodzice i rodzina Zbyszka. Wybuchł skandal.

Chcąc zrobić na złość matce, a trochę z powodu dręczącego go sumienia, Zbyszek ogłosił, że ożeni się z Hanką. Nikt nie chciał przyjąć tego do wiadomości, tak nie rozwiązywało się nigdy tego typu młodzieńczych wpadek. Od tego szalonego z perspektywy mieszczańskiej pomysłu odwiodła Zbyszka w końcu nieco starsza kuzynka, w spokojnej, choć brutalnej rozmowie:

JULIASIEWICZOWA: Naturalnie już o jakichkolwiek stosunkach ze światem mowy być nie może. Naturalnie. Tylko... musicie sobie sami wystarczyć. Nie znam jej, musi mieć dużą inteligencję wrodzoną. [...] Ty to rozwiniesz – więc z moralnej strony niema obawy. Tylko materjalna.

ZBYSZKO: Mam ją w pięcie.

JULIASIEWICZOWA: Tak się mówi, ale ty masz pensję 60 złotych reńskich. I oprócz tego masę długów. Kondykt w powietrzu. Z tego we dwoje to nędza. Hanka nie zarobi nic, chyba że będzie u siebie samej sługą... no ale i to... a ty przyzwyczajony do puszczenia pieniędzy swoich i nie swoich. [...] Bądźmy logiczni. Mieszkanie, już jeden pokój z kuchnią 25 do 30 złotych. Na życie guldena, co jest nędzą, ale skoro się kochacie... To już cała pensja. A gdzie reszta?

ZBYSZKO: Będę robił długi.

JULIASIEWICZOWA: Mamcia ogłosi, nikt centa nie da. A rodzice jeszcze żyć mogą i trzydzieści lat. Będziesz nędzarzem, długo, bardzo długo, no ale...

ZBYSZKO: Daj ty mi spokój!

JULIASIEWICZOWA: Boże drogi! Gdyby to można tak życiu powiedzieć, daj mi spokój, ale ono włazi na kark, jak hydra, i zdławi. Zbyszko, popatrz mi w oczy. Ty żałujesz tego, coś zrobił<sup>140</sup>.

I rzeczywiście, Zbyszek żałuje. Bez akceptacji i pomocy rodziny nie ma szans na utrzymanie wygodnego życia. A innego prowadzić nie chce, ostatecznie zrywa więc zaręczyny i zostawia Hankę na pastwę losu. A właściwie nie na pastwę. Matka Zbyszka, pani Aniela Dulcka, daje Hance tysiąc koron w zamian za podpisanie dokumentu, w którym Hanka zrzeka się prawa dochodzenia alimentów na dziecko i zobowiązuje do milczenia na temat jego ojcostwa. Hanka pakuje kuferek i odchodzi z domu Dulckich, w drzwiach robiąc jeszcze obelżywy gest w kierunku wszystkich zebranych.

*Moralność pani Dulskiej* jest nazywana tragifarsą kołtuńską. Gabriela Zapolska poprzez losy bohaterów chciała rozprawić się z mieszczańską dwulicowością, tchórzostwem i wygodnictwem. Dlatego gdy wszystko wraca do mieszczańskiej normy, Mela, młodsza siostra Zbyszka, mówi zrozpaczona, że „tu stało się coś bardzo złego. Jakby kogoś zabili!”, przeczuwając upadek honoru, współczucia i empatii. Gdy jednak spojrzy się na sytuację z perspektywy służącej Hanki, nie wydaje się, by mezalians był dla niej szczególnie korzystny. Pomijając już fakt, że Hanka nie darzyła Zbyszka specjalnym uczuciem, to zdawała sobie sprawę (być może nawet bardziej niż młody panicz), że jej małżeństwo byłoby trudne i szczególnie dla niej pełne upokorzeń. Jak mówiła do swojej matki chrzestnej: „A niech go pokręci z jego żenieniem. Co mi tam po takim ożenku. Ja do tego, czy co? Poniewierajom mną już od wczoraj”. Na uwagę chrzestnej, że zostałaby panią kamieniczną, lekceważąco macha ręką: „To moja rzecz. Ale by mną nikt nie poniewierał. Każdy ma swój honor”. Jej wrogie nastawienie ma sens. Tysiąc koron to bardzo dużo pieniędzy – wyrobница w zakładzie krawieckim w 1904 roku zarabiała nie więcej niż 120 złotych reńskich rocznie (czyli około 240 koron), szwaczka podobnie, między 150 a 250 koron rocznie<sup>141</sup>. Roczna pensja policjanta wynosiła 670 koron<sup>142</sup>. Hanka, pochodząca ze wsi, z murarskiej rodziny, prawdopodobnie nigdy w życiu nie widziała tak dużej kwoty. Dodatkowo miała widoki na inne małżeństwo. Na wsi zaręczona była z *financwachem*, czyli celnikiem. Do miasta przyjechała zarobić na posąg i gospodarstwo, ponieważ obojga nie było stać na małżeństwo. Wracała zaś z równowartością pensji za cztery lata pracy. Z perspektywy Hanki więc analiza zysków i strat wskazywała, że powinna zostawić dom Dulskich, wziąć pieniądze i wyjechać z powrotem na wieś.

A co z ciążą? Tu nieoczekiwane wyjaśnienie oferuje matka chrzestna Hanki, praczka Tadrachowa. Na uwagę o tym, że Hanka musi dowieść, że była cnotliwa przed ślubem, wzrusza ramionami i odpowiada: „Proszę wielmożnej pani, jak się jemu podoba, to chyba nie będzie taki skrupulant. To u państwa takie wymysły”<sup>143</sup>. Hanka w ciąży, z tysiącem koron i narzeczonym celnikiem jest w dużo lepszej sytuacji niż niejedna inna służąca, i stanowi dobrą partię. Mezalians, którego konsekwencji tak bardzo

boi się Zbyszek, nie ma z jej perspektywy żadnego sensu. Co jednak charakterystyczne, wszyscy Dulscy są tak pewni zgody Hanki na ślub (i równocześnie absolutnie przerażeni tą perspektywą), że nikt, łącznie ze Zbyszkim, nie pomyśli o tym, żeby zapytać ją o zdanie.

W związku z rozpowszechnioną kulturą molestowania służących przez panów i paniczów przypadki ciąży wśród służących domowych nie należały do rzadkości. Przed ciążą przestrzegaly czasopisma dla służących, jak „Pracownica Katolicka”, w której straszono czytelniczki, że dziewczyny z powodu „zawodów miłosnych” popełniają samobójstwa. Zawód miłosny był tu eufemizmem na niechcianą ciążę, bo ksiądz, autor artykułu, radził następnie, by iść do kościoła po poradę spowiednika. „W każdym położeniu można znaleźć jakiś sposób pomocy, który sprawę znośniejszą uczyni”<sup>144</sup> – pisano do służących. Wachlarz pomocy przedstawiał się zaś następująco, jak opisała to Cecylia Walewska w *Moich służbach* – można było oddać dziecko na wychowanie na wieś (ale trzeba było łożyć na jego utrzymanie), zostawić w przytułku, czyli tak zwanym domu podrzutków, oddać rodzinie lub starać się żyć w mieście z dzieckiem, zarabiając zwykle jako mamka. Jedna z koleżanek służącej Marcysi, Ceśka, wybrała właśnie tę opcję. Inna, Antka, która zaszła w ciążę nie z paniczem, ale z lokajem z innego domu, chciała znaleźć służbę w mieście z małym dzieckiem. „Tak, ale kto ją przyjmie z bachorem? – pytała Marcysia. – Chyba tylko jaki kawaler, a to przecież grzech iść tak ciągle na zatracenie”<sup>145</sup>. Wiele dziewczyn nie radziło sobie z presją i wrogością, z jakimi się spotykały. Gniew i szyderstwa sąsiadów skupiały się bowiem na matce, a nie na ojcu nieślubnego dziecka. Zupełnym wyjątkiem była postawa Józki, służącej u Lucyny Kotarbińskiej, która przeciwstawiła się społecznemu ostracyzmowi i została matką chrzestną nieślubnego dziecka pokojówki z ich kamienicy. Swojej pracodawczyni opowiadała z oburzeniem, jak zupełnie samotna była matka noworodka: „ta od Ruskich przecież się z nią przyjaźniła, a dzisiaj mówi »ocho, jeszcze czego, akurat w kumy, i z kim, zabrakłoby mi też roboty«, a ta z pierwszego to aż syczała [...] »A pytała się mnie, kiedy się o nie starała, niech i teraz się o mnie nie dopytuje. Widzicie ją, jaka harda!«”<sup>146</sup>. Niegdysiejsze koleżanki pokojówki nie chciały więc mieć z nią nic wspólnego i pomóc, choćby zostając matką

chrzestną (czyli kumą) jej dziecka. Zachowanie Józi było tak wyjątkowe, że Kotarbińska postanowiła je odnotować w swoim dzienniku jako przykład hartu ducha i dobrego serca służącej.

Na ojców, szczególnie jeśli byli to mężczyźni z wyższej klasy społecznej, nie można było liczyć. Jak to ujmował autor artykułu w „Czystości”, czasopiśmie abolicjonistycznym: „Bardzo łagodnie patrzy społeczeństwo na grzechy mężczyzny. Wszak taka biedna szwaczka albo służąca nie jest u nas uważana za członka społeczeństwa”. Nikt nie oczekiwał, że sprawca ciąży ożeni się z dziewczyną z proletariatu. „Dla takiej drobnostki nie będzie on związywać swego życia. A jeżeli młodzieniec zdobył się na rzucenie swej ofierze kilkudziesięciu rubli, mniemał, że już jest najzupełniej z sumieniem w porządku, chociaż on ją wprowadził na pochyłą drogę rozpusty”<sup>147</sup> – konstatował zgryźliwie. Mężczyzna z klasy wyższej nie chciał wiązać się ze służącą w ciąży, ponieważ, jak słusznie zauważała Juliasiewiczowa, oznaczało to dla niego wykluczenie z własnej klasy społecznej i życie na zupełnie innym poziomie niż ten, do którego był przyzwyczajony. Rzadkie przypadki, gdy do takich ślubów dochodziło, potwierdzały tylko regułę. Irena Krzywicka wspominała swojego kuzyna Urbana:

Głupawy Urban, cielőco niemrawy i absolutnie niewyrazisty, nagle dokonał skoku w bok. Przepchany przez ojca przez egzamin maturalny z wielką biedą i przy pomocy wielu łapówek i innych, rozdawanych na prawo i lewo „prezentów”, nagle uciekł z domu w towarzystwie służącej, której zrobił dziecko, i znikł z horyzontu. Zropaczony wuj Albert odnalazł go jakoś i począł pomagać materialnie niedołodze, ale nie uznał nigdy jego żony, która – jak twierdził – zaraziła Urbana syfilisem (jeszcze pytanie, kto kogo)<sup>148</sup>.

„Głupawy Urban” stanowi przeciwieństwo literackiego Zbyszka. I o ile Zbyszek ponosi konsekwencje jedynie emocjonalne (bo pieniądze Hance wypłaca przecież z własnej kieszeni pani Dulaska), to Urban musi stawić czoło nieprzyjemnej rzeczywistości finansowej, co, jak rozumiemy, idzie mu jako „niedołodze” bardzo słabo.

Ojciec Urbana, a wuj Krzywickiej, i tak zachował się jak człowiek postępowy, skoro postanowił wspierać syna finansowo. Nawet mężczyźni szczerze zakochani w swoich partnerkach z miejskiego proletariatu drżeli

przed opinią znajomych z własnej sfery. Michał Römer, żyjąc z Anną, nawet przez chwilę nie rozważał ślubu. Co ciekawe, na początku ich relacji miał nadzieję na to, że Anna zajdzie w ciążę (koniecznie chciał mieć syna), jednak planował jedynie wspierać finansowo kochankę i dziecko. Ten trzydziestodwuletni adwokat, polityk i wykładowca panicznie bał się reakcji własnego ojca i rodziny na wieść o jego związku z byłą pracownicą seksualną. Siostra Marynia domyślała się mniej więcej, w jakiej relacji z Anną jest Michał – przesłała jej nawet swoją używaną suknię, gdy Anna nie miała się w co ubrać. Nigdy jednak nie stanęła z Anną twarzą w twarz. Michał ukrywał związek przed matką z powodu obaw o jej słabe nerwy i przed ojcem – tu z powodów czysto finansowych. W 1912 roku zabrał Annę do Warszawy na pogrzeb dalekiej ciotki. Na dworcu kolejowym spotkali jednak krewnego Römerów, który śledził ich, ciekawy, czy Michał oficjalnie przyjechał do miasta z kobietą z niższej klasy społecznej. Römer, chcąc nie chcąc, musiał urwać rozmowę z kuzynem i na jego oczach pomóc Annie wsiąść do dorożki, a następnie odjechać z nią do hotelu. Po wszystkim Michał zapisywał:

Dla kobiety kochającej i dumnej jak Anna jest to upokorzenie, które się w pewnych momentach równa policzkowi. Niestety, dopóki żyją Rodzice moi, nie mogę w inny sposób stosunku mojego z Anną ułożyć, bo primo byłby to cios zwłaszcza dla Mamy, wobec jej charakteru, poglądów, stanu zdrowia etc. zabójczy, secundo zaś wywołałoby to ze strony całej rodziny mojej i zwłaszcza Papy taką presję na mnie, taki nacisk szalony w dziedzinie najdotkliwszej – materialnej, że niewątpliwie nie tylko na teraz zostałbym całkowicie wyzuty z dochodów, ale i pozbawiony spadku, co byłoby dla naszej z Anną przyszłości szalenie dotkliwym ciosem<sup>149</sup>.

Römer miał świadomość, że dla Anny takie utrzymywanie pozorów jest obraźliwe. Liczył jednak, że miłość pozwoli jej poczekać. Tymczasem kilka tygodni później ktoś (prawdopodobnie kuzyn lub siostrzeniec) doniósł ojcu Michała, że ten pokazuje się na mieście z byłą pracownicą seksualną w charakterze oficjalnej partnerki. Wzburzony Papa napisał do Römera list, na który Michał odpowiedział, wszystkiego się wypierając. Michał tłumaczył sobie pokrętnie, że odpierając zarzuty na temat swojego związku z Anną, który w opinii Papy jest „jawnogrzesznictwem, zgorszeniem dla młodych i lekceważeniem opinii publicznej”, wcale nie kłamie, pisząc:

„moje stosunki z kobietami znajomymi nie mają nic wspólnego z wersją o dziewczynie uratowanej z domu publicznego”. Po pierwsze, musi ratować Annę przed piętnem „uratowanej z domu publicznego”, a po drugie, to, co „opinia publiczna” rozumie pod hasłem „dziewczyna z domu publicznego” nie ma nic wspólnego z prawdziwą Anną, która jest zaprzeczeniem stereotypu prostytutki. Tak naprawdę jednak kłamał ze strachu. Nie wierzył, że zdoła się utrzymać po odcięciu od rodzinnych funduszy.

Miłość do Anny skończyła się tragicznie, jej śmiercią w 1914 roku. Michał Römer przez następne lata pogrążony był w żałobie. Ożenił się po raz kolejny dopiero w 1938 roku, jako mężczyzna prawie sześćdziesięcioletni. Jego drugą żoną została Jadwiga Czepasówna. Römer żył z nią przez siedemnaście lat w nieformalnym związku, na początku którego dziewczyna miała zaledwie piętnaście lat. Do rozwodu z pierwszą żoną (był z nią w separacji już w czasach związku z Anną) i ślubu z Jadwigą popchnęło go ostatecznie to, że Jadwiga zaszła w ciążę. Wcześniej zaś wahał się tak długo, ponieważ Jadzia była nie tylko jego partnerką i kochanką, ale także służącą w jego domu.

## *Majątek, stosunki, wpływy, protekcja*

Bywają wielkie zbrodnie na świecie, ale chyba największą jest zabić miłość. Tyle lat upłynęło, prawie pół wieku; wszystko przeszło: majątek, tytuły, młodość, szczęście...

Sam tylko żal nie przeszedł i pozostał, mówię ci, taki świeży, jakby to było wczoraj<sup>150</sup>.

Tak zwierza się Wokulskiemu prezesowa Zasławska. Sama w młodości związana była ze stryjem Wokulskiego, ale jako że on był ubogim oficerem, a ona arystokratką z zamożnej rodziny, krewną dwóch generałów, nie mogli się pobrać i zostali rozdzieleni. W związku z zawiedzionymi uczuciami prezesowa stara się naprawić dawne błędy dumnej arystokracji i pomaga Wokulskiemu zdobyć Izabelę. Dziadek ordynata, pan Maciej Michorowski, w młodości zakochany i zaręczony z babką Stefcii Rudeckiej, także pragnie odkupić swoje winy. Oboje żałują, że ugięli się pod presją rodziny i społeczeństwa i nie doprowadzili do mezaliansu. W obu przypadkach

jednak ich wysiłki okazują się dramatycznie nieskuteczne – stojąca niżej w hierarchii strona mezalianisu umiera lub przynajmniej uchodzi za zmarłą. Ich losy komunikowały czytelnikowi, że owszem, najważniejsza jest szczerłość uczuć, jednak społeczeństwo nie jest i nigdy nie będzie gotowe na łamanie jego podstawowych zasad.

Prezesowa Zasławska i starszy pan Michorowski z perspektywy lat widzą, że różnice klasowe i finansowe są straszne, gdy osoba, która musi się z nimi mierzyć, jest słaba. „Kto ma majątek, stosunki, wpływy, protekcje, krzykliwych przyjaciół, zapalczywych a niebezpiecznych wielbicieli – tego srogość opinii niewiele dotyka. Kto jest sam, stoi o własnych siłach i żyje w trudnych warunkach, ten ma zawsze wiatr w oczy, a sądy bliźnich przeciw sobie”<sup>151</sup> – pisała w 1903 roku Izabela Moszczeńska o normach społecznych. Nie bez powodu na mezalianse decydowali się zwykle mężczyźni w średnim lub starszym wieku, niezwykle zamożni lub funkcjonujący nieco poza obrębem opinii społecznej, jak artyści czy literaci. Michał Römer, mimo że miał już prawie sześćdziesiąt lat i był wówczas rektorem uniwersytetu w Kownie, bardzo bał się ślubu z Jadwigą, mimo że ją kochał i uważał, że postępuje honorowo. Zapisywał buńczucznie:

Zresztą, co mnie właściwie zależy na tym, jak to przyjmie rodzina. Zawieram to małżeństwo nie dla innych, lecz dla siebie. Mam prawo i wszelkie kwalifikacje do rozporządzenia moim imieniem, któremu przeważnie sam czynem życia mojego nadałem wartość, nie zapożyczając jej wyłącznie od rodziny i jej blasku tradycyjnego. [...] A że jakimś zdegenerowanym histeryczkom w rodzaju Helci Mieczkowskiej albo wielkim paniom przedpotopowych pojęć stanowych, choć serca dobrego, jak Elizka Komorowska, może się to nie podobać, bo Jadzia nie jest z urodzenia z ich sfery albo nie należy do ich kliki towarzysko koteryjnej, albo nie układa się w ich obłudzie – to cóż to mnie może obchodzić<sup>152</sup>.

A jednak nie zaprosił nikogo na ślub, a informację o ożenku rozesłał pocztą. Potem z niepokojem czekał na listy od rodziny i krewnych i skrupulatnie notował, kto i jak ustosunkował się do związku. Ku jego zaskoczeniu wszyscy zareagowali dość pozytywnie lub obojętnie. Kuzynki i siostry cieszyły się, że w końcu zalegalizował siedemnaście lat życia w nieformalnej relacji, koledzy gratulowali potomka w drodze i życzyli mu



syna. Być może więc dramatyczne zakończenia mezaliansów utrwalone w literaturze stanowiły tylko straszak na tych chętnych do przekraczania norm społecznych. A może po prostu chodziło o to, że Michał Römer był zamożnym mężczyzną w średnim wieku.

„Opinia znęca się głównie nad bezbronnymi, a niezmiernie ostrożnie poczyną sobie z tymi, którzy mają jakąkolwiek władzę w rękę. Jeżeli to jest prawdą o mężczyznach, to w wiele wyższym stopniu jeszcze odnosi się do kobiet”<sup>153</sup> – uściślała Moszczeńska w swoim artykule. Kobiety zawsze płaciły wyższą cenę za przekraczanie norm, również małżeńskich. Dlatego też tak niewiele miejsca w ówczesnej literaturze czy prasie poświęca się męskiemu mezaliansowi. Mężczyzna, który żenił się z kobietą postawioną w hierarchii wyżej niż on, po prostu przenosił kobietę do swojej klasy społecznej. Tak jak awansująca mieszcza mogła stać się hrabiną, tak szlachcianka czy arystokratka zostawała zwykłą panią kupcową. Kobiety nie miały siły nabywczej na targu małżeńskim – ich jedynym kapitałem było dziewictwo (i, co przyznawano bardzo niechętnie, posag). Dlatego też jej wybór małżonka był z jednej strony mniej znaczący społecznie, a z drugiej – bardziej znaczący w wymiarze osobistym.

W świecie, w którym norma kulturowa nakazywała kobiecie przede wszystkim wyjść za mąż, decyzja ta wiązała się z wieloma strategicznymi rozważaniami. Małżeństwo mogło dać jej awans społeczny, zapewnić bezpieczeństwo finansowe i otoczyć siatką wsparcia w postaci krewnych i znajomych. Wydawać by się mogło, że mezalians, w którym kobieta wchodziła w wyższą klasę społeczną, był dla niej wielką nagrodą i synonimem sukcesu. Nie było to jednak tak proste. Kobieta, szczególnie z klasy pracującej, wraz z decyzją o mezaliansie ryzykowała, że nie tylko nie uzyska zaplecza rodzinnego męża (bo rodzina odetnie się od nich), ale też, że pozostanie uwięziona w związku ciągłej ekonomicznej zależności i głębokiej nierównowagi. Choć często musiały się na to godzić kobiety z ziemiaństwa, mieszczaństwa czy inteligencji – które nie miały własnych pieniędzy ani sposobów na ich gromadzenie – to paradoksalnie, dla chłopek, szwaczek, służących czy nawet pracownic seksualnych taki układ był ryzykowny. Dla nich trwanie przy pracy zarobkowej, choć ta często była słabo opłacana i generowała problemy, mogło wydawać się

bezpieczniejsze. Oczywiście wraz z upływem czasu szanse na zamążpójście malały – kobieta z klasy wyższej traciła młodość i urodę. Dla kobiety z proletariatu czas również był przeciwnikiem, bo starzenie oznaczało utratę sił i choroby ciała uniemożliwiające pracę. Szwaczki i krawcowe pracujące w źle oświetlonych pomieszczeniach traciły wzrok, a służące cierpiały na przepukliny i zwyrodnienia kręgosłupa od noszenia ciężarów. Ostatecznie decyzję o ślubie przyspieszał lęk – bo najgorszy los czekał starszą, samotną kobietę. Niezależnie od klasy społecznej.

Część IV

Porażka

## Bieda. Muchy, komary i samotne kobiety

Zdarza się niekiedy słyszeć naiwne zapytania dziecięce: po co Bóg stworzył muchy, komary i tym podobne żyjątka, które pozornie żadnego nie przynoszą użytku, a tylko dokuczają ludziom? Na to starsi odpowiadają w kształcie objaśnienia, że: mimo że muchy, komary i tym podobne żyjątka żadnego widocznego nie przynoszą użytku, są przecie potrzebne światu, bo zjadają mniejsze od siebie owady, które by wielką szkodę roślinom lub ludziom wyrządzać mogły<sup>1</sup>.

Tak pisała w 1873 roku Eliza Orzeszkowa, przybliżając czytelnikom działanie łańcucha pokarmowego. Czytelnikom zdziwionym tematem, który postanowiła podjąć emancypantka, Orzeszkowa szybko wyjaśniała w kolejnym akapicie:

Kobiety nieposiadające związków i niepełniące spraw rodzinnych nie zjadają zapewne szkodliwych owadków jak muchy i komary, ale zda się, iż społeczność mniema, że na to chyba są stworzone, aby wchłaniać w siebie pewną ilość tlenu i pewną też dozę kwasu węglanego wydychać, gdyż inaczej mogłaby się zepsuć równowaga gazów, utrzymujących życie roślinne i zwierzęce.

Kobiety samotne potrzebne więc były społeczeństwu w mniej więcej takim samym stopniu jak paprotki trzymane na parapecie. Tylko w odwrotnym celu. Słowa Orzeszkowej to oczywiście ironia, choć odzwierciedlają popularny stosunek do niezamężnych kobiet w drugiej połowie XIX wieku: w najlepszym wypadku pełen pobłażliwej litości, w najgorszym okrutnego szyderstwa.

„Starą panną” określano kobietę, której nie udało się wyjść za mąż do pewnego wieku. Jaki to wiek, nie do końca wiadomo. Józef Chociszewski w poradniku dla „młodzieży płci obojga” zauważał trzeźwo, że „pojęcie starej panny jest nader luźne”<sup>2</sup>, ponieważ odnosi się do relatywnej różnicy

wieku między wolnym mężczyzną a kobietą. I tak dla dwudziestolatka trzydziestoletnia panna miała być już stara, a dla czterdzielatka – w odpowiednim wieku do zamążpójścia. Pocieszał nawet kobiety w okolicach czterdziestki, że „bywały przykłady, że nawet panny już lat czterdzieści liczące znalazły szczęście w związku małżeńskim z wdowcem lub kawalerem, którzy pięćdziesiąt lub więcej lat przeżyli”. „Starość” była tu więc konstruktem społecznym, zaczynała się jednak tuż przed trzydziestym rokiem życia. Teofila Brodowska wyrokowała twardo, że „trzydziesty rok życia jest to pora, w której młodość przemija już prawie bez śladu”<sup>3</sup>, i że każda panna, która do tej pory nie zdołała znaleźć męża, musi szczerze przyznać to sama przed sobą, by uniknąć późniejszej śmieszności. Za widomy znak uznawano objawy starzenia. Kobieta nie mogła już przekonująco występować w roli naiwnego podlotka, gdy „nielitościwe fatum ubierze jej cerę kolorem wonnego papieru du Serail, dolne powieki zmarszczkami, a wierzch głowy ogołoci z gęstych uplotów”<sup>4</sup>. Stąd kobiety o znacznych środkach finansowych pozwalających na liczne zabiegi kosmetyczne czy też te wyglądające bardzo młodo z natury mogły przeciągnąć nieco ten wiek. Przed piętnem staropanieństwa ledwo broniła się też Izabela Łęcka, właśnie dzięki urodzie i pozycji społecznej:

Podczas pewnego balu rzekła do panny Pantarkiewiczówny:

– Nigdy tak dobrze nie bawiłam się w Warszawie jak tego roku.

– Bo jesteś zachwycająca – odpowiedziała krótko panna Pantarkiewiczówna, zasłaniając się wachlarzem, jakby chciała ukryć mimowolne ziewnięcie...

– Panny „w tym wieku” umieją być interesujące – odezwała się na cały głos pani z de Ginsów Upadalska do pani z Fertalskich Wywrotnickiej.

Ruch wachlarza panny Pantarkiewiczówny i słówko pani z de Ginsów Upadalskiej zastanowiły pannę Izabelę. Za dużo miała rozumu, ażeby nie zorientować się w sytuacji, jeszcze tak jaskrawo oświetlonej.

„Cóż to za wiek? – myślała. – Dwadzieścia pięć lat jeszcze nie stanowią »tego wieku«... Co one mówią?...”<sup>5</sup>.

A jednak uwagi znajomych na balu odcisnęły się nawet na jej poczuciu własnej wartości i sprawiły, że zaczęła przychylniej myśleć o małżeństwie. Wszystko po to, by za wszelką cenę nie trafić do grona „panien w tym

wieku”, co oznaczałoby towarzyski ostracyzm. „Społeczność mniemała”, zdaniem Orzeszkowej, że stare panny są społecznie zbędne – istniały jedynie po to, by opowiadać o nich dowcipy. I rzeczywiście, literaci i artyści uważali, że kpienie z kobiety samotnej to takie pójście na łatwiznę, że wielu autorów albo z niego rezygnowało zupełnie, albo przynajmniej czuło obowiązek wytłumaczyć się przed publicznością, dlatego zawieszają sobie poprzeczkę tak nisko. Michał Bałucki, autor *Albumu kandydatek do stanu małżeńskiego* z 1877 roku, przyznawał, że rozpoczyna „szereg fotografii tak zużytymi wypłowiałym wizerunkiem. Któż bowiem nie pisał o starych pannach? Temat to zjeżdżony, jak stara szkapą fjakerską, której nawet niedorostki literackie dosiadają i uczą się na niej jeździć”<sup>6</sup>. Nie powstrzymało go to jednak od roztoczenia przed czytelnikami szerokiej typologii starych panien.

Stare panny stanowić miały obiekt kpin z powodu niedostatków swojego charakteru. Bałucki wyliczał, że „Ruiny Palmiry” to rodzaj starej panny, która lubuje się w pokazywaniu swego cierpienia z powodu utraconej młodości i wielkiej urody. „Pojawienie się jej robi wrażenie konduktu pogrzebowego, wobec którego każda wesołość umiera, śmiech staje się świętokradztwem i anachronizmem, a rozmowa przybiera klasztorny charakter na temat memento mori” – precyzował. Wobec tego „Ruiny Palmiry” nie są lubiane w towarzystwie. Podobnie jak kolejny rodzaj starej panny, czyli „Amazonki” – kobiety, które w związku z zawodem miłosnym w młodości wypowiadają wojnę wszystkim mężczyznom. „Nie ma wady ani zbrodni, o którąby taka amazonka nie posądziła rodu męskiego” – zapewniał Bałucki. „Amazonki” to stare panny, które najczęściej dołączały do ruchu emancypacyjnego, oczywiście z powodu nienawiści do mężczyzn – „z tego rodzaju starych panien rekrutują się emancypantki najrozmaitszych odcieni, począwszy od tych, które cygarem lub obciętymi włosami chcą zatrzeć różnicę płci, po filozofki” decydujące się na wyższe studia uniwersyteckie. Trzeci rodzaj starych panien to „Panny Kochliwe”, które z powodu nadmiernej emocjonalności nie mogły zdecydować się na jednego kandydata i nawet w podeszłym wieku nie rezygnowały z nadziei na zamążpójście. Ten rodzaj starych panien Bałucki, mimo szyderstwa, chyba lubił najbardziej, choćby za to, że dostosowywały się do

tradycyjnego wzorca kobiecości – za wszelką cenę. „Znałem np. jedną, która jeszcze w sześćdziesiątym roku życia kładła pasjansy i kabały na tę intencję, sprawiła sobie nowy garnitur zębów i nie pokazywała się gościom bez kwiatka we włosach i różowych kokard przy sukni – wspominał. – Była jak te niewiasty ewangeliczne, gotowa w każdej chwili na przyjęcie oblubieńca; tylko oblubieniec niecierpiący nie zjawiał się”. Ostatni typ stanowiły „Antyki”, czyli stare panny skostniałe w swoich dziwactwach i samotności – na ogół przesadnie religijne, dręczone wyimaginowanymi chorobami oraz nienadążające za zmieniającymi się czasami, co można było dostrzec (i wyśmiać) w ich staroświeckim, wręcz teatralnie niemodnym ubiorze, fryzurze i manierach.

Typologia Bałuckiego, choć z zamierzenia obliczona na czystą rozrywkę dla mężczyzn, stanowiła dobre odbicie publicznego dyskursu otaczającego stare panny. Już samo to określenie było tak negatywnie nacechowane, że Teofila Brodowska nadała rozdziałowi w swoim poradniku nazwę *Kobiety niezamężne*, tłumacząc to w następujący sposób: „o żadnych dziwactwach i śmiesznościach do tej nazwy przywiązanych mówić nie myślę”<sup>7</sup>. Kobietom niezamężnym przypisywano zestaw wad, na ogół nie czyniąc nawet podziału na typy, a stosując daleko idące uogólnienia. Stare panny miały być sarkastyczne, niesympatyczne, drażliwe i nieprzyjemne dla otoczenia. W powszechnym mniemaniu te wady miały być wynikiem zawodu miłosnego i zazdrości o mężatki. Dramatycznie ujmował to autor zbioru aforyzmów, pisząc, że stare panny „zasiadają na ruinach swych zamków wietrznych, domków karcianych, spiżarni i słomianej strzechy; za nimi dogorywają w dymiących stosach ich poprzednie uczucia i nadzieje, przed nimi rozciągają się płocze i jałowe błonia dozgonnego państwa”<sup>8</sup>. W poradnikach mniej poetyckich można znaleźć informacje, że „stare panny, doznawszy zawodów, stają się często drażliwe, niezadowolone ze świata, zgryźliwe i dlatego się tłumaczy, choć nie uniewinnia, uprzedzenia dla nich”<sup>9</sup>. Brodowska pisała, że ich nieprzyjemne obejście jest zrozumiałe: „niezadowolenie z siebie i całego świata dręczy nieraz i kobietę zamężną, gdy ta w młodości żadnych na osłodę późniejszych lat nie zebrała zasobów”<sup>10</sup>. Wanda Reichsteinowa wspominała, że stare panny są nieszczęśliwe, bo nie zrealizowały ideału, do

którego zostały wychowane, czyli nie zostały matkami i żonami: „W niezgodzie same ze sobą, złorzecząc losowi swemu, nie mając żadnego celu w życiu, nieszczęśliwe te istoty, więcej pożałowania niż potępienia godne, zazdrościły drugim szczęścia rodzinnego, którego same pozbawione były, nie znajdując nic w życiu, coby im mogło szczęście to zastąpić lub życie zapełnić – pisała do czytelniczek w poradniku dla dziewcząt. – Zawiść ich i niechęć objawiały się w najzjadliwszej złośliwości, po której poznać było można stare, nieznośne panny, pragnące zawsze jeszcze uchodzić za młode”<sup>11</sup>.

„Uchodzenie za młode” było największym, większym nawet niż nieprzyjemny charakter, grzechem starych panien. Na rynku matrymonialnym, gdzie każda strona miała przypisane sztywne role, podszywanie się pod kogoś innego groziło sankcjami towarzyskimi. Tak jak wyśmiewano służące chodzące w sukniach po „paniach”, tak samo szadzono z dojrzałych kobiet ubranych jak młode dziewczyny.

„Oprócz wszystkiego, jeszcze jakaś śmieszność przywiązuje się do starych panien – głosił aforyzm przypisywany Ignacemu Kraszewskiemu – wyglądają one w towarzystwie jak suknie dawnego kroju zbutwiałe, choć nie noszone i całe w garderobie”<sup>12</sup>. Niemodny czy staroświecki strój był bardziej do zniesienia niż przesadnie młodzieńczy. „Śmieszność otoczy starą pannę, jeżeli mimo lat podeszłych zachowuje młodości pozory – przestrzegają artykuł w „Domu Polskim” w 1888 roku – gdy stroi się w jasne suknie, w róże, siada w gronie młodych dziewcząt, zaledwie rozkwitłych, i niby jeden z niemi tworzy wieniec; gdy skacze, słodkie robi oczy itd.”<sup>13</sup>. Udawanie młodszej (choć właściwie nie wiadomo, czy chodziło o udawanie, czy po prostu o noszenie adekwatnych, modnych sukien) niektórzy postrzegali jako atak czy próbę zastawienia pułapki. Upodobanie do różowych wstążek (o których wspominał też Bałucki) miało być szczególnie charakterystyczne. „Jeden znajomy mi ladaco utrzymywał, że wszelka stara panna, któraby się pokazała przebraną w te kolory, wydaje mu się niby okrętem w niebezpieczeństwie, który wywiesił sygnał, wzywający na ratunek choćby pierwszego lepszego awanturnika” – donosił autor kolejnego aforyzmu z kolekcji. Przed takimi kusicielkami ostrzegał „Bocian”, chociażby w wierszyku *Panna Lodzia*:



Panna Lodzia prócz uroczych – lic,  
Nad urodę już nie miała – nic.  
Panna Lodzia czarowała – młódź,  
Chcąc małżeńskim się łańcuchem – skuć.  
Panna Salcza grosze miała – zaś,  
Więc się hrabia w niej rozkochał – Staś.  
I choć brzydka jak „Pokraka” – cóż  
Kiedy wyszła za hrabiego – już.  
Panna Lodzia wzdłuż wciąż szuka – wszierz  
I jest jeszcze starą panną – też!...<sup>14</sup>

Noszenie dziewczęcych ubrań i uroda sprawiały, że stara panna mogła zwieść nic niepodejrzewającego adoratora, jeśli udało jej się dobrze zamaskować. O podobnej sytuacji opowiadał czytelniczkom tytułem ostrzeżenia poradnik małżeński, przytaczając historię o tym, „jak poszło pannie Eulalii, która mając znaczny majątek, została starą panną”<sup>15</sup>. Panna Eulalia była bardzo piękna i bogata, ale nadmiernie dumna, dlatego odrzucała kandydatów do ręki. Zanim się obejrzała, miała już trzydzieści sześć lat. Postanowiła więc szukać męża korespondencyjnie. Dalej dysponowała urodą i gotówką wysokości piętnastu tysięcy talarów posagu, więc myślała, że wszystko się uda. Do małżeństwa zgłosił się właściciel folwarku, który jednak przed ślubem zażądał od Eulalii metryki. Kobieta uznała, że poprawi swoje szanse na rynku matrymonialnym i odejmie sobie dziesięć lat, wydrapując scyzorykiem trójkę w dokumentach i wstawiając dwójkę. Niestety niedoszły narzeczony przejrzał jej podstęp i odesłał papiery z podkreślonym wiekiem kandydatki na żonę. Znajomość została zerwana, a „Eulalia została starą panną li z własnej winy”, jak przestrzegali czytelniczki autor poradnika.

Trójcy najgorszych wad staropanieństwa (obok nieprzyjemnego charakteru i absurdalnych strojów) dopełniały w kąśliwych tekstach źle ulokowane uczucia. Tak jak cynizm i niezadowolenie miały wynikać z frustracji porażką na rynku matrymonialnym, tak niezaspokojenie instynktu macierzyńskiego kazało starym pannom rozpieszczać zwierzęta domowe zamiast ludzi. Wanda Reichsteinowa pisała w 1891 roku, że kobiety samotne „wszystko, co w nich jeszcze pozostawało dobrego, jakieś

serdeczniejsze uczucia, przelewały najczęściej na pieski, kotki, papugi, ośmieszając się coraz więcej w oczach publiczności. Owe pieski i kotki miały swoje łóżeczka, pościelenie, a czasem nawet zasiadały z panią do stołu, aby jej zastąpić zupełny brak ludzkiego towarzystwa”<sup>16</sup>. Michał Bałucki z kolei precyzował, że stare panny z rodzaju „Amazonek”, czyli nieprzystępnych, agresywnych emancypantek, kochają swoje pieski najmocniej. Piesek taki miał najczęściej nazywać się zdrobniale, na przykład Amorek, i doświadczać królewskiego traktowania: „wszystkie uczucia wzgardzone przez płęć męską przenosi stara panna na Amorka, obsypuje go swoimi względami, karmi najsmaczniejszymi kąskami, tuli w chwilach wolnych do dziewiczego łona, a czasem nawet, o zgrozo! przypuszcza do łóża”<sup>17</sup> – opisywał czytelnikom. O źródłach szczególnej miłości starych panien do zwierzątek pisała także Eliza Orzeszkowa. Według niej stare panny „pozbawione rodzinnego życia, nie umiając wybrać sobie żadnego celu ani mogąc rozmiłować się w żadnym, czują w sobie samych próżnię, której nie mają czym zapełnić. Więc do młyna duszy starych panien idzie zazdrość i nienawiść, idą ołtarzyki i różańce, grzeszki sąsiadek, pieski, koty i papugi”<sup>18</sup>. Miłość do zwierząt domowych niekoniecznie była zabawna sama w sobie (bo przecież przywiązanie do psów czy kotów cechowało też innych ludzi), jednak u starej panny było interpretowane jako tęsknota za dzieckiem i mężem. Wysztydzano więc nie tylko obdarzanie zwierzęcia uczuciem zarezerwowanym dla ludzi, ale przede wszystkim to, że czułych gestów wobec psów i kotów nie mogły, nawet gdyby chciały, zastąpić czułością wobec dzieci i męża.

W popularnym ujęciu małżeństwo było celem ostatecznym życia kobiety i niedopełnienie tego obowiązku postrzegano jako z jednej strony godną litości porażkę, z drugiej zaś – karę za niedostatki charakteru. Jan Miłkowski pouczał panny w 1867 roku, że „jakakolwiek stworzyła cię natura, choćby piękną, młodą, a nawet bogatą, to przecież stanowisko w świecie mąż tylko zapewnić ci może. Dlaczego pójdzie za mąż jest dla ciebie kwestią żywotną i musi być najgłówniejszą twą myślą od chwili, w której nauczysz się myśleć”<sup>19</sup>. Wiktor Gomulicki trzydzieści lat później także nie spuszczał z tonu, pisząc, że „małżeństwo jest rodzajem mety na torze wyścigowym, u której staje się po skończonym biegu i po

szczęśliwym przebiegu całego szeregu przeszkód”<sup>20</sup>. Winę za samotność nieustannie przypisywano samym kobietom. Panna Eulalia z poradnika Chociszewskiego była zbyt dumna i wybredna. Podobnie jak „Ruiny Palmiry”, gdzie „najpiękniejsze panieńskie budynki obróciły się w ruinę tylko dlatego, że nie chciano do nich puścić na mieszkanie kawalerów nieudekorowanych w dostateczną ilość pałek lub mirtę książęcą”<sup>21</sup>. Inne panny z kolei miały cierpieć samotność, ponieważ w młodości lubiły bawić się męskimi uczuciami – to te, które „pomiały młodzianami starającymi się o ich serce i rękę, przez zalotność”. Takim społeczeństwo nie musiało współczuć, bo były same sobie winne. Na litość liczyć mogły tylko stare panny, które nie wyszły za mąż, bo były biedne lub obdarzone poważnymi defektami ciała i umysłu.

Z porażki matrymonialnej surowiej rozliczano kobiety niż mężczyzn. Owszem, pojawiały się teksty satyryczne naśmiewające się ze starych kawalerów, jednak równie często podkreślano, że starzy kawalerowie są dobrymi doradcami rodziny, oddanymi wujkami i kuzynami, służą pomocą w codziennym życiu, a także, z racji lepszej kondycji finansowej niż żonaci mężczyźni, pożyczają rodzinie pieniądze<sup>22</sup>. Charakterystyczne, że Bałucki, wydając *Album kandydatek do stanu małżeńskiego*, postanowił nadać satyrycznej publikacji podtytuł *Z notat starego kawalera*. Książkę otwierał fikcyjny wstęp Marka Kochliwskiego, „weterana kawalerii”, który przyznawał, że „sam nie wygrał żadnej stawki na tej loterii [małżeńskiej] i dziś solo extracto pędzi starokawalerskie życie zależne od łaski i fantazji stróżki starej Wojciechowej, która mu ziółka gotuje i kataplazmy odgrzewa”. Czytelnik odnosił jednak wrażenie, że żarty Kochliwskiego są raczej dobrodusze i że starokawalerskie życie nie jest ostatecznie wcale takie złe.

Samotny mężczyzna nie budził tak negatywnych uczuć jak samotna kobieta. Po pierwsze dlatego, że od kobiety, jako jednostki o słabszej pozycji społecznej i ekonomicznej, silniej oczekiwano dostosowania się do obowiązującego wzoru kulturowego. Po drugie, ponieważ w normie społecznej mężczyźni przewidziano jeszcze jakieś inne role, które mógł wypełnić, poza założeniem rodziny. Samotny mężczyzna mógł poświęcić się zarabianiu pieniędzy, polityce, sztuce, działalności patriotycznej lub

naukowej. Gdzie indziej upatrywano też powodów jego samotności. Jako że mężczyzna miał siłę sprawczą, rzadko tłumaczono jego sytuację czynnikami losowymi, takimi jak brak urody czy majątku. Uważano raczej, że mężczyzna nie żeni się, ponieważ taka jest jego osobista decyzja. Wśród powszechnych przyczyn wymieniano zaś czynniki ekonomiczne i niedostatek kobiet nadających się na dobrą żonę.

W kręgach ziemiaństwa, miejskiej inteligencji i burżuazji oczekiwano, że mężczyzna utrzyma żonę i rodzinę ze swojej pracy. Niechęć mężczyzn do ślubu (lub wręcz niemożność zawarcia sakramentalnego związku przed osiągnięciem wieku średniego) wynikała z tego, że zarabiał zbyt mało, by utrzymać żonę i dzieci. Dziewczeta wychodziły więc za mąż młodo, niezależnie od klasy społecznej, natomiast mężczyźni dużo później. Według rosyjskiego spisu powszechnego w Królestwie Polskim z 1897 roku 15 procent dziewcząt w wieku między 17 a 19 lat miało mężów, a żonatych było tylko 2 procent chłopców. 67 procent kobiet w wieku 20–29 lat było zamężnych, a w tej samej grupie wiekowej tylko 46 procent mężczyzn miało żony. Stan cywilny wyrównywał się dopiero po 30 roku życia. W grupie wiekowej 30–39 żonatych było 90 procent mężczyzn i ponad 80 procent kobiet. W późniejszym okresie odsetek zamężnych kobiet zaczynał spadać, a rosnąć odsetek wdów – starsi mężowie umierali wcześniej niż ich młode żony<sup>23</sup>.

W 1888 roku w „Kurierze Codziennym” autor artykułu *Ot, dlaczego się nie żenią* wyjaśniał, że „człowiek nie posiadający majątku i żyjący tylko z pracy, przyzwyczajony do wygodnego i przyjemnego życia, zaledwie w wyjątkowych razach może się zdecydować pojąć za żonę pannę ubogą”, ponieważ „nie czuje w sobie dość odpowiedzialności za jej przyszłość”<sup>24</sup>. Nad tym stanem rzeczy ubolewali komentatorzy życia społecznego, ale także politycy i lekarze. Ci ostatni szczególnie upatrywali w tym zjawisku przyczyn popularności płatnych usług seksualnych. W końcu mężczyźni, których nie było stać na żonę z własnej (wyższej) klasy społecznej, w stanie kawalerskim dalej pragnęli utrzymywać stosunki seksualne, co sprawiało, że „musieli przeto korzystać od 10 do 20 lat z prostytucji”<sup>25</sup>, jak donosił w 1907 roku niemiecki lekarz Alfred Blaschko. Wtórował mu warszawski wenerolog, doktor Franciszek Giedroyć, pisząc, że gdy się spojrzy na liczbę

kawalerów w wieku produkcyjnym w Warszawie, „otrzymamy całą sumę ludzi żądnych zaspokojenia popędu płciowego, a nie mogących inaczej go zadowolić, jak tylko na drodze nieprawej”<sup>26</sup>.

Kobiety z klas posiadających nie były w stanie pomóc finansowo mężom i nie miały nic do zaoferowania w małżeństwie. Józef Chociszewski strofował panny: „Brak gospodarności i oszczędności sprawia także, że niejedno urocze dziewczę za mąż nie idzie. Cóż z tego, że panienka dostanie kilka tysięcy talarów, jeżeli wydaje zbyt wiele pieniędzy na stroje, a o praniu, gotowaniu, szyciu nie ma pojęcia?”<sup>27</sup>. Co więcej, kobiety nie chciały też pomagać w pracy w rodzinnym interesie. „Powszechny to błąd między naszymi Polkami, że mają wstręt do pomagania mężom w ich zawodach – przekonywał dalej autor poradnika. – Kupiec i rzemieślnik mianowicie potrzebuje koniecznie, by żona mu pomagała”. A młode dziewczęta nie były na to przygotowane. W takim więc razie decyzja mężczyźni o pozostaniu kawalerami była zrozumiała. Pojęcie za żonę niepraktycznej, zarozumiałej, rozpieszczonej czy chciwej panny było na pewno gorszą alternatywą niż życie w pojedynkę. Wobec trudności życiowych taką decyzję uznawano za odpowiedzialną i honorową, a przynajmniej praktyczną. Jak retorycznie pytał autor artykułu w „Kurierze Codziennym”: „Proszę mi wskazać człowieka, któryby [...] mógł zakochać się do tego stopnia, by zrzec się wszystkiego, wycofać się ze stosunków i używania zdobyczy cywilizacji, a żyć tylko miłością?”<sup>28</sup>.

W 1898 roku „Dziennik Polski” rozpisał ankietę na temat starokawalerstwa. Zachęcił czytelników, by w listach opowiadali, dlaczego się nie ożenili. Odpowiedzi przyszło kilkadziesiąt, a redakcja drukowała je sukcesywnie w ciągu letnich miesięcy. Czytelnicy pochodzili z klasy średniej, jak sami to najczęściej określali, pracowali zwykle na posadach urzędniczych, na poczcie, w kancelariach prawniczych, w administracji rządowej. Ich odpowiedzi to festiwal zgorzknienia i pretensji, kierowanych głównie pod adresem kobiet. Kawalerowie na pytanie „dlaczego się nie ożenili”<sup>29</sup> odpowiadają prawie jednogłośnie – bo kobiety są chciwe, interesowne i nie rozumieją powagi instytucji małżeństwa.

Część była dumna ze swojego stanu: „Koledzy moi z ławy szkolnej są już staruszkami pochylonymi, a każdy uskarża się na kłopoty, brak pieniędzy i t.d, a ja majątkowo nie jestem sytuowany świetnie, pracuję ciężko, mimo to jednak świetny humor nie opuszcza mnie nigdy” – pisał jeden pięćdziesięciolatek. „Szukałem długo i znalazłem wiele młodych i ładnych [kobiet], ale wszystkie były tak małoduszne, płaskie, pełne kaprysów i zachcianek, o pojęciach kompletnie spaczonych i tak dalece jedynym celem w ich życiu i marzeniem było: wyjść za mąż *d'tout priz*, że wolałem zostać starym kawalerem i zostałem” – to kolejny. Inni mieli poczucie, że zostali oszukani przez życie, które nie doceniło ich wartości. „Dziś zbliża się szybkim krokiem czterdziątka i oto widzę, jak chwasty: osiki, lipy, a zwłaszcza »korniki« bujnie się naokoło mnie rozmnożyły, a ja dąb – zostałem bez towarzyszkii życia” – pisał kawaler, poziomem rozgoryczenia dorównując najbardziej stereotypowym starym pannom z dowcipów.

Starzy kawalerowie niekoniecznie mieli negatywne podejście do samego małżeństwa. Jedni pisali, że nie chcą się żenić w ogóle, ponieważ związek formalny oznacza koniec miłości, zobowiązania finansowe i więzienie dla wzajemnie nie lubiących się ludzi. Inni, że małżeństwo ma swoje zalety, jednak nie są w stanie znaleźć sobie żony, z którą mogłoby się udać – bo są za biedni, a kobiety zbyt materialistycznie nastawione. Jeden korespondent diagnozował wprost: „Kobiety są winne. My, w okresie wiosny naszego życia, mamy nadmiar uczucia – one mają nadmiar kaprysów i wyobraźni. Najpoetyczniejszej panience imponuje majątek, a perspektywa posiadania brylantów, błyszczenia na wielkim świecie, imponowania tłumom – oszałamia ją. Mężczyzna gotów jest cały świat rzucić do stóp kochanej kobiety”. Inny bał się podjąć zobowiązanie, ponieważ wyobrażał sobie, że żona to zdecydowanie zbyt wielka odpowiedzialność finansowa, na którą nie jest gotowy: „Pośrednik pokątnego kredytu mówił mi: Jak długo człowiek jest kawaler, to dobrze, może mieć długi jak *Stabsficier*. Przyjdzie czas, taki kawaler się ożeni i wszystko będzie w porządku. Pośrednik śmiał się, ale mnie wcale nie było wesoło. W rozżalonej fantazji ujrzałem obraz licytacji, zarządzanej przez moich wierzycieli:

Funkcjonariusze [komornika] stemplują nie tylko moje meble, książki, obrazy, ale i żonę”.

Pieniądze stanowiły tu podwójną przeszkodę. Z jednej strony, rodzice kandydatek wymagali od kawalerów wysokich pensji i gotowości utrzymania żony na odpowiednim poziomie. Z drugiej, mężczyźni nie chcieli dokładać do wyżywienia niepracującej żony, nie otrzymując – jak deklarowali w listach – nic w zamian. „Kobiety szukają trzpiota, umiającego się bawić, drugie bogatego, który by zaspokajał wszystkie ich kaprysy i mógł traktować je jak cieplarniane kwiaty, inne oglądają się za głupcem, za którego plecami mogłyby mieć zupełną swobodę, jeszcze inne pragną niemożliwości, sądząc nie wiadomo na jakiej podstawie, że są środowiskiem całego świata i że do ich stópek powinno się chylić wszystko” – pisał jeden, szczególnie rozżalony autor. Ostatecznie z prawie trzydziestu listów wynikało, że stan kawalerski opłaca się dużo bardziej niż małżeństwo, w każdym obszarze życia. „Nie mnie już brać na konkurenta – ogłaszał z satysfakcją jeden z respondentów. – Posiwałem, trochę stetryczałem, hoduję z wielką miłością pieska i czuję się z tego zadowolonym”. On jednak, jak i inni autorzy listów, mógł hodować pieska i tetryczkę w spokoju. Piętno starego kawalera nie było bowiem tak silne, jak społeczne piętno starej panny.

Od kobiet oczekiwano, że poddadzą się społecznej presji małżeńskiej. „Poddadzą się” jest w tym przypadku odpowiednim określeniem, ponieważ kobiety nie wychodziły z inicjatywą małżeńską. To mężczyzna decydował się na oświadczyzny – to on także utrzymywał następnie rodzinę. I w tej sytuacji, jak przy posagach, kobiety rozliczano bardzo surowo z decyzji, która nie do końca od nich zależała. Wobec presji bezlitosnej opinii publicznej na temat staropanieństwa społeczeństwo zdawało się mówić kobietom, że nie wychodzą za mąż z własnej winy, ponieważ są nieatrakcyjne i zbyt kosztowne. Kiedy to mężczyźni nie chcieli się żenić, przyczyna była oczywista.

Mężczyźni nie robili tego, ponieważ kobiety były nieatrakcyjne i zbyt kosztowne.

## *Wszystkie panny są ubogie*

Stare panny miały też swoich obrońców. Nawet artykuły prasowe odwołujące się do stereotypu zdziwaczalej, samotnej kobiety podkreślały, że społeczna pogarda przypada im w udziale nieuczciwie. Autorka tekstu *Kilka uwag o starych pannach* zauważała, że sytuacja starej panny jest często nie do pozazdroszczenia. Nawet jeśli kobieta nie wyszła za mąż z powodu własnej decyzji, często ta decyzja podejmowana była ze zrozumiałych pobudek – ponieważ ona nie kochała mężczyzny, który jej się oświadczył, ponieważ nie mogła wyjść za swojego ukochanego albo w wyniku przykrych przeżyć nie zaufała żadnemu mężczyźnie na tyle, by zostać jego żoną. Nawet jeśli odrzuciła niejedne oświadczenia i w końcu została sama z powodu wybredności – „wina poniekąd spada i na tych, którzy ją wychowali”<sup>30</sup>. Ludzie powinni też przestać się wyśmiewać z ekscentrycznego ubrania czy manier starej panny. „Nie śmiejmy się z tego, lecz pobłazajmy!” – namawiała autorka, ponieważ stara panna często czuje się młodo i tak jest traktowana w rodzinie, nic więc dziwnego, że „nie zastanawia się nad sobą i zawsze jakąś przyszłą cieszy się nadzieją”.

Starych panien broniła też Teofila Brodowska. Pisała wprost, że niesprawiedliwa pogarda wobec kobiet samotnych jest wynikiem szczególnie szkodliwych stereotypów i tego, że opinia publiczna specjalnie zauważa w nich cechy, które miewają różne kobiety, nie tylko samotne: „Humor cierpki spotykamy przecież i w młodych osobach – wyliczała – niezadowolenie z siebie i całego świata dręczy nieraz i kobietę zamężną, [...] niejednej matce rodziny zarzucamy wiele również błahych upodobań [...], wreszcie niestosowne do wieku ubranie i obejście – alboż nas często nie razi w mężatkach?”<sup>31</sup>. „Dajmy więc pokój tym biednym ułomnym istotom, którym czasem brak serca, a czasem rozumu” – podsumowywała Brodowska i zmieniała temat. Nawet Wanda Reichsteinowa, która poświęciła całą stronę swojego poradnika na wyliczanie szczególnie zabawnych przyzwyczajień starych panien, pisała do czytelniczek: „Biedne cioteczki! Ileż się, kochane czytelniczki, sama z nich nieraz uśmiełam, przyznaję się do tej winy”<sup>32</sup>. Takie zachowanie było



nagane, bo świadczyło o braku empatii, a poza tym w nowoczesnych czasach (poradnik pochodzi z 1891 roku) przesady przestawały mieć znaczenie, bo stare panny stawały się zupełnie poważnymi członkiniami społeczeństwa i „wyśmiewać się z nich byłoby grzechem wedle mego zdania”. Anonimowa autorka książki *Pod sekretem. Wycieczka w świat kobiety* z 1873 roku pisała: „Przypatrując się dziwactwu starej panny, zapytajmy, co jej dało życie, pozbawiając ją rodzinnego życia i szczęścia, aby ją od tych dziwactw uchronić. Czym ona jest i co ma? Ekonomiczne i społeczne jej położenie daje się najdokładniej zerem określić”<sup>33</sup>.

Rzeczywistość materialna kobiet niezamężnych faktycznie nie pobudzała do radości. Brak pieniędzy stanowił tu jednocześnie powód i najgorsze przekleństwo staropanieństwa. Wobec konsensusu, że mężczyzna z klasy wyższej nie powinien żenić się z biedną panną, bo to zła inwestycja finansowa, jako częsty powód niezawinionej samotności wymieniano właśnie biedę. „A ileż to dziewcząt pozostało pannami, za którymi i wdzięki, i wszelkie mówiły zalety rozumu i serca, charakter i wykształcenie. I dlaczego – pytała autorka artykułu w „Domu Polskim”. – Dla prostej, niestety! – i najzwyczajniejszej przyczyny: bo nie miały ani wioski, ani listów zastawnych; nie miały posagu żadnego, żadnej sukcesji na widoku”<sup>34</sup>. Autorka *Pod sekretem* podsumowywała to jeszcze dosadniej: „Wszystkie panny są ubogie – cała różnica pomiędzy nimi zależy na tem, że jedne są ubogie de iure i de facto, drugie tylko de facto, albowiem mają posagi”<sup>35</sup>.

Panna niezamożna nie ma pieniędzy ani żadnych sposobów na ich zarobienie. Panna z posagiem jest w rzeczywistości równie biedna, jak ta bez, ponieważ nie może rozporządzać przypisanymi do jej wyprawy środkami – jedyny sposób spieniężenia posagu to wymiana na jak najlepszej jakości męża. Jeśli nie wyjdzie za mąż, nie skorzysta z posagu w ogóle, ponieważ zostanie on rozdysponowany pomiędzy resztę rodzeństwa. Jej kapitał, nawet jedynie nominalny, zostanie rozproszony bez jej zgody i udziału. „Posag zapewnia jej na starość rezydencję – dodawała autorka *Pod sekretem* – to jest mieszkanie i jedzenie bezpłatne, w domu bliższej lub dalszej rodziny; wegetowanie bezcelowe i bezmyślne: zaspokojenie jej potrzeb jest zarazem łaską rodziny i jej ciężarem”. Takie

zabezpieczenie podstawowych potrzeb staje jednak na drodze między starą panną a jakąkolwiek pracą zawodową, „którą w życiu panny uważa się za najsmutniejszą ostateczność”. Dlatego autorka wzywała na koniec rozdziału: „pracujmy, siostry, bośmy bardzo ubogie i niewiele umiemy, a staropanieństwo to bankructwo!”. Bankructwo zarówno w sensie psychologicznym, ale też jak najbardziej w sensie materialnym.

Szczególnie dużo miejsca starym pannom poświęciła w 1873 roku Eliza Orzeszkowa w *Kilka słów o kobietach*. Ten feministyczny manifest skupia się w większości na rozważaniach na temat ograniczeń kobiet na polu zawodowym. Dominuje w nim jedna myśl przewodnia – kobieta bogata (pisarka ma na myśli kobietę z wyższej klasy społecznej) potrzebuje pracy, by stać się odpowiedzialną, racjonalną i dojrzałą emocjonalnie jednostką. Dotychczas kobietom przyznawano – na mocy dobrotliwego seksizmu – uprzywilejowaną pozycję w rodzinie czy w kręgu towarzyskim, jednocześnie jej rzekomą delikatnością usprawiedliwiając zakaz dostępu do większości funkcji społecznych. „Ona bóstwo i monarchini w salonie, poza nim uznana jest niedołącznym dzieckiem”<sup>36</sup> – podsumowuje autorka. Jednocześnie praca zawodowa w tym projekcie ma być dla kobiet rodzajem polisy ubezpieczeniowej, zabezpieczeniem przed głodem, nędzą i upokorzeniem. Orzeszkowa w kilku miejscach opisuje plastycznie życie kobiety samotnej, która nic nie umie – samotnej czy to z powodu staropanieństwa, czy też wdowieństwa:

Gdy przekonania jej są chwiejne, myśl w ciasnych zamkniętych szrankach, wola słaba, umysł i ręce niezdolne do pracy, a serce nieprzysposobione do usiłowania celu żadnego, wtedy ugnie się ona pod trudami i cierpieniami samotnego życia i będzie szukać pociechy w różańcach lub obmowach, albo bezmyślnie i po dziecinnemu rozmiłuje się w ptakach i zwierzętach, albo pogoni za tym, co świat grzechem nazywa, a jeśli grzech ten niedostępny dla niej... rzucać pocznie kamieniami na tych, którzy grzeszą, z rozpacz, że sama grzeszyć nie może.

Przywary charakteru i zachowania kobiet samotnych brały się według Orzeszkowej w skali makro z wychowania, które zabraniało kobietom szukać potwierdzenia własnej wartości poza rodziną i małżeństwem. Bardziej bezpośrednio jednak pogłębiała je najstraszniejsza konsekwencja samotności, czyli bieda. Kobieta, która nie umiała i nie mogła pracować,

pozbawiona oparcia w mężczyźnie, była skazana na ciąg upiornych upokorzeń życiowych:

Tymczasem dla kobiety zubożałej, a nie umiejącej pracować, dostaje się zwykle w udziale gorzki chleb jałmużny. U bogatych krewnych albo uczciwszych od innych przyjaciół dawnych znajduje przytułek chłodny, bo u serc cudzych, i miejsce przy stole, które zdaje się wołać do niej: tyś tu obca! I wtedy najczęściej dramat jej wewnętrzny objawia się na zewnątrz w formie komicznej: dwie ostateczności się schodzą, z tragedii bierze początek rozśmieszająca publiczność komedia.

Ludzie śmieją się, ponieważ zubożała stara panna przyjmuje urażone pozy, rozpamiętuje dawną świetność i śledzi prawdziwe i wyimaginowane szyderstwa i obelgi. „Nieszczęście gubi poważną szatę swoją, najsurowsza rzecz na ziemi: cierpienie, występuje na pole komizmu w śmiesznych łachmankach arlekina” – podsumowywała pisarka.

Figura ubogiej krewnej, starej panny mieszkającej kątem u rodziny, była dobrze rozpoznana w dziewiętnastowiecznej obyczajowości i literaturze, zarówno polskiej, jak i europejskiej. Złośliwą, niebezpieczną i mściwą ubogą krewną była kuzynka Bietka, tytułowa bohaterka powieści Honoré de Balzaca; szara i cicha dewotka, znosząca cierpliwie wszelkie upokorzenia to Klotylda z *Buddenbrooków* Thomasa Manna. Postacią nieco żalosaną, ale też traktowaną dość życzliwie przez rodzinę, była kuzynka Florentyna, panna do towarzystwa Izabeli Łęckiej, „wysoka, czarno ubrana, nieśmiała”. Florentyna uczestniczyła w spotkaniach towarzyskich Łęckich i Izabela traktowała ją jak powierniczkę, kogoś pomiędzy zaufaną pokojówką a starszą ciotką. Florentyna zdawała sobie jednak sprawę z własnej niewesołej sytuacji, przede wszystkim – z braku stabilności życiowej, na którą nie miała wpływu. Jej los zależał od majątku Łęckich i od kaprysów towarzystwa. Podsumowując niespodziewaną popularność Wokulskiego na salonach arystokracji, stwierdzała: „Bohater sezonu. W zimie był takim pan Kazimierz, a przed kilkunastu laty nawet... ja – dodała cicho”<sup>37</sup>.

Niechęć do starych panien na rezydencji u rodziny była spowodowana właśnie bezradnością tych kobiet połączoną z całkowitą beczynnością. W wersji satyrycznej obie te przywary diagnozowano zwykle jako

konsekwencję charakteru. Wanda Reichsteinowa pisała do młodych dziewczyn tonem przestrogi w 1891 roku:

Do niedawna jeszcze ubogie kuzynki były niejako typowymi postaciami, znajdującymi się nieomal w każdym obywatelskim domu, gdzie odgrywały przeważnie rolę kozłów ofiarnych lub mebli wyrzuconych pod strych. Smutna to była dola zaiste! Stan najopłakańszy, jaki można sobie wyobrazić. Niedołężne te istoty wołały cierpieć prześladowania, nędzę niekiedy, niż zstępując ze swego parnasu, ukazać się światu w roli samodzielnej, na stanowisku płatnem nauczycielki, rządczyni lub panny sklepowej<sup>38</sup>.

Stare panny znajdowały się w smutnej sytuacji życiowej, ponieważ nie chciały „zejść z parnasu”, czyli iść do pracy i tym samym potwierdzić swoją deklasację, co byłoby kolejnym upokorzeniem po staropanieństwie. Inne autorki zwracały jednak uwagę, że bezczynność kobiet samotnych i wynikająca z niej bieda nie jest konsekwencją dumy czy wrodzonej gnuśności starych panien, tylko systemowym efektem wychowania dziewcząt w klasie wyższej. „Nie mieć udziału w interesach społeczeństwa, nie mając zastępcy, być pozbawioną głosu nawet we własnych sprawach, nie mieć nawet we własnym rozumie kompetentnego doradcy – to los, jaki społeczeństwo daje tylko kobiecie samotnej”<sup>39</sup> – pisała autorka *Pod sekretem*, wzywając do empatii, współczucia i przede wszystkim zmiany społecznej. Zdaniem obrońców kobiet samotnych przed piętnem starej panny kobiety ochronić mogło tylko odpowiednie przygotowanie do pracy zawodowej. Przydatność społeczeństwu i rodzinie stanowić miała zarówno uzasadnienie samotności, jak i być bronią przed „najopłakańszym stanem” biedy i upokorzenia.

### *Przydatność, czyli nie kapitalizuj wszystkiego w jednostce*

Masz i posazek – kilka tysięcy,  
Lecz fama niestety głosi,  
Że przez rok strwonić potrafisz więcej,  
Niż twój posazek wynosi.  
Cóż wtenczas poczniesz, moja niebogo,

Gdy się brak grosza okaże  
I mąż oświadczy z miną złowrogą,  
Że was trądają lichwiarze?  
Słońce ci szkodzi, hałas cię trwoży  
I nieraz pytasz, dlaczego  
Zagadką dla cię cały świat boży,  
Choć cię uczono wszystkiego. [...]  
Abyś żyć mogła, trzeba ci kroci,  
Adoracyjnej parady,  
I licznej służby, i starej cioci,  
Doktora i *gardemalady*!  
Nie chodź więc za mąż, piękna dzierlatko,  
Bo się zmarnujesz, aniele,  
Gdyż nie potrafisz być dobrą matką,  
Choć cię uczono tak wiele<sup>40</sup>.

Radził w ten sposób w 1875 roku młodym pannom w „Kurierze Świątecznym” Włodzimierz Płaskowski. Wiersz wyśmiewał bezradność dziewcząt, którym wpaja się delikatne maniery i wysublimowany gust, a nie przygotowuje do życia codziennego. Tekst ma mizoginiczny wydźwięk, ponieważ autor zrzuca odpowiedzialność za takie wychowanie na samą pannę (a przecież skierowany powinien być chyba do jej rodziców i nauczycieli), jednak na podobne absurdy wychowania młodych kobiet zwracali też uwagę autorzy o postępowych poglądach. Orzeszkowa pisała z rozdrażnieniem, że jest rzeczą przyjętą, jakoby kobiety należało chronić od „zwierząt, owadów, burzy, grzmotów, ciemności, umarłych, przechylania się powozu z boku na bok w czasie podróży i rozmaitych podobnych rzeczy”<sup>41</sup>, ponieważ są delikatne z natury, co sprawia, że całe ich wychowanie jest w istocie hodowaniem dziwactw i zachęcaniem do bezczynności. Większości kobiecych cierpień dałoby się zapobiec – pisała Orzeszkowa – gdyby dziewczynki z klas wyższych uczone były, jak zarabiać na własne utrzymanie i jak przydawać się społeczeństwu w roli innej niż matka i żona. Czasopisma takie jak „Dobra Gospodyni”, „Kłosa” czy „Kronika Rodzinna” szeroko krytykowały sposób wychowania dziewcząt, który tworzył w efekcie nieprzydatne społecznie jednostki<sup>42</sup>.

Krytyka systemu edukacji i wychowania dziewcząt z klas wyższych stanowiła też istotny punkt programu emancypacyjnego. Staropanieństwo miało być jednocześnie konsekwencją takiego wychowania i karą za nie. Lekiem – gospodarność, czyli przydatność, odmieniana w dyskusji przez wszystkie przypadki.

„Przydatność” ujmowano jako parasol bezpieczeństwa otwierany zarówno nad dziewczętami, którym nie udało się wyjść za mąż, jak i tymi, które wybrały z jakiegoś powodu źle. Autorka *Pod sekretem* przekonywała, że staropanieństwo to bankructwo i że wszystkie panny są ubogie. Używając jednak języka ekonomicznego, krach na giełdzie mogło przynieść również małżeństwo. „Przydatność” miała ochronić przed złą inwestycją. Jeszcze w 1929 roku Janina Strzelecka na łamach „Bluszczu” przekonywała dziewczęta do nauki i zdobywania zawodu przed małżeństwem w następujący sposób:

tylko kobieta-człowiek może sobie zdawać sprawę z ważności swoich obowiązków, rozumie, co to znaczy odpowiedzialność. Coraz bardziej kształcimy w córkach naszych poczucie samodzielności, aby je uchronić przed niedolą tych, co kapitalizując wszystko w jednostce, bankrutami zostały<sup>43</sup>.

„Przydatność” pomagała nie tylko w polepszeniu własnego losu na poziomie ekonomicznym. Pozwalała też odzyskać choć część szacunku społecznego. Określone dla kobiet z klasy wyższej role społeczne żony i matki sprawiały, że w oczach postronnych jej staropanieństwo mogło być usprawiedliwione jedynie, gdy w zamian za to oddała swoje życie sprawie. Jak to ujmuje Anita Napierała: „jeśli była zaangażowana w działalność edukacyjną, wychowawczą, bądź w jakiś inny sposób służyła społeczeństwu, jej stan zyskiwał nie tyle aprobatę, co usprawiedliwienie”<sup>44</sup>. Wanda Reichsteinowa sugerowała, że nowoczesne kobiety samotne mogą spełniać się w miłosiernych uczynkach wobec innych, „bynajmniej ani dla swojej przyjemności, ani dla dogadzania zwierzętom”<sup>45</sup>. Autorka *Pod sekretem* zaś dodawała, że odpowiednim zajęciem dla takiej starej panny na rezydencji u krewnych mogłoby być odpłatne wychowywanie i uczenie małych domowników, czyli spełnianie funkcji bony czy guwernantki, tylko z pierwszeństwem przed zatrudnianą, obcą kobietą. Przydatność starych

panien z klasy wyższej musiała zawsze jednak odnosić się do innych. W kategorii powołania rozpatrywano poświęcenie się nauczycielstwu, działalności patriotyczno-dobroczynej, pielęgniarstwu (a na przełomie wieków również studiom, szczególnie medycznym) albo wybór życia zakonnego<sup>46</sup>.

Niekoniecznie chodziło o zarabianie pieniędzy, a nawet mogło to być postrzegane negatywnie, jak dowodziły czytelniczki „Dobrej Gospodyni” w 1901 roku. W gazecie ukazała się seria listów w odpowiedzi na artykuł *Stara panna*, z którego wynikało, że duża liczba starych panien bierze się stąd, że młode dziewczyny idą do pracy, mimo że nie muszą, i zajmują miejsca mężczyznom. „Znam córki adwokatów przysięgłych z praktyką, pełniące obowiązki buchalterów i korespondentów – pisała J. R. – córki zamożnych kupców, które dla nie wyjścia z wprawy i zapełnienia czasu rugują w domach obcych korepetytorów i nauczycielki muzyki”<sup>47</sup>. Zabierają w ten sposób pracę starym pannom (to znaczy tym, które nie mają pieniędzy i muszą żyć na łasce rodziny) oraz mężczyznom, którzy następnie nie chcą się żenić. Tym samym powoduje to wzrost liczby starych panien, które znowu nie mają gdzie pracować. Młode panny powinny więc iść do pracy tylko wtedy, kiedy zmusza je do tego bieda, a resztę miejsc zostawić mężczyznom.

Czytelniczki poczuły się oburzone. Pisały, że u progu nowoczesnego XX wieku kobiety muszą mieć pracę, by nie szukać męża i nie polegać na nim we wszystkim. Podawały przykłady sfer, w których stara panna może być przydatna w inny sposób, by nie zasłużyć na pogardę społeczeństwa. „Tyle jest nędzy na świecie, którą złagodzić można, że słuszne oburzenie może wywoływać stara panna egoistka, żyjąca tylko dla siebie – pisała czytelniczka Michalina – nie tak wiele potrzeba, aby stać się miłą i kochaną w rodzinie, wystarczy trochę dobrych chęci, wyrozumiałości, pobłażania i tego, co nasz wieszcz zaleca: »Miej serce i patrzaj w serce«”<sup>48</sup>. Inne czytelniczki były bardziej konkretne: „Weźmy np. instytucje filantropijne, kierują nimi i opiekują się przeważnie stare panny. Ileż znajduje się u nas ochronek, przytułków dla niedołączonych starców, tych ludzi niezdatnych do żadnej pracy [...], stare panny swoją obecnością osładzają im niedolę”<sup>49</sup> –

zauważała I. S. Albo inny przykład: „stara panna pozbawiona rodziny, stwarza ją sobie, przyjąwszy na wychowanie kilkoro dzieci lub całą nawet rodzinę. Przytula ją do siebie, ceną heroicznym nawet poświęceń zdrowia i pracy zdobywa dla niej dobrobyt” – to z kolei panna Melania, która pisała też, że ma nadzieję, że nadchodzą czasy, „kiedy samotna panna, aby mieć stanowisko towarzyskie i swobodę ruchów, niekoniecznie będzie musiała zostać kanoniczką”. Będzie jednak musiała nadal wykazywać poświęcenie godne reguły zakonnej.

Poświęcenie dla innych musiało być jednak całkowite i szczere. Michał Bałucki z przekąsem pisał o „Ruinach Palmiry”: „bywa, że taka ruina kultywuje dobre uczynki, opiekuje się szkółkami, odwiedza szpitale, należy do różnych towarzystw dobroczynnych”<sup>50</sup> – ale to wszystko na nic, bo – „spełnia te wszystkie czynności na pół sennie jak lunatyczka”, ponieważ jej głównym celem jest obnoszenie po świecie swojej tragedii, czyli staropanieństwa. Poświęcenie edukacji, które miało być tylko przystankiem na drodze do znalezienia męża, również nie zasługiwało na aprobatę, ponieważ było nieszczerze. Lucia, uczennica Stefcia Rudeckiej w *Trędownatej*, z lekceważeniem opisywała swoją poprzednią nauczycielkę, pannę Klarę:

Waldy nienawidził panny Klary, a ona się w nim kochała. Panna Klara to już zupełnie stara panna, ale w pretensjach. Jak tylko Waldy przyjechał, fryzowała włosy i pudrowała się, aż na suknię puder opadał. Waldy ją ogromnie wyśmiewał. Razu jednego na obiad przyszła upudrowana niemożliwie i opowiadała, że zwiedzałyśmy młyn turbinowy. Waldy, wówczas czegoś zły, rzekł bez wahania: „Znać to na pani”. „Dlaczego?” – spytała. „Bo pani cała w mące”. Wtedy gniewała się na niego przez tydzień.

Stefcia wzruszyła ramionami, pomagając Luci składać książki i kajety, i myślała o smutnej doli nauczycielki, która w dodatku jest starą panną. O pannie Klarze słyszała już wiele rzeczy; kpili sobie z niej wszyscy, ile chcieli<sup>51</sup>.

Stefcia zastanawiała się ponuro, czy z niej też będą się śmiać, „choć nie jest starą panną” – w domyśle, jeszcze nie jest, ponieważ po zawodzie miłosnym wydawało jej się, że tylko to ją czeka. Była jednak piękna i bardzo młoda, więc przynajmniej to nieszczęście zostało jej oszczędzone. System społeczno-ekonomiczny, który sprawiał, że kobiety samotne stawały się bezbronne i bezradne, kazał im dla zachowania resztek godności



ukrywać swoją słabość pod pozorem obojętności. Choć znalezienie męża (czyli źródła utrzymania) rozwiązałyby ich problemy, nie powinny, jak panna Klara, dawać tego do zrozumienia swoim zachowaniem. Stefcia nie mogła być obiektem kpin, ponieważ nie popadła w desperację napędzaną lękiem o przyszłość.

## *Doktor szuka żony*

W styczniu 1900 roku do jednego z krakowskich czasopism nadszedł list od pewnego lekarza. Doktor ten, czerpiąc inspirację z czasopism matrymonialnych, postanowił poszukać żony w prasie. Mężczyzna, w wieku lat trzydziestu dwóch, prowadził praktykę lekarską w mieście prowincjonalnym, niezbyt oddalonym od Krakowa. Od jakiegoś czasu poszukiwał żony, jednak w małym gronie prowincjonalnej inteligencji nie mógł trafić na kobietę odpowiadającą jego wymaganiom. Wymagania te określał sam jako skromne. Nie zależało mu na posagu, nie wymagał szlacheckiego pochodzenia ani nadzwyczajnej urody. Bliższa lektura jego listu zawiera odpowiedź, dlaczego do tej pory nie mógł znaleźć odpowiedniej partnerki. Resztę wymagań streścił w punktach. Jeśli chodzi o żonę, to:

Pragnę stanowczo, aby:

Nie umiała paplać żadnym obcym językiem, bo to rodzi tylko fumy i chętkę czytania głupich romansów;

Nie śpiewała, nie malowała i nie grała na fortepianie, bo to strata czasu;

Nie chodziła na sztuki Ibsena, Maeterlincka, Przybyszewskiego itp., bo panny takie za wiele wiedzą i mają przewrócone w głowie;

Nie nosiła gorsetu ani ciasnych bucików, bo nie chcę kaleki;

Nie miała przyprawianych włosów, sprawianych zębów itp.;

Nie rozprawiała o polityce i emancypacji kobiet, bo to dowodzi zarozumiałości;

Nie należała do żadnych komitetów [...];

Nie chodziła na bale publiczne i ślizgawki, bo z tego tylko flirty i romanse;

Nie uczęszczała na wykłady uniwersyteckie.

Natomiast życzę sobie, aby przyszła moja żona, oprócz młodości, zdrowia, miłej twarzy, ładnych rączek, proporcjonalnej budowy ciała, szlachetnej duszy, pobożności,

pracowitości:

Umiała poprawnie pisać po polsku [...];

Umiała niezłe gotować, szyć i w ogóle prowadzić gospodarstwo domowe;

Kochała poezję, lubiła przyrodę i dzieła sztuki<sup>52</sup>.

Doktor wydawał się sceptyczny co do możliwości znalezienia takiej partnerki (w domyśle – bo jest zbyt idealna), zapraszał jednak redakcję czasopisma na wesele i pierwsze chrzciny, jeśli pomoże mu poznać w Krakowie odpowiednią kandydatkę.

Do redakcji posypały się natychmiast listy. W ciągu trzech miesięcy redagujący rubrykę Kazimierz Bartoszewicz, pod pseudonimem „Obserwator”, otrzymał ich prawie osiemdziesiąt. Większość z nich zawierała oferty matrymonialne bądź zapewnienia, że autor listu zna taką pannę i może podać imię, nazwisko i adres do wiadomości prowincjonalnego doktora. Część odpowiedzi napisały jednak kobiety o umiarkowanym entuzjazmie wobec propozycji i w ogóle, szerzej, instytucji małżeństwa. Jedne młodsze, inne zupełnie już starsze, wszystkie stanu wolnego. Redakcja szybko określiła je wspólnym mianem „panien uniwersyteckich”, a także „złośliwych starych panien”.

Listy kipiały wściekłością i frustracją wobec fatalnej sytuacji kobiet samotnych. Do doktora pisała na przykład panna Maria Zenobia Krachelska. Jej list także składał się z podpunktów, tym razem z wymaganiami wobec doktora:

4. Co do szkodliwości gorsetu – zgadzam się z doktorem najzupełniej, ale w zamian niechże on nie używa żelazek do wąsów itp. obrzydliwości;

5. Przyprawianych włosów ani sztucznych zębów i on mieć nie powinien. [...]

6. Na polityce się nie znam, a emancypacja kobiet mnie nie obchodzi. Żądam też, aby i on nie zajmował się tymi kwestiami. W ogóle powinien zajmować się tylko temi, które i mnie obchodzą. [...]

10. Nie wolno mu grać w bilard, szachy, karty itp. czas musi spędzać ze mną w domu lub u naszych wspólnych znajomych, bo skoro mnie po moich zajęciach taka powinna wystarczać rozrywka, to czemużby nie miała wystarczyć i jemu?

Prócz tego mój mąż powinien być rozumny, miły, zdrowy, delikatny w obejściu, a nadto pełen energii i stanowczości, abym się czuła pewna i bezpieczna u jego boku i pod jego opieką. Powinien także jeść wszystko, co ugotuję, bez grymasów, na obiad się nie spóźniać, drzemek poobiednich nie urządzać, awantur i krzyków o byle co nie wyprawiać, do służby i gospodarstwa się nie wtrącać, pieniędzy poza domem nie

trwonić, być mi wiernym, nie być zazdrosnym, dzieci nasze w przyszłości wychowywać razem ze mną i w ogóle nie zostawiać na moje słabsze barki większych ciężarów życiowych. Nie wolno mu także nosić cwikiera [okularów], bo to razi mój zmysł estetyczny, palić cygar ani papierosów, a nade wszystko fajki, bo to dużo kosztuje, szkodzi zdrowiu, a od dymu niszczą się firanki, jeździć na rowerze, pojedynkować się i w ogóle narażać życie w jakikolwiek sposób, bo w razie przypuszczalnej jego śmierci cóżby się ze mną stało i szczęściem naszych dzieci? Nie pijać żadnych trunków [...], a wreszcie dobrze by było, gdyby nie miał żadnej rodziny, bo już przysłowie mówi: „matka mężowa, głowa wężowa”.

Prześmiewczy list panny Krachelskiej redaktor skomentował, że jest to „istota tak złośliwa, że prawie posądzałbym ją o staropanieństwo” (słusznie). A przecież panna Maria odpowiedziała doktorowi tylko listą podobnego rodzaju wymagań, jak te stawiane przez niego; wymagań, które, jeśli wierzyć zapewnieniom „Obserwatora”, wywołały lawinę zgłoszeń chętnych potencjalnych narzeczonych, prześcigających się w wyliczaniu swoich rozlicznych zalet. Krachelska listem, który brzmiał równie absurdalnie, jak ten mężczyzny, zwróciła uwagę na fakt rzadko podnoszony w innych źródłach, choćby nawet najbardziej postępowych. Od kobiet wymagano, by spełniały wszelkie oczekiwania mężczyzn i ciągle potwierdzały swoją wartość matrymonialną, od mężczyzn – nie. A przez to stan małżeński niekoniecznie był tak przyjemny, jak wmawiały to pannom poradniki i czasopisma.

Inne korespondentki również wyrażały swój gniew. Pewna starsza kobieta, wychowana w majątku ziemskim na kresach i od niedawna zamieszkała w Krakowie, pisała:

Krewny mój, urzędnik w małym miasteczku, przy mnie surowo skarcił żonę, że wyszła na miasto nie wyciśnięta i nieumalowana; bo cóż ludzie powiedzą, że jego żona ubiera się jak prosta mieszczka. Słyszałam na własne uszy, jak nauczyciel ludowy, wiecznie skrzywiony jak środa na piątek i uskarżający się na biedę, czynił wymówki swojej żonie, że nie umie znaleźć się w salonie, paplać po francusku i grać na fortepianie, i zakończył temi słowami: „tyś prawdziwa dziewczka od bydła, nic więcej!”. [...] Holo, panowie! Cóż sobie myślicie? Każdy z was, od najniższej do najwyższej sfery, żyje nad stan i wymaga tego od żony, bo pragnie świat przekonać, że ożenił się z dobrze wychowaną panną.

Pisała też panna Jadwiga z Krakowa:

Ależ wy, panowie, jesteście niewdzięczni, nawet słów oburzenia mi brakuje. Toż wy nie umiecie ocenić tych istot pełnych poświęcenia – panien. Czy wy wiecie, co to kosztuje: skakać na balowej sali z uśmiechem na twarzy, z tą ciągłą troską, żeby ładnie wyglądać i z tą obawą niezostania starą panną – dodawszy do tego, gdy jest się mocno zasznurowaną i w ciasnych bucikach; co znaczy silić się nieraz na wesołość, dowcipy, dysputy, a czasem pozować na naiwną, gdy się nią nie jest – a oto wszystko dlatego, żeby się wam podobać. A wy? [...] Nie ma się czemu dziwić – panny muszą udawać, bo to konkurencja, to walka o byt – o mężów.

Ani starsza panna z kresów, ani młodsza panna Jadwiga nie miały żadnego majątku, dlatego tym bardziej bolały je niewspółmierne wymagania stawiane kobietom. Czuły, że odrzuciwszy je, zostały starymi pannami, lecz są jednocześnie wierne sobie, ale też narażone na ogromne koszty społeczne. Inaczej, gdyby miały pieniądze. Odrzucenie tej niesprawiedliwej umowy ogłaszała także „Panna Dzisiejsza”, posiadająca spory posag. Pisała wprost, że jako kobieta z pieniędzmi nie musi godzić się na ślub z pierwszym lepszym kandydatem, i w związku z tym obiecała sobie, że przekaże go tylko w ręce człowieka, który będzie ją szanował:

Główną podstawą mojego wychowania było wysoko rozwinięte poczucie godności własnej, jednym słowem szlachetna, wcale nie fałszywa ambicja. I gdyby nie majątek, jaki przezorni rodzice złożyli nie omieszkali, dominujące to uczucie skazałoby mnie na życie samotne bez rodzinnego ogniska.

Zdawała sobie sprawę, że jest w stanie wiele zaoferować potencjalnemu małżonkowi. Dlatego też następnie podawała listę wymagań wobec przyszłego męża równie dokładną i kategoryczną, jak lista doktora i prześmiewcza lista panny Krachelskiej. Jeśli zaś nie znajdzie podobnego kandydata (na co zdawała się nie liczyć), „Panna Dzisiejsza” planowała zostać do końca życia starą panną. Nie bała się, ponieważ pieniądze broniły ją przed pogardą innych.

W klasach wyższych, a szczególnie w mieszczaństwie, kobiety stawały przed niemożliwymi do spełnienia wymaganiami. Miały eksponować ciągłą przydatność, rozumianą jako posiadanie wachlarza cech potrzebnych do pracy zarobkowej, ale nie pracować, jeśli absolutnie nie będą musiały. Jednocześnie mężczyźni narzekający na brak atrakcyjnych i finansowo opłacalnych żon chcieli jednak za ich pośrednictwem potwierdzić swoją

przynależność do klasy wyższej – a to znaczy, że żony te miały praktykować pociągającą kobiecość w wydaniu próżniaczym. Nic dziwnego, że list doktora z prowincji wywołał gwałtowną odpowiedź kobiet, które odrzucały ze złością taką umowę. I w większości godziły się na status starej panny oraz wiążące się z tym kpiny i pogardę.

Do doktora pisały również kobiety z nieco innych środowisk. Jedna, podpisująca się „Parafianka”, zachęcała, by rozejrzał się na prowincji i na wsi, wśród córek ziemian i drobnej szlachty:

Jeżeli tam wstąpić zechcesz, ja pierwsza pomogę ci w wyszukaniu dozgonnej towarzyski [...], a ponieważ wiem z góry, jakie postawi warunki, przytoczę ci je tu:

Żeby był człowiekiem religijnym, ale broń Boże dewotem; [...]

Żeby posiadał gruntowne wykształcenie;

Żeby nie chełpił się swoim urodzeniem, bo to dowód zarozumiałości;

Żeby całymi dniami i wieczorami nie grywał w preferansa i taroka, bo to niepotrzebna strata czasu i pieniędzy;

Żeby nie jadał w restauracjach, bo wtedy żona, choćby umiała, zapomni dobrze gotować;

Żeby nie był brzydszy od diabła.

Widzisz, Szanowny Obserwatorze, warunki to bardzo skromne, a jednak...

Zawieszała głos „Parafianka”. Skromne, a jednak trudne do spełnienia.

Pisała też kobieta o pseudonimie „Pracownica”. Ta wydawała się znudzona całą dyskusją, a pisała krótko, ponieważ była „znużona po całym dniu pracy”. Jak wynika z listu, pracowała w zawodzie wykwalifikowanym, być może w zakładzie rzemieślniczym, pracowni krawieckiej czy w introligatorni. Zwracała uwagę, że gdyby doktor spojrzął na kobiety pracujące (czyli te, które poszły za radą nabywania przydatności jako obrony przed staropanieństwem), mógłby znaleźć tam bez trudu kobiety praktyczne, o pragmatycznym podejściu do życia. Co więcej, „Pracownica” obstawiała, że doktor wiele takich mijał codziennie na ulicy. Nic z tego w każdym razie: „Były to jednak szare ptaszęta, niedominujące urodą, nie strojne – dziewczęta pracy, chociaż z pewnością nie pozbawione inteligencji, prawdziwego serca, a może i nawet wyższego wykształcenia”. Przydatność nie była jednak lekiem na wszystko, przynajmniej w klasie wyższej.

Korespondencja samotnych kobiet z redakcją czasopisma i prowincjonalnym doktorem na pozór potwierdza stereotyp, że stare panny były sfrustrowane i zgryźliwe – a przynajmniej taki ton przeważa w większości listów. Analiza treści wskazuje jednakże na kluczową różnicę. Jadwiga, Dzisiejsza, Maria i Pracownica nie złościły się dlatego, że tęskniły za małżeństwem. Wprost przeciwnie, z listów wynika, że głównym powodem wściekłości respondentek jest fakt, że małżeństwa, w które je wpychano, nie spełniały nawet najskromniejszych oczekiwań pań.

## Wolność. Śmierć starej panny

### *Życie po cichu i w samotności*

Zależność od innych – nie tylko w przypadku starych pańien, ale w ogóle kobiet niepracujących – dostrzegały szczególnie kobiety z proletariatu. Marcysia, bohaterka *Moich służb*, opisywała panie, które całe dni spędzały w lęku przed gniewem męża, od którego były zależne ekonomicznie. Sytuację pracodawczyń Marcysia podsumowywała z pewnym zadowoleniem wobec własnego stanu:

Nieraz sobie myślę, że źle być panią. Cóż z tego, że pan pracuje, a pani, jak chce, może sobie oknem powygłądać, kiedy ona w gorszej niewoli od sługi. Słudze źle, to sobie pójdzie, a pani musi siedzieć przy panu, jak ją raz wziął. Dużo jej z tego, że nie chodzi do żadnego biura, ani też, że nie musi sama zmywać podłóg?<sup>53</sup>

Współczucie nie znaczyło jednak, że służące nie wykorzystywały sytuacji. Marcysia opowiadała z zazdrością, że jej koleżanka Ceśka pracuje u trzech samotnych kobiet – dwóch wdów i jednej starej panny. Kobiety nie potrzebują pomocy, bo są we trzy i lubią same gotować i sprzątać, jednak muszą zatrudniać służącą, ponieważ ta dodaje im prestiżu. Zachowują się jak stare panny z karykatury – są zręдлиwe, głośne i bardzo łase na komplementy. Mimo że cały czas dokuczają młodej służącej, „Ceśka nic sobie z tego nie robi. Pocałuje pannę Weronikę w rękę, nazwie ją »panieneczką« i już sobie może wyjść choćby na cały wieczór”<sup>54</sup> – relacjonowała Marcysia. Stara panna, mile połączona w oczywisty sposób nieprawdziwym komplementem, pozwalała służącej na wszystko.

A Marcysia, Ceśka i ich koleżanki skwapliwie wykorzystywały słabość tych kobiet z klasy wyższej do własnych celów.

Marie Sansgêne, gdańska służąca, również wyśmiewała stare panny. Jej sarkastyczne uwagi mają jednak inny charakter niż opisy Bałuckiego i podobnych satyryków z jego klasy społecznej. Marie widziała w starych pannach ciężycielki, które własne niepowodzenia życiowe odbijają sobie na służących domowych. Szczególnie nienawidziła siostry jednego pracodawcy, przez którą o mało nie straciła życia.

Marie przyjęła posadę w mieszkaniu pana Maxa, mniej więcej trzydziestoletniego mężczyzny pracującego w banku, który mieszkał razem ze swoją siostrą Emilią, starą panną w wieku lat czterdziestu pięciu. Kobieta, w opisie służącej, posiadała wszystkie karykaturalne wady właściwe jej stanowi cywilnemu. Była bardzo skąpa. Na początku zatrudnienia obiady gotowała Marie, jednak pani stwierdziła szybko, że nie może wydawać na nie tyle pieniędzy, i sama próbowała gotować dla siebie i brata. „Od tego momentu potrawy stały się prawie niejadalne – komentowała Marie – na przykład za trzydzieści fenigów stara panna kupowała funt udźca baraniego, zamiast masła dokładała do tego kiepskiego mięsa amerykański smalec, nie używała też słoniny ani śmietany”<sup>55</sup>. Jedzenie było niesmaczne i wydawane w bardzo małych ilościach, tak więc doprowadzona do ostateczności Marie zgłosiła na policję, że jest w pracy głodzona, i wtedy panna Emilia musiała poprawić jej wyżywienie.

Kobieta była też niezwykle zazdrosna o brata i dręczyła Marie, pilnując, czy nie uwodzi przypadkiem samotnego mężczyzny. Urządzała służącej nagłe kontrole w sypialni, śledziła ją i strofowała bez ustanku. Podobnie niesympatycznie zachowywała się wobec brata, obrażając się na kilka dni, gdy tylko spóźnił się na obiad, i krzycząc, gdy nie chciał dostosować się do jej poleceń. Zachowanie panny Emilii było wynikiem wrodzonego wścibstwa, ale też, jak diagnozowała wściekła Marie, staropanieństwa:

Czy wszystkie stare panny, które są samotne, muszą być niemile tylko dlatego, że nie znalazły męża? Po tym wszystkim, co sama przeżyłam i widziałam, trudno mi w to nie wierzyć. Nie ma reguły bez wyjątku, ale większość z nich jest zazdrosna, zimna i surowa wobec swojej służby, a także skąpa tam, gdzie nie jest to wskazane. Uważam,



że służąca, która pracuje u zamężnej pani, znajduje się w o wiele lepszych rękach, bo taka pani żywi przynajmniej matczyne uczucia, których brakuje starym, zapiekłym w gniewie pannom.

Zwierzała się więc czytelnikom, powtarzając diagnozy podawane do znudzenia w satyrycznych tekstach dla klasy wyższej. Panna Emilia była więc złośliwa, skąpa i zgryźliwa. Kolejna niezamężna pracodawczyni Marie, by dopełnić katalogu stereotypowych cech starej panny, nadmiernie przejmowała się swoim wyglądem i była kokietką. Zazdrościła Marie długich, pięknych warkoczy, ponieważ sama łysiała i musiała ratować się sztucznymi lokami. Próbowwała nawet zmusić służącą, by obcięła włosy, ta jednak odmówiła, mówiąc, że jest na służbie, „a nie w klasztorze ani w więzieniu”. Jej flirty naraziły Marie na areszt, ponieważ do późnych godzin nocnych przesiadywała w mieszkaniu „przyjaciela domu”. Jak przystało na pannę, na wizytę brała ze sobą służącą, która jednak musiała czekać pod domem na ulicy, aż pracodawczyni skończy spotkanie i da się odprowadzić do domu. Pewnej nocy (już po północy) stojącą samotnie pod domem służącą zaczepił strażnik miejski, który mógł taką dziewczynę zabrać do aresztu, podejrzewając ją o pracę seksualną. Wobec takiego obrotu sprawy Marie porzuciła posterunek pod drzwiami i wróciła do domu, a niedługo potem wymówiła pracę u starej panny.

Panna Emilia była jednak gorsza. Służąca, mając już dość głodzenia, wyzwisk i szykanowania, w końcu postanowiła odejść. Spakowała się i stanęła na klatce schodowej, na szczycie schodów prowadzących z mieszkania na podwórze. W tym momencie panna Emilia otworzyła z całym impetem drzwi, chcąc zrzucić obładowaną tobołkami służącą na dół. Marie uskokczyła i krzyknęła: „a teraz chce mnie jeszcze pani zrzucić ze schodów i przetrącić mi kark?!”. Panna Emilia kiwnęła głową, na co Marie wtargnęła z powrotem do mieszkania i dopadła swoją prześladowczynię w pokoju. Miała już podobno rzucić się na nią z pięściami, „kiedy jednak widziałam, że zbladła i cała się trzęsie, puściłam wolno tę żalosną postać i dałam jej czas, by uciekła do swojego pokoju i zamknęła go za sobą na klucz”.

Marie ostatecznie zwolniła się, nie robiąc krzywdy pannie Emilii. Bronią służącej w wojnie z pracodawczynią było jej poczucie własnej wartości.

Marie była głęboko przekonana o swojej sile i urodzie, poza tym ogromną satysfakcję dawała jej, podobnie jak Marcysi, związana z pracą niezależność. Dlatego też podkreślała bardzo wyraźnie, że w przeciwieństwie do znienawidzonej panny Emilii, ona sama jest wolna. Przytacza też w swoim pamiętniku kłótnię pana Maxa z siostrą:

Jeśli się nie zmienisz, to będę musiał jak najprędzej się ożenić. A przecież tak dobrze to wszystko obmyśliłem i jako twój jedyny brat chciałbym się troszczyć o ciebie jeszcze przez kilka lat; nie zapominaj, że jesteśmy biednymi dziećmi kapitana. Lecz skoro tak, to muszę rozejrzeć się za bogatymi córami tego kraju, a ty będziesz znowu musiała żyć po cichu i w samotności. [...] Mogę ci więc jedynie powiedzieć, uspokójże się, bo zamieniasz życie każdego z nas w piekło!

Stare panny zależne były od mężczyzn w sposób podwójny – nie tylko dlatego, że same nie zarabiały, ale także ponieważ nie zawarły kontraktu małżeńskiego, który zobowiązywałby partnera do utrzymywania ich. Przez to wegetowały na łasce osób, które prawnie nie musiały się nimi opiekować. Dla kobiet z proletariatu, których przetrwanie zależało od pracy ich własnych rąk, taki rodzaj zależności był z jednej strony zdumiewający, z drugiej zaś – dawał złośliwą satysfakcję, że ich własna sytuacja, choć jest trudna, to jednak nie beznadziejna. Marie w końcu nie pobiła panny Emilii za usiłowanie morderstwa. Wystarczającą karą było to, że jej brat spełnił w końcu swą groźbę, o czym służąca wspomina na końcu rozdziału:

Wiem tylko, że jej brat też nie mógł dłużej z nią wytrzymać i w te pędy się ożenił. Została przez jakiś czas u młodej pary, ale musiała opuścić dom, bo wkrótce szwagierka miała jej po dziurki w nosie.

Marie zaś mogła cieszyć się wolnością.

### *Słabe ptaki padają na mrozie*

Niektórym komentatorom życia społecznego wydawało się, że przedstawione wyżej problemy nie istnieją w klasie robotniczej. Tam żona nie była takim obciążeniem finansowym dla męża jak w klasach

posiadających, ponieważ sama dokładała się do domowego budżetu. Skoro „przydatność” miała chronić przed staropanieństwem, wydawać by się mogło, że kobiety z klasy robotniczej powinny wychodzić za mąż bez problemu, a w razie samotności zapracować na swoje utrzymanie na przyzwoitym poziomie. Wyobrażenia klasy wyższej niekoniecznie pokrywały się jednak z rzeczywistością.

Specyfika różnych grup zawodowych miała tu oczywiście znaczenie. Właściwie wszystkie służące domowe (w spisie z 1897 roku w Królestwie Polskim 99,5 procent<sup>56</sup>) były pannami. Wynikało to z różnych czynników. Według spisów powszechnych z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku z dużych miast zaborów rosyjskiego i austriackiego ponad połowa służących domowych miała mniej niż dwadzieścia cztery lata, a 20 procent służących mniej niż dziewiętnaście lat<sup>57</sup>. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku praca na służbie wiązała się z mieszkaniem u pracodawcy, a koszt wyżywienia i czynsz były wliczone w pensje pracownic. Służące nie wychodziły za mąż, gdy pracowały, ponieważ ślub wykluczałby je z zatrudnienia. Wraz ze zmianą stanu cywilnego zmieniały więc zawód albo przechodziły na utrzymanie męża. Nie oznacza to jednak, że ta grupa zawodowa składała się po prostu z bardzo młodych kobiet pracujących w oczekiwaniu na męża. Połowa służących domowych miała powyżej dwudziestu pięciu lat. Powyżej czterdziestki – około 20 procent. Kobiety te pełniły na ogół bardziej odpowiedzialne funkcje, jak gospodyni czy kucharka, a nie zwykła służąca do wszystkiego, która musiała wykonywać najcięższe prace fizyczne. Wieloletnie zatrudnienie pozwalało na gromadzenie nowych umiejętności, łączyło się też z lepiej płatnym zajęciem – szczególnie poszukiwane były dobrze gotujące kucharki. Czasopisma dla służących informowały też o przyznawaniu nagród finansowych dla służących pracujących przez całe dekady dla jednej rodziny. W 1901 roku „Przyjaciel Sług” podawał przykład dwóch służących pod nagłówkiem *Wzorowe sługi*. Otóż we wsi Ebbs w Tyrolu służyła pięćdziesiąt pięć lat bez przerwy Anna Anfinger, w momencie powstawania reportażu licząca lat osiemdziesiąt jeden. Za wieloletnią służbę otrzymała 100 koron nagrody „z gabinetu cesarza Franciszka Józefa”. Z kolei w sanktuarium maryjnym Einsiedeln 30 grudnia 1900 roku odbył się

pogrzeb Weroniki Hausler, służącej w jednym domu pięćdziesiąt siedem lat, aż do śmierci<sup>58</sup>. Czasopismo prowadziło też rubrykę, do której panie mogły wysyłać listy pochwalne dla uhonorowania swoich długoletnich pracowników domowych:

Niniejszym poświadczam, że Ewa Łacianka urodzona w Pilczy Górzyczej, powiat Dąbrowa, pozostaje u mnie w obowiązku jako pokojówka od 1-go stycznia 1890 roku, t.j. przez dziesięć lat i jedenaście miesięcy, i przez cały ten czas zachowywała się wiernie, moralnie, pilnie uczęszczała do kościoła i odpowiadała pod każdym względem swoim obowiązkom. Antonina Schubert<sup>59</sup>.

Niniejszym poświadczam, że Rozalia Grygiel rodem z Zembrzyc, od listopada 1893 roku pozostaje w moim domu w obowiązku jako kucharka. Odznacza się pilnością, pracowitością, wiernością, przywiązaniem, moralnością i pobożnością – w ogóle takimi przymiotami, jakie w obecnych czasach rzadko się napotyka, dlatego sumiennie poświadczyc mogę, że ją więcej za przyjaciela niż za sługę uważamy. Marya i Gustaw Grunerowie.

Oczywiście Anna, Weronika, Ewa i Rozalia nie miały mężów.

Służące domowe stanowiły najliczniejszą grupę samotnych kobiet. W innych zawodach fizycznych można było odnaleźć nieco więcej kobiet zamężnych, choć zawsze były one w zdecydowanej mniejszości. Wśród kobiet pracujących w handlu czy w usługach (a więc wśród panien sklepowych, ekspedientek, kelnerek, barmanek, pracownic hoteli) było około 10–15 procent mężatek. Stosunkowo najwięcej kobiet zamężnych pracowało w fabrykach i zakładach rzemieślniczych – nawet 25 procent zatrudnionych było po ślubie. W przemyśle kobiety stanowiły nawet połowę załogi – zwykle w miastach z bardzo rozwiniętym przemysłem włókienniczym, takich jak Łódź, Warszawa czy Żyrardów. Fabryki, szczególnie w miastach powstałych wokół jednego zakładu, jak Żyrardów, obudowane były infrastrukturą umożliwiającą pracę całym rodzinom – powstawały żłobki przyfabryczne, szpitale, szkoły, mieszkania robotnicze. A jednak, jak wiadomo z rozdziału o kompetencjach pani domu, praca zamężnych proletariuszek nie była tak doceniana, jak wydawało się to komentatorom z klasy wyższej.

Wobec niskiego statusu kobiety w rodzinie robotniczej i niskiego statusu jej pracy, zarówno u pracodawcy, jak i w domu, trudno się dziwić, że wiele

wybierało staropanieństwo także z powodów społecznych. Mieszkanie w dużym mieście oferującym kobietom z proletariatu wiele możliwości zatrudnienia zrównywało szanse przetrwania kobietom samotnym (nie tylko niezamężnym, ale także pozbawionym wsparcia rodziny) i tym na utrzymaniu męża. Służąca, szwaczka czy robotnica mogła postrzegać małżeństwo jako nieopłacalną transakcję – dołożenie obowiązków rodzinnych przy nikłym wzroście statusu i być może obniżeniu zarobków. Jak pisała Sophie Drew, angielska mleczarka, w odpowiedzi na dziennikarskie pytanie, dlaczego została starą panną:

Ponieważ jest więcej na tym świecie kobiet niż mężczyzn, nie wszystkie możemy znaleźć męża. Nie myślcie jednak, że mnie to martwi. Teraz jestem mleczarką. Gdybym wyszła za mąż, musiałabym być żoną, matką, pielęgniarką, gospodynią, pokojówką, szwaczką, praczką, mleczarką i pomywaczką jednocześnie<sup>60</sup>.

Odpowiedź sześćdziesięciodwuletniej mleczarki nie jest tylko ładnie wyglądającym w prasie bon motem. Lucyna Kotarbińska przez całe swoje życie, jak niemal wszystkie kobiety z jej klasy społecznej, zatrudniała służące domowe. Poświęciła im pamiętnik o tytule *Moje domownice*, gdzie szczegółowo opisywała koleje losu wszystkich służących – Janinki, Michalinki, Józi. Wszystkie były oczywiście niezamężne, tylko jedna, Marynia, wyszła za mąż za oszusta i po ucieczce od przemocowego partnera szybko wróciła do pracy na służbie. Kotarbińska spytała kiedyś Michalinkę, kobietę wówczas już w średnim wieku, „czy się kiedyś kochała”:

– Brrr – zachnęła się z obrzydzeniem – cobym się ta miała kochać. Jako życie nigdy chłopca nie chciałam ani na ocy.

– Ale przecie byłaś młoda, pewnie jaki chłopak chciał się z tobą żenić?

– Chcieć to chciał. Był tam taki jeden, namawiali, ale brrr ... – znów się otrząsnęła – nie chciałam. Co mi potym. On nawet tera, jak byłam u siostrzana, jako że owdowiał, to mówił, żebym ostała i gospodarzyła, bo gospodarz jak się patrzy, ale za nic, brrr... Nie cierpię, moja pani droga, tych chłopów, a mnie poco chłop? – A mina przy tym, jakby się octem opiała<sup>61</sup>.

Inna służąca, Andziuleczka, pisała do swojej byłej pracodawczynie po latach spędzonych na służbie: „Za mąż się jeszcze nie wybieram, już w tych

latach to wielkiej ochoty nie mam”.

Służące nie chciały wychodzić za mąż, mimo że po zakończeniu pracy nie miały żadnego pewnego źródła dochodów. Dzięki Kotarbińskiej wiemy, jak wyglądała emerytura jej służących. Michalinka wróciła na wieś po trzydziestu dwóch latach pracy na służbie, gdy nogi odmówiły posłuszeństwa i nie mogła już wchodzić na trzecie piętro. Zamieszkała u siostry i jej męża. Dawna pani na pożegnanie dała jej 20 tysięcy marek na prosiaka (w 1914 roku) i co jakiś czas wysyłała pieniądze „na cukier”, jak to określała. Andziuleczka odeszła, gdy Kotarbińska wyprowadziła się z Krakowa do Warszawy. Utrzymywały kontakt listowny (i stąd pani wiedziała, że Andziuleczka nie wybiera się za mąż). Kobieta utrzymywała się przez jakiś czas z szycia, a następnie wyjechała do Wiednia, do owdowiałej siostry. Niestety siostra dostała udaru (czy też, jak pisała Andziuleczka w liście, „siostrę szlak trafił do głowy”) i była służąca musiała się nią opiekować. Następnie siostra umarła, Andziuleczka zaś sama podupadła na zdrowiu. Jak notowała Kotarbińska, „szyje dużo, chce pracować, zarabiać, nogi puchną”. Starła się przez wiedeńskich znajomych załatwić jej zlecenia – Andziuleczka szyła męskie koszule, zaopatrywała sklepy. Niestety jej zdrowie się pogarszało, trafiła do szpitala i nie była w stanie zarabiać. Kotarbińska opłacała jej komorne i lekarstwa. Pewnego dnia dostała z poczty list ze zwrotem kolejnej raty. Adresatka, panna Anna Gorączko, zmarła w szpitalu w Wiedniu.

„Nędza i nieszczęście starości” – tak o starych kobietach z klasy ludowej pisała Stefania Sempołowska, która spędziła kilka miesięcy w celi w warszawskim Ratuszu około 1907 roku, aresztowana za nielegalną działalność oświatową. Swoje spostrzeżenia na temat spotkanych tam kobiet opublikowała pod zbiorczym tytułem *Z dna nędzy*. Tak widziała los współwięźniarek – kobiet bezdomnych, bezrobotnych, aresztowanych za żebractwo, awanturowanie się, niezarejestrowaną pracę seksualną. Oddzielny rozdział poświęciła „starości bezdomnej”<sup>63</sup>. Do aresztu trafiały między innymi stare kobiety w sytuacji podobnej do tej, której doświadczyły Andziuleczka czy Michalinka – jednak pozbawione współczującej czy też choćby zamożnej byłej pracodawczyni, która mogłaby wysyłać im pieniądze na życie. „Stare kobiety, »babiny«, stanowią

olbrzymi procent aresztantek policyjnych, a w miesiącach zimowych stanowią czasem więcej niż połowę uwięzionych – tłumaczyła Sempołowska. – Słabe ptaki padają na mrozie. Bezsilne, samotne, bezdomne, bez środków do życia”.

W sytuacji, w której nie istniał państwowy system opieki społecznej nad ludźmi chorymi i starymi, a kryteria emerytalne spełniało niewielu pracowników, przychodząca z wiekiem niezdolność do pracy ludzi z klasy robotniczej często okazywała się dla nich wyrokiem śmierci. Oczywiście, aresztowanie i śmierć w celi, opisywane przez Sempołowską, były ostatecznością. Ciężar opieki nad słabymi – nie tylko chorymi fizycznie bądź psychicznie, ale też osobami w wieku podeszłym – dźwigały organizacje dobroczynne, finansowane ze środków prywatnych. Religijne (katolickie, protestanckie, żydowskie) i świeckie przytułki starały się łączyć, z różnym powodzeniem, lukę systemu opieki socjalnej, w której samotna starość wiązała się z ubóstwem.

W opisywanym okresie organizacje dobroczynne i ich fundatorzy (kościelni i prywatni) zapewniaли mieszkanie, wyżywienie i zajęcie dla ludzi w wielu kryzysowych sytuacjach życiowych. Opieka nad osobami starszymi przypadała różnym instytucjom. Część starych kobiet niezdolnych do pracy szukała pomocy w przytułkach dla bezdomnych. Warszawskie Biuro Informacyjne o Nędzy Wyjątkowej wykupywało w latach siedemdziesiątych XIX wieku ogłoszenia w prasie katolickiej, informując o najpilniejszych potrzebach swoich podopiecznych. Biuro, prowadzone przez Siostry Miłosierdzia przy Jasnej 4, „polecało miłosierdziu publiczności warszawskiej” głównie kobiety w starszym wieku, wdowy lub samotne. W ogłoszeniu znalazły się między innymi: Petronela Chudzińska, lat sześćdziesiąt osiem, która była niewidoma i nie mogła pracować; Marianna Ipnarska, wdowa, lat siedemdziesiąt pięć, chora na oczy, w wielkiej nędzy; Estera Mordkowa, lat sześćdziesiąt, kaleka, niezdolna pracować; Marianna Kazanecka, wdowa, lat siedemdziesiąt osiem, która „z powodu starości jest niezdolna do pracy”<sup>64</sup>. W cytowanym ogłoszeniu na siedemnaście wspomnianych osób jest tylko jeden mężczyzna i jedno małżeństwo (siedemdziesięciopięcioletnich staruszków nazwiskiem Juchnet w „wielkiej nędzy”).

Część kobiet z proletariatu w wieku emerytalnym trafiała do przytułków dla starców. Zorganizowaną opiekę nad osobami starymi prowadziły lokalne, miejskie towarzystwa dobroczynności, a oprócz tego instytucje religijne, w Kościele katolickim zwykle były to zakony żeńskie. Osoby starsze miały w czym wybierać. Aneta Bołdyrew wymienia osiemdziesiąt miast i miejscowości we wszystkich guberniach zaboru rosyjskiego, w których prowadzone były takie wyznaniowe lub świeckie instytucje<sup>65</sup>. Niektóre większe miasta, jak Warszawa, Łódź, Lublin, Częstochowa czy Radom, oferowały swoim mieszkańcom dostęp do kilku różnych przytułków dla osób starszych, zwykle podzielonych według religii – oddzielne żydowskie, katolickie i ewangelickie. Dostępność instytucji nie oznaczała jednak komfortu. W prasie często pojawiały się reportaże na temat przepełnienia, złych warunków higienicznych i żywieniowych<sup>66</sup>. Sami pensjonariusze i pensjonariuszki także pozostawiali wiele do życzenia, przynajmniej z perspektywy reporterów. Maria Konopnicka, która zwiedzała w 1887 roku nowo otwarty przytułek dla starców przy ulicy Pawiej w Warszawie, pisała o oddziale kobiecym:

A jeśli mówię kobiecego [oddziału] – czynię to przez grzeczność, ściśle bowiem rzecz biorąc, powinienam powiedzieć: oddziału babskiego. Miły Boże! Jakie te babki wszystkie są okropnie stare! Brz... Patrząc na nie, zgoła niepodobna sobie wyobrazić, aby kiedykolwiek były młode i choć trochę do ludzi podobne. Krzywe, skurczone, w trzy kruki wygięte, wyglądają, jakby wszystkie kalekami się rodziły, a twarze ich, których muskuły przez tyle lat ściągnięte były w różne, na wzbudzenie litości obliczone grymasy, zmieniły się w jakieś maski ohydne, tak że oczy same uciekają od nich. W oddziale męskim za to widziałam kilka prawdziwie pięknych, charakterystycznych głów starców z brodami, a ogół z małymi wyjątkami wygląda bardzo sympatycznie<sup>67</sup>.

„Kobieta” było więc określeniem zarezerwowanym dla młodych, godnych przedstawicielek tej płci. Stare, brzydkie, biedne i zaniedbane mogły nosić miano „baby” – kolejna, obok swatki czy rajfurki, odmiana spotworniałej kobiecości<sup>68</sup>. Konopnicka notuje też skwapliwie, że na oddziale żeńskim przytułku śpi dozorca, ponieważ stare kobiety są bardzo kłótlive i skore do bójek, tak że żadna dozorczyńni nie mogłaby sobie z nimi poradzić.



Szybko dowiadujemy się, co tak naprawdę przeszkadza Konopnickiej. Nie jest to wcale starość czy brzydota:

Stałego zatrudnienia nie mają jeszcze utrzymywane w Przytułku kobiety; kiedym tam była, kilka z nich robiło grube pończochy, jedna czytała pod oknem, założywszy na nos okulary, książeczkę ks. Filochowskiego, „bardzo przykładną”, jak mnie zapewniała, a o czym nie wątpiłam bynajmniej; większość siedziała z założonymi rękami.

– Wam, babki – rzekłam – kądziel by się zdała. Prząść to i na pół ślepa potrafi, zwłaszcza grubszą kądziel. Musi się wam tak przykrzyć bez roboty.

Spojrzały na mnie jak na niebezpiecznego nowatora.

– E... co nam ta już po kądzieli – przemówiła jedna.

– Człowiek to tam i za młodu nie prządał, to już ciężko na starość się uczyć – rzekła druga.

Inne zaczęły głowami trząść, kurczyć się a wzdychać, jako to już niby takie starzuchne, że i wrzeczona by nie utrzymały.

Konopnicka podśmiewa się nieco, ale z jej tekstu wynika, że najgorszą cechą staruszek w przytułku jest lenistwo. Stare kobiety z miejskiego proletariatu, samotne, niepełniące funkcji społecznych, powinny pracować do samego końca życia. Inaczej niż w przypadku mężczyzn, których starość, nawet w instytucji dobroczynnej, była godna, kobiety musiały sobie na nią zasłużyć bezustannym udowadnianiem swojej przydatności, nawet na łożu śmierci, na wpeł niewidome. Ponieważ przytułek przy ulicy Pawiej przyjmował wszystkich starców, niezależnie od wykonywanego wcześniej zawodu, Konopnicka nie mogła być pewna, że stare kobiety zasłużyły sobie na odpoczynek.

Oddzielnym rodzajem instytucji wspierających osoby w podeszłym wieku były schronienia i przytułki dla grup zawodowych. Istniały schronienia dla starych rzemieślników, szewców, stolarzy. Niektóre specjalizowały się w pomocy kobietom z klasy robotniczej, zwykle instytucje te działały we współpracy z zakonami. Siostra Maria Witkowska razem z Warszawskim Towarzystwem Dobroczynności założyła w 1883 roku Schronienie Starych Szwaczek, które funkcjonowało aż do wybuchu I wojny światowej. W ciągu pierwszych dziesięciu lat działalności miejsce znalazło tam osiemdziesiąt emerytowanych kobiet. Kościelna organizacja Stowarzyszenie Sług Katolickich imienia Świętej Zyty ufundowała w 1900 roku w Krakowie, a potem przez siostrzaną organizację

w Warszawie, przytułki dla starych służących. Adela Dziewicka, prezesowa i redaktorka „Przyjaciela Sług”, tłumaczyła w numerze z 1900 roku, że jest to schronienie „dla tych, które styrawszy zdrowie, popadają wprost w rozpaczliwe położenie i czeka je chyba kij żebraczy i szpital, a i tam nie przyjmą, gdy choroba dłuższa”<sup>69</sup>.

Podobne organizacje dostępne były także dla kobiet wykonujących zawody inteligenckie – przede wszystkim dla nauczycielek domowych, guwernantek. Ta grupa, z racji specyfiki wykonywanego zawodu pełna niezamężnych kobiet, pasowała do sentymentalnego obrazu samotnej kobiety, której należy się pomoc współczującego społeczeństwa. Guwernantka, jako stara panna, spełniła bowiem swój obowiązek i poszła do pracy, zamiast polegać na litości rodziny. A jednak i to nie wystarczyło, by na starość mogła uniknąć upokorzenia biedy. Szeroko o Schronieniu Starych Nauczycielek rozpisywał się „Bluszcz”. „Każda dobra nauczycielka ma prawo do szacunku ogółu – ma zarazem prawo do tego, aby powszechność zatroskała się dla jej podeszłego wieku o chleb dobrze zasłużonych”<sup>70</sup> – pisała w 1882 Maria Ilnicka, redaktor naczelna, przy okazji otwarcia schronienia. „Ciężki, gorzki los starców bezsilnych, spracowanych a samotnych. Po latach pracy, trudów i zaparcia się, gdy siły padają, bystrość umysłu przygasa, zdrowie szwankuje, blizcy i przyjaciele do grobu się położą, co ma robić staruszka, która często pół wieku prawie dzieci uczyła?”<sup>71</sup> – pytała w tekście na obchody dwudziestolecia tej instytucji Joanna Podhorska-Okołów. Patrząc na przypadek schronienia dla nauczycielek – założyć przytułek. Schronienie powstało bowiem z inicjatywy (starej) panny Agnieszki Helwichówny, guwernantki, której udało się, po latach pracy, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, odłożyć 500 rubli. Przy współpracy z księdzem Zygmuntem Chełmickim założyła schronienie. Do finansowania inicjatywy dobroczynnej, reklamowanej wzruszającymi apelami w prasie, dołączyły szybko panie z towarzystwa, między innymi Tekla Rapacka czy Emilia Blochowa.

Co ciekawe, w 1895 roku powstał także przytułek dla zubożałych ziemianek – starych panien. Lokal mieścił się przy ulicy Śliskiej w Warszawie, powstał zaś z inicjatywy filantropki Seweryny Tymowskiej. Trzy kilkusobowe sypialnie i salon z biblioteką oferowały miejsce „dla

tych biednych rozbitek życiowych, którym poranek życia zapewne uśmiechał się różowo, kto wie, czy nie upływał w dostatkach i weselu, a zapewne zgoła inny był od tego ponurego zachodu, jaki teraz stał się ich przeznaczeniem i losem”<sup>72</sup> – jak donosił czytelnikom „Wędrowiec”, zachęcając do wpłacania datków. Stare panny z ziemiaństwa, nauczycielki czy nie, mogły w ten sposób w spokoju dożywać końca swych dni. Litość rodziny zamieniały tylko na miłosierdzie ogółu społeczeństwa.

Powiązanie świadczeń emerytalnych z dobroczynnością (a nie opieką społeczną) utrzymywało sposób myślenia, w którym osoba samotna, szczególnie kobieta, była w złej sytuacji na starość z powodu własnych nierozsądnych wyborów. Maria Ilnicka pisała o schronieniu dla nauczycielek: „chleb miłosierdzia jest zawsze gorzkim, zawsze twardym do przełknięcia”<sup>73</sup>. Dlatego według niej najlepszym wyjściem byłoby zorganizowanie kasy oszczędności dla guwernantek, a nie filantropia. Kasa miała powstać przy schronisku, jednak nigdy nie zaczęła działać. Najbliżej realizacji prywatnych ubezpieczeń społecznych znalazło się Stowarzyszenie Służących Katolickich imienia Świętej Zyty, pod przewodnictwem Anieli Dziewickiej i ojca Włodzimierza Ledóchowskiego. Oddział galicyjski, a potem także warszawski, fundował przytulki dla starych sług, ale organizował także kasy oszczędności, gdzie służące miały odkładać pieniądze na emeryturę. „Pociecha to jest nie lada, gdy się widzi, że paczka książeczek kasy oszczędności z dnia na dzień rośnie”<sup>74</sup> – chwaliła podopieczne Dziewicka pod koniec 1900 roku. Służące dokładały się także do budżetu poprzez opłaty członkowskie, wynoszące 10 centów miesięcznie w Galicji i 2 ruble rocznie w Królestwie. W większości jednak stowarzyszenie i jego instytucje utrzymywało się ze zbiorów kościelnych i datków osób zamożnych, jak każda inna organizacja dobroczynna. Opieka nad niezdolnymi do pracy starymi pannami i wdowami z klasy robotniczej postrzegana była jako odruch litości, a nie obowiązek społeczny. Jak pisała z przekąsem Sempołowska o spotkanych w areszcie żebraczkach:

Nie patrzmy na te twarze znękanne, na te stare i bezsilne członki, bo może nam przyjść na myśl, że ludzkim prawem istotom tym należy się opieka; nie patrzmy na te ręce od pracy zgrubiałe, bo mogłoby nam się zdawać, że społecznym prawem należy im się odpoczynek<sup>75</sup>.

Praca, która w młodości miała przynosić samotnym kobietom z klasy robotniczej wolność i niezależność, nie uprawniała ich w społecznym odbiorze do opieki na starość. W sytuacji braku zorganizowanych, państwowych form pomocy lepszą inwestycją na starość mogło okazać się jednak małżeństwo – wtedy przynajmniej opiekę nad staruszką niezdolną do pracy mogły przejąć dzieci czy wnuki. Jak mówiła Sempołowskiej jedna z aresztowanych kobiet: „Pani droga, mam sześćdziesiąt osiem lat, pracować już nie mogę, dzieci nie mam, cóż ja mam robić? Muszę zebrać”. W areszcie najchętniej starymi żebraczkami opiekowały się młode pracownice seksualne. Nie robiły tego raczej z powodu wysoko rozwiniętej empatii, ale utylitarnie pojmowanej solidarności klasy robotniczej. Powtarzały sobie, myjąc i karmiąc bezsilne staruszki – „i my będziemy stare”<sup>76</sup>. I tak samo bezbronne, jeśli nie zapewnimy sobie wcześniej stałej opieki męzczyzny.

System kapitalistyczny wspierał więc w sposób wyraźny patriarchalny model społeczeństwa. Kobiety z klas wyższych od upokorzenia w samotnej starości ratował majątek – zgromadzony wcześniej przez pokolenia mężczyzn z ich rodziny, bez ich bezpośredniego udziału. Gdy zaś nie miały majątku, musiały wytworzyć wokół siebie siatkę bezpieczeństwa, jedyną inwestycję na starość, jaką mogły wykonać, nie pracując zarobkowo. Więzyami rodzinnymi i emocjonalnymi przywiązać do siebie wystarczającą liczbę ludzi, by w ostatnim okresie życia móc polegać na ich opiece, zapewnionej przez zobowiązania rodzinne i konwenans. Kobiety z klasy robotniczej na pozór same mogły gromadzić majątek – jednak warunki pracy w kapitalizmie końca XIX wieku sprawiały, że okazywało się to zwykle niemożliwe. Dla kobiety praca w przemyśle, na służbie czy w usługach nie zapewniała wystarczających stawek, by dało się odłożyć jakiś skromny fundusz emerytalny. Brak świadczeń opieki społecznej i zdrowotnej powodował zaś, że koszty wszelkich uszczerbków na zdrowiu związanych z wiekiem czy po prostu eksploatacją ciała w pracy fizycznej ponosiła sama pracownica z proletariatu.

Marie Sansgêne, Anna Gorączko (Andziuleczka) czy Michalinka mogły się cieszyć, że nie mają mężów i są bardziej wolne niż uwięzione w kręgu przemocy ekonomicznej pracodawczynie. Marie zamiast śmierci

w przytułku wybrała jednak ślub z bogatym przedstawicielem gdańskiego mieszczaństwa. Jej matka, praczka, żona przedwcześnie zmarłego woźnicy, nie miała takiego wyboru. Ogromnym nakładem środków, ze swojej pensji służącej, Marie umieściła ją w przytułku dla starych kobiet, gdzie matka zmarła z powodu wycieńczenia organizmu po latach ciężkiej pracy fizycznej. Jej szczęście polegało na tym, że miała przynajmniej córkę, która mogła opłacić jej nieco lepsze warunki w ostatnich chwilach życia.

## *Palma bezcelowego męczeństwa*

Zmarło się starej pannie<sup>77</sup>.

Ogłaszała w prasie w 1929 roku Rita Rey.

Nie zobaczymy więcej żadnego z jej różnorodnych stereotypów. Ani cichej, nieśmiałej, kulącej się pod razami bezlitosnych przytyków i naigrawań – „ubogiej krewnej”; ani zgorzkniałej, uszczypliwej, zazdrosnej i buntującej się złośnicy; ani plotkującej i mieszącej się w cudze sprawy intrygantki; ani naiwnej, pretensjonalnej, wieczystej panny na wydaniu.

Kontynuowała autorka *Nekrologu starej panny*, tłumacząc z satysfakcją, że zmiana stosunków społecznych i sukces ruchu na rzecz praw kobiet sprawiły, że „stare panny”, jako wyśmiewane, nieprzydatne jednostki, zniknęły już na dobre ze społeczeństwa. I dobrze: „Krzywda i poniewierka starej panny dziś dopiero, drogą porównania, w całej pełni nam się ukazuje. Dziś dopiero rozumiemy, jakim barbarzyństwem były nasze docinki, jakim okrucieństwem – nasza swawola. Dziwactwa kryły bowiem łyż, zgryźliwość – pogrzebane marzenia, a śmieszności – bezustanny żal”. Tekst Rey nie był jedyny. Lucyna Gerlachowa pisała, że kiedyś niezamężna kobieta traktowana była przez rodzinę podobnie do „pamiątkowego mebla, którego, choć dom szpeci i w każdym kącie zawadza, dla tych czy innych względów przyzwoitości czy tradycji rodzinnej nie wypada porąbać i spalić”<sup>78</sup>. Po I wojnie światowej takie sytuacje nie miały już jednak miejsca. Międzywojenna prasa dla kobiet („Bluszcz”, „Kobieta

Współczesna”, „Głos Kobiet”, „Świat Kobiety”) pełna jest tego typu artykułów, z jednej strony przypominających, w jak smutnych warunkach musiały funkcjonować kobiety niezamężne przed I wojną światową, z drugiej – jak dobrze żyje się obecnie tym, które nie mogą bądź nie chcą mieć męża<sup>79</sup>.

Główne powody, jakie podają autorki, by wytłumaczyć tak odmienny los, to rewolucja obyczajowa oraz wyzwolenie ekonomiczne kobiet. Młode dziewczyny w latach dwudziestych wychowywane są całkiem inaczej niż ich matki na przełomie wieków XIX i XX – twierdziły. „Niechby tak ktoś spróbował przekonać dzisiejszą córkę o słuszności aforyzmu, że światem dla kobiety jest dom, a domem dla mężczyzny jest świat! – kpiła w 1931 Janina Strzelecka. – Mają nasze córki szeroko oczy na ten świat otwarte! Ileż z nich odbywa w wyobraźni podniebny lot nad Atlantykiem, przebywa kanał La Manche, wieńczy skronie laurem olimpijskim, dokonywa wspaniałych odkryć naukowych”<sup>80</sup>. Owszem, chcą wychodzić za mąż, ale „nie wyłącznie i nie jedynie” – przekonywała Strzelecka. Zmiana organizacji społecznej miała według niej tak daleko idące konsekwencje, że można było wręcz mówić o rozpadzie tradycyjnej rodziny. Dwa lata wcześniej ta sama autorka przekonywała w „Bluszczu”:

Czy chcę przez to powiedzieć, że rodzina upada? W dawnym rozumieniu – tak. Oparta na bezwzględnym podporządkowaniu dzieci rodzicom, żony mężowi, oparta na niewolnictwie kobiety – upada stanowczo. Skończyło się bezpowrotnie „wydawanie za mąż”, skończyło się już okropne niekiedy rozporządzanie losem córek, skończyły dawno śliczne „sielanki” z komedji Bałuckiego (co za galeria obrzydliwych typów w tej „światlanej” przeszłości!)<sup>81</sup>.

Według „Głosu Kobiet” młodym pannom nie w głowie było zamążpójście, ponieważ skupiały się na karierze: „to pokolenie bierze bezpośredni udział w życiu umysłowym, gospodarczym, stoją z poczuciem odpowiedzialności, oparte o świadomość swojej wartości (dawniej o bok męża). Nie mają czasu »czekać na męża«”<sup>82</sup>. O zmianie sposobu wychowania mówiła nie tylko prasa postępową. „Młoda Polka”, konserwatywne czasopismo dla dziewcząt wydawane przez Związek Młodzieży Żeńskiej (część Akcji Katolickiej), kierowała do swoich

czytelniczek podobne porady. „Niejedna z was myśli o tym, żeby zdobyć sobie zawód, pole pracy – zwracała się do nastoletnich czytelniczek redaktor Zofia Ozdowska. – Wie doskonale, że skazana jest na pracę własnych rąk, na siebie samą, że przyszłość, jutro życia musi zdobyć osobistym wysiłkiem [...], niestraszna jej myśl o staropanieństwie, bo umie sobie życie zarządzić”<sup>83</sup>. „Zarządzenie swojego życia” mogło wyglądać różnie. „Młoda Polka” wskazywała, że niezamężna panna może oddać się pomocy rodzinie – opiekować się siostrzeńcami i bratankami, wspierać rodziców na starość. Może też pójść do zakonu i robić to samo, tyle że w bardziej ogólnej skali i w habicie. Jeśli jednak zdecyduje się wyjść za mąż, przestrzegano, by nie spieszyła się z decyzją i mądrze wybierała kandydata.

Te wszystkie zmiany obyczajowe nie mogłyby jednak mieć miejsca, gdyby nie szerokie dopuszczenie kobiet do pracy zawodowej i studiów wyższych. Autorki artykułów z przyjemnością podkreślały, że wraz z nadejściem II Rzeczypospolitej skończyła się niewola ekonomiczna kobiet. „Fakt powyższy – to bynajmniej nie rezultat samego równouprawnienia, ale żelaznego prawa ekonomicznego, konsekwencja olbrzymiej zmiany, jaka dokonała się w dzisiejszym ustroju społecznym i gospodarczym”<sup>84</sup> – przekonywała Strzelecka. Kobiety, wychodząc za mąż w latach dwudziestych i trzydziestych, nie brały pod uwagę zakończenia pracy zawodowej (chyba że „robiły tak zwaną dobrą partię” – uściślała Strzelecka). Pracowały one, ich ojcowie, matki i rodzeństwo, a także ich mąż. „Przełomowe zmiany w ostatnich latach utworzyły i tutaj nowe formy bytu – pisała M. Halicz w 1931 roku. – Pojęcie, a nawet to wyrażenie »stara panna« znikło z powierzchni ziemi, została tylko poważna i poważana, samodzielna i zarabiająca na swe utrzymanie kobieta, która nie wyszła za mąż”<sup>85</sup>. Wtórowała jej Maria Czapska w następnym numerze „Kobiety Współczesnej”: „Współczesne niezamężne kobiety umieją bez mężów i bez macierzyństwa, które dawało dawniej jedyny sens życiu niewiasty, zachować swą godność i stanąć na równi z mężczyzną jako pożyteczny członek społeczeństwa”<sup>86</sup>. Wnioskowanie było proste. Ponieważ przed I wojną światową dostęp do edukacji wyższej, a także do wysoko płatnej

pracy intelektualnej był dla kobiet utrudniony, niezamężne kobiety nie mogły pełnić żadnej przydatnej funkcji społecznej. Wraz z przyznaniem kobietom dostępu do edukacji na wszystkich szczeblach zyskiwały one możliwość realizacji zawodowej na poziomie równym mężczyznom. W połączeniu z powszechnym prawem wyborczym, konstytucyjnym zagwarantowaniem równości obywatelskiej i rozluźnieniem obyczajowym kobiety niezamężne nie wpadały w żadną z ekonomicznych pułapek, jakie czyhały na ich matki przed 1918 rokiem. „Zwycięstwa kobiet w walce o równouprawnienie podkopały egzystencję staropanieństwa, lecz ostateczny cios zadał mu powojenny przewrót stosunków społecznych i obyczajowych”<sup>87</sup> – przekonywała dziesięć lat po zakończeniu wojny Rita Rey. Wszyscy mogli odetchnąć z ulgą i korzystać z nowoczesności. Niektórzy zaś powinni jeszcze uderzyć się w pierś i odpokutować za dawne winy:

Niedorzeczne pęta czyniły z normalnej istoty dziwoląg, nad którym znęcał się cały świat. Należy się pomnik starej pannie. Pomnik dłuta niezamężnej rzeźbiarki, która wyczeluje z pietyzmem postać przejrzałej dziewicy, trzymającej w ręku palmę bezcelowego, z ludzkiej głupoty zrodzonego męczeństwa.

Kończyła artykuł Rey.

## *Czy każda kobieta powinna wyjść za mąż?*

Na to pytanie wystarczy odpowiedzieć jednym słowem:

– Tak<sup>88</sup>.

Ucinał dyskusję w 1931 roku Bronisław Gumplowicz, autor poradnika *Czy pani chce wyjść za mąż?*. Dalej przekonywał, że świętym powołaniem kobiety jest być matką i żoną, i że każda przedstawicielka płci żeńskiej najlepiej będzie się czuła, mogąc realizować instynkt opiekuńczy poprzez dogadzanie mężowi i dzieciom. Jeśli nie uda jej się znaleźć odpowiedniego kandydata, zostanie, „nie daj Boże”, starą panną. Następnie pisał:



Świat najgłupiej wystawił postać starej panny na pośmiewisko, znęcając się dodatkowo nad upośledzoną już przez los, ale trudno, tak jest. W każdym razie stara panna to istota skazana z czasem na samotność i coraz smutniejszą egzystencję, toczona zabójczym poczuciem własnej bezcelowości, kobieta, od której najczęściej odsuwają się wszyscy, bo i ona nikomu nie ma nic do dania. [...] Staropanieństwo to forma naturalnego kalectwa.

Czytając ten fragment poradnika, można odnieść wrażenie, że ogłoszona w czasopiśmie kobiecych zmiana podejścia do kobiet niezamężnych nie była tak zasadnicza, jak mogło się wydawać. Tekst Gumplowicza od dziewiętnastowiecznych analiz starej panny różni dwa ustępstwa na rzecz nowoczesności – dostrzega, że wystawienie kobiety samotnej na pośmiewisko jest „najgłupsze”, oraz dodaje, że za starą pannę uważa kobietę niezamężną po czterdziestym piątym roku życia, nie zaś, jak wcześniejsi komentatorzy, około trzydziestki.

Istotnie, rewolucja obyczajowa, a także zmiany prawne, które nastąpiły po I wojnie światowej, sprawiły, że społeczna akceptacja dla kobiet niezamężnych rosła, a na pewno przewyższała tę przedwojenną. Samotność kobiet wiązała się też z nierównością demograficzną płci – w związku ze stratami wojennymi zanotowano wzrost feminizacji społeczeństw i nie każda, nawet chętna do tego kobieta była w stanie znaleźć partnera. Jak to ujmował „Głos Kobiet”, socjalistyczne pismo dla robotnic: „W czasie wojny zginęło prawie milion mężczyzn, w okresie kryzysu nie ma dopływu ze wsi, przeciwnie, znaczna liczba mężczyzn odeszła na wieś, nie mogąc znaleźć pracy”<sup>89</sup>. Autorka tekstu dodawała, że kobiety w mieście, „szczególnie nowej daty”, nie załamują rąk, lecz idą do pracy, nie tylko fizycznej i najemnej (czyli na służbę i do fabryk), ale przede wszystkim do handlu (jako kasjerki, ekspedientki sklepowe i tak dalej). Co innego jednak możliwości zawodowe kobiet i zmiany demograficzne, co innego – powszechna akceptacja społeczna.

Badaczki obyczajowości międzywojennej zwracają uwagę, że w omawianym okresie rosła aktywność zawodowa kobiet, nie szła jednak ona w parze z szybką akceptacją dla tych odrzucających życie rodzinne<sup>90</sup>. Przyzwolenie społeczne na zaangażowanie kobiet w naukę, politykę czy inny rodzaj kariery zawodowej było raczej łączone z oczekiwaniem na

jednoczesną realizację na polu małżeńskim i macierzyńskim. Jak twierdzi Katarzyna Stańczak-Wiślicz, konserwatywne wartości „bynajmniej nie stały w sprzeczności z lansowaniem ideału nowoczesnej kobiety. Po prostu uwidaczniały się inne pola działania nowoczesności. Tradycyjne role pani domu, żony i matki, cała sfera gospodarstwa domowego musiały teraz odpowiadać na nowe wyzwania”<sup>91</sup>. Stąd liczne porady, w prasie i odpowiednich poradnikach, poruszające temat, jak łączyć życie zawodowe z prowadzeniem domu na najwyższym poziomie. Kobiety niezamężne zaś w dalszym ciągu traktowano jako te, które karierą zawodową wypełniają psychiczną pustkę w miejscu przeznaczonym na uczucia rodzinne. Wgląd w napięcie pomiędzy społecznym oczekiwaniem a indywidualną sytuacją życiową dają listy kobiet samotnych, wysyłane do prasy.

Odebraną nam została, czy same precz rzuciłyśmy, najświętsza radość macierzyństwa. Ciche pracownice na szerokim ugorze świata. Odrębna klasa społeczna. „Samotna”, jak się pisze w rubryce zatytułowanej „stan cywilny”<sup>92</sup>.

Rozpoczynała swój list Wera Tropaczyńska z Mogilnicy, pisząc w 1929 do „Bluszczu”.

Ile nas jest – ów tyśiąc, czy tyśiące – każda, lub prawie każda, głęboko w duszy skryła jakowyś święty zew, jakowś bolesną niedolę, i każda lub prawie każda, wsłuchana w rozterkany głos codziennej, roboczej maszynerii, z premedytacją lub dlatego, że „tak się ułożyło” czy „tak trzeba”, przechodzi do porządku dziennego nad wszelkimi „wysokopiennymi” porywami przynależnego każdemu szczęścia, po ludzku pojętego.

Wera czuła się samotna, mimo że pracowała i była przydatna społeczeństwu. Postulowała więc założenie związku kobiet samotnych, gdzie kobiety mogłyby wspierać się wzajemnie i dodawać sobie otuchy w trudach życia codziennego. Nie ona jedna myślała w ten sposób. Inne czytelniczki słały do gazety podobne listy. W 1928 „Lwowianka” pytała:

Dlaczego [stare panny] są samotne? Dlaczego nie znalazły kogoś, ktoby je kochał i szedł z nimi przez życie? Czasem kryje się w tem jakaś bolesna zagadka, zawód miłosny, śmierć ukochanego – a częściej da się na to odpowiedzieć prosto i wyraźnie. Kobieta dobra, wykształcona i energiczna nie może się czuć szczęśliwa przy boku bardzo szarego i przeciętnego mężczyzny<sup>93</sup>.

Niestety, wysokie oczekiwania mogą skończyć się niewesoło:

Smutną dla takiej kobiety może być starość samotna. [...] Samotnej kobiecie praca zawodowa wypełnia dni dojrzałego życia – starość dopiero stwarza obok niej pustkę – ale w duszy może ona mieć taką głębię uczuć, zdobytych doświadczeniem i walką, taką mądrość życia, że zdoła znieść pustkę spokojnie i bez bólu.

W związku z tym „Lwowianka” (sama, jak rozumiemy z kontekstu listu, także niezamężna) postulowała założenie związku zawodowego kobiet pracujących – co dla niej wiązało się bezpośrednio z brakiem męża – i opłacanie składek na mieszkania. Stare kobiety bez mężów mogłyby mieszkać w jednym domu, zapewniać sobie towarzystwo i lepiej wypełniać pustkę samotności.

Na list „Lwowianki” odpowiadała kilka numerów później pani podpisująca się P. H.P., z Królewskiej Huty:

W samotności najprzykreszyszy jest brak opieki w razie choroby lub starości, niemożność dzielenia się swemi myślami, brak miłości, brak świadomości, że jesteście uczuciowo komuś potrzebni. [...] Natomiast zawsze przyjaźń ofiaruje przyjaźni: opiekę, serce, zrozumienie<sup>94</sup>.

P. H.P. uważała, że kobiety samotne powinny, na wzór studentek, zamieszkać razem w akademikach. Takie wspólne mieszkanie ograniczyłoby problemy natury logistycznej, ale także pozwoliło zaspokoić potrzebę bycia kochaną.

Potrzeba wspólnego mieszkania często przewijała się w listach kobiet samotnych, szczególnie tych o niskim statusie finansowym. W 1937 roku do redakcji „Głosu Kobiet” pisała Zofia, korepetytorka:

Mieszkam kątem. W tych dwóch słowach mieści się taki ogrom nieszczęścia, że nie umiem tego ująć w odpowiednie wyrażenie. Byłam dawniej nauczycielką, to znaczy utrzymywałam się z lekcji. [...] zmieniły się czasy, ludzie zubożeli, o zarobek bardzo trudno tak, że nie mogę marzyć o najmniejszym pokoju i muszę mieszkać kątem w bardzo złych warunkach. Małżeństwo bardzo niedobre, zwada ciągła, czworo dzieci, stara matka i ja, w jednej izbie z maleńką ciemną kuchenką. Mieszkam w tej właśnie kuchence ze starą matką, kaszlącą i płaczącą kobietą. Nie taka bardzo stara, bo ma lat 55, ale zdrowie jej nie dopisuje i musi ciężko w domu pracować (bo córka ma kilka posług). To jest właściwie zarobek całej rodziny, bo mąż „szuka roboty” i nie

może jej znaleźć. Co zarobi dorywczo, to przepije. [...] Płacę 10 zł miesięcznie za mój kąt, ale czuję, że dłużej w tych warunkach nie wytrzymam<sup>95</sup>.

Zofia pytała, dlaczego w Warszawie (tam mieszkała) nie można zorganizować tanich domów dla samotnych kobiet aktywnych zawodowo, bo przecież „wszystkie pewnie żyją w takiej udręce jak i ja”.

Dziewiętnastowieczne wyobrażenie o starej pannie, która mieszka kątem u krewnych, korzystając z ich mniej lub bardziej szczerego współczucia, nie zniknęło wraz z emancypacją kobiet na polu zawodowym i politycznym. Helena Ryszkowska radziła samotnym kobietom w artykule z 1929 *Jak walczyć z apatią*. Wśród wielu niezwykle współcześnie brzmiących porad („Amerykańskie hasło »uśmiechaj się« powinno być dobrze znane kobietom samotnym”<sup>96</sup>; „Niema na świecie kobiety, któraby, wróciwszy np. z tenisa, siatkówki lub ze ślizgawki, mogła oddawać się smutnym rozważaniom na temat swej samotności”) zawarła też jedną podstawową – kobieta niezamężna musi za wszelką cenę postarać się o samodzielne mieszkanie. „Większość kobiet samotnych odnajduje »pokoje przy rodzinie«. Jeśli z tą rodziną nie wiążą żadne nici serdeczności, mieszkanie staje się tylko tymczasowym dachem nad głową, schroniskiem, gdzie nie można czuć się, »jak u siebie w domu«” – pouczała. Jeśli nie stać jej było na pokój samodzielny (jak na przykład Zofii z listu), mogła złożyć się z kilkoma koleżankami w podobnej sytuacji.

Wspólne mieszkanie mogło też zapobiegać znanemu już niebezpieczeństwu, z którym miały mierzyć się kobiety samotne, czyli degradacji charakteru. P. H.P. pisała, że „życie samotne ma swoje róże i kolce: daje swobodę, niezależność, sprzyja rozwojowi wrodzonych zdolności, jest wygodne; ale równocześnie [...] może rozwinąć sobkostwo, gorycz, pesymizm, dziwactwa”<sup>97</sup>. Z listów przebija w ogóle przekonanie, że „stare panny” – choć wszyscy zarzekają się, że to określenie nie ma już racji bytu – mierzą się z życiowymi problemami podobnymi do tych w poprzednich pokoleniach. „Starsze panny”<sup>98</sup> (takie określenie proponuje „Lwowianka”) oprócz problemów finansowych, mieszkaniowych i charakterologicznych cierpią na zaburzenia nastroju, samotność i poczucie braku realizacji. Dlatego wiele autorek, tuż po akapicie, w którym

wspominały o tym, jak wspaniała jest niezależność i jak wolna jest współczesna (czyli z czasów międzywojnia) kobieta, proponowały jej alternatywne modele zaspokojenia instynktu macierzyńskiego. Ryszkowska pisała, że należy oddać się pracy społecznej, bo wtedy kobieta ma poczucie, że „jest cegiełką w wielkim domu, który się społeczeństwem zowie”<sup>99</sup>. P. H. P. proponowała, by kobiety niezamężne adoptowały biedne sieroty, „zapewniając im macierzyńskie serce”<sup>100</sup>. Szczyt konserwatywnych fantazji o roli kobiet niezamężnych prezentowała zaś w 1926 roku „Młoda Polka”, w opowiadaniu *Ciocia Isia*.

Ciocia Isia miała około trzydziestu lat, siostrę, szwagra i trzy urocze siostrzenice – czteroletnią Hanię, trzyletnią Irkę oraz piętnastomiesięczną Dusię. Dziewczynki były słodkie, śliczne, mądre i przede wszystkim wpatrzone w Isię. „Ciocia Isia to streszczenie, esencja wszystkiego, co dobre, miłe, radosne – pisała autorka. – Jej rzeczą budować z klocków ogromne wieże, opowiadać bajki, stroić laleczki. Nikt nie umie tak miło huścić ani tak gonić jak ciocia”<sup>101</sup>. Ciocia Isia nie miała też własnej rodziny, a więc często przejmowała opiekę nad siostrzenicami. Tym bardziej że niedługo jej siostra miała urodzić czwarte dziecko, a więc rodzina zdecydowała, że na kilka dni przed porodem przeprowadzi trzy małe dziewczynki do Isi. „Ułożono to dosyć nagle i dopiero potem porozumiano się z Isią. Tak się to już utarło, że dysponowano w takich chwilach jej osobą. Każdy wiedział, że to serce złote się zgodzi”. Ciocia Isia oczywiście była zachwycona. Po to istniała, by opiekować się cudzymi dziećmi, nawet bez uprzedzenia i bez konsultacji. Kilka dni w jej domu minęło dziewczynkom jak najlepsze wakacje, a potem wróciły do siebie, by poznać nowego brata. Siostra Isi była jej ogromnie wdzięczna za pomoc. I planowała korzystać z niej jeszcze częściej w przyszłości. W końcu miała teraz już czwórkę dzieci.

„Chwila zamęścia może daleka i niepewna – podsumowywała autorka artykułu. – Niech skarby uczuć waszych nie leżą odłogiem, ćwiczcie zdolność kochania na dobro drugiej rodziny. Umiećcie zapomnieć o sobie i waszych marzeniach, wy zwłaszcza, które macie siostry zamężne, zastąpcie je, gdy ich maleństwa będą potrzebowały serca i opieki”. „Mają się zmarnować te skarby uczuć, które wasze młode serca przepełniają? –

pytała nastoletnie czytelniczki „Młodej Polki”. – Macie zgorzknieć, sprawić sobie kotka lub papugę i zdziwaczeć, jak osławione w dawnych powieściach stare panny? Ej, co znowu! A może macie powołanie na ciocie, takie dobre, kochane ciocie, które są błogosławieństwem dla rodziny?”.

Ciocia Isia – przekonywała – podobna była do świętej Elżbiety, patronki matek, żon i położnych. Swoim poświęceniem wypełniała więc biblijne powołanie kobiety. Zawarte w źródłach porady i rozterki wskazywały, że mimo ogłoszonej dogłębnej zmiany obyczajowej społeczne postrzeganie, jak i rzeczywiste problemy kobiety niezamężnej nie zmieniły się tak bardzo od XIX wieku. Owszem, większy dostęp do pracy zawodowej i niezależność wynikająca z rozluźnienia obyczajowego powodowały, że po 1918 roku kobiety samotne miały więcej możliwości działania niż wcześniej – przynajmniej jeśli chodzi o te z klasy wyższej. Wzorzec kulturowy pozostał jednak ten sam. Z powodu emancypacji ekonomicznej kobiet formy społecznego nacisku musiały ulec pewnej modyfikacji. Kontrola społeczna, zamiast opierać się na presji finansowej, przechodziła do skrupulatnej oceny stanu psychicznego kobiety niezamężnej. Nie było już sensu grozić samotnym kobietom śmiercią głodową, zamiast tego więc manifestowano agresywną troskę o jakość jej życia jako osoby samotnej. Zamiast zdziwaczenia pisano o „apatii” i „pustce życiowej”; zamiast rozwodzić się nad upokarzającą sytuacją rezydentki, krytykowano nieprzytulne, wynajmowane pokoje i samotnie spożywane posiłki. Jako receptę na te problemy podawano zaś powrót do domu i rodziny – choćby poprzez mieszkanie ze współlokatorkami, adopcję czy darmową pracę opiekuńczą z dziećmi w rodzinie.

## *Kobiety brzydkie i wolne*

W brzydocie, dopóki ona nie graniczy z karykaturą, można znaleźć nawet pewną korzyść w praktycznym życiu<sup>102</sup>.

Przekonywała czytelniczki w 1904 roku Z. N. w artykule *Brzydkie kobiety*.

Jak wolnemi i niezależnemi są takie kobiety i dziewczęta w porównaniu z pięknymi, wiekuistemi niewolnicami swej powierzchowności i strojów! Piękna musi sobie wielu rzeczy odmawiać: [...] spaceru w słoneczny dzień, bo można się opalić i dostać piegów, [...] ulubionych smakołyków, bo można od nich utyć i t.p. Brzydka natomiast oddaje się całą duszą sportowi, [...] a swoboda ta daje jej zdrowie, humor i nieskrępowaną wesołość.

Brzydota miała łączyć się z brakiem społecznych przywilejów, które w ówczesnej rzeczywistości społeczno-ekonomicznej autorka postrzegała jako wstęp do zniewolenia w małżeństwie. Brak zainteresowania ze strony mężczyzny, a co za tym idzie zwolnienie z wyścigu o męskie względy, miało być jedynym gwarantem wolności. Brzydka kobieta mogła doskonalić swój umysł i charakter:

To przekonanie, że musi w życiu liczyć tylko na własne duchowe „ja”, że nie może spodziewać się uprzedzającej grzeczności i pomocy od swych bliźnich, wzmacnia jej charakter, potęguje wolę i działalność.

Brzydota była tu kodem na niezależność. Brzydka kobieta to w istocie taka, która nie musi przejmować się konwenansami obliczonymi na zaspokojenie męskich pragnień. Mogła być wolna.

W prasie międzywojennej łamano sobie głowy nad jeszcze jednym pytaniem – jak powinna być nazywana kobieta, która nie wyszła za mąż? Określenie „stara panna” odrzucano jako silnie nacechowane negatywnymi stereotypami z poprzedniego, choć bardzo nieodległego stulecia.

„Lwowianka” w swoim liście proponowała stosować określenie „starsza panna” (jak „starsza kobieta”), wyważone, ale podkreślające różnicę między młodą dziewczyną szukającą partnera a taką, która już go nie szuka. M. Halicz mówiła, że w Niemczech na niezależną, niezamężną kobietę mówi się „die Junggesellin”<sup>103</sup>, dosłownie przetłumaczone jako „kawalerka”, wskazując tym samym, że status takiej kobiety równy jest pozycji nieżonatego mężczyzny. Maria Czapska z kolei pisała, że należy w ogóle odrzucić jakiegokolwiek określenia wskazujące na stan cywilny kobiety – bo czy mężczyzny ktoś się pyta, czy jest kawalerem, czy też może żonaty? „Nikomiu nie przyjdzie na myśl powiedzieć o nieżonatym mężczyźnie »kawaler X lub Y«. Sprawa stanu cywilnego to sprawa

osobista, która interesować może policję i ludzi z najbliższego otoczenia”<sup>104</sup>.

A może „kobieta wolna”<sup>105</sup>? I. J., autorka artykułu wstępnego w „Świecie Kobięcym” z 1929 roku, proponowała takie właśnie określenie. Martwiła się nieco, ponieważ w ówczesnej nomenklaturze policyjnej „kobieta wolna” znaczyło kobieta żyjąca z mężczyzną bez ślubu, i miało raczej negatywne konotacje, podobnie jak obecnie „konkubina”. Jednak planowała pozostawić takie rozważania „lingwistom” i obstawać przy swoim. Niegdysiejsza stara panna była właśnie wolna – wolna od oczekiwań społecznych, władzy rodzicielskiej, władzy mężowskiej. „Niezamężna kobieta może być szczęśliwą, ma bowiem lepsze warunki życia niż ja – twierdziła – rano idzie ubrana świeżutko do biura (ja wskutek zajęć i kłopotów domowych dopiero koło południa mam czas się ubrać); w biurze ma towarzystwo często interesujące – męskie”. Dalej jej dzień również toczył się swobodnie – po pracy szła na obiad do restauracji (mężatka musiała biedzić się nad jadłospisem i zarządzać służącą), wieczorem zaś do kina, do teatru, gdzie i z kim chciała. Mężatka za to musiała ten czas poświęcać na „obowiązki towarzyskie, reprezentacyjne, najczęściej nudne”.

Niezależność ekonomiczna dawała kobietom wolność, jaką poprzednie pokolenie, dokładnie dwadzieścia pięć lat wcześniej, umiało wyobrazić sobie tylko w przypadku zrzędzenia losu, czyli fizycznej brzydoty. Nieatrakcyjna twarz i figura odstręczała mężczyzn i pozwalała na zachowania wbrew konwenansom. Cios dla wewnętrznej próżności można było łatwo przecierpieć, jeśli w zamian otrzymywało się pewien margines swobody – tak przynajmniej chciała to widzieć autorka artykułu. Córki adresatek listu z „Bluszczu” z 1904 roku mogły zaś cieszyć się wolnością nie dlatego, że żaden mężczyzna ich nie chciał – tylko dlatego, że być może to one nie chciały jego.

Kobieca wolność polegająca na braku męża waloryzowana była jednak niezupełnie pozytywnie. Kobiecie wolnej dokuczała samotność, niezrealizowany instynkt macierzyński, poczucie pustki. Może więc wolność leżała gdzie indziej? „Idealne rozwiązanie tej kwestii – pisała I. J. w „Świecie Kobięcym” – to małżeństwo kobiety samodzielnej i pracującej,



która zarobkuje tak jak jej mąż”. Sytuacja jest wtedy idealna. Kobieta jest niezależna dzięki pracy zawodowej i własnym pieniądзом, a jednocześnie spełnia się w małżeństwie jako żona i matka. Wszystko perfekcyjnie, jak przystało na kobietę nowego stulecia.

„Ale wiemy – niestety – że to idealne rozwiązanie sprawy ma swoje braki – gasiła entuzjazm I. J. – Ten choćby: zwykle mąż pracującej żony nadal i stale nie uważa za stosowne pomagać jej w znoszeniu kłopotów domowych”. Nowoczesna, wolna kobieta przyjmowała więc na siebie podwójną odpowiedzialność. Była idealną panią domu, opiekunką dzieci i męża, a także odnoszącą sukcesy, nowoczesną pracownicą. Godziła karierę z macierzyństwem, do starych ról kulturowych dorzucając nowe, w systemie społecznym równie mało pomocnym kobietom, co zawsze. Zmiana tego systemu miała być zadaniem nowego stulecia.

Zakończenie

## Jak łączysz karierę z macierzyństwem?

„Kobieta jest zerem, jeśli mężczyzna nie stanie obok niej jako cyfra dopełniająca – pisała w 1873 roku Eliza Orzeszkowa. – Patrz na mężczyzn. Każdy z nich żyje na świecie sam przez się, nie potrzebuje, aby dopisywano doń jakąś cyfrę dlatego, aby przestał być zerem”<sup>1</sup>.

Porównanie to nie bez powodu wykorzystuje metaforę matematyczną. W końcu XIX i na początku XX wieku kobiety doświadczały dyskryminacji na wielu płaszczyznach – społecznej, edukacyjnej, politycznej, kulturowej. Zasadnicze źródło problemu, ciągnące za sobą konkretne, marginalizujące skutki, tkwiło jednak w ekonomicznej podległości kobiet wobec mężczyzn. Systemy prawne, różne w trzech zaborach, reformowane zaś po I wojnie światowej w niepodległej Polsce, na wiele sposobów wykluczały kobiety z pełni życia społecznego. Finansowe związanie losu kobiety z mężczyzną będącym jej prawnym opiekunem – ojcem, bratem czy mężem – powodowało zaś, że kolejne zdobycze emancypacji kobiecej nie dawały jej takiej wolności, na jaką miała nadzieję. Prawo posagowe, dostępność kształcenia i pracy zawodowej, prawo dziedziczenia: te wszystkie przepisy przez lata powodowały, że małżeństwo było nie tylko (czy może w ogóle) sposobem na realizację potrzeb emocjonalnych i seksualnych dla kobiet, ale przede wszystkim jedyną nadzieją na stabilizację i bezpieczeństwo finansowe. Srebrny serwis Izabeli Łęckiej przywoływany na początku książki jest symbolem dziewiętnastowiecznego rynku matrymonialnego, na którym głównymi dobrami są kosztowności, drogie pamiątki i zastawiane weksle. Aktywami tymi żonglowali ludzie, którym leżało zwykle na sercu powodzenie związku. Było to rozumiane jednak jako bezpieczeństwo

finansowe czy wysoka pozycja towarzyska, nie zaś małżeństwo z miłości. Jak pisała Agnieszka Graff:

Paradoks tej kultury polegał jednak na tym, że młoda kobieta, której zadaniem było doprowadzenie do wielkiej życiowej transakcji przed ołtarzem – transakcji dotyczącej seksu, pieniędzy i bezpieczeństwa – musiała się przy tym wydawać „niewinna jak dziecko” i „czysta jak kwiat” [...], trzeba złapać męża i zapewnić sobie byt, sprawiając przy tym wrażenie, że wcale, ale to wcale się tego nie chciało, przeciwnie, myślało się tylko o kwiatkach, ptaszkach, falbankach i czwartkowej wizycie u stryjenki Marge<sup>2</sup>.

Uzależnienie finansowe kobiet od mężczyzn miało skutki idące dalej, niż sięgało prawo je sankcjonujące. Industrializacja, rozwój miast, rozrost miejskich klas ludowych, żądania emancypacyjne różnych grup społecznie poszkodowanych – chłopów, proletariatu, Żydów, kobiet – powodowały w mieszczaństwie schyłku XIX wieku przerażenie. W odpowiedzi na ten strach przed nadchodzącą zmianą sztywniały i radykalizowały się konserwatywne normy kulturowe. Ówczesny ideał mieszczańskiej kobiecości – według Barbary Welter zamykający się w czterech przymiotach, czyli gospodarności, uległości, religijności i czystości seksualnej<sup>3</sup> – nie przewidywał alternatywnej drogi życiowej. Kobieta wykluczona z życia zawodowego i politycznego musiała być w narracji konserwatywnej dowartościowana inaczej, a więc przypisano jej zamknięciu w sferze domowej niemal boską rolę. To kobieta miała być aniołem domowego ogniska odpowiedzialnym za szczęście i rozwój dzieci, satysfakcję męża i zbawienie całej rodziny, a w kontekście zaborów również za wychowanie silnych patriotów, którzy mieli odbić ojczyznę wrogom. Dokonać tego miała, nie posiadając żadnych faktycznych narzędzi wpływu na otaczający ją świat. Bez możliwości zarabiania, podpisywania dokumentów prawnych, kształcenia się, mieszkania samodzielnie, decydowania o losie dzieci, jeśli mąż uważał inaczej. Paradygmat miłości romantycznej i macierzyńskiej miał osłodzić ten gorzki los i dać kobiecie poczucie sprawczości, nawet jeśli było ulotne. Jak pisała autorka *Pod sekretem* w 1873 roku:

Gdyby statystyka powodów skłaniających kobiety do małżeństwa mogła się oprzeć na ich tajemnych zeznaniach, gdyby one były dość umysłowo rozwinięte, aby sobie zdawać dokładnie sprawę ze swych wrażeń, pokazałoby się, że na dwa małżeństwa

skojarzone z pobudek serca i rozumu jest pięćdziesiąt, które sobie skojarzył strach samotności, mający potężne, niewyczerpane źródło w niezaradności kobiecej, przybierającej postaci: poświęcenia dla rodziny, chęci zyskania sobie towarzyskiej pozycji, posłuszeństwa woli rodziców, zbyt często niestety uwzględniającej potrzeby życia, z punktu widzenia starości, to jest dbającej tylko o wygody i dostatki finansowe (taki pogląd uchodzi u nas za głos rozumu), wreszcie, urojonej miłości dla niegodnego, na pół nieznanego przedmiotu<sup>4</sup>.

Kobieta niesamodzielna finansowo musiała znaleźć męża. Małżeństwo, a z nim obietnica bezpieczeństwa, liczyło się ponad wszystko – osobiste ambicje, dumę czy preferencje. Poza przypadkami dziedziczek ogromnych fortun na rynku matrymonialnym kobieta nie miała władzy ani pieniędzy, miała za to swoją walutę, czyli młodość i dziewictwo. Najprostszym sposobem na dewaluację kobiety było więc powiedzenie o niej, że jest brzydka lub że nie zachowała dziewictwa. Wówczas taka obelga była nie tylko przykra, lecz także niebezpieczna, bo realnie obniżała szanse kobiety na uzyskanie stabilizacji finansowej, czyli małżeństwo. Kobietę, której nie udało się znaleźć męża, wyśmiewano jako starą pannę. Stara panna była zaś nieprzydatna – bo przecież nie mogła, zamiast wychowywać dzieci, stanowić wartości dodanej na rynku pracy. Oprócz pogardy czekała ją bieda.

W miarę upływu lat sytuacja się zmieniała. Oczekiwanie, że mąż zapewni kobiecie ochronę finansową, przetrwało, ale rozłączyło się z rzeczywistością materialną. Kobiety nie musiały już polegać na męskich członkach rodziny, by przetrwać, jednak ich praca wartościowana była niżej niż męska – czy to w domu, czy poza nim. W 1903 w feministycznym „Nowym Słowie” Käthe Schirmacher pytała: „I czyż jeszcze za dni naszych nie można często usłyszeć, że mąż pracuje za dwoje i że »utrzymuje żonę«? – Nie ma większego fałszu nad ten, nikt nie może pracować za dwoje, a kobieta utrzymuje się sama. Jej praca domowa jest warunkiem koniecznym pracy męża poza domem, kobieta sprawia pół pracy mężczyzny, toteż połowa jego płacy należy się słusznie kobiecie”<sup>5</sup>. Słowa Schirmacher i innych feministek uważane były jednak za skrajność, podobnie jak postulat Kazimierzy Bujwidowej, by opłacać pracę domową kobiet i dawać im za to prawo do emerytury<sup>6</sup>. Praca kobiet nie mogła być

doceniana podobnie jak praca męska – ponieważ wyrwałoby to kobiety spod władzy patriarchalnej, jak to zaczęło się zmieniać po I wojnie światowej.

Przedstawiano wiele powodów, które wpływały na status kobiet, odwoływano się przy tym do tradycji, religii i naturalnych predyspozycji płci pięknej – czy to duchowych, czy fizycznych. Panie z klas posiadających nie mogły być wynagradzane za opiekę nad domem i dziećmi, ponieważ był to ich moralny obowiązek, finansowo niewymierny. Zresztą większość fizycznych prac domowych wykonywała służąca. Kobiety z klasy robotniczej z kolei nie mogły otrzymywać równej płacy za równą pracę, ponieważ były słabsze fizycznie i mniej pojętne niż robotnicy mężczyźni. Gdy pionierki jeszcze przed I wojną światową uczyły się na zachodnich uniwersytetach i szły do pracy umysłowej, gdzie płaca nie zależała od wyrobionych godzin czy wyprodukowanego towaru, konserwatywne społeczeństwo zaczęło kwestionować moralność podejmowania przez kobiety zawodów takich jak prawniczka czy lekarka. W końcu, pracując, musiały zaniedbywać rodziny, a chęć wykonywania pracy umysłowej była wbrew naturze kobiecej. Autor popularnego pamfletu *Nasze kobietki* o lekarkach pisał, że ich chęć do medycyny „jest to wynik spotęgowanego upodobania w nagim ciele, do jakiego dochodzą emancypowane nasze panienki przy pomocy swobodniej wybudującej wyobraźni oraz wyzwolenia”<sup>7</sup>. Inny zwracał uwagę, że kobiety nie mogą być dobrymi pracownicami, ponieważ „każda kobieta, jak wiadomo, jest chorą przez kilkadziesiąt dni w roku, co jest przeszkodą w zajęciach pilnych, terminowych”.

Po I wojnie światowej, wobec rewolucji obyczajowej, gdy praca kobiet się upowszechniła, argumenty ewoluowały po raz kolejny. Coraz rzadziej kwestionowano już w ogóle prawo kobiet do pracy zawodowej, zamiast tego podważano ich zdolność do wywiązywania się z podwójnej roli kulturowej. Prawdziwa kobieta nie musiała już być pobożna, uległa, niewinna i zainteresowana domem – a raczej nie tylko taka. Małżeństwo dalej tkwiło na piedestale jako cel życia, teraz już nie finansowy, ale emocjonalny. Prawdziwą kobiecość udowadniały te kobiety, które idealnie wywiązywały się ze swoich obowiązków domowych oraz zawodowych.

Wszystko to wydawało się niezwykle postępowe, jednak u podłoża wymagań wobec kobiet leżało wciąż to samo pragnienie – ekonomicznej kontroli nad jej losem. Jeśli kobieta chciała być dobrą matką, żoną, a jednocześnie pracownicą, nie mogła zarabiać tyle samo co mężczyzna – bo wcześniej wracała do domu, opiekowała się dziećmi, poświęcała uwagę innym sprawom niż kariera. Wszystko to przy żadnej bądź minimalnej pomocy systemu opieki społecznej w rodzaju urlopów macierzyńskich czy państwowych żłobków. Pytanie: „jak łączysz karierę z macierzyństwem?” stało się pozornym wyrazem troski, tak naprawdę jednak było i jest narzędziem do dyscyplinowania jednostek niewypełniających niemożliwych oczekiwań społecznych.

# Bibliografia

## Źródła

- „Bocian” 1897, nr 13–14  
„Bocian” 1900, nr 5  
„Kurier Codzienny” 1885, nr 277  
„Kurier Warszawski” 1887, nr 357a  
„Tygodnik Małżeński” 1913, nr 3, 5, 7, 10, 14  
„Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1, 3, 4, 6  
*66te zdanie sprawy z działań i obrotu funduszków Warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńności za rok 1880*, Warszawa 1881  
Als., *Słówko przestrogi*, „Pracownica Katolicka” 1917, nr 8  
Bałucki Michał, *Album kandydatek do stanu małżeńskiego. Z notat starego kawalera*, Kraków 1877  
Baronowa Staffe, *Zwyczaje towarzyskie*, Lwów 1898  
Bartoszewicz Kazimierz, *Kwestionariusz małżeński*, Kraków 1901  
Bebel August, *Kobieta i socjalizm*, Warszawa 1907  
Bederska Elżbieta, *Dobra służąca, czyli co powinnam wiedzieć o służbie i na służbie? Poradnik dla służących*, Poznań 1909  
*Biuro Informacyjne o nędzy wyjątkowej*, „Przegląd Katolicki” 1870, nr 36  
Blaschko Alfred, *Prostytucja współczesna*, Warszawa 1907  
Bliziński Józef, *Panna z posagiem*, Lwów i Warszawa 1890  
Borel de la Prévostière, *Kobieta jako gospodyni domu, współpracownica rolnika i właściciela, dzierżawcy czy zagrodnika. Starania około domu i gospodarstwa, higiena ludzi i zwierząt*, przeł. Emilia Węsławska, Warszawa 1910  
Boy-Żeleński Tadeusz, *O Krakowie*, red. Henryk Markiewicz, Warszawa 1974  
Brodowska Teofila, *Kobieta w rodzinie. Szkic moralności praktycznej naszych matek*, Warszawa 1879  
Brodowska Teofila, Brodowski Feliks, *Kobieta w rodzinie. Szkic moralności praktycznej naszych matek*, Warszawa 1925  
Brontë Charlotte, *Dziwne losy Jane Eyre*, przeł. Teresa Świdorska, Warszawa 2016  
Bruehlowa Emilia, *Szkoła służących im. św. Kingi*, „Dobra Gospodyni” 1907, nr 50

- Bujwidowa Kazimiera, *Przypisek redakcji do „Ekonomicznej strony kwestii kobiecej” autorstwa Felicji Nossig, 1903 [w:] Chcemy całego życia. Antologia polskich tekstów feministycznych z lat 1870–1939, red. Aneta Górnicka-Boratyńska, Warszawa 1999*
- Burtynikas Władysław, *W pogoni za posagiem*, Warszawa 1884
- Carnegie Andrew, *Państwo interesu*, przeł. Stefan Barszczewski, Warszawa 1904
- Cel i zamiary swatki*, „Swatka” 1931, nr 1
- Chociszewski Józef, *Przewodnik do pisania listów miłosnych, tyczących się ożenienia i zamążpójścia, z dodaniem Wieszcziarki, Rozmowy kwiatami i znaczkami pocztowymi, Abecadła miłości, tudzież wierszy i piosenek dla kochanków i narzeczonych*, Bytom 1900
- , *Róże i niezapominajki. Książeczka dla serc kochających a szczególnie dla narzeczonych*, Poznań 1883
- Co słycać w świecie?*, „Przyjaciół Sług” 1898, nr 11
- Co tam słycać w świecie?*, „Przyjaciół Sług” 1900, nr 4
- Czapska Maria, *O kobietach zamężnych i niezamężnych*, „Kobieta Współczesna” 1931, nr 11
- Czechówna Aleksandra, *Dziennik, 1900, za: Monika Śliwińska, Panny z Wesela. Siostry Mikołajczykówny i ich świat*, Kraków 2020
- Ćwierczakiewiczowa Lucyna, *Kalendarz na rok 1876. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1876
- , *Kalendarz na rok 1878. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1878
- , *Kalendarz na rok 1895. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1895
- , *Kurs gospodarstwa miejskiego i wiejskiego dla kobiet*, Warszawa 1899
- , *Z wiosnianych moich lat. Moja pierwsza i ostatnia miłość [w:] Kalendarz na rok 1881. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1881
- Dissłowa Maria, *O nauce gospodarstwa domowego w Kuźnicach*, Lwów 1906
- Do Czytelników i Czytelniczek*, „Fortuna Versal” 1927, nr 76
- Do Redakcji Wiadomości Matrymonialnych Częstochowa*, „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1
- Dokumenty członków Dąbskiej Kasy Posagowej „Wesele”*, Archiwum Państwowe w Poznaniu, Oddział w Koninie, sygn. 54/13/0/-/3097
- Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 205, 207, 235, 334
- Drobizgi*, „Fortuna” 1885, nr 15
- Dział inseratowy matrymonialny*, „Swatka” 1931, nr 1
- Dział Matrymonialny. Uwagi ważne dla wszystkich. Ogłoszenia*, „Marzenie: Rêverie” 1932, nr 1
- Dziesięć przykazań dla pokojówek*, „Przyjaciół Sług” 1898, nr 5
- Dziewicka Aniela, *Ze stowarzyszenia św. Zyty*, „Przyjaciół Sług” 1900, nr 11
- Flirciarz, *Z duchem czasu*, „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 1



- Forster Karol, *Klasom pracującym polskim sześć książeczek przynosi szczerzy ich przyjaciel Karol Forster. Książeczka 10. O przeznaczeniu kobiet. Przemysłowe wychowanie kobiet w Paryżu*, Berlin 1868
- Franke Jerzy, *Lucyna Ćwierczakiewiczowa*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej” 1992, nr 31
- Gella Jan, *Swatka*, Lwów 1922
- Gerlachowa Lucyna, *Stara panna a kobieta niezamężna*, „Kobieta w Świecie i w Domu” 1929, nr 6
- Geyer Helena, *Z mojego życia*, Łódź 2001
- Giedroyc Franciszek, *Prostytutki jako źródło chorób wenerycznych w Warszawie (w ciągu ostatnich lat kilku)*, Warszawa 1892
- Głos czytelniczek z powodu artykułu „Stara panna”*, „Dobra Gospodyni” 1901, nr 46
- Gomulicki Wiktor, *Do niej i do niego. Pogadanki na temat małżeństwa*, Warszawa 1896
- Gottlieb Róża, *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie*, „Nowe Słowo” 1904, nr 9
- , *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie. Handlowczynie*, „Nowe Słowo” 1904, nr 8
- , *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie. Pracownice krawieckie*, „Nowe Słowo” 1904, nr 9
- , *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie. Szwaczki*, „Nowe Słowo” 1904, nr 10
- Górska Maria, *Gdybym mniej kochała. Dziennik lat 1896–1906*, Warszawa 1997
- Górski Józef, *Posąg w kominie*, Poznań 1886
- Grotowski Żeliszaw, *Rozwój zakładów dobroczynnych w Warszawie*, Warszawa 1910
- Gumplowicz Bronisław, *Czy pani chce wyjść za mąż? Sto poufnych rad dla panien na wydaniu*, Warszawa 1938
- Halicz M., *Stare panny*, „Kobieta Współczesna” 1931, nr 3
- Humor i satyra*, „Biesiada Literacka” 1901, nr 34
- I. J., *Kobieta wolna*, „Świat Kobiocy” 1929, nr 9
- Ilnicka Maria, *Narieczona. Listy do narzeczonej przez Juliana Mohorta*, „Bluszcz” 1884, nr 47
- , *Pani Maria czy Marysia*, „Bluszcz” 1904, nr 22
- , *Panny bawiące [w:] Lucyna Ćwierczakiewiczowa, Kalendarz na rok 1878. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1878
- , *Schronienie dla nauczycielek*, „Bluszcz” 1882, nr 29
- J. R., *Stara panna*, „Dobra Gospodyni” 1901, nr 43
- Janka K., *Mąż nie winien, kłótnia nie pomoże*, „Głos Kobiet” 1937, nr 4
- Jastrzębska Natalia, *Jak pogodzić pracę zawodową z obowiązkami domowymi*, Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego przy Tow. Wyd. „Bluszcz” 1930, nr 4
- Jedna z Matek, *Z koła czytelniczek i czytelników. W sprawie uświadamiania młodzieży*, „Dobra Gospodyni” 1904, nr 1

Jedna z Panien, *W sprawie tak zwanego uświadamiania młodzieży. List II*, „Dobra Gospodyni” 1904, nr 10

Józef Bernat–biuro matrymonialne, Archiwum Państwowe w Poznaniu, sygn. 53/474/0/18.18/11461

Julia Tetmajerowa do Kazimierza Tetmajera, 31 VIII 1891 r., Biblioteka PAU i PAN w Krakowie

Julia Tetmajerowa do Kazimierza Tetmajera, VIII 1893 r., Biblioteka PAU i PAN w Krakowie

Juliana, *The Improvement Circle*, „Voice of Industry” 1846, no. 52

Junosza-Nałęcz A., *Bez posagu*, „Dobra Gospodyni” 1903, nr 52

K., *Nie czeka na męża*, „Głos Kobiet” 1936, nr 4

Kamiński Jan Maurycy, *Panna, mężatka i wdowa wobec prawa. Odczyt publiczny*, „Bluszcz” 1892, nr 23, 24, 25

Kamiński Mścisław, *Kobieta, miłość i małżeństwo, czyli Zbiór zdań, myśli i epigramatów najslawniejszych pisarzy, poetów i filozofów, o kobiecie dziewicy, mężatce, matce i przyjaciółce*, Warszawa 1873

Kamiński Stanisław, *Od redakcji*, „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 1

*Kobieta w XX wieku*, „Bluszcz” 1892, nr 4

*Konkurs na najlepiej prowadzoną książkę rachunkową*, „Bluszcz” 1930, nr 43

Konopnicka Maria, *Improwizacja miłosierdzia*, „Świt” 1887, nr 146

Kopeć Jadwiga, *Dziecko dawnej Warszawy*, Warszawa 1963

Kotarbińska Lucyna, *Moje domownice*, około 1922, Biblioteka Narodowa w Warszawie, rękopis

Kotwicz M., *W sprawie uświadamiania młodzieży. List IV*, „Dobra Gospodyni” 1904, nr 14

Kowerska Zofia, *O wychowaniu macierzyńskim*, Warszawa 1893

Kozłowska-Budkowa Zofia, *Wspomnienia z lat 1893–1923*, Kraków 2018

Koźmian Stanisław, *Kuzynka bez posagu*, Poznań 1868

Krumłowski Konstanty, *Przewodnik zakochanych, czyli Jak zdobyć szczęście w miłości i powodzenie u kobiet?*, Warszawa 1908

Krzywicka Irena, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 2002

Ks. J. B., *Żywot św. Chrystyny sługi panny*, „Przyjaciel Sług” 1900, nr 8

—, *Żywot św. Duli, panny i sługi*, „Przyjaciel Sług” 1900, nr 11

Ks. Jozafat Żyskar, *Kilka myśli o prostytutce*, „Czystość” 1905, nr 4

*Książka Rachunkowa. Poradnik pani domu*, nakładem „Przeglądu Kobiecego”, Warszawa 1938

*Książkowość domowa*, „Gazeta dla Kobiet” 1909, nr 24

Kunicki Leon, *Żona posażna*, „Kłosa” 1868, nr 164

L. Cz., *Ot, dlaczego się nie żenią*, „Kurier Codzienny” 1888, nr 207

Lange Józef, *O prawach kobiety jako żony i matki*, Warszawa 1907

Laskowska Irena, *Organizacja pracy*, Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego przy Tow. Wyd. „Bluszcz” 1930, nr 16

Le Bon Gustave, *Psychologia tłumy* (1899), przeł. Bolesław Kaprocki, Warszawa 1997

List do młodej osoby, „Bazar” 1865, nr 2

List Włodzimierza Tetmajera do Konstantego Górskiego, za: Monika Śliwińska, *Panny z Wesela. Siostry Mikołajczykówny i ich świat*, Kraków 2020

Lokale, „Kurier Warszawski” 1890, nr 235

Lombroso Cesare, *Kobieta jako zbrodniarka i prostytutka. Studia antropologiczne poprzedzone biologią i psychologią kobiety normalnej*, przeł. Izydor Izaak Szenhak, Warszawa 1895

Lucjan Rydel do Heleny Rydlowej, 20 VII 1900 r., archiwum rodziny Rydlów, za: Monika Śliwińska, *Panny z Wesela. Siostry Mikołajczykówny i ich świat*, Kraków 2020

Lucjan Rydel do Ferdynanda Hoesicka, 10 X 1900 r., Biblioteka Narodowa

Lucjan Rydel do Franciszka Vondráčka, 10 X 1900 r., za: Józef Dużyk, *Z korespondencji literackiej Lucjana Rydla*, „Rocznik PAN”, t. 9, 1963

Lwowianka, *Nasza mównica*, „Bluszcz” 1928, nr 52, 53

*Mały Rocznik Statystyczny 1931*, red. Edward Szturm de Sztrem, Warszawa 1931

*Mały Rocznik Statystyczny GUS 1939*, red. Edward Szturm de Sztrem, Warszawa 1939

Majmeskuł-Mastalerzowa Zofia, *Moje wspomnienia. Wspomnienia pierwszej absolwentki Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego*, oprac. Urszula Perkowska, „Krakowski Rocznik Archiwalny” 2006, nr 12

Mandukowa Iza, *Rachunkowość*, Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego przy Tow. Wyd. „Bluszcz” 1931, nr 20

Menu, Restauracja Victoria, Jasna 26, 1934 r.

Męczkowska Teodora, *Służące a prostytutka*, Warszawa 1906

Międzynarodowy „Rejestr”, „Fortuna” 1923, nr 36

Mildred J., *Jak zdobyć męża? Tragedia samotności kobiecej*, Warszawa 1930

Miłkowski Jan, *Sztuka wydania się za mąż w jak najkrótszym czasie. Praktyczny i niezawodny przewodnik, dający każdej kobiecie możliwość zdobycia sobie takiego męża, jakiego pragnie*, Warszawa 1867

Mniszkówna Helena, *Trędowata*, Kraków 1972

*Moje służby. Dziennik Marcysi poprawiony z rękopisu*, red. Cecylia Walewska, Warszawa 1905

Moszczeńska Izabela [Iza], *Błąd zasadniczy*, „Nowe Słowo” 1903, nr 23

—, *Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna*, Warszawa 1904

—, *Czego nie wiemy o naszych synach*, Warszawa 1904

—, *Kobieta i opinia*, „Nowe Słowo” 1903, nr 13

Moszyńska Irena, *O pracy kobiet zamężnych w fabrykach*, „Robotnik Polski” 1906, nr 10

Napier. Zosia, *Mieszkam kątem*, „Głos Kobiet” 1937, nr 1

*Nasze marzenie*, „Marzenie” 1930, nr 1

Niewiarowski Aleksander, *Galeria panien*, Warszawa 1855  
Ochorowicz Julian, *Listy. Do przyszłej narzeczonej*, Warszawa 1898  
*Od redakcji*, „Alians” 1931, nr 1  
*Od redakcji*, „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 1  
*Od redakcji*, „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1  
*Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 2–5, 8–11, 47; 1911, nr 5, 39  
*Ogłoszenia matrymonialne. Uwagi dla Czytelników*, „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1  
*Ogłoszenia towarzyskie*, „Fortuna Versal” 1926, nr 72; 1927, nr 76–78  
*Ogłoszenia towarzyskie*, „Fortuna” 1885, nr 27; 1923, nr 31, 36; 1932, nr 8  
*Ogłoszenia towarzyskie*, „Versal” 1923, nr 42  
*Okruchy*, „Bocian” 1900, nr 5  
Olivia, Lowell, „Voice of Industry” 1845, nr 17  
Oppman Artur, *Moja Warszawa. Obrazki z dawnych lat*, Warszawa 1929  
Orzeszkowa Eliza, *Autobiografia w listach*, Warszawa 1910  
—, *Kilka słów o kobietach*, Warszawa 1873  
—, *Marta*, Warszawa 1949  
—, *Pamiętnik*, „Literatura i Sztuka” 1911, nr 9  
—, *Pieśń przerwana*, Warszawa 1896  
*Ostrzeżenie*, „Fortuna Versal” 1927, nr 36  
Ozdowska Zofia, *Twoje życie*, „Młoda Polka” 1929, nr 6  
P. z P. B., *Przewodnik życia światowego*, Warszawa 1900  
P., *Kilka uwag o starych pannach*, „Dom Polski” 1888, nr 34  
P. H.P., *Nasza mównica*, „Bluszcz” 1929, nr 4  
*Pamiętniki bezrobotnych*, red. Ludwik Krzywicki, Warszawa 1933  
*Panna Lodzia*, „Bocian” 1896, nr 2  
Pawęczak Władysława, *Ujemne i dodatnie strony stanowiska służącej wobec stanowiska pracownicy fabrycznej*, „Gazeta dla Kobiet” 1909, nr 4  
Perlmutter Salomea, *Położenie robotnic chrześcijańskich we Lwowie. Pracunki i prasowaczki*, „Nowe Słowo” 1903, nr 9  
Pilawa, *Teatry miejskie. Teatr letni*, „Dziennik Wileński” 1933, nr 15  
Płaskowski Włodzimierz, *Do warszawskiej panny, kształcącej się po trochu na koncertantkę, filozofkę, powieściopisarkę, prelegentkę, słowem na wszystko, tylko nie na gospodarną żonę*, „Kurier Świąteczny” 1875, nr 24  
*Pod sekretem. Wycieczka w świat kobiety*, red. „Przeglądu Tygodniowego”, Warszawa 1873  
*Podarek ślubny, czyli rady przed ślubem dla nowożeńców, rady po ślubie dla małżonków, z przykładami i modlitwami*, Gniezno 1886  
Podhorska-Okołów Joanna, *Schronienie dla nauczycielek*, „Bluszcz” 1902, nr 44  
*Pokłosie*, „Kłosa” 1874, nr 463  
*Pośrednictwo małżeństw w Polsce i na Zachodzie*, „Mariaż” 1929, nr 1

Potocka Anna, *Mój pamiętnik*, Kraków 1927

Prądzyński Edward, *O prawach kobiety*, Warszawa 1873

Prus Bolesław, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny” 1875, nr 102; 1881, nr 285; 1887, nr 14; 1888, nr 208; 1898, nr 44, 351

—, *Kronika tygodniowa*, „Nowiny” 1882, nr 187

—, *Lalka*, Kraków 2002

R. G., *Ciocia Isia*, „Młoda Polka” 1926, nr 10

Rada Miejska Warszawska Dobroczyńności Publicznej, „Kurier Codzienny” 1889, nr 351

Redakcja, *Do P. T. Czytelniczek i Czytelników*, „Alians” 1931, nr 1

Redakcja, *Od redakcji*, „Głos Serca” 1927, nr 1

Redakcja, *Od redakcji*, „Przyszłość Zapewniona” 1930, nr 1

Reichsteinowa Wanda, *Poradnik dla młodych osób w świat wstępujących. Ułożony dla użytku tychże*, Poznań 1891

*Rejestr alfabetycznych członków bałuckiej kasy posagowej 1903–1905*, Archiwum Państwowe w Łodzi, sygn. 39/480/19

Rey Mieczysław, *Polowanie na posag*, Kraków 1914

Rey Rita, *Pamięci starej panny. Nekrolog*, „Świat Kobiety” 1929, nr 4

Reymont Władysław, *Ziemia obiecana*, Kraków 2008

Riedl Kazimierz, *Pamiętka dla dziewcząt służących i pracujących osobliwie po miastach*, Warszawa 1892

Rom. E., *Wstydlivość kobiet*, „Fortuna” 1923, nr 41

Römer Michał, *Dzienniki 1931–1938*, t. 5, Warszawa 2018

—, *Miłość z lupanaru*, Warszawa 2019

Rosmarin Seweryn, *Pośrednictwo przy zawieraniu małżeństw. Konkubinat*, Kraków 1938

Rościszewski Mieczysław, *Księga obyczajów towarzyskich*, Lwów 1905

—, *Pani domu. Skarbiec porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów*, Warszawa 1904

Rychłowski Edward, *Kierunek naszego pisma, jego tytuł, matrymonialne ogłoszenia i ich znaczenie*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 42

Ryszkowska Helena, *Jak walczyć z apatią*, „Bluszcz” 1929, nr 10

Rzętkowski Stanisław, *Jak tam wesoło!*, „Tygodnik Ilustrowany” 1874, nr 24

Sansgêne Marie, *Wspomnienia z młodości ubogiej służącej*, przeł. Janusz Mosakowski, Gdańsk 2019

Schirmacher Käthe, *Praca kobiet i ochrona robocza*, „Nowe Słowo” 1903, nr 16

Szaniecki Stanisław, *Córka swatką*, Toruń 1882

Sempołowska Stefania, *Z dna nędzy*, Warszawa 1909

*Skromne życzenie*, „Bocian” 1925, nr 8

Słomka Jan, *Pamiętniki włościanina. Od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, Kraków 1912

*Służba nie poniża*, „Pracownica Katolicka” 1915, nr 6

Spirydion (Edward Lubowski), *Kodeks światowy, czyli znajomość życia we wszelakich stosunkach z ludźmi*, Warszawa 1892

*Starzy kawalerowie. Ankieta*, „Dziennik Polski” 1898, nr 135–137, 143, 174  
*Straszny niewiastobójca Hugo Schenk i jego współnicy. Dokładna historia ich życia i wszystkich morderstw, jakoteż ostatecznego losu i stracenia*, Cieszyn 1891  
Strumff Jadwiga, *Spostrzeżenia nad ludźmi. Szczere wyznania massażystki*, Warszawa 2021  
Strzelecka Janina, *Kobieta wczoraj i dziś*, „Bluszcz” 1929, nr 25  
—, *Nasze córki*, „Bluszcz” 1931, nr 5  
*Swatka*, „Swatka” 1930, nr 1  
Sz., *Pani Maria czy Marysia? (Słów parę w kwestii sług)*, I, „Bluszcz” 1904, nr 20  
*Szkoła praktyczna dla służących w Dobrojewie*, „Przyjaciel Sług” 1901, nr 7  
*Światła i cienie*, „Wędrowiec” 1895, nr 6  
Tarnowski Stanisław, *O pośmiertnych komediach Aleksandra Fredry*, „Kronika Rodzinna” 1878, nr 10  
*The Spinster’s Prize*, „Tit-Bits”, 27 kwietnia 1889  
Topas-Bernsteinowa Emilia, *Korespondencje*, „Ster” 1897, nr 20  
Tropaczyńska Wera, *Nasza mównica*, „Bluszcz” 1929, nr 2  
*Trzeci głos z powodu artykułu „Stara panna”, „Dobra Gospodyni”* 1901, nr 48  
Turzyna Maria, *Mężna niewiasta*, „Nowe Słowo” 1903, nr 23  
—, *Wyzwolenie ekonomiczne kobiety*, „Nowe Słowo” 1902, nr 7  
Ulanicka Michalina, *Poradnik służby domowej*, Warszawa 1930  
*Ustawa Kieleckiej Kasy Posagowej „Wesele”*, Kielce 1903  
*Ustawa Łódzkiej Kasy Posagowej*, Łódź, rękopis z Teki Tadeusza Regera, TR NO 020, przed 1917 r.  
*Ustawa Warszawskiej Kasy Posagowej „Małżeństwo”*, Warszawa 1904  
*Ustawa Warszawskiej Kasy Posagowej „Wesele”*, Warszawa 1902, za: Mieczysław Rościszewski, *Pani domu. Skarbnik porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów*, Warszawa 1904  
*Vox Populi, Factory Girl’s Savings*, „Voice of Industry” 1845, no. 18  
*W dzieciennym pokoju*, „Bocian” 1909, nr 2  
*W salonie*, „Fortuna” 1885, nr 26  
W. T., *Z sądów. Z dramatów życiowych*, „Kurier Warszawski” 1903, nr 313  
Walewska Cecylia, *Sługi i panie*, „Tygodnik Ilustrowany” 1903, nr 7  
*Wiadomości bieżące*, „Fortuna” 1885, nr 16  
*Wiadomości miejscowe*, „Gazeta Kielecka” 1904, nr 36  
*Wiadomości*, „Biesiada Literacka” 1904, nr 21  
Wieniarski Antoni, *Szwaczka warszawska*, Poznań 1913  
Więckowska Halina, *Wspomnienie pośmiertne. Adw. Helena Wiewiórska*, „Palestra” 1967, nr 6  
Wiryliś, *Nasze kobietki*, Warszawa 1893  
Wiśniewska Dorota, *Intercyza Matyldy Scheibler*, „Studia z Dziejów Państwa i Prawa Polskiego” 2007, t. 10

Wniosek Marii Jabłonowskiej o pozwolenie na posiadanie i uruchomienie w Warszawie biura matrymonialnego, Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, sygn.1/247/0/2/5371

Wolberg Ludwik, *Choroby robotników i zaradcze przeciw nim środki*, dodatek miesięczny do „Przeglądu Tygodniowego” 1883, nr 3

Wyciąg z głównej księgi biura pośrednictwa małżeństw, „Bocian” 1910, nr 19

Wytłómaczył się, „Bocian” 1904, nr 16

Wzięta w kilku słówkach – rzecz o pokojówkach, „Bocian” 1904, nr 19

Wzorowe sługi, „Przyjaciel Sług” 1901, nr 5

Z kwestii murzyńsko-zoologicznych, „Fortuna” 1885, nr 29

Z testamentu dobrej matki, „Bocian” 1904, nr 17

Z ufności w imię Boże!, „Przyjaciel Sług” 1900, nr 1

Z wesołego świata, „Fortuna” 1885, nr 11

Z. N., *Brzydkie kobiety*, „Bluszcz” 1904, nr 3

Zagon Stefan, *Bez posagu... ożenić się nie mogę!*, Bydgoszcz 1931

Zakład Kórnicki. *Szkoła domowej pracy kobiet*, Miejsce Piastowe 1891

Zamoyska Jadwiga, *O pracy*, Poznań 1902

—, *Wspomnienia*, Londyn 1961

Zapolska Gabriela, *Moralność pani Dulskiej*, Warszawa 1907

Zawadzki M. A., *Przewodnik zakochanych*, Warszawa 1903

Ze świata handlowego, „Fortuna” 1885, nr 33

Zero (Maria Konopnicka), *Rachunki*, „Świt” 1885, nr 17

Ziółek Jan, *Zakład Kórnicki. Szkoła domowej pracy kobiet w Kuźnicach do 1923 r.*, „Roczniki Humanistyczne” 1995, nr 2

Zubowski Kasper, *Ciocia swatka*, Kraków 1861

## Opracowania

Bachórz Józef, *O pieniądzach i kwestiach ekonomicznych w Lalce Bolesława Prusa* [w:] *Pieniądz w literaturze i teatrze. Materiały z sympozjum „Temat pieniądza w literaturze i teatrze”*, red. Józef Bachórz, Sopot 2000

Barbasiewicz Maria, *Ludzie interesu w przedwojennej Polsce. Przedsiębiorcy, filantropi, kapitaliści*, Warszawa 2020

Berbelska Dorota, Michalska-Szałacka Magdalena, *Herbstowie. Historia fabrykantów*, Łódź 2019

Bołdyrew Aneta, *Společne inicjatywy na rzecz organizacji opieki socjalnej nad ludźmi starymi w Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX wieku. Zarys problematyki*, „Biuletyn Historii Wychowania” 2019, nr 41

- Delap Lucy, *Knowing Their Place. Domestic Service in Twentieth-Century Britain*, Oxford 2011
- Gawin Magdalena, *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego (1880–1952)*, Warszawa 2003
- Graff Agnieszka, *Świat bez kobiet*, Warszawa 2001
- Hobot-Marcinek Joanna, *Nowy, lepszy wiek XIX – kloszardki i megierzy doby industrializacji [w:] Anty-Beatrycze. Studia nad kulturową historią obrazu pijanej i szalonej staruchy*, red. Joanna Hobot-Marcinek i in., Kraków 2016
- Ihnatowicz Ireneusz, *Obyczaj wielkiej burżuazji warszawskiej w XIX wieku*, Warszawa 1971
- Imperium rodziny Poznańskich w Łodzi*, red. Andrzej Machejek, Łódź 2010
- Jabłonowska Zofia, *Rodzina w XIX i na początku XX wieku [w:] Przemiany rodziny polskiej*, red. Jadwiga Komorowska, Warszawa 1975
- Janiak-Jasińska Agnieszka, *O jakim mężu myśle? Oferta małżeńska kobiet i ich oczekiwania w świetle anonsów matrymonialnych z początku XX wieku [w:] Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarc, Warszawa 2004
- Jaworski Wojciech, *Materiały do dziejów kas pogrzebowych i posagowych*, „Kwartalnik Historyczny” 2004, nr 3
- Kalinowska-Witek Barbara, *Rola, zadania i pozycja społeczna mężczyzny i kobiety w rodzinie w świetle wybranych czasopism kobiecych z lat 1864–1914*, „Wychowanie w Rodzinie” 2014, nr 2
- Kałwa Dobrochna, *Kobieta aktywna w Polsce międzywojennej. Dylematy środowisk kobiecych*, Kraków 2001
- , *Polska doby rozbiorów i międzywojenna [w:] Obyczaje w Polsce. Od średniowiecza do czasów współczesnych*, red. Andrzej Chwalba, Warszawa 2004
- Kazimierski Józef, *Dzieje zakładów żyrardowskich i ich załogi w latach 1829–1885*, Ciechanów 1984
- Kolińska Krystyna, *Orzeszkowa, złote ptaki i terroryści*, Warszawa 1996
- Kozłowski Mieczysław, *Dzieje firmy E. Wedel*, Warszawa 1993
- Kuciel-Frydryszak Joanna, *Służące do wszystkiego*, Warszawa 2018
- Kwiatek Anna, *Sublokatorski kąt, kawalerska kuchnia, dom społeczny, czyli gospodarstwo domowe kobiety samotnej w świetle prasy kobiecej dwudziestolecia międzywojennego [w:] Kobieta w gospodarstwie domowym. Ziemia polskie na tle porównawczym*, red. Katarzyna Sierakowska, Grażyna Wyder, Zielona Góra 2012
- Kwiatek Anna, *„Zmarło się starej pannie”. Rola społeczna kobiety niezamężnej w świetle prasy polskiej dwudziestolecia międzywojennego [w:] Procesy socjalizacji w Drugiej Rzeczypospolitej 1914–1939. Zbiór studiów*, red. Anna Landau-Czajka, Katarzyna Sierakowska, Warszawa 2013
- Łupienko Aleksander, *Koszty związane z wynajmem mieszkania w Warszawie 1864–1914*, „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej” 2014, nr 1



- Martuszevska Anna, Pyszny Joanna, *Romanse z różnych sfer*, Wrocław 2003
- Napierała Anita, *Dlaczego się nie żenią? O przyczynach starokawalerstwa w humorystycznych narracjach polskich publikacji popularnych od drugiej połowy XIX do początku XX wieku* [w:] *Życie prywatne Polaków w XIX wieku*, red. Marta Korybut-Marciniak, Marta Zbrzeźniak, Olsztyn 2014
- Nietyksza Maria, *Ludność Warszawy na przełomie XIX i XX wieku*, Warszawa 1971
- Piotrowska-Marchewa Monika, *O służących i ich pracodawczyniach w Warszawie początku XX wieku na podstawie powieści Cecylii Walewskiej „Moje służby. Dziennik Marcysi”* [w:] *Kobieta w gospodarstwie domowym, ziemie polskie na tle porównawczym*, red. Katarzyna Sierakowska, Grażyna Wyder, Zielona Góra 2012
- Poniat Radosław, *Służba domowa w miastach na ziemiach polskich od połowy XVIII do końca XIX wieku*, Warszawa 2014
- Pruss Witold, *Ludność Królestwa Polskiego 1864–1914*, Warszawa 2019
- Przybylska Renata, *Językowy obraz „starej pijanej kobiety” w polszczyźnie* [w:] *Stara rebeliantka. Studia nad semantyką obrazu*, red. Sebastian Borowicz i in., Kraków 2010
- Rzepniewska Danuta, *Przemiany w rodzinie ziemiańskiej Królestwa Polskiego* [w:] *Dwór polski w XIX wieku. Zjawisko historyczne i kulturowe*, red. Anna Gogut, Warszawa 1990
- Sikorska-Kowalska Marta, *Pozycja i rola kobiety w małżeństwie na przykładzie burżuazji łódzkiej przełomu XIX i XX wieku (w świetle wspomnień Heleny Anny Geyer i Marii Eiger-Kamińskiej)* [w:] *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarc, Warszawa 2004
- Sobczak Anna, *Idealny typ życiowej partnerki i partnera w świetle anonsów matrymonialnych zamieszczonych na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w 1918 roku* [w:] *Społeczeństwo–Polityka–Kultura. Studia nad dziejami prasy w II Rzeczypospolitej*, red. Tomasz Sikorski, Szczecin 2006
- Stańczak-Wiślicz Katarzyna, *Socjalizacja do roli nowoczesnej żony i matki na łamach pism kobiecych okresu dwudziestolecia międzywojennego* [w:] *Procesy socjalizacji w Drugiej Rzeczypospolitej 1914–1939. Zbiór studiów*, red. Anna Landau-Czajka, Katarzyna Sierakowska, Warszawa 2013
- Stefański Krzysztof, *Wielkie rody fabrykanckie w Łodzi i ich rola w ukształtowaniu oblicza miasta. Geyerowie, Scheiblerowie, Poznańscy, Heinzlowie, Kindermannowie*, Łódź 2014
- Sztokfisz Marta, *Pani od obiadów. Lucyna Ćwierczakiewiczowa, historia życia*, Kraków 2018
- Szumlewicz Katarzyna, *Miłość i ekonomia w literackich biografiach kobiet*, Warszawa 2017
- Śliwińska Monika, *Panny z Wesela. Siostry Mikołajczykówny i ich świat*, Warszawa 2020
- Świątek Tadeusz Władysław, *Rody starej Warszawy*, Warszawa 2000
- Urbanik-Kopeć Alicja, *Instrukcja nadużycia. Historie kobiet służących w dziewiętnastowiecznych domach*, Warszawa 2019

- Walas Teresa, *Posłowie* [w:] Helena Mniszkówna, *Trędowata*, Kraków 1972
- , *Zagadka Trędowatej* [w:] *Lektury polonistyczne. Od realizmu do preekspresjonizmu*, red. Gabriela Matuszek, t. 2, Kraków 2001
- Welter Barbara, *The Cult of True Womanhood*, „American Quarterly” 1966, no. 2
- Wierzbicka Maria, *Kilka uwag o kobiecie samotnej w XIX wieku* [w:] *Kobieta i rewolucja obyczajowa. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarc, Warszawa 2006
- Zacharska Jadwiga, *Kariery dziewcząt z mieszczańskiego domu w literaturze drugiej połowy XIX i początku XX wieku* [w:] *Mieszczaństwo i mieszczaństwo w literaturze polskiej drugiej połowy XIX wieku*, red. Ewa Ihnatowicz, Warszawa 2000
- Żarnowska Anna, *Klasa robotnicza Królestwa Polskiego 1870–1914*, Warszawa 1974
- , *Kobieta w rodzinie robotniczej. Królestwo Polskie u schyłku XIX i na początku XX wieku* [w:] *Kobieta i społeczeństwo na ziemiach polskich w XIX wieku. Zbiór studiów*, red. Anna Żarnowska i Andrzej Szwarc, Warszawa 1995
- , *Praca zarobkowa kobiet i ich aspiracje zawodowe w środowisku robotniczym i inteligenckim na przełomie XIX i XX wieku* [w:] *Kobieta i praca. Wiek XIX i XX. Zbiór studiów*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarc, t. 6, Warszawa 2000
- Żarnowska Anna, Sierakowska Katarzyna, *Stare i nowe wzorce rodziny inteligenckiej w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej* [w:] *Rodzina–prywatność–intymność. Dzieje rodziny polskiej w kontekście europejskim*, red. Dobrochna Kałwa i in., Warszawa 2005

# Przypisy końcowe

## Wstęp

- 1 Maria Turzyma, *Mężna niewiasta*, „Nowe Słowo” 1903, nr 23, s. 530.
- 2 Bolesław Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny” 1888, nr 208, s. 2, kolejne cytaty tamże.
- 3 Bolesław Prus, *Lalka*, Kraków 2002, s. 46, kolejny cytat tamże.
- 4 *Lalka*, reż. Wojciech Jerzy Has, Polska 1968, 24:42.
- 5 Zauważa prof. Józef Bachórz, *O pieniądzach i kwestiach ekonomicznych w Lalce Bolesława Prusa* [w:] *Pieniądz w literaturze i teatrze. Materiały z sympozjum „Temat pieniądza w literaturze i teatrze”*, red. Józef Bachórz, Sopot 2000.

## Część I

- 1 Pełna historia Hugona Schenka, zob. *Straszny niewiastobójca Hugo Schenk i jego współnicy. Dokładna historia ich życia i wszystkich morderstw, jakoteż ostatecznego losu i stracenia*, Cieszyn 1891.
- 2 *Lokale*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 235, s. 12.
- 3 Konstanty Krumłowski, *Przewodnik zakochanych, czyli Jak zdobyć szczęście w miłości i powodzenie u kobiet?*, Warszawa 1908, s. 10.
- 4 Baronowa Staffe, *Zwyczaje towarzyskie*, Lwów 1898, s. 15.
- 5 Wanda Reichsteinowa, *Poradnik dla młodych osób w świat wstępujących. Ułożony dla użytku tychże*, Poznań 1891, s. 17, kolejny cytat s. 27.
- 6 Bolesław Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny” 1889, nr 351, s. 2, kolejne cytaty tamże.
- 7 Bronisław Gumpłowicz, *Czy pani chce wyjść za mąż? Sto poufnych rad dla panien na wydaniu*, Warszawa 1938, s. 6, kolejne cytaty s. 1.
- 8 „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1, s. 1.
- 9 *Od redakcji*, „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 1, s. 2.

- 10 Edward Rychłowski, *Kierunek naszego pisma, jego tytuł, matrymonialne ogłoszenia i ich znaczenie*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 42, s. 1.
- 11 Stanisław Kamiński, *Od redakcji*, „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 1, s. 2, kolejne cytaty tamże.
- 12 Zob. na przykład „Fortuna Versal” 1927, nr 76, s. 5.
- 13 *Dział Matrymonialny. Uwagi ważne dla wszystkich. Ogłoszenia*, „Marzenie: Rêverie” 1932, nr 1, s. 2, kolejny cytat tamże.
- 14 Stanisław Kamiński, dz. cyt., s. 2.
- 15 *Ogłoszenia towarzyskie*, „Fortuna” 1923, nr 36, s. 1.
- 16 *Ogłoszenia towarzyskie*, „Versal” 1923, nr 42, s. 1.
- 17 Rom. E., *Wstydlivość kobiet*, „Fortuna” 1923, nr 41, s. 2, kolejne cytaty tamże.
- 18 Bronisław Gumplowicz, dz. cyt., s. 7.
- 19 Zob. *Mały Rocznik Statystyczny GUS 1939*, red. Edward Szturm de Sztrem, Warszawa 1939.
- 20 *Menu*, Restauracja Victoria, Jasna 26, 1934 r.
- 21 *Cel i zamiary swatki*, „Swatka” 1931, nr 1, s. 1.
- 22 Bronisław Gumplowicz, dz. cyt., s. 6, kolejne cytaty tamże.
- 23 Stanisław Kamiński, dz. cyt., s. 1.
- 24 Edward Rychłowski, dz. cyt., s. 1.
- 25 *Od redakcji*, „Przyszłość Zapewniona” 1930, nr 1, s. 1.
- 26 *Od redakcji*, „Głos Serca” 1927, nr 1, s. 1.
- 27 „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1, s. 4.
- 28 „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 4, s. 5.
- 29 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1911, nr 5, s. 9.
- 30 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 8, s. 10.
- 31 „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 5, s. 8.
- 32 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 4, s. 9.
- 33 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 9, s. 8.
- 34 „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 7, s. 4.
- 35 Bronisław Gumplowicz, dz. cyt., s. 6.
- 36 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 3, s. 8.
- 37 Tamże, s. 10.
- 38 Antoni Wieniarski, *Szwaczka warszawska*, Poznań 1913, s. 1, kolejny cytat s. 2.
- 39 Stanisław Rzętkowski, *Jak tam wesoło!*, „Tygodnik Ilustrowany” 1874, nr 24, s. 362.

- 40 Artur Oppman, *Moja Warszawa. Obrazki z dawnych lat*, Warszawa 1929, s. 89.
- 41 „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 3, s. 1.
- 42 „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1, s. 3.
- 43 „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 6, s. 4.
- 44 „Fortuna Versal” 1926, nr 72, s. 4.
- 45 „Fortuna” 1923, nr 31, s. 4.
- 46 „Fortuna Versal” 1926, nr 72, s. 1.
- 47 „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 3, s. 5.
- 48 „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 10, s. 7.
- 49 „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 14, s. 5.
- 50 „Kurier Codzienny” 1885, nr 277, s. 3.
- 51 „Fortuna” 1885, nr 27, s. 3.
- 52 *Z kwestii murzyńsko-zoologicznych*, „Fortuna” 1885, nr 29, s. 2.
- 53 *Co słyhać w świecie?*, „Przyjaciół Sług” 1898, nr 11, s. 24.
- 54 Bronisław Gumpłowicz, dz. cyt., s. 5.
- 55 *Od redakcji*, „Wiadomości Matrymonialne”, 1926, nr 1 s. 1, kolejne cytaty tamże.
- 56 *Flirciarz, Z duchem czasu*, „Tygodnik Małżeński”, 1913, nr 1, s. 1.
- 57 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 2, s. 3.
- 58 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 10, s. 1.
- 59 Agnieszka Janiak-Jasińska, *O jakim mężu myślę? Oferta małżeńska kobiet i ich oczekiwania w świetle anonsów matrymonialnych z początku XX wieku* [w:] *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarz, Warszawa 2004, s. 172.
- 60 Anna Sobczak, *Idealny typ życiowej partnerki i partnera w świetle anonsów matrymonialnych zamieszczonych na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w 1918 roku* [w:] *Społeczeństwo–Polityka–Kultura. Studia nad dziejami prasy w II Rzeczypospolitej*, red. Tomasz Sikorski, Szczecin 2006, s. 268.
- 61 „Wiadomości Matrymonialne” 1926, nr 1, s. 6.
- 62 *Ostrzeżenie*, „Fortuna Versal” 1927, nr 36, s. 8.
- 63 *Dział Matrymonialny. Uwagi ważne dla wszystkich. Ogłoszenia*, „Marzenie: Rêverie” 1932, nr 1, s. 2.
- 64 *Nasze marzenie*, „Marzenie” 1930, nr 1, s. 2.
- 65 *Od redakcji*, „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 1, s. 2.
- 66 Bronisław Gumpłowicz, dz. cyt., s. 7.

- 67 *Swatka*, „Swatka” 1930, nr 1, s. 12.
- 68 „Kurier Warszawski” 1887, nr 357a, s. 2.
- 69 *Józef Bernat – biuro matrymonialne*, Archiwum Państwowe w Poznaniu, sygn. 53/474/0/18.18/11461, kolejne cytaty tamże.
- 70 Bolesław Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Codzienny” 1887, nr 14, s. 2.
- 71 Seweryn Rosmarin, *Pośrednictwo przy zawieraniu małżeństw. Konkubinat*, Kraków 1938, s. 6., kolejny cytat s. 8.
- 72 *Pokłosie*, „Kłosy” 1874, nr 463, s. 316, kolejne cytaty tamże.
- 73 *Swatka*, „Swatka” 1930, nr 1, s. 12.
- 74 Zob. Renata Przybylska, *Językowy obraz „starej pijanej kobiety” w polszczyźnie [w:] Stara rebeliantka. Studia nad semantyką obrazu*, red. Sebastian Borowicz i in., Kraków 2010, s. 247.
- 75 Joanna Hobot-Marcinek, *Nowy, lepszy wiek XIX – kloszardki i megiiery doby industrializacji [w:] Anty-Beatrycze. Studia nad kulturową historią obrazu pijanej i szalonej staruchy*, red. Joanna Hobot-Marcinek i in., Kraków 2016, s. 478.
- 76 Bolesław Prus, *Lalka*, Kraków 2002, s. 142, kolejne cytaty s. 144.
- 77 Kasper Zubowski, *Ciocia Swatka*, Kraków 1861, s. 9, kolejne cytaty s. 10, 11.
- 78 Jan Gella, *Swatka*, Lwów 1922, s. 1, kolejne cytaty s. 9, 21, 22, 23.
- 79 Stanisław Szczaniecki, *Córka swatką*, Toruń 1882, s. 36.
- 80 Bronisław Gumpłowicz, dz. cyt., s. 7, kolejny cytat tamże.
- 81 Bolesław Prus, *Kronika tygodniowa*, „Nowiny” 1882, nr 187, s. 1.
- 82 „Bocian” 1897, nr 13–14, s. 6.
- 83 *Wyciąg z głównej księgi biura pośrednictwa małżeństw*, „Bocian” 1910, nr 19, s. 10.
- 84 Seweryn Rosmarin, dz. cyt., s. 36, kolejne cytaty tamże.

## Część II

- 1 Jan Maurycy Kamiński, *Panna, mężatka i wdowa wobec prawa. Odczyt publiczny*, „Bluszcz” 1892, nr 23, s. 179, kolejne cytaty tamże.
- 2 Józef Lange, *O prawach kobiety jako żony i matki*, Warszawa 1907, s. 7.
- 3 Zofia Kowerska, *O wychowaniu macierzyńskim*, Warszawa 1893, s. 1.
- 4 Tamże, s. 262, kolejny cytat tamże.
- 5 Eliza Orzeszkowa, *Pamiętnik*, „Literatura i Sztuka” 1911, nr 9, s. 135.
- 6 Eliza Orzeszkowa, *Autobiografia w listach*, Warszawa 1910, s. 13.

- 7 Jan Maurycy Kamiński, dz. cyt., „Bluszcz” 1892, nr 24, s. 185.
- 8 Józef Lange, dz. cyt., s. 65, 66.
- 9 Jan Maurycy Kamiński, dz. cyt., „Bluszcz” 1892, nr 25, s. 194.
- 10 *Kodeks cywilny Królestwa Polskiego*, art. 192, 193.
- 11 *Kodeks cywilny Królestwa Polskiego*, art. 227.
- 12 Józef Lange, dz. cyt., s. 41.
- 13 Józef Lange, dz. cyt., s. 48.
- 14 Jan Maurycy Kamiński, dz. cyt., „Bluszcz” 1892, nr 24, s. 187.
- 15 Mieczysław Rościszewski, *Pani domu. Skarbiec porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów*, Warszawa 1904, s. 145, kolejne cytaty tamże.
- 16 Za: Krystyna Kolińska, *Orzeszkowa, złote ptaki i terroryści*, Warszawa 1996, s. 20.
- 17 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 334, s. 8.
- 18 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 205, s. 12.
- 19 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 207, s. 12.
- 20 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 235, s. 12.
- 21 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 334, s. 8.
- 22 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 11, s. 8.
- 23 Tamże.
- 24 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1911, nr 39, s. 8.
- 25 Tamże.
- 26 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 334, s. 12.
- 27 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 235, s. 12.
- 28 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 47, s. 8.
- 29 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1911, nr 39, s. 8.
- 30 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 47, s. 8.
- 31 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 11, s. 8.
- 32 Tamże.
- 33 „Tygodnik Małżeński” 1913, nr 5, s. 6, kolejny cytat s. 8.
- 34 August Bebel, *Kobieta i socjalizm*, Warszawa 1907, s. 80, kolejny cytat tamże.
- 35 Zob. Tadeusz W. Świątek, *Rody starej Warszawy*, Warszawa 2000;  
Mieczysław Kozłowski, *Dzieje firmy E. Wedel*, Warszawa 1993.
- 36 Maria Barbasiewicz, *Ludzie interesu w przedwojennej Polsce. Przedsiębiorcy, filantropi, kapitaliści*, Warszawa 2020, s. 82.

- 37 Zob. Krzysztof Stefański, *Wielkie rody fabrykanckie w Łodzi i ich rola w ukształtowaniu oblicza miasta. Geyerowie, Scheiblerowie, Poznańscy, Heinzlowie, Kindermannowie*, Łódź 2014, s. 50 i kolejne; Dorota Berbelska, Magdalena Michalska-Szałacka, *Herbstowie. Historia fabrykantów*, Łódź 2019.
- 38 Krzysztof Stefański, dz. cyt., s. 94.
- 39 Władysław Reymont, *Ziemia obiecana*, Kraków 2008, s. 248, kolejne cytaty s. 365, 293, 246.
- 40 Bolesław Prus, *Lalka*, Kraków 2002, s. 8.
- 41 Marta Sikorska-Kowalska, *Pozycja i rola kobiety w małżeństwie na przykładzie burżuazji łódzkiej przełomu XIX i XX wieku (w świetle wspomnień Heleny Anny Geyer i Marii Eiger-Kamińskiej)* [w:] *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturowe aspekty seksualności. Wiek XIX i XX*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarz, Warszawa 2004, s. 111.
- 42 Helena Geyer, *Z mojego życia*, Łódź 2001, s. 21, kolejny cytat tamże.
- 43 Władysław Reymont, dz. cyt., s. 292.
- 44 Zero (Maria Konopnicka), *Rachunki*, „Świt” 1885, nr 17, s. 132.
- 45 Maria Ilnicka, *Naręczona. Listy do naręczonej przez Juliana Mohorta*, „Bluszcz” 1884, nr 47, s. 371.
- 46 Michał Bałucki, *Album kandydatek do stanu małżeńskiego. Z notat starego kawalera*, Kraków 1877, s. 10, kolejne cytaty s. 10, 5, 35, 27, 34.
- 47 Józef Bliziński, *Panna z posagiem*, Lwów i Warszawa 1890.
- 48 Józef Górski, *Posag w kominie*, Poznań 1886.
- 49 Mieczysław Rey, *Polowanie na posag*, Kraków 1914.
- 50 Władysław Burtynikas, *W pogoni za posagiem*, Warszawa 1884.
- 51 Stanisław Koźmian, *Kuzynka bez posagu*, Poznań 1868.
- 52 Stefan Zagon, *Bez posagu... ożenić się nie mogę!*, Bydgoszcz 1931.
- 53 Józef Bliziński, dz. cyt., s. 26, kolejny cytat s. 27.
- 54 Władysław Burtynikas, dz. cyt., s. 24.
- 55 Stanisław Koźmian, dz. cyt., s. 28.
- 56 Stanisław Tarnowski, *O pośmiertnych komediach Aleksandra Fredry*, „Kronika Rodzinna” 1878, nr 10, s. 308.
- 57 Pilawa, *Teatry miejskie. Teatr letni*, „Dziennik Wileński” 1933, nr 15, s. 2.
- 58 Bolesław Prus, dz. cyt., s. 274, kolejny cytat tamże.
- 59 Leon Kunicki, *Żona posażna*, „Kłosa” 1868, nr 164, s. 92, kolejne cytaty tamże.
- 60 *Wiadomości bieżące*, „Fortuna” 1885, nr 16, s. 2, 3.



- 61 *Drobiazgi*, „Fortuna” 1885, nr 15, s. 4.
- 62 *W salonie*, „Fortuna” 1885, nr 26, s. 5.
- 63 *Z wesołego świata*, „Fortuna” 1885, nr 11, s. 6.
- 64 *Z testamentu dobrej matki*, „Bocian” 1904, nr 17, s. 2.
- 65 *Okruchy*, „Bocian” 1900, nr 5, s. 1, kolejny cytat tamże.
- 66 „Bocian” 1900, nr 5, s. 2.
- 67 *Ze świata handlowego*, „Fortuna” 1885, nr 33, s. 8.
- 68 *Skromne życzenie*, „Bocian” 1925, nr 8, s. 10.
- 69 *Wytlómaczył się*, „Bocian” 1904, nr 16, s. 2.
- 70 A. Junosza-Nałęcz, *Bez posagu*, „Dobra Gospodyni” 1903, nr 52, s. 2, kolejny cytat s. 3.
- 71 Konstanty Krumłowski, *Przewodnik zakochanych, czyli jak zdobyć szczęście w miłości i powodzenie u kobiet?*, Warszawa 1908, s. 13.
- 72 Baronowa Staffe, *Zwyczajowe towarzyskie*, Lwów 1898, s. 14,
- 73 Konstanty Krumłowski, dz. cyt., s. 17.
- 74 Baronowa Staffe, dz. cyt., s. 17.
- 75 Konstanty Krumłowski, dz. cyt., s. 15, kolejny cytat tamże.
- 76 Spirydion (Edward Lubowski), *Kodeks światowy, czyli znajomość życia we wszelakich stosunkach z ludźmi*, Warszawa 1892, s. 47.
- 77 Józef Chociszewski, *Przewodnik do pisania listów miłosnych, tyjących się ożenienia i zamążpójścia, z dodaniem Wieszczbiarki, Rozmowy kwiatami i znaczkami pocztowymi, Abecadła miłości, tudzież wierszy i piosenek dla kochanków i narzeczonych*, Bytom 1900, s. 63, kolejne cytaty s. 65, 66, 33, 34, 63.
- 78 Izabela Moszczeńska, *Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna*, Warszawa 1904, s. 74, kolejne cytaty tamże.
- 79 Edward Prądzyński, *O prawach kobiety*, Warszawa 1873, s. 290.
- 80 Maria Ilnicka, dz. cyt., s. 362, kolejne cytaty tamże.
- 81 A. Junosza-Nałęcz, *Bez posagu*, „Dobra Gospodyni” 1903, nr 52, s. 3.
- 82 Jan Maurycy Kamiński, dz. cyt., „Bluszcz” 1892, nr 24, s. 185.
- 83 *Kobieta w XX wieku*, „Bluszcz” 1892, nr 4, s. 28.
- 84 Zero (Maria Konopnicka), dz. cyt., s. 132.
- 85 Jadwiga Kopeć, *Dziecko dawnej Warszawy*, Warszawa 1963, s. 221, kolejne cytaty s. 222.
- 86 Izabela Moszczeńska, dz. cyt., s. 75.

- 87 Zofia Kowerska, dz. cyt., s. 281.
- 88 *Podarek ślubny, czyli rady przed ślubem dla nowożeńców, rady po ślubie dla małżonków, z przykładami i modlitwami*, Gniezno 1886, s. 26.
- 89 Mieczysław Rościszewski, *Pani domu...*, dz. cyt., s. 126.
- 90 Mieczysław Rościszewski, *Księga obyczajów towarzyskich*, Lwów 1905, s. 171.
- 91 Spirydion (Edward Lubowski), dz. cyt., s. 47.
- 92 Mieczysław Rościszewski, *Księga...*, dz. cyt., s. 173.
- 93 *Doniesienia osobiste*, „Kurier Warszawski” 1890, nr 334, s. 12.
- 94 *Ogłoszenia matrymonialne*, „Flirt Salonowy” 1910, nr 11, s. 8, kolejny cytat tamże.
- 95 Alfred Blaschko, *Prostytucja współczesna*, Warszawa 1907, s. 6.
- 96 Wanda Reichsteinowa, *Poradnik dla młodych osób w świat wstępujących. Ułożony dla użytku tychże*, Poznań 1891, s. 17.
- 97 Róża Gottlieb, *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie. Pracownice krawieckie*, „Nowe Słowo” 1904, nr 9, s. 194.
- 98 Róża Gottlieb, *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie. Szwaczki*, „Nowe Słowo” 1904, nr 10, s. 217.
- 99 Tamże.
- 100 Salomea Perlmutter, *Położenie robotnic chrześcijańskich we Lwowie. Pracunki i prasowaczki*, „Nowe Słowo” 1903, nr 9, s. 200.
- 101 Róża Gottlieb, *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie. Handlowczynie*, „Nowe Słowo” 1904, nr 8, s. 170.
- 102 Salomea Perlmutter, dz. cyt., „Nowe Słowo” 1903, nr 11, s. 252.
- 103 Tamże.
- 104 Róża Gottlieb, *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie. Szwaczki*, dz. cyt.
- 105 Salomea Perlmutter, dz. cyt., „Nowe Słowo” 1903, nr 11, s. 253.
- 106 *Pamiętniki bezrobotnych*, red. Ludwik Krzywicki, Warszawa 1933, s. 61, kolejne cytaty s. 260, 280.
- 107 Elżbieta Bederska, *Dobra służąca, czyli co powinnam wiedzieć o służbie i na służbie? Poradnik dla służących*, Poznań 1909, s. 95, kolejne cytaty s. 96, 95.
- 108 Kazimierz Riedl, *Pamiętka dla dziewcząt służących i pracujących osobliwie po miastach*, Warszawa 1891, s. 7, kolejne cytaty s. 8.
- 109 Ks. J. B., *Żywot św. Duli, panny i sługi*, „Przyjaciel Sług” 1900, nr 11, s. 168.
- 110 *Pamiętniki bezrobotnych*, dz. cyt., s. 280.
- 111 *Co tam słyhać w świecie?*, „Przyjaciel Sług” 1900, nr 4, s. 61, kolejny cytat tamże.

- 112 Michalina Ulanicka, *Poradnik służby domowej*, Warszawa 1930, s. 188, kolejny cytat tamże.
- 113 W. T., *Z sądów. Z dramatów życiowych*, „Kurier Warszawski” 1903, nr 313, s. 5, kolejne cytaty tamże.
- 114 *Służba nie poniża*, „Pracownica Katolicka” 1915, nr 6, s. 91, kolejny cytat tamże.
- 115 Marie Sansgêne, *Wspomnienia z młodości ubogiej służącej*, przeł. Janusz Mosakowski, Gdańsk 2019, s. 114.
- 116 Lucyna Kotarbińska, *Moje domownice*, 1922, rękopis w Bibliotece Narodowej.
- 117 Salomea Perlmutter, dz. cyt., „Nowe Słowo” 1903, nr 12, s. 296, kolejny cytat tamże.
- 118 Radosław Poniak, *Służba domowa w miastach na ziemiach polskich od połowy XVIII do końca XIX wieku*, Warszawa 2014, s. 159.
- 119 Anna Żarnowska, *Klasa robotnicza Królestwa Polskiego 1870–1914*, Warszawa 1874, s. 218.
- 120 *Kobieta w XX wieku*, „Bluszcz” 1892, nr 4, s. 28.
- 121 Edward Prądzyński, dz. cyt., s. 134, kolejne cytaty tamże.
- 122 *66te zdanie sprawy z działań i obrotu funduszków Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności za rok 1880*, Warszawa 1881, s. 14.
- 123 Salomea Perlmutter, dz. cyt., „Nowe Słowo” 1903, nr 11, s. 253.
- 124 *Ustawa Warszawskiej Kasy Posagowej „Małżeństwo”*, Warszawa 1904; *Ustawa Łódzkiej Kasy Posagowej*, Łódź, rękopis z Teki Tadeusza Regera, TR NO 020, przed 1917 r.; *Ustawa Warszawskiej Kasy Posagowej „Wesele”*, Warszawa 1902, za: Mieczysław Rościszewski, *Pani domu...*, dz. cyt., s. 145–148.
- 125 Cecylia Walewska, *Sługi i panie*, „Tygodnik Ilustrowany” 1903, nr 7, s. 132.
- 126 *Ustawa Warszawskiej Kasy Posagowej „Wesele”*, Warszawa 1902, za: Mieczysław Rościszewski, *Pani domu...*, dz. cyt., s. 147.
- 127 *Wiadomości miejscowe*, „Gazeta Kielecka” 1904, nr 36, s. 2.
- 128 *Wiadomości*, „Biesiada Literacka” 1904, nr 21, s. 2.
- 129 Mieczysław Rościszewski, *Pani domu...*, dz. cyt., s. 145, kolejny cytat tamże.
- 130 Wojciech Jaworski, *Materiały do dziejów kas pogrzebowych i posagowych*, „Kwartalnik Historyczny” 2004, nr 3, s. 212.
- 131 *Rejestr alfabetycznych członków bałuckiej kasy posagowej 1903–1905*, Archiwum Państwowe w Łodzi, sygn. 39/480/19.
- 132 *Dokumenty członków Dąbskiej Kasy Posagowej „Wesele”*, Archiwum Państwowe w Poznaniu, Oddział w Koninie, sygn. 54/13/0/-/3097.

- 133 Rada Miejska Warszawska Dobroczynności Publicznej, „Kurier Codzienny” 1889, nr 351, s. 7.
- 134 Edward Prądzyński, dz. cyt., s. 133, kolejny cytat s. 134.
- 135 Juliana, *The Improvement Circle*, „Voice of Industry” 1846, no. 52, s. 2.
- 136 Olivia, *Lowell*, „Voice of Industry” 1845, no. 17, s. 1.
- 137 Vox Populi, *Factory Girl’s Savings*, „Voice of Industry” 1845, no. 18, s. 3, kolejne cytaty tamże.
- 138 Zofia Kozłowska-Budkowa, *Wspomnienia z lat 1893–1923*, Kraków 2018, s. 4.
- 139 Izabela Moszczeńska, *Błąd zasadniczy*, „Nowe Słowo” 1903, nr 23, s. 523, kolejny cytat tamże.

### Część III

- 1 Eliza Orzeszkowa, *Pamiętnik*, „Literatura i Sztuka” 1911, nr 9, s. 133, kolejne cytaty tamże.
- 2 Eliza Orzeszkowa, *Pamiętnik*, „Literatura i Sztuka” 1911, nr 10, s. 148.
- 3 Tamże, s. 150.
- 4 Więcej na temat działania ziemiańskiego dworu w drugiej połowie XIX wieku w książce Elżbiety Koweckiej, *W salonie i w kuchni. Opowieści o kulturze materialnej pałaców i dworów polskich w XIX w.*, Poznań 2008.
- 5 Jadwiga Zamoyska, *Wspomnienia*, Londyn 1961, s. 173, kolejne cytaty tamże.
- 6 Eliza Orzeszkowa, *Kilka słów o kobietach*, Warszawa 1873, s. 161.
- 7 Wanda Reichsteinowa, *Poradnik dla młodych osób w świat wstępujących. Ułożony dla użytku tychże*, Poznań 1891, s. 32, kolejny cytat tamże.
- 8 Bolesław Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski” 1881, nr 285, s. 1.
- 9 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Z wiośnianych moich lat. Moja pierwsza i ostatnia miłość* [w:] tejże, *Kalendarz na rok 1881. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1881, s. 120, kolejny cytat tamże.
- 10 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Kurs gospodarstwa miejskiego i wiejskiego dla kobiet*, Warszawa 1899, s. 41.
- 11 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Kalendarz na rok 1876. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1876, s. 3.
- 12 Borel de la Prévostière, *Kobieta jako gospodyni domu, współpracownica rolnika i właściciela, dzierżawcy czy zagrodnika. Starania około domu i gospodarstwa, higiena ludzi i zwierząt*, przeł. Emilia Węśławska, Warszawa 1910, s. 5.

- 13 Maria Ilnicka, *Panny bawiące* [w:] Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Kalendarz na rok 1878. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1878, s. 155.
- 14 Bolesław Londyński, *Pani domu. Skarbiec porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów*, Warszawa 1904, s. 10, kolejny cytat tamże.
- 15 Marta Sztokfisz, *Pani od obiadów. Lucyna Ćwierczakiewiczowa, historia życia*, Kraków 2018, s. 232.
- 16 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Kalendarz na rok 1876...*, dz. cyt., s. 6.
- 17 *Dyspozycja obiadów na cały tydzień*, „Dobra Gospodyni” 1905, nr 31, s. 6.
- 18 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Kalendarz na rok 1895. Kolęda dla gospodyń przez autorkę 365 obiadów*, Warszawa 1895, Styczeń, następne cytaty: Kwiecień, Maj.
- 19 Bolesław Prus, *Kronika tygodniowa*, „Kurier Warszawski” 1875, nr 102, s. 1.
- 20 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Kalendarz na rok 1878...*, dz. cyt., Marzec.
- 21 Bolesław Londyński, dz. cyt., s. 53–58.
- 22 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Podarunek ślubny. Kurs gospodarstwa miejskiego i wiejskiego dla kobiet*, Warszawa 1885, s. 38, 39.
- 23 Bolesław Londyński, dz. cyt., s. 53.
- 24 Wanda Reichsteinowa, dz. cyt., s. 143.
- 25 *Moje służby. Dziennik Marcysi*, red. Cecylia Walewska, „Ogniwo” 1905, nr 11, s. 78, kolejne cytaty tamże.
- 26 *Młode mężatki*, „Bocian” 1904, nr 22, s. 12.
- 27 Bolesław Londyński, dz. cyt., s. 54.
- 28 Wanda Reichsteinowa, dz. cyt., s. 145.
- 29 Maria Ilnicka, *Pani Maria czy Marysia?*, „Bluszcz” 1904, nr 22, s. 253.
- 30 Elżbieta Bederska, *Dobra służąca. Co powinnam wiedzieć o służbie i na służbie*, Poznań 1909, s. 9, kolejne cytaty s. 10, 18.
- 31 *Dziesięć przykazań dla pokojówek*, „Przyjaciół Sług” 1898, nr 5, s. 9.
- 32 *Szkoła praktyczna dla służących w Dobrojewie*, „Przyjaciół Sług” 1901, nr 7, s. 100.
- 33 Emilia Bruehlowa, *Szkoła służących im. św. Kingi*, „Dobra Gospodyni” 1907, nr 50, s. 394.
- 34 Jerzy Franke, *Lucyna Ćwierczakiewiczowa*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej” 1992, nr 31, s. 121.
- 35 *Zakład Kórnicki. Szkoła domowej pracy kobiet*, Miejsce Piastowe 1891.
- 36 Jadwiga Zamoyska, *O pracy*, Poznań 1902, s. 152.
- 37 Maria Dissłowa, *O nauce gospodarstwa domowego w Kuźnicach*, Lwów 1906, s. 4.
- 38 Izabela Moszczeńska, *Błąd zasadniczy*, „Nowe Słowo” 1903, nr 23, s. 523.

- 39 Maria Dissłowa, dz. cyt., s. 15, kolejny cytat tamże.
- 40 Zob. Jan Ziółek, *Zakład Kórnicki. Szkoła domowej pracy kobiet w Kuźnicach do 1923 r.*, „Roczniki Humanistyczne” 1995, nr 2, s. 126–127.
- 41 Wanda Reichsteinowa, dz. cyt., s. 143.
- 42 Käthe Schirmacher, *Praca kobiet i ochrona robocza*, „Nowe Słowo” 1903, nr 16, s. 367.
- 43 Irena Laskowska, *Organizacja pracy*, Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego przy Tow. Wyd. „Bluszcz” 1930, nr 16, s. 6–7.
- 44 Andrew Carnegie, *Państwo interesu*, przeł. Stefan Barszczewski, Warszawa 1904, s. 14, kolejny cytat s. 2.
- 45 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Podarunek ślubny...*, dz. cyt., s. 2.
- 46 Maria Dissłowa, dz. cyt., s. 15.
- 47 Lucyna Kotarbińska, *Moje domownice*, około 1922, Biblioteka Narodowa w Warszawie, rękopis.
- 48 Bolesław Londyński, dz. cyt., s. 307.
- 49 *Książka Rachunkowa. Poradnik pani domu*, nakładem „Przeglądu Kobiecego”, Warszawa 1938.
- 50 Iza Mandukowa, *Rachunkowość*, Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego przy Tow. Wyd. „Bluszcz” 1931, nr 20, s. 11.
- 51 *Konkurs na najlepiej prowadzoną książkę rachunkową*, „Bluszcz” 1930, nr 43, s. 15.
- 52 *Książka rachunkowa. Poradnik pani domu*, Warszawa 1938, Kolekcja Jadwigi Jarmulskiej z domu Kozłowskiej, Fundacja Ośrodka KARTA, sygn. AW III/664.01.
- 53 Lucyna Ćwierczakiewiczowa, *Podarek ślubny...*, dz. cyt., s. 60.
- 54 Anna Potocka, *Mój pamiętnik*, Kraków 1927, s. 75.
- 55 Eliza Orzeszkowa, *Autobiografia w listach*, Warszawa 1910, s. 12.
- 56 Eliza Orzeszkowa, *Marta*, Warszawa 1873, s.
- 57 Maria Górska, *Gdybym mniej kochała. Dziennik lat 1896–1906*, Warszawa 1997.
- 58 Tadeusz Boy-Żeleński, *O Krakowie*, red. Henryk Markiewicz, Warszawa 1974, s. 211.
- 59 *List do młodej osoby*, „Bazar” 1865, nr 2, s. 7.
- 60 Julian Ochorowicz, *Listy. Do przyszłej narzeczonej*, Warszawa 1898, s. 54.
- 61 Anna Potocka, dz. cyt., s. 76.
- 62 Julian Ochorowicz, dz. cyt., s. 53.
- 63 *Moje służby*, dz. cyt., s. 72, 73.
- 64 Bolesław Londyński, dz. cyt., s. 308.

- 65 Iza Mandukowa, *Rachunkowość*, Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego przy Tow. Wyd. „Bluszcz” 1930, nr 7, s. 3, kolejny cytat tamże.
- 66 Wanda Reichsteinowa, dz. cyt., s. 132.
- 67 *Moje służby*, dz. cyt., s. 25.
- 68 *Pod sekretem. Wycieczka w świat kobiety*, red. „Przeglądu Tygodniowego”, Warszawa 1873, s. 28.
- 69 Kazimierz Bartoszewicz, *Kwestionariusz małżeński*, Kraków 1901, s. 28.
- 70 *Książkowość domowa*, „Gazeta dla Kobiet” 1909, nr 24, s. 187.
- 71 *Moje służby*, dz. cyt., s. 74.
- 72 Anna Żarnowska, *Praca zarobkowa kobiet i ich aspiracje zawodowe w środowisku robotniczym i inteligenckim na przełomie XIX i XX wieku [w:] Kobieta i praca. Wiek XIX i XX. Zbiór studiów*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarz, t. 6, Warszawa 2000, s. 141.
- 73 Tamże, s. 142.
- 74 Karol Forster, *Klasom pracującym polskim sześć książeczek przynosi szczerzy ich przyjaciel Karol Forster. Książeczka 10. O przeznaczeniu kobiet. Przemysłowe wychowanie kobiet w Paryżu*, Berlin 1868, s. 5.
- 75 Irena Moszyńska, *O pracy kobiet zamężnych w fabrykach*, „Robotnik Polski” 1906, nr 10, s. 4.
- 76 Józef Kazimierski, *Dzieje zakładów żyrdardowskich i ich załogi w latach 1829–1885*, Ciechanów 1984, s. 202.
- 77 Ludwik Wolberg, *Choroby robotników i zaradcze przeciw nim środki*, dodatek miesięczny do „Przeglądu Tygodniowego” 1883, nr 3, s. 380.
- 78 Emilia Topas-Bernsteinowa, *Korespondencje*, „Ster” 1897, nr 20, s. 315.
- 79 Elżbieta Bederska, dz. cyt., s. 1.
- 80 Władysława Pawełczak, *Ujemne i dodatnie strony stanowiska służącej wobec stanowiska pracownicy fabrycznej*, „Gazeta dla Kobiet” 1909, nr 4, s. 28.
- 81 Maria Turzyna, *Wyzwolenie ekonomiczne kobiety*, „Nowe Słowo” 1902, nr 7, s. 164, kolejne cytaty tamże.
- 82 Natalia Jastrzębska, *Jak pogodzić pracę zawodową z obowiązkami domowymi*, Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego przy Tow. Wyd. „Bluszcz” 1930, nr 4, s. 2, kolejne cytaty tamże.
- 83 Jedna z Matek, *Z koła czytelniczek i czytelników. W sprawie uświadamiania młodzieży*, „Dobra Gospodyni” 1904, nr 1, s. 2.
- 84 Jedna z Panien, *W sprawie tak zwanego uświadamiania młodzieży. List II*, „Dobra Gospodyni” 1904, nr 10, s. 75.

- 85 Jedna z Matek, *Z koła czytelniczek i czytelników*, dz. cyt., s. 2.
- 86 Jedna z Panien, *W sprawie tak zwanego uświadamiania młodzieży. List II*, dz. cyt., kolejny cytat tamże.
- 87 Izabela Moszczeńska, *Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna*, Warszawa 1904, s. 7.
- 88 M. Kotwicz, *W sprawie uświadamiania młodzieży. List IV*, „Dobra Gospodyni” 1904, nr 14, s. 113.
- 89 Teofila Brodowska, *Kobieta w rodzinie. Szkic moralności praktycznej naszych matek*, Warszawa 1879, s. 40, kolejny cytat s. 52.
- 90 *Pod sekretem*, dz. cyt., s. 25, kolejny cytat s. 23.
- 91 Helena Mniszkówna, *Trędowata*, Kraków 1972, s. 302.
- 92 Teresa Walas, *Posłowie* [w:] Helena Mniszkówna, *Trędowata*, dz. cyt., s. 465.
- 93 Zob. Teresa Walas, *Zagadka Trędowatej* [w:] *Lektury polonistyczne. Od realizmu do preekspresjonizmu*, red. Gabriela Matuszek, t. 2, Kraków 2001, s. 234.
- 94 Ireneusz Ihnatowicz, *Obyczaj wielkiej burżuazji warszawskiej w XIX wieku*, Warszawa 1971, s. 51.
- 95 Zob. Danuta Rzepniewska, *Przemiany w rodzinie ziemiańskiej Królestwa Polskiego* [w:] *Dwór polski w XIX wieku. Zjawisko historyczne i kulturowe*, red. Anna Gogut, Warszawa 1990, s. 43, 44.
- 96 Eliza Orzeszkowa, *Kilka słów o kobietach*, dz. cyt., s. 171, kolejny cytat s. 198.
- 97 Helena Mniszkówna, dz. cyt., s. 246.
- 98 *W dzieciennym pokoju*, „Bocian” 1909, nr 2, s. 5.
- 99 Sz., *Pani Maria czy Marysia? (Słów parę w kwestii sług)*, I, „Bluszcz” 1904, nr 20, s. 230.
- 100 Lucy Delap, *Knowing Their Place. Domestic Service in Twentieth-Century Britain*, Oxford 2011, s. 177.
- 101 Sz., *Pani Maria czy Marysia? (Słów parę w kwestii sług)*, I, „Bluszcz” 1904, dz. cyt.
- 102 Eliza Orzeszkowa, *Pieśń przerwana*, Warszawa 1896, s. 233.
- 103 Helena Mniszkówna, dz. cyt., s. 219.
- 104 Charlotte Brontë, *Dziwne losy Jane Eyre*, przeł. Teresa Świdorska, Warszawa 2016, s. 311.
- 105 Jadwiga Zacharska, *Kariery dziewcząt z mieszczańskiego domu w literaturze drugiej połowy XIX i początku XX wieku* [w:] *Mieszczaństwo i mieszczaństwo w literaturze polskiej drugiej połowy XIX wieku*, red. Ewa Ihnatowicz, Warszawa 2000, s. 250.



- 106 Zofia Jabłonowska, *Rodzina w XIX i na początku XX wieku* [w:] *Przemiany rodziny polskiej*, red. Jadwiga Komorowska, Warszawa 1975, s. 63.
- 107 Katarzyna Szumlewicz, *Miłość i ekonomia w literackich biografiach kobiet*, Warszawa 2017, s. 53.
- 108 Konstanty Krumłowski, *Przewodnik zakochanych, czyli Jak zdobyć szczęście w miłości i powodzenie u kobiet?*, Warszawa 1908, s. 11, kolejne cytaty tamże.
- 109 Bronisław Gumplowicz, *Czy pani chce wyjść za mąż? Sto poufnych rad dla panien na wydaniu*, Warszawa 1938, s. 120, kolejny cytat s. 121.
- 110 P. z P. B., *Przewodnik życia światowego*, Warszawa 1900, s. 12, kolejny cytat tamże.
- 111 M. A. Zawadzki, *Przewodnik zakochanych*, Warszawa 1903, s. 11.
- 112 Bronisław Gumplowicz, dz. cyt., s. 121, kolejny cytat tamże.
- 113 Konstanty Krumłowski, dz. cyt., s. 11, kolejny cytat tamże.
- 114 Więcej zob. Monika Śliwińska, *Panny z Wesela. Siostry Mikołajczykówny i ich świat*, Warszawa 2020.
- 115 List Włodzimierza Tetmajera do Konstantego Górskiego, za: Monika Śliwińska, *Panny z Wesela*, dz. cyt., s. 74.
- 116 Julia Tetmajerowa do Kazimierza Tetmajera, 31 VIII 1891 r., Biblioteka PAU i PAN w Krakowie.
- 117 Monika Śliwińska, dz. cyt., s. 208.
- 118 Lucjan Rydel do Ferdynanda Hoesicka, 10 X 1900 r., Biblioteka Narodowa.
- 119 Monika Śliwińska, dz. cyt., s. 328.
- 120 Aleksandra Czechówna, *Dziennik*, 1900, za: Monika Śliwińska, *Panny z Wesela*, dz. cyt., s. 108.
- 121 Julia Tetmajerowa do Kazimierza Tetmajera, VIII 1893 r., Biblioteka PAU i PAN w Krakowie.
- 122 Konstanty Krumłowski, dz. cyt., s. 10.
- 123 Maria Nietyksza, *Ludność Warszawy na przełomie XIX i XX wieku*, Warszawa 1971, s. 43–45.
- 124 Izabela Moszczeńska, *Czego nie wiemy o naszych synach*, Warszawa 1904, s. 76, kolejne cytaty s. 44, 50.
- 125 Zob. Magdalena Gawin, *Rasa i nowoczesność. Historia polskiego ruchu eugenicznego*, Warszawa 2003. Teorie o psychologii tłumu i degeneracji kobiet z klasy robotniczej obecne są w popularnych tekstach Cesarego Lombroso, *Kobieta jako zbrodniarka i prostytutka. Studia antropologiczne poprzedzone biologią i psychologią kobiety normalnej*, przeł. Izydor Izaak Szenhak, Warszawa 1895; lub

- Gustave Le Bon, *Psychologia tłumu* (1899), przeł. Bolesław Kaprocki, Warszawa 1997.
- 126 *Wzięta w kilku słówkach – rzecz o pokojówkach*, „Bocian” 1904, nr 19, s. 4.
- 127 Bronisław Gumpłowicz, dz. cyt., s. 121.
- 128 Marie Sansgêne, *Wspomnienia z młodości ubogiej służącej*, przeł. Janusz Mosakowski, Gdańsk 2019, s. 85, kolejne cytaty tamże.
- 129 Tamże, s. 102, kolejny cytat s. 3.
- 130 Julia Tetmajerowa do Kazimierza Tetmajera, za: Monika Śliwińska, *Panny z Wesela*, dz. cyt., s. 93.
- 131 *Moje służby. Dziennik Marcysi*, red. Cecylia Walewska, „Ogniwo” 1905, nr 4, s. 78.
- 132 Marie Sansgêne, dz. cyt., s. 120.
- 133 Teodora Męczkowska, *Służące a prostytutka*, Warszawa 1906, s. 17, kolejny cytat s. 18.
- 134 Marie Sansgêne, dz. cyt., s. 143.
- 135 Lucjan Rydel do Heleny Rydlowej, 20 VII 1900 r., archiwum rodziny Rydlów, za: Monika Śliwińska, *Panny z Wesela*, dz. cyt., s. 164.
- 136 Lucjan Rydel do Ferdynanda Hoesicka, 10 X 1900 r., Biblioteka Narodowa.
- 137 Michał Römer, *Miłość z lupanaru*, Warszawa 2019, s. 64, kolejne cytaty s. 38, 102.
- 138 Aleksandra Czechówna, *Dziennik* [za:] Monika Śliwińska, *Panny z Wesela*, dz. cyt., s. 316.
- 139 Michał Römer, *Miłość z lupanaru*, dz. cyt., s. 111, kolejny cytat s. 46.
- 140 Gabriela Zapolska, *Moralność pani Dulskiej*, Warszawa 1907, s. 135, kolejne cytaty tamże.
- 141 Za: Róża Gottlieb, *Wywiady nad położeniem robotnic w Krakowie*, „Nowe Słowo” 1904, nr 9, s. 194.
- 142 Dane za: Jan Słomka, *Pamiętniki włościanina. Od pańszczyzny do dni dzisiejszych*, Kraków 1912.
- 143 Gabriela Zapolska, *Moralność pani Dulskiej*, dz. cyt., s. 151.
- 144 Als., *Słówko przestrogi*, „Pracownica Katolicka” 1917, nr 8, s. 61.
- 145 *Moje służby. Dziennik Marcysi*, red. Cecylia Walewska, „Ogniwo” 1905, nr 12, s. 256.
- 146 Lucyna Kotarbińska, *Moje domownice*, dz. cyt.
- 147 Ks. Jozafat Żyskar, *Kilka myśli o prostytutce*, „Czystość” 1905, nr 4, s. 28.
- 148 Irena Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 2002, s. 24.
- 149 Michał Römer, *Miłość z lupanaru*, dz. cyt., s. 133, kolejne cytaty s. 144.

- 150 Bolesław Prus, *Lalka*, Kraków 2002, s. 102.
- 151 Izabela Moszczeńska, *Kobieta i opinia*, „Nowe Słowo” 1903, nr 13, s. 292.
- 152 Michał Römer, *Dzienniki 1931–1938*, t. 5, Warszawa 2018, s. 493.
- 153 Izabela Moszczeńska, *Kobieta i opinia*, dz. cyt.

## Część IV

- 1 Eliza Orzeszkowa, *Kilka słów o kobietach*, Warszawa 1873, s. 42, kolejny cytat tamże.
- 2 Józef Chociszewski, *Róże i niezapominajki. Książeczka dla serc kochających a szczególnie dla narzeczonych*, Poznań 1883, s. 94.
- 3 Teofila Brodowska, *Kobieta w rodzinie. Szkic moralności praktycznej naszych matek*, Warszawa 1879, s. 118.
- 4 Aleksander Niewiarowski, *Galeria panien*, Warszawa 1855, s. 53.
- 5 Bolesław Prus, *Lalka*, Kraków 2002, s. 488.
- 6 Michał Bałucki, *Album kandydatek do stanu małżeńskiego. Z notat starego kawalera*, Kraków 1877, s. 9, kolejne cytaty s. 11, 12, 13, 22, 24.
- 7 Teofila Brodowska, dz. cyt., s. 117.
- 8 Mściśław Kamiński, *Kobieta, miłość i małżeństwo, czyli Zbiór zdań, myśli i epigramatów najslawniejszych pisarzy, poetów i filozofów, o kobiecie dziewicy, mężatce, matce i przyjaciółce*, Warszawa 1873, s. 480.
- 9 Józef Chociszewski, dz. cyt., s. 94.
- 10 Teofila Brodowska, dz. cyt., s. 118.
- 11 Wanda Reichsteinowa, *Poradnik dla młodych osób w świat wstępujących. Ułożony dla użytku tychże*, Poznań 1891, s. 6.
- 12 Mściśław Kamiński, dz. cyt., s. 479, kolejny cytat s. 481.
- 13 P., *Kilka uwag o starych pannach*, „Dom Polski” 1888, nr 34, s. 270.
- 14 *Panna Lodzia*, „Bocian” 1896, nr 2, s. 2.
- 15 Józef Chociszewski, dz. cyt., s. 93.
- 16 Wanda Reichsteinowa, dz. cyt., s. 6.
- 17 Michał Bałucki, dz. cyt., s. 16.
- 18 Eliza Orzeszkowa, dz. cyt., s. 16.
- 19 Jan Miłkowski, *Sztuka wydania się za mąż w jak najkrótszym czasie. Praktyczny i niezawodny przewodnik, dający każdej kobiecie możliwość zdobycia sobie takiego*

- męża jakiego pragnie, Warszawa 1867, s. 6.
- 20 Wiktor Gomulicki, *Do niej i do niego. Pogadanki na temat małżeństwa*, Warszawa 1896, s. 7.
- 21 Michał Bałucki, dz. cyt., s. 12.
- 22 Zob. Anita Napierała, „Dlaczego się nie żenią?”. *O przyczynach starokawalerstwa w humorystycznych narracjach polskich publikacji popularnych od drugiej połowy XIX do początku XX wieku*, [w:] *Życie prywatne Polaków w XIX wieku. „O mężczyźnie (nie) zwyczajnie”*, Łódź–Olsztyn 2019, s. 305–322.
- 23 Dane demograficzne za: Witold Pruss, *Ludność Królestwa Polskiego 1864–1914*, Warszawa 2019, rozdział VII, s. 140–150.
- 24 L. Cz., *Ot, dlaczego się nie żenią*, „Kurier Codzienny” 1888, nr 207, s. 1.
- 25 Alfred Blaschko, *Prostytucja współczesna*, Warszawa 1907, s. 6.
- 26 Za: Franciszek Giedroyć, *Prostytutki jako źródło chorób wenerycznych w Warszawie (w ciągu ostatnich lat kilku)*, Warszawa 1892, s. 6, kolejny cytat tamże.
- 27 Józef Chociszewski, dz. cyt., s. 90, kolejny cytat tamże.
- 28 L. Cz., *Ot, dlaczego się nie żenią*, dz. cyt.
- 29 *Starzy kawalerowie. Ankieta*, „Dziennik Polski” 1898, nr: 135, 136, 137, 143, 174.
- 30 P., *Kilka uwag o starych pannach*, „Dom Polski” 1888, nr 34, s. 270, kolejne cytaty tamże.
- 31 Teofila Brodowska, dz. cyt., s. 117, kolejny cytat tamże.
- 32 Wanda Reichsteinowa, *Poradnik dla młodych osób*, dz. cyt., s. 6.
- 33 *Pod sekretem. Wycieczka w świat kobiety*, red. „Przeglądu Tygodniowego”, Warszawa 1873, s. 102, kolejny cytat tamże.
- 34 P., *Kilka uwag o starych pannach*, dz. cyt..
- 35 *Pod sekretem*, dz. cyt., s. 98, kolejne cytaty tamże.
- 36 Eliza Orzeszkowa, dz. cyt., s. 33, kolejne cytaty s. 45, 165.
- 37 Bolesław Prus, *Lalka*, dz. cyt., s. 107.
- 38 Wanda Reichsteinowa, dz. cyt., s. 4.
- 39 *Pod sekretem*, dz. cyt., s. 105.
- 40 Włodzimierz Płaskowski, *Do warszawskiej panny, kształcącej się po trochu na koncertantkę, filozofkę, powieściopisarkę, prelegentkę, słowem na wszystko, tylko nie na gospodarną żonę*, „Kurier Świąteczny” 1875, nr 24, s. 2.
- 41 Eliza Orzeszkowa, dz. cyt., s. 31.
- 42 Zob. Barbara Kalinowska-Witek, *Rola, zadania i pozycja społeczna mężczyzny i kobiety w rodzinie w świetle wybranych czasopism kobiecych z lat 1864–1914*,

- „Wychowanie w Rodzinie” 2014, nr 2.
- 43 Janina Strzelecka, *Kobieta wczoraj i dziś*, „Bluszcz” 1929, nr 25, s. 3.
- 44 Anita Napierała, „Dlaczego się nie żenią?”, dz. cyt.
- 45 Wanda Reichsteinowa, dz. cyt., s. 5.
- 46 Zob. Maria Wierzbicka, *Kilka uwag o kobiecie samotnej w XIX wieku* [w:] *Kobieta i rewolucja obyczajowa*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarc, Warszawa 2006, s. 447–457.
- 47 J. R., *Stara panna*, „Dobra Gospodyni” 1901, nr 43, s. 510.
- 48 *Trzeci głos z powodu artykułu „Stara panna”*, „Dobra Gospodyni” 1901, nr 48, s. 571.
- 49 *Głos czytelniczek z powodu artykułu „Stara panna”*, „Dobra Gospodyni” 1901, nr 46, s. 546, kolejny cytat tamże.
- 50 Michał Bałucki, dz. cyt., s. 11.
- 51 Helena Mniszkówna, *Trędowata*, Kraków 1972, s. 9.
- 52 Kazimierz Bartoszewicz, *Kwestionariusz małżeński*, Kraków 1901, s. 10, 11, kolejne cytaty s. 12, 13, 15, 25, 28, 32.
- 53 *Moje służby. Dziennik Marcysi poprawiony z rękopisu*, red. Cecylia Walewska, Warszawa 1905, s. 70, kolejny cytat s. 39.
- 54 Tamże, s. 39.
- 55 Marie Sansgêne, *Wspomnienia z młodości ubogiej służącej*, Gdańsk 2019, s. 120, kolejne cytaty s. 121, 122, 127.
- 56 Za: Anna Żarnowska, *Kobieta w rodzinie robotniczej. Królestwo Polskie u schyłku XIX i na początku XX wieku* [w:] *Kobieta i społeczeństwo na ziemiach polskich w XIX wieku. Zbiór studiów*, red. Anna Żarnowska, Andrzej Szwarc, Warszawa 1995, s. 64.
- 57 Dane statystyczne za: Radosław Poniak, *Służba domowa w miastach na ziemiach polskich od połowy XVIII do końca XIX wieku*, Warszawa 2013, tabela 18, s. 140.
- 58 *Wzorowe służki*, „Przyjaciel Sług”, 1901, nr 5, s. 43.
- 59 Tamże, s. 44.
- 60 *The Spinster’s Prize*, „Tit-Bits”, 27 kwietnia 1889, s. 39.
- 61 Lucyna Kotarbińska, *Moje domownice*, około 1922, Biblioteka Narodowa w Warszawie, rękopis.
- 62 kolejne cytaty tamże.
- 63 Stefania Sempołowska, *Z dna nędzy*, Warszawa 1909, s. 6, kolejny cytat s. 5.
- 64 *Biuro Informacyjne o nędzy wyjątkowej*, „Przegląd Katolicki” 1870, nr 36, s. 576.

- 65 Zob. Aneta Bołdyrew, *Spoleczne inicjatywy na rzecz organizacji opieki socjalnej nad ludźmi starymi w Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX wieku. Zarys problematyki*, „Biuletyn Historii Wychowania” 2019, nr 41, s. 54.
- 66 Zob. Bolesław Prus, „Kurier Codzienny” 1898, nr 44, s. 3; Żeliszaw Grotowski, *Rozwój zakładów dobroczynnych w Warszawie*, Warszawa 1910.
- 67 Maria Konopnicka, *Improwizacja miłosierdzia*, „Świt” 1887, nr 146, s. 13, kolejny cytat tamże.
- 68 Zob. Joanna Hobot-Marcinek, *Nowy, lepszy wiek XIX – kloszardki i megierzy doby industrializacji* [w:] *Anty-Beatrycze. Studia nad kulturową historią obrazu pijanej i szalonej staruchy*, red. Joanna Hobot-Marcinek i in., Kraków 2016.
- 69 *Z ufnością w imię Boże!*, „Przyjaciel Sług” 1900, nr 1, s. 9.
- 70 Maria Ilnicka, *Schronienie dla nauczycielek*, „Bluszcz” 1882, nr 29, s. 226.
- 71 Joanna Podhorska-Okołów, *Schronienie dla nauczycielek*, „Bluszcz” 1902, nr 44, s. 523.
- 72 *Światła i cienie*, „Wędrowiec”, 1895, nr 6, s. 109.
- 73 Maria Ilnicka, *Schronienie dla nauczycielek*, dz. cyt.
- 74 Aniela Dziewicka, *Ze stowarzyszenia św. Zyty*, „Przyjaciel Sług” 1900, nr 11, s. 169.
- 75 Stefania Sempołowska, dz. cyt., s. 7.
- 76 Tamże, s. 9.
- 77 Rita Rey, *Pamięci starej panny. Nekrolog*, „Świat Kobiety” 1929, nr 4, s. 1, kolejny cytat tamże.
- 78 Lucyna Gerlachowa, *Stara panna a kobieta niezamężna*, „Kobieta w Świecie i w Domu” 1929, nr 6, s. 1.
- 79 Zob. Anna Kwiatek, „*Zmarło się starej pannie*”. *Rola społeczna kobiety niezamężnej w świetle prasy polskiej dwudziestolecia międzywojennego* [w:] *Procesy socjalizacji w Drugiej Rzeczypospolitej 1914–1939. Zbiór studiów*, red. Anna Landau-Czajka, Katarzyna Sierakowska, Warszawa 2013; Katarzyna Stańczak-Wiślicz, *Socjalizacja do roli nowoczesnej żony i matki na łamach pism kobiecych okresu dwudziestolecia międzywojennego* [w:] *Procesy socjalizacji...*, dz. cyt.
- 80 Janina Strzelecka, *Nasze córki*, „Bluszcz” 1931, nr 5, s. 2.
- 81 Janina Strzelecka, *Kobieta wczoraj i dziś*, „Bluszcz” 1929, nr 25, s. 3.
- 82 K., *Nie czeka na męża*, „Głos Kobiet” 1936, nr 4, s. 3.
- 83 Zofia Ozdowska, *Twoje życie*, „Młoda Polka” 1929, nr 6, s. 124.
- 84 Janina Strzelecka, *Nasze córki*, dz. cyt., s. 3.
- 85 M. Halicz, *Stare panny*, „Kobieta Współczesna” 1931, nr 3, s. 15.

- 86 Maria Czapska, *O kobietach zamężnych i niezamężnych*, „Kobieta Współczesna” 1931, nr 11, s. 14.
- 87 Rita Rey, *Pamięci starej panny*, dz. cyt., s. 1, kolejny cytat tamże.
- 88 Bronisław Gumpłowicz, *Czy pani chce wyjść za mąż? Sto poufnych rad dla pańien na wydaniu*, Warszawa 1938, s. 1, kolejny cytat tamże.
- 89 K., *Nie czeka na męża*, dz. cyt.
- 90 Zob. Anna Żarnowska, Katarzyna Sierakowska, *Stare i nowe wzorce rodziny inteligentkiej w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej* [w:] *Rodzina–prywatność–intymność. Dzieje rodziny polskiej w kontekście europejskim*, red. Dobrochna Kałwa, Anna Żarnowska, Warszawa 2005; Dobrochna Kałwa, *Kobieta aktywna w Polsce międzywojennej. Dylematy środowisk kobiecych*, Kraków 2001; Anna Kwiatek, *Sublokatorski kąt, kawalerska kuchnia, dom społeczny, czyli gospodarstwo domowe kobiety samotnej w świetle prasy kobiecej dwudziestolecia międzywojennego* [w:] *Kobieta w gospodarstwie domowym. Ziemia polskie na tle porównawczym*, red. Katarzyna Sierakowska, Grażyna Wyder, Zielona Góra 2012.
- 91 Katarzyna Stańczak-Wiślicz, *Socjalizacja do roli nowoczesnej żony i matki...*, dz. cyt., s. 236.
- 92 Wera Tropaczyńska, *Nasza mównica*, „Bluszcz” 1929, nr 2, s. 18, kolejny cytat tamże.
- 93 Lwowianka, *Nasza mównica*, „Bluszcz” 1928, nr 52–53, s. 31, kolejne cytaty tamże.
- 94 P. H.P., *Nasza mównica*, „Bluszcz” 1929, nr 4, s. 27, kolejne cytaty tamże.
- 95 Zosia Napier., *Mieszkam kątem*, „Głos Kobiet” 1937, nr 1, s. 3, kolejny cytat tamże.
- 96 Helena Ryszkowska, *Jak walczyć z apatią*, „Bluszcz” 1929, nr 10, s. 3, kolejne cytaty tamże.
- 97 P. H. P., *Nasza mównica*, dz. cyt..
- 98 Lwowianka, *Nasza mównica*, dz. cyt..
- 99 Helena Ryszkowska, *Jak walczyć z apatią*, dz. cyt.
- 100 P. H. P., *Nasza mównica*, dz. cyt., s. 28.
- 101 R. G., *Ciocia Isia*, „Młoda Polka” 1926, nr 10, s. 152, kolejne cytaty tamże.
- 102 Z. N., *Brzydkie kobiety*, „Bluszcz” 1904, nr 3, s. 1, kolejne cytaty tamże.
- 103 M. Halicz, *Stare panny*, „Kobieta Współczesna” 1931, nr 3, s. 15.
- 104 Maria Czapska, *O kobietach zamężnych i niezamężnych*, dz. cyt.
- 105 I. J., *Kobieta wolna*, „Świat Kobięcy” 1929, nr 9, s. 1, kolejne cytaty tamże.

## Zakończenie

- 1 Eliza Orzeszkowa, *Marta*, Warszawa 1949, s. 147, kolejny cytat tamże.
- 2 Agnieszka Graff, *Świat bez kobiet*, Warszawa 2001, s. 237.
- 3 Barbara Welter, *The Cult of True Womanhood*, „American Quarterly” 1966, no 2.
- 4 *Pod sekretem. Wycieczka w świat kobiety*, red. „Przeglądu Tygodniowego”, Warszawa 1873, s. 88.
- 5 Käthe Schirmacher, *Praca kobiet i ochrona robocza*, „Nowe Słowo” 1903, nr 16, s. 367.
- 6 Kazimiera Bujwidowa, *Przypisek redakcji do „Ekonomicznej strony kwestii kobiecej” autorstwa Felicji Nossig, 1903* [w:] *Chcemy całego życia. Antologia polskich tekstów feministycznych z lat 1870–1939*, red. Aneta Górnicka-Boratyńska, Warszawa 1999, s. 141.
- 7 Wiryliś, *Nasze kobiety*, Warszawa 1893, s. 65.



## Przypisy

[1] W cytatach wszędzie zachowano zapis oryginalny, poprawiono jedynie interpunkcję.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

[czarne.com.pl](http://czarne.com.pl)

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:

ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

al. Jana Pawła II 45A lok. 56

01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: [d2d.pl](http://d2d.pl)

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, e-mail: [info@d2d.pl](mailto:info@d2d.pl)

Wołowiec 2022

Wydanie I